

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 1/111-2/112 1957



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

**PROBLEM ANTYSEMITYZMU
(ZAKOŃCZENIE ANKIETY)**

Zb. JORDAN:

IDEOLOGIA MARKSISTOWSKA

J. MEYNAUD:

PARYSKIE SPOTKANIE

SPIS RZECZY

Juliusz Mieroszewski :	<i>Ewolucjoniści i „wyzwolenicy”</i>	3
Zbigniew Jordan :	<i>Ideologia lewicy marksistowskiej</i> ..	10
Simone Weil :	<i>Medytacje o posłuszeństwie i wolności</i>	41
Czesław Miłosz :	<i>Traktat poetycki (dok.)</i>	46
	◆	
Ankieta „Kultury” :	<i>Problem antysemityzmu</i>	56
	◆	
Ankieta „Kultury” :	<i>Literatura emigracyjna a Kraj (dok.)</i>	80
Juliusz Mieroszewski :	<i>Podsumowanie Ankiety</i>	87

K R A J

Jean Meynaud :	<i>Paryskie spotkanie</i>	91
----------------	---------------------------------	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Eugeniusz Hinterhoff :	<i>Strefa neutralna w Europie</i>	105
Berlińczyk :	<i>Niemcy-Polska jesienią 1956</i>	114
Juliusz Mieroszewski-Londńczyk :	<i>Kronika angielska</i>	119

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Michał Sokolnicki :	<i>Na rozdrożu czasów</i>	125
---------------------	---------------------------------	-----

SPRAWY I TROSKI

Tadeusz Brzeziński :	<i>Sylwester Gruszką</i>	148
Zofia Cunningham :	<i>Nec Hercules...</i>	149

KRONIKA KULTURALNA

Paweł Hostowiec :	<i>Notatnik nieśpiesznego przechodnia</i> ..	152
Jan Holcman :	<i>Paderewski na L. P.</i>	162
Wit Tarnawski :	<i>Conrad a...</i>	165
Klara Szpakowska :	<i>Przeciw świerszczom...</i>	170
	◆	

Czesław Straszewicz :	<i>Klips (fragment powieści)</i>	177
-----------------------	--	-----

K S I A Ź K I

K.M. Krępski :	<i>Śladami Tito</i>	183
Czesław Miłosz :	<i>Biedny kamerjunker</i>	188
Bohdan Urbanowicz :	<i>Dziela czy obraz architektury</i>	193
A.V. :	<i>Petrarka — patron emigrantów</i>	196
Maria Czapska :	<i>Aktualna książka o O. Lamennais</i> ..	199
Marian Pankowski :	<i>Nowości poetyckie</i>	203
(AV) :	<i>Książki ukraińskie</i>	207
V. :	<i>Przegląd czasopism ukraińskich</i>	210
AV :	<i>Kronika białoruska</i>	213
	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	216
	◆	

St. Korboński, J. Hoffman, J. Beran, St. Merlo, R. Walewicz, Z. Budyn, J. Czapski :	<i>Listy do Redakcji</i>	223
	◆	

	<i>Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1956</i>	227
--	--	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Janvier-Février

1957

INSTYTUT



LITERACKI

„ KULTURA ” DLA PLASTYKÓW

Zapowiedziany w numerze 2/100 „Kultury” doroczny zakup obrazu czy rzeźby artysty emigracyjnego, ze względów technicznych uległ zwłoce. Szczegóły, jak również reprodukcja zakupionego dzieła będą zamieszczone w najbliższym, to jest marcowym numerze naszego pisma.



DALSZE WPŁATY NA DOM „KULTURY”

Bezimiennie (USA)	1.500 fr.
August Nieciecki, Oruro (Boliwia)	2.750 "
Adam Bardecki, Chandlers Ford, Hants' (Anglia)	1.000 "
Julian Godlewski, Zuerich (Szwajcaria), po raz trzeci	50.000 "
A. Anyz, Mexico (Meksyk)	3.500 "
Dr K. Boniarczyk, Montreal (Kanada)	2.100 "
Jerzy Krzeczunowicz, Addis-Ababa (Etiopia), ponownie	1.000 "
A. Grzonka, La Guaira (Wenezuela), ponownie	1.500 "
Jarosław Hawran, Pescara (Włochy)	1.230 "



NA NAGROBEK DLA JANA OLECHOWSKIEGO

Julian Godlewski, Zuerich (Szwajcaria)	5.000 fr.
--	-----------

Ewolucjoniści i « wyzwolenicy »

Wiem, że wielu Polaków zagranicznych oburzy się na mnie, niemniej, obstać przy swoim. Rewolucja narzucona Polsce przymocą w roku 1945 — w październiku 1956 nabrała cech autentyzmu. To co się dzieje w Żeraniu i w innych fabrykach — nie jest narzucone. Nie można mówić, że drzewo rewolucji przywiezione spod Moskwy przyjęło się na Mazowszu. Przeciwnie — polska rewolucja stała się możliwa dopiero wówczas, gdy przymoc Moskwy nad Krajem zmalała.

Wpływy pośrednie bywają bogatsze w konsekwencje niż wpływy bezpośrednie. Niewątpliwie w okresie narzuconej rewolucji Polska dokonała awansu z kraju rolniczego do szczybla kraju rolniczo-przemysłowego. Również w tym okresie polska klasa robotnicza w porównaniu z epoką przedwojenną wzrosła trzykrotnie.

Bierut umarł, Rokossowski odszedł — ale robotnicy zostali i jest ich trzy razy więcej niż dawniej. Dziś nie jest ani przesadą ani sloganem twierdzenie, że klasa robotnicza jest najpotężniejszą siłą w współczesnej Polsce. Jeżeli idea uspołecznienia przedsiębiorstw przemysłowych w postaci robotniczych samorządów fabrycznych zakorzeni się i zda w Polsce praktyczny egzamin — robotnicy nie pozwolą sobie już nigdy odebrać tego osiągnięcia. Możemy kiedyś mieć w Polsce kilka partii politycznych, demokratycznie wybieralny sejm itd. — ale rady robotnicze zostaną.

Ekonomiści emigracyjni podkreślają, że ów samorząd robotniczy jest fikcyjny bo cały proces zamknięty jest w ramach gospodarki planowanej z arbitralnie narzuconymi cenami, wskaźnikami, normami itd.

Osobiście nie mam nic przeciwko gospodarce opartej o „free enterprise” — wydaje mi się jednak, że o ile wszyscy miesz-

kańcy globu mają jeść, gospodarka planowana jest postulatem przed którym nie ma ucieczki. Na razie do syta je połowa ludzkości a jedna trzecia gatunku „homo sapiens” zwyczajnie głoduje. Nie przekona mnie najświetniejszy ekonomista, że tak być musi. Każdy system ekonomiczny, który biernie godzi się z tym stanem rzeczy jest systemem złym, tak w sensie gospodarczym jak i moralnym. Ale to tylko nawias mający na celu wypuklić tezę, że ruch rozwojowy zmierza ku gospodarce planowanej i do niej należy przyszłość.

Polakom na emigracji, nawet tym którzy czytują prasę krajową, jest niezmiernie trudno uplastyczyć sobie, że w Polsce dokonały się strukturalne przemiany nie mające w naszych dziejach żadnej analogii. Trudność w zbliżeniu polega na tym, że w Polsce i nie-komuniści są aktorami w dramacie nowej epoki. Natomiast na emigracji ponieważ jesteśmy antykomunistami skłonni jesteśmy sądzić, że w Kraju obowiązuje podwójny czas. Inna epoka dla komunistów a inna dla nie-komunistów. Tak nie jest. W radykalnie zmienionej rzeczywistości tkwią tak jedni jak i drudzy i nowym czasem oddycha cały naród.

Na emigracji uważamy (i słusznie), że jednym z naszych zadań politycznych jest pomóc w odbudowie systemu demokratycznego w Kraju. Zapominamy natomiast często o tym, że systemu demokracji nie wybiera się jak modelu nowego samochodu. System demokratyczny musi samorodnie wynurzyć się z miejscowych warunków i z miejscowego tła społecznego i gospodarczego.

Zachowane na emigracji szczątkowe komitety przedwojennych partii politycznych — są martwe. Próba wszczęcia tych partii w pień narodu byłaby równie beznadziejna i bezsensowna jak — powiedzmy — namawianie Polaków by podzielili się na dwa równe obozy... labourzystów i konserwatystów. Z życiem, z walką o byt, z praktyką i troską dnia codziennego Polaka w Kraju tyleż samo ma wspólnego sanacja, oener, endecja co brytyjski konserwatyzm czy amerykański republikanizm.

W „Po Prostu” z wielkim zainteresowaniem przeczytałem obszerny reportaż Włodzimierza Godeka z bliskich mi okolic Nowego Sącza i Limanowej. Autor opisuje zaciętą, nieustępliwą walkę jaką na dalekiej prowincji prowadzą antystalinowcy przeciwko stalinowcom. Nowy Sącz i Limanowa nie stanowią wyjątku, lecz przeciwnie, ilustrację całości. Walka przeciw stalinowcom daleka jest jeszcze od zwycięskiego finału. Ludzie w tych miastach nie dzielą się na chadeków, endeków czy piłsudczyków. Jedyna realna obecnie linia podziału to stalinowcy i antystalinowcy.

Antystalinizm jest autentycznym ruchem ku demokracji. Albowiem demokracja nie powstaje nigdy na drodze restaurowania martwych partii i koncepcji lecz przez dopuszczenie aktualnej opozycji do głosu. Nie zapominajmy, że tak demokracja francuska jak i brytyjska powstały z jednej partii. Nowy model demokracji w państwach komunistycznych powstanie na tej

samej drodze. Oczywiście trzeba w tym miejscu zrobić zasadnicze zastrzeżenie: o ile nie będzie interwencji sowieckiej. Jeżeli w Rosji dojdą do steru stalinowcy, względnie marszałkowie ustalą dyktaturę wojskową — wówczas narody Europy wschodniej zostaną powtórnie zapchnięte z toru ich własnej ewolucji.

Jeżeli obecne kierownictwo zawiedzie — będzie surowiej sądzone niż stalinowcy. Albowiem stalinowcy nie mieli pretensji ani do demokratyzacji ani do suwerenności. Stalinowcy mogli się zawsze zasłonić twierdzeniem, że robią to co im każe Moskwa. Mogli również powiedzieć że realny wybór „za ich czasów” sprowadzał się do alternatywy: albo oni, albo zwyczajna sowiecka okupacja.

Gomułka i jego administracja nie dysponują zespołem tego rodzaju obronnych argumentów. Wszystko co robią lub czego nie robią pójdzie wyłącznie na ich rachunek.

Jeżeli niezadowolenie będzie rosło, jeżeli kryzys gospodarczy będzie się pogłębiał — za rok, czy za dwa lata dojdzie do nowego „Poznania” i do nowego Plenum na którym powie się, że wszystko co było dotąd stanowiło karygodne wypaczenie i odchylenie.

Antystalinowcy powinni bowiem pamiętać, że co jest rewolucją a co reakcją — co jest prawdziwym socjalizmem a co nacjonalistyczno-prawicowym odchyleniem — o tym decyduje zawsze zwycięzca. Gdyby w październiku zwyciężył Natolin jego zwycięstwo byłoby zaprezentowane społeczeństwu i światu jako triumf najczystszej rewolucji nad mętnymi siłami reakcji. W polityce nie dość jest mieć rację — trzeba jeszcze być na wierzchu.

Do czasu VIII Plenum aparat partyjny liczył niemal 14 tysięcy funkcjonariuszy. Obecnie mówi się o redukcji tej cyfry do jednej trzeciej. 10 tysięcy zwolnionych „aparaczyków” — to jest utajona opozycja. W Polsce bezkrwawą czystką objęto dziesiątki a może nawet setki tysięcy ludzi. Ci wszyscy mali, średni i wielcy dygnitarze i funkcjonariusze — tak ci z Limanowej czy z Mszany Dolnej jak i ci z Krakowa, Łodzi, Kielc i Warszawy — choć biją się w piersi i wygłaszają wzruszające samokrytyki — dyszą chęcią rewanzu.

Nie ma powodu ukrywać faktu, że rewolucja w permanencji jest imprezą niezmiernie kosztowną. Co kilka lat odwoływać wszystko i wszystko zaczynać od nowa — być wiecznie na starcie, wiecznie w ogniu dyskusji i projektów — na to może pozwolić sobie (do czasu) kraj o niewyczerpalnych zasobach bogactw materialnych i sił ludzkich. Polskę nie stać na rewolucję w permanencji.

Stalin wysunął absurdalne hasło, że im bliższe ostateczne zwycięstwo socjalizmu tym ostrzejsza winna być walka klasowa. W okresie gdy Stalin dokonał tego odkrycia, w Rosji nie było już śladu ani popiołu z burżuazji. I w tym wypadku Stalin znalazł jednak wyjście tworząc nowy termin: „wróg ludu”. Kto był niewygodny lub niepewny stawał się automatycznie „wro-

giem ludu". W ten sposób można było podtrzymywać w nie- skończoność terror rewolucyjny i wspartą na nim dyktaturę.

Przemówienie Jakuba Bermana na VIII Plenum odsłania w pełni mechanikę stalinowskiego terroru. Fikcyjne akty oskarżeń, fikcyjne procesy — realne tortury i realne egzekucje.

Ale czy ci ludzie mogli prowadzić inną politykę? Fikcyjni szpiegowie — fikcyjne spiski, fikcyjni „wrogowie ludu” byli niezbędnym argumentem usprawiedliwiającym utrzymywanie olbrzymiego aparatu terroru. Z kolei terror był niezbędnym, jeżeli ci panowie mieli utrzymać się przy władzy.

Osobiście nie mam wątpliwości, że zarówno Władysław Gomułka jak i większość jego zwolenników są ludźmi czystych intencji. Ale mam wielkie wątpliwości czy na dłuższą metę — jeżeli zechcą utrzymać się przy władzy — zdołają uchronić aparat partyjny od tych wynaturzeń, o które dziś oskarża się ich poprzedników.

W moim przekonaniu istnieją tylko dwie możliwości: albo komunizm plus permanentna rewolucja i terror (model stalinowski) — albo komunizm plus demokracja. Nie wierzę w realizm jakiegokolwiek modelu pośredniego.

Czasem nie mogę oprzeć się wrażeniu, że nawet wykształceni komuniści identyfikują demokrację z burżuazją i kapitalizmem. W Polsce nie ma ani kapitalistów ani burżuazji. Owe miliony „nieprzekonanych” jak ich określił Stomma — jeżeli wykazują „obcość wobec państwa ludowego” — to nie dlatego, że marzą skrycie o oddaniu fabryk i kopalń obcym kapitalistom ale dlatego, że nie mają poczucia pełni praw obywatelskich. Odpycha ich od państwa ludowego nie program budowy socjalizmu tylko brak demokracji.

Są miliony ludzi w Polsce, którzy godzą się całkowicie z programem Władysława Gomułki — nie mogą jednak i nie chcą wstąpić do partii z powodów religijnych czy ideologiczno-filozoficznych. Dlaczego miliony obywateli tej kategorii mają być po wieczne czasy politycznie małoletnimi? Jest oczywiste, że marksiści nie będą nigdy stanowić w Polsce większości. Ale czy o to chodzi by — powiedzmy dla przykładu — wszyscy zaakceptowali marksistowski dogmatyczny ateizm? Większość tych, którzy odrzucają taki czy inny punkt filozofii marksistowskiej — gotowi są poprzeć budowę socjalizmu pod warunkiem, że ich prawo do odmiennego poglądu zostanie nie tylko uszanowane ale w pełni uprawnione. Co to oznacza? Oznacza to, że byłoby niesłuszne i niedemokratyczne gdyby o organizacji życia religijnego decydować miała wyłącznie mniejszość ateistyczna. Byłoby równie niesłuszne, gdyby w kraju w którym marksiści stanowią mniejszość, wszystkie podręczniki historii pisano w duchu materializmu historycznego. Identycznie byłoby sprzeczne z elementarną demokracją, gdyby na żądanie mniejszości wegeterianów zamknięto wszystkie jatki i zakazano sprzedaży mięsa.

Budowa sprawiedliwego ustroju społecznego — likwidacja wyzysku człowieka przez człowieka jak to pięknie a prosto ujął Gomułka — to są humanistyczne idee, które nigdy nie upadną. Ale można być przekonanym budowniczym socjalizmu i równocześnie w sprawach teologicznych agnostykiem. Można być entuzjastą robotniczego samorządu w fabrykach i równocześnie uważać materializm dialektyczny w jego aspekcie filozoficznym za przebrzmiałą koncepcję. Likwidacja wyzysku to jest jedna sprawa a twierdzenie, że w psychiatrii od Pawłowa nic się nie zmieniło to jest druga sprawa.

W jednym ze swych niedawnych przemówień Gomułka oświadczył, że w Polsce Ludowej nie ma miejsca dla partii burżuazyjnych. Jak mogą powstać partie burżuazyjne w kraju w którym nie ma burżuazji?

Jeżeli partia nie wróci do metod stalinowskich lecz przeciwnie popierać będzie demokratyzację na wszystkich polach działalności publicznej — proces ten doprowadzi z czasem do wykrytalizowania się nowych, niezależnych ugrupowań politycznych. Te ugrupowania nie będą miały nic wspólnego ani z burżuazją ani z tak zwanymi partiami historycznymi. Ustrój demokratyczny wytwarzający się po tych liniach będzie oczywiście różny od ustroju demokratycznego jaki obserwujemy na Zachodzie europejskim. Lecz w żadnym wypadku nie będzie to świadczyć o jego niższości.

Ludzie równie namiętnie i bezkompromisowo pragną demokracji jak i niepodległości. W dniach październikowych Gomułka stał się rzecznikiem niepodległościowych dążeń narodu i dzięki temu zdołał ów przemożny napór uchwycić w żagle swej partii i programu.

Nurt demokratyczno-wolnościowy w społeczeństwie polskim jest niemniej silny. Komuniści mają do wyboru — albo ów nurt organicznie włączyć w swój program, albo mu się przeciwstawić. W moim przekonaniu ów wybór jest tylko teoretyczny, bo jeżeli komunizm przeciwstawi się dążeniom ku demokracji i wolności — upadnie.

Dyktatura monopartyjna nie jest nigdy manifestacją siły. Przeciwnie jest oznaką słabości. Gdybym był komunistą uważałbym, że partia musi mieć takie dokonania i zdobyć tak powszechne poparcie społeczeństwa by z dyktatury mogła zrezygnować.

Strasliwym dziedzictwem stalinizmu, które ciąży bez wyjątku na wszystkich komunistycznych partiach świata jest lęk przed demokracją. Dlatego w procesie demokratyzacji czołowa rola przypaść musi nie-komunistom. Napór społeczeństwa na tym odcinku nie może słabnąć ani na chwilę. Polacy w Kraju winni pamiętać, że każdy naród ma takich komunistów jakich sobie wychował.



Na emigracji nie programy historycznych partii stanowią o liniach podziału, lecz stosunek do przemian zachodzących w Kraju. Emigracja podzieliła się na dwa obozy: ewolucjonistów i „wyzwoleńców”. Pierwsi wierzą w możliwości rozwojowe, które starałem się najogólniej naszkicować w niniejszym artykule; drudzy opierają swe nadzieje na koncepcji „wyzwolenia” z zewnątrz. Ten podział biegnie dziś poprzez partie i ugrupowania polityczne na emigracji a ostatnio zmanifestował się wyraźnie w łonie T.R.J.N. o czym informowaliśmy naszych Czytelników w numerze grudniowym.

Obóz „wyzwolenia” zatracą wszelki kontakt z rzeczywistością. Ponieważ Amerykanie — jak to widzieliśmy na przykładzie Węgier — w gruncie rzeczy dążą do utrzymania stanu jaki powstał w wyniku drugiej wojny światowej, liczyć na „wyzwolenie” znaczy w praktyce liczyć na nową wojnę. Dlatego prasa i politycy emigracyjni hołdujący tej orientacji każde pogorszenie stosunków między Moskwą a Waszyngtonem uważają za swój osobisty sukces.

„Wyzwoleńcy” to są przede wszystkim stalinowcy à rebours. Ze stalinowcami łączy ich wspólna wrogość do koncepcji neutralistycznych. Oczywiście nie chcą Polski niepodległej w paśmie neutralnym wschodnio-europejskim, ponieważ tego typu rozwiązanie choć gwarantowałoby Polsce niepodległość nie gwarantowałoby „wyzwoleńcom” powrotu do władzy. Stalinowcy (i natolińczycy), którzy wszystko zawdzięczali nie tyle poparciu społeczeństwa co poparciu sowieckich czołgów — ze zrozumiałych względów są również przeciwnikami neutralizacji i ewakuacji wojsk sowieckich z Europy wschodniej. Tak stalinowcy jak i emigracyjni stalinowcy à rebours są reakcjonistami, którzy dla zdobycia władzy nie zawahaliby się podpalić własnego polskiego domu.

Nasz punkt widzenia na kompleks omawianych zagadnień można ująć następująco:

Muszą być spełnione trzy następujące warunki by sytuacja w Polsce mogła rozwijać się w kierunku demokracji na wewnątrz i pełnej niepodległości na zewnątrz.

- a) Wojska sowieckie winny być wycofane z Europy wschodniej;
- b) Uznanie granicy na Odrze i Nisie przez mocarstwa zachodnie;
- c) Udzielenie Polsce wydatnej pomocy gospodarczej.

Jesteśmy przekonani, że o ile powyższe warunki zostaną spełnione naród polski wypracuje w Kraju demokratyczny, społecznie sprawiedliwy ustrój odpowiadający woli i poglądom większości.

Nadszedł czas, by pod adresem Ameryki wysunąć konkretne żądania. Amerykanie bowiem z jednej strony prowadzą poprzez „Free Europe” forsowną propagandę antykomunistyczną, z drugiej zaś strony akceptują obecność wojsk sowieckich tak w Polsce jak i w całym rejonie Europy wschodniej. Nie tylko

akceptują ale jak dotąd odmawiają wszczęcia jakichkolwiek negocjacji w tej sprawie. Jak długo Polska jest otoczona ze-
wsząd pierścieniem baz sowieckich — nie może być mowy o peł-
nej demokracji. Każdy bowiem poważniejszy krok ku demokra-
cji byłby poczytany przez Moskwę za prowokację. W gruncie
rzeczy w stanowisku amerykańskim jest coś fałszywego. Ame-
rykanie namawiają nas byśmy porzucili komunizm równocześnie
odmawiając nam wszelkiej pomocy w odbudowie demokracji.
Nie można komuś doradzać by nie umierał z głodu odmawiając
mu kromki chleba.

Nam nie jest potrzebna propaganda. Potrzebna jest nato-
miast akcja dyplomatyczna zmierzająca do układu gwarantują-
cego ewakuację wojsk sowieckich z Europy wschodniej. Z lic-
nych wypowiedzi Chruszczowa wynika jasno, że Rosjanie byliby
gotowi dyskutować ten problem. Jak dotąd jednak stanowisko
Ameryki jest w tej sprawie całkowicie negatywne.

Byłoby naiwnością mniemać, że czterej „prezydenci” emi-
gracyjni i skupieni wokół nich wczorajsi ludzie podejmą pro-
gram naszkicowany powyżej. Inicjatywy w tym względzie nie
podejmą również „stypendialni” politycy, pisarze, prezesi i pu-
blicyści zatroskani o los swych stypendiów i posad. Inicjatywa
w tym kierunku może tylko wyjść od ugrupowań i polityków
niezależnych, którzy dziś potrzebniejsi są Polsce niż kiedykol-
wiek przedtem.

Juliusz MIEROSZEWSKI



POMOC DO POLSKI LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ

Katalog 100 popularnych paczek
oraz obszerny Cennik Lekarstw (400 poz.)
na żądanie. Przyjmujemy zamówienia ze
wszystkich części świata.

HASKOBA LTD.

— 121, Earls Court Road, London. S.W.5.
Telefon : FREmantle 7888/9

Ideologia lewicy marksistowskiej

„Komunizm nie jest dla nas stanem rzeczy, który należy zaprowadzić, ani ideałem, do którego rzeczywistość ma się dosłownie wywodzić. Nazywamy komunizmem ten rzeczywisty ruch, który obala obecny stan rzeczy. Warunki tego ruchu wynikają z istniejących (realnych) założeń”. (K. Marx, Die Deutsche Ideologie).

Następstwa każdej rewolucji są nieobliczalne i wymykają się spod kontroli jej inicjatorów. Polska rewolucja październikowa nie będzie zapewne stanowiła pod tym względem wyjątku. Czas okaże, jakie nadzieje spełniła i jakie zawiodła, a nadto ujawni procesy niezamierzone, które wyzwoliła w kraju i poza jego granicami.

Jedno z osiągnięć polskiej rewolucji październikowej ma już dzisiaj charakter nieprzemijający: ostateczne zniszczenie „stalinowskiego socjalizmu”. „Stalinowski socjalizm” w terminologii kraju, komunizm — w terminologii zachodniej, to z jednej strony doktryna marksizmu-leninizmu, z drugiej pewien system i praktyka, których cechy charakterystyczne są zbyt dobrze znane, by trzeba je było raz jeszcze opisywać.

Jak każda rewolucja, tak i rewolucja październikowa miała jasno wyznaczone cele destruktywne; jej przywódcy i masy udzielające poparcia wiedziały doskonale co chcą zniszczyć lub usunąć. Znacznie większe trudności nastrocza określenie celów konstruktywnych rewolucji. Nie oznacza to, iż ich nie było. Odrzucenie „stalinowskiego socjalizmu” dokonało się w imię

„prawdziwego” socjalizmu lub „autentycznego” komunizmu (1). Powyższe hasła nie mówią jednak wiele. Czym bowiem jest „prawdziwy” socjalizm lub komunizm i czym różni się od „stalinowskiego”, „fałszywego” socjalizmu lub komunizmu? Odwołując się do tradycji socjalizmu można wprawdzie intuicyjnie zrozumieć intencje tych, którzy przeciwstawiali jego „prawdziwą” i „fałszywą” postać. Lecz na tradycję socjalizmu składa się kilka wątków, często wzajemnie wykluczających się, a intuicyjne rozumienie intencji jest zazwyczaj wiedzą wątpliwej wartości.

Trudności, o jakich mowa, nie są ograniczone do nas, ludzi żyjących poza granicami kraju. Potrzeba ideologicznego samookreślenia się występuje w całej publicystyce krajowej. Przejawia się ta potrzeba w różnorodnych formach, wśród których najczęstszą jest analiza przeszłości. Najciekawszymi próbami ideologicznego samookreślenia się jest jednak frontalne atakowanie problemu, stawianie pytania, jakie przeświadczenia zapadły się w nicość, co z dawnej wiary pozostało i pod jakim względem należy ją zmienić i uzupełnić.

„Gdy mnie dawniej pytano”, pisał J. Bocheński, „czy jestem komunistą, odpowiadałem: tak. Gdy mnie dziś o to pytają, udzielam identycznej odpowiedzi, a jednak czuję, że mam na myśli coś odmiennego niż dawniej. W jakiejś więc mierze musiał się zmienić mój pogląd na komunizm” (*Przegląd Kulturalny* 38/56).

W dalszej części felietonu Bocheński stara się wyjaśnić na czym omawiana różnica polega i do tych rozważań wypadnie jeszcze powrócić. Bocheński szuka odpowiedzi w terminach abstrakcyjnych i sformułowaniach ogólnych. Nie wszyscy jednak w ten sposób do problemu ideologicznego samookreślenia się podchodzą. Dla innych, a do nich należy przede wszystkim młodzież, zagadnienie sprowadza się do spraw praktycznych, punkt ciężkości przesuwa się z płaszczyzny problemów i celów ogólnych na płaszczyznę środków i konkretnych zaleceń.

„Co to znaczy komunizm? Przywykliśmy odpowiadać na to pytanie z równą łatwością jak na stereotypowe ‘co słychać? — wszystko po staremu’”. Otóż to. Bynajmniej nie wszystko po staremu. I dotychczasowy slogan, że komunizm jest to ustrój sprawiedliwości społecznej, który nastąpi po socjalizmie, jest dziś co najmniej nie wystarczający. Naszemu pokoleniu przyszło dojrzewać w niezwyklej epoce. Wznosiliśmy pomniki i rozbijaliśmy je własnymi rękoma. A jednak ‘stalinowski szok’ nie spowodował w zasadniczej części naszego pokolenia zwrotu ku kapitalizmowi. Nadał jednak niezwyklej wagi pytaniu postawionemu w podtytule. Nikt bowiem nie wyleczy już naszego pokolenia ze sceptycyzmu, z odrazy do drętwej mowy, ale też nikt nie odbierze mu jego okaleczonego romantyzmu.

Można oczywiście odpowiedzieć na to centralne pytanie, że komunizm to ekonomika zapewniająca powszechny dobrobyt, to rozwój myśli naukowej

(1) „Socjalizm” i „komunizm” są terminami, którymi polska publicystyka krajowa posługuje się zamiennie. Piszący te słowa dostosowuje się z konieczności do tego zwyczaju.

i twórczości artystycznej, to praworządność, demokracja, humanistyczne, braterskie stosunki międzyludzkie.

Jesteśmy jednak ubożsi w wiarę, a bogatsi w pytania — jak zorganizować w Polsce ekonomikę, aby zapewniała harmonijny wzrost stopy życiowej ludności? Jak zapewnić warunki nieskrępowanego rozwoju myśli ludzkiej? Jak zapewnić praworządność w warunkach walki klasowej? Jak? Jak? Jak?" (A. Bratkowska - A. Drożdżyński - F. Rapaport - M. Renke, *Po Prostu* 43/56).

Potrzeba konfrontacji dawnej i nowej ideologii, a w obrębie ideologii nowej — określenie nie tylko celów, lecz również środków i zaleceń praktycznych, stała się zjawiskiem powszechnym. Jednocześnie z J. Bocheńskim o tych samych sprawach pisał T. Hołuj w „Życiu Literackim” i A. Braun w „Nowej Kulturze”. W „Przeglądzie Kulturalnym” i „Nowych Drogach” L. Kołakowski sięgnął do rozważań nad sensem życia, światopoglądem i funkcją intelektualistę, by ugruntować na nich fundamenty nowej ideologii. J. Kott w „Przeglądzie Kulturalnym” przeprowadził rewizję marksistowskiej interpretacji historii i wykazywał, iż „prawdziwy” i „fałszywy” komunizm różnią się przez swe historiozofie. „Po Prostu” podejmuje wysiłki sformułowania programu humanistycznego komunizmu, „Życie Gospodarcze” szuka rozwiązań organizacyjnych i instytucjonalnych w gospodarce narodowej urzeczywistniających ideę „prawdziwego” socjalizmu.

Wszystkie wyżej wspomniane próby rewizji i obrachunków z przeszłością świadczą o intelektualnej aktywności, przewartościowywaniu wartości, nowych ideach i tendencjach myślowych. Łączy się z tym pytanie, w jakim kierunku idą ci wszyscy, którzy nadal nazywają się socjalistami lub komunistami, chociaż pod tą legitymacją światopoglądową kryją się w przeszłości i teraźniejszości różne ludzkie osobowości i różne ideologiczne treści.

Próba odpowiedzi na to pytanie jest w pewnym sensie przedwczesna, by mogła być zadowalająca, pogłębiona i wyczerpująca. W chwili obecnej trudno jest dokonać czegoś więcej prócz uporządkowania pośpieszenie zebranego świadectwa ideologicznej ewolucji i przeprowadzenia wstępnej analizy.

FORMUŁA GOMUŁKI

Celem wykrycia dróg omawianej ewolucji najlepiej będzie zacząć od tego, co dla zwięzłości nazwać można formułą Gomułki.

„Najpełniejsze określenie treści społecznej jaka tkwi w pojęciu socjalizmu”, stwierdzał Gomułka pod koniec swego przemówienia na VIII Plenum KC PZPR, „zawiera sformułowanie, że socjalizm to taki ustrój społeczny, który znosi wyzysk i ucisk

człowieka przez człowieka''. Ta centralna idea jest w socjalizmie trwała i niezmienna, wszystko inne jest zależne od czasu i miejsca. O tym w jaki sposób tę ideę można wcielić w rzeczywistość społeczną rozstrzyga bowiem doświadczenie. „Tylko na drodze doświadczeń i osiągnięć różnych krajów budujących socjalizm może powstać najlepszy w danych warunkach model socjalizmu''. W tym zadaniu teoria socjalistyczna jest pomocna pod warunkiem, iż będzie stale sprawdzana i wzbogacana przez „doświadczenia życia''. Albowiem „nawet najpełniej w danych warunkach i w określonym czasie opracowana teoria socjalizmu nie może objąć wszystkich szczegółów bogatszego od niej życia''.

Formuła Gomułki określająca istotę socjalizmu obudza w pamięci dobrze znane słowa. „Tym co wyróżnia komunizm'', czytamy w „Manifestie Komunistycznym'', „jest nie zniesienie własności w ogóle, lecz zniesienie własności burżuazyjnej. Ale nowoczesna burżuazyjna własność prywatna jest ostatnim i najdoskonalszym wyrazem takiego wytwarzania i przywłaszczania produktów, które oparte jest na przeciwieństwach klasowych i na wyzysku jednych ludzi przez drugich. W tym sensie mogą komuniści zawrzeć swą teorię w jednym zdaniu: zniesienie własności prywatnej''.

Miedzy „Manifestem Komunistycznym'' a formułą Gomułki istnieją nie tylko uderzające zbieżności, lecz i równie uderzające różnice. W „Manifestie Komunistycznym'' zniesienie wyzysku człowieka przez człowieka i zniesienie własności prywatnej są współzależnymi osiągnięciami. Gdy znika własność prywatna ustaje wyzysk i gdzie nie ma wyzysku człowieka przez człowieka, tam istnieć przestała własność prywatna. Z tej równoważności „Manifestu'' wywodzi się mistyfikacja rzeczywistości doby stalinowskiej inspirując „największe w dziejach oszustwo klasy robotniczej'' (Po Prostu 44/56). Skoro środki produkcji są własnością ludu — a o tym że są własnością ludu świadczy konstytucja — produkt dodatkowy przestał wędrować do kieszeni kapitalisty. Skoro nikt nie przywłaszcza sobie produktu dodatkowego, ipso facto przestał istnieć wyzysk człowieka przez człowieka.

Lecz to, co w sensie prawnym jest własnością ludu, może być faktycznie własnością państwa, lud zaś i państwo to dwie różne rzeczy, dwie różne rzeczywistości niepokrywające się z sobą. Państwowe władanie środkami produkcji i wyzysk istniały obok siebie, zniesienie własności prywatnej nie wystarczyło, aby znieść wyzysk człowieka przez człowieka. Co więcej, zniesienie własności prywatnej stało się przyczyną wzrostu ucisku człowieka przez człowieka. Nie ma bowiem większej tyranii niż zlanie całokształtu władzy ekonomicznej i politycznej w jednym ośrodku władzy, jakim było państwo ludowe. Przed tym niebezpieczeństwem ostrzegali od lat teoretycy liberalnej myśli politycznej, a również teoretycy demokratycznego socjalizmu. W Polsce prawdy tej nie odkrywano z książek, lecz z życia i własnego doświadczenia.

„Planowanie tylko centralistyczne prowadzi ostatecznie do wszechwładzy i biurokracji i do politycznej autokracji. Albowiem centralizacji siły ekonomicznej nie może nie towarzyszyć centralizacja siły politycznej. W tym wypadku autokracja oznacza dyktaturę biurokracji, a w konsekwencji — dyktaturę jednostki” (E. Lipiński, *Nowa Kultura* 37/56).

„Wiadomo, że nieodłącznym atrybutem instytucji własności jest możliwość bezpośredniego — w jakimś stopniu — zarządzania, dysponowania. Aktualne formy socjalistycznej własności państwowej stwarzają w tym względzie, dla bezpośrednich wytwórców — a przede wszystkim dla klasy robotniczej — stosunkowo niewielkie przesłanki. Rodzą natomiast warunki, w których grupy zarządzające gospodarką narodową faktycznie koncentrują prawo zarządzania i dysponowania socjalistyczną własnością państwową, eliminując w ten sposób bezpośrednich wytwórców” (W. Grodek - R. Turski, *Po Prostu* 26/56). (2)

Z doświadczeń „stalinowskiego socjalizmu” czerpie się obecnie naukę, jakie dodatkowe warunki muszą być spełnione, by zmiana tytułu prawnego własności służyła ideałowi socjalizmu zamiast stać się zaporą stojącą na jego drodze. Skoro zniesienie własności prywatnej jest warunkiem koniecznym, lecz niewystarczającym do tworzenia socjalistycznej rzeczywistości społecznej, kto pragnie zawrzeć naczelną ideę socjalizmu w jednym zdaniu powie za Gomułką, iż polega ona na zniesieniu wyzysku człowieka przez człowieka. Tej zasadzie podporządkowane jest wszystko inne, łącznie z tym co uczynić należy z własnością społeczną po zniesieniu własności prywatnej, jak ją zorganizować i zarządzać, by nie tylko z tytułu prawnego, lecz również de facto była tym, czym nominalnie się stała w wyniku wywłaszczenia prywatnych właścicieli. Idea samorządu fabrycznego, decentralizacji organizacji przemysłu i ograniczenie organów planujących są próbą rozwiązania tej podstawowej sprawy.

Pod innym jeszcze względem formuła Gomułki zrywa z fikcją i rewiduje przewidywania „Manifestu Komunistycznego”. Czytamy w „Manifestie”: „W tym samym stopniu, w jakim zniesiony zostanie wyzysk człowieka przez człowieka, zniesiony będzie także wyzysk jednego narodu przez drugi. Wraz z przeciwnstwem wewnątrz narodu znika wzajemna wrogość narodów”. To przewidywanie okazało się bardzo odległe od prawdy. Marx nie uwzględniał przemożnego znaczenia czynnika siły w stosunkach między narodami działającego na korzyść interesów narodowych silniejszego z partnerów, niezależnie od ich struktury społecznej i ideologii. Rzeczywista lub pozorna wspólnota struktury społecznej i ideologii nie ustanawia naturalnej harmonii interesów, nie unicestwia działania wynikającego z względnego stosunku sił między państwami — ciążenie ze strony państwa większego i uległości ze strony państwa mniejszego. Odejście od „Manifestu Komunistycznego” jest odejściem od utopii. Podobnie jak zniesienie wyzysku człowieka przez człowieka tak i zniesienie wyzysku jednego narodu przez drugi nie jest koniecz-

(2) Najpełniejszą dyskusję omawianego problemu zawiera artykuł S. Chelstowskiego i W. Godeka w „Po Prostu” 44/56.

nym następstwem innych jakichś zmian, wyznaczonym przez prawa przedustawnej harmonii. Wymaga ono samoistnego rozwiązania, jest funkcją ułożenia realnych stosunków między państwami. Ich unormowania na zasadzie rzeczywistej równości praw nie zastąpi ideologiczna formułka.

W dziedzinie ideologii supremacja silniejszego partnera przybrała doktrynalną maskę tezy o istnieniu jednej i tylko jednej drogi do socjalizmu. Ta teza jest sprzeczna z tym, co jest trwałe i niezmiennie w pojęciu socjalizmu. Jeżeli bowiem warunki właściwe każdego kraju, różnorodne okoliczności czasu i miejsca, spełniają rozstrzygającą rolę w wyznaczeniu najlepszej drogi do socjalizmu, jasną jest rzeczą, iż dróg tych musi być wiele. „Pełna niezależność i samodzielność, prawo każdego narodu do suwerennego rządzenia się w niepodległym kraju” są w formule Gomułki warunkiem koniecznym i niezbędnym budowy społeczeństwa socjalistycznego. „Socjalizm”, pisał Przyboś, „tworzyć mogą tylko narody wolne” (*Przegląd Kulturalny* 43/56). Suwerenność narodowa, prawo do rządzenia się we własnym kraju oraz ideał socjalizmu splatają się w nierozzerwalną całość.

„Jeśli mówiło się dotychczas, że tylko socjalizm gwarantuje niepodległość i suwerenność naszego kraju, to trzeba dodać również, że tylko suwerenność i niepodległość naszego kraju gwarantować mogą zbudowanie w nim socjalizmu” (A. Braun, *Nowa Kultura* 44/56).

„Socjalizmu w Polsce nie będzie, jeżeli nie będzie suwerenności narodowej. Ograniczenia suwerenności nie przyspieszają socjalizmu lecz paraliżują jego rozwój. Powinni to uświadomić sobie wszyscy którzy pragną socjalizmu...”

„Gorące uczucia narodowe są uczuciami sprawiedliwymi” (J. Bocheński, *Przegląd Kulturalny* 43/56).

DYGRESJA HISTORIOZOFICZNA

Doktryna jednej drogi do socjalizmu to nie tylko przejaw dominacji najsilniejszego partnera wśród państw obozu socjalizmu, lecz również zła metafizyka i zła historiozofia. U podstaw tej doktryny, wyjaśnia J. Kott (*Przegląd Kulturalny* 37/56), kryje się bowiem założenie, iż historia przebiega w określonym kierunku, jest „podróżą, która prowadzi do określonego celu”. Od wspólnoty pierwotnej jej etapy wiodą poprzez niewolnictwo, feudalizm, kapitalizm i socjalizm do bezklasowego społeczeństwa komunistycznej przyszłości. Miara wszystkich ludzkich osiągnięć i wysiłków jest ich wkład do przyspieszenia biegu historii, do przesunięcia go na wyższy szczebel społeczno-gospodarczej formacji. W feudalizmie postępowe były siły, które stworzyły „wyspy kapitalistyczne w łonie społeczeństwa feudalnego”, w kapitalizmie — te, które w społeczeństwie burżuazyjnym

„kształtują, wychowują i uzbrajają przeciwko burżuazji nową klasę, proletariat”. Obiektywna ocena teraźniejszości jest zawsze oceną *sub specie futuri*, teraźniejszość, to znaczy życie i cena życia ludzi współcześnie żyjących, jest o tyle brana pod uwagę, o ile współuczestniczy w kształtowaniu następnej formacji :

„Wszystko, co przyspiesza proces historyczny jest postępem, wszystko, co opóźnia — reakcją. Jest to postulat madejowego łoża. Historię należy brać na męki, aby jak najszybciej wydała następną formację. Za przyspieszenie procesu historycznego warto zapłacić każdą cenę. Im szybciej bowiem dotrzemy do owej epoki, gdzie według klasycznego określenia kończy się prehistoria, a zaczyna historia człowieka, tym w ogólnym rozrachunku kosztów, jakie ponieść musi ludzkość, będą mniejsze”.

Przekonanie, iż w przebiegu wydarzeń historycznych można wykryć pewien wzór, prawidłowość lub tendencję, wywierało i nadal wywiera w Polsce przemożny wpływ na umysł. Ł. Kołakowski w swych egzystencjalistycznych rozważaniach nad sensem życia — „nikt nie rodzi się z sensem życia gotowym, pozostaje on rzeczą wyboru” — z przeżycia racjonalności historii, przez co rozumie on interpretowanie teraźniejszości w perspektywie przyszłości, wywodzi swój komunistyczny światopogląd :

„Komunizm, przeżyty w świadomości jednostkowej i zasymilowany nie po prostu jako jedna z częstek istnienia osobniczego, ale jako składnik integralny, zmieniający gruntownie chemizm osobowości, nadaje życiu poczucie sensowności najbardziej intensywne, jakie istnieje. Świadomość komunistyczna jest bowiem nie tylko racjonalizacją historii ludzkiej, ale nadto zobowiązaniem do współludziału w jej przemianach, odpowiedzialnością za jej przebieg. Jest afirmacją życia takim, jakim jest — ale pojętego nie jako przedmiot obserwacji racjonalnej, ale tworzywo, które dzięki swej racjonalności posiada pewien stopień plastyczności, jest obiektem oddziaływania. Cała rzeczywistość ulega humanizacji, staje się światem ludzkim, to znaczy istniejącym jedynie jako materia przeobrażeń, a nie widowisko tylko obserwowane” (*Przegląd Kulturalny* 38/56).

Wiara w istnienie praw historycznych i w racjonalność historii jest wiarą nieszkodliwą dopóki pobudza do formułowania hipotez lub pomaga — jak Kołakowskiemu — do ugruntowania sensu życia i poczucia celowości wysiłku. Lecz wiara w racjonalność historii przekształcona w doktrynę wyznaczającą nasz polityczny, moralny i religijny stosunek do bliźnich, staje się zgubną, szkodliwą i okrutną doktryną. Albowiem na jej gruncie pewne twory myślowe — cywilizacje, formacje społeczne, kultury, rasy, klasy — użyteczne nazwy ogólne, nabierają charakteru bardziej realnego aniżeli jednostki, które się na nie składają. Jednostka jest tylko elementem i tylko częścią pewnej większej całości, której dobro i wartość są względne i nieskończenie małe w stosunku do bezwzględnego i nieskończonego dobra i wartości owej bardziej realnej i konkretnej całości. Z takich doktryn rodzą się decyzje poświęcające pokolenia żyjące na rzecz pokoleń nienarodzonych, pogarda dla losu grup i jed-

nostek, które „nie przyspieszają biegu historii”, gotowość zapłacenia każdej ceny ludzkiej biedy, wyrzeczenia i wyzysku w imię dalekiego, niepewnego i nieznanego dobra, poręzonego jedynie spekulacją o racjonalności historii.

Powyższe obiekcje nie dotyczyłyby, zdaniem Kotta, „racjonalnego jądra” marksistowskiego spojrzenia na historię, lecz rdzy nań narosłej w okresie stalinizmu, rdzy fetyszyzmu i fatalizmu. Dla Marxa historia była „całkowicie ziemską, nigdy jej nie antropomorfizował, ani praw rozwoju społecznego nie zamieniał w absolutne kategorie logiczne”. Podobnie czynił Lenin:

„Historia nie była dla niego abstrakcją, czymś zamkniętym i gotowym, była rzeczywistością, trudnym polem walki. Kierunek i rozwój rewolucji nie był nigdy dla Lenina raz na zawsze zapisany w górze, wynikał z uogólnienia doświadczeń pierwszych lat rewolucji i z przyswojenia sobie tych doświadczeń przez masy... Lenin wierzył, że historia wymierza ostateczną sprawiedliwość klasom, narodom i jednostkom, nadziejom i złudzeniom, oportunistom i bohaterstwu, ale nigdy nie uważał, że wymierza tę sprawiedliwość mechanicznie i bezbłędnie, co roku i codziennie”.

To ograniczenie racjonalności historii i oczyszczenie jej od stalinowskich fetyszów — *horribile dictu* — fatalizmu i woluntaryzmu doprowadza Kotta do wniosku, iż marksistowskie pojmowanie rozwoju społecznego nie wyklucza kalkulacji „rzeczywistych kosztów” historycznego postępu. Gdy zamiast abstrakcyjnego, jednolitego toku Historii z jej równie abstrakcyjnymi formacjami i modelami, w które wpychamy terażniejszość, rozpatrujemy rzeczywiste procesy historyczne, następstwo zdarzeń w danym odcinku czasu i przestrzeni, dzieje konkretnych ludzi, grup i klas społecznych, wówczas „nasze doświadczenie buntuje się przeciwko tezie”, iż „każdą cenę warto zapłacić historii, aby biegła szybciej”. Zdrowy rozsądek każe się nam liczyć ze społeczną ceną „rzeczywistej historii”. Koszt każdego kroku naprzód może być większy lub mniejszy i uwzględnienie tej różnicy również należy do „racjonalnego jądra” marksistowskiego pojmowania historii:

„Postulat przyśpieszenia historii za wszelką cenę i brania jej na madejowe łożo zakłada metafizyczną wiarę, iż historia jest napisana z góry i że musi nam przyznać rację. Mieliliśmy już raz konstytucję, w której napisane było, że prezydent jest odpowiedzialny ‘przed Bogiem i historią’. Bardzo gorzko zapłaciliśmy za to zaufanie. Chcemy odpowiedzialności nie przed historią, lecz przed terażniejszością.

Mówimy obecnie o różnych drogach do socjalizmu. Na czym polegać ma wyższość jednej drogi nad drugą? Na tym, że jest szybsza? Nie! Na tym że jest społecznie tańsza. Mówimy o współlistnieniu i pokojowej rywalizacji dwóch różnych systemów ekonomicznych. Na czym opieramy przeswiadczenie o naszym zwycięstwie? Na tym, że w ustroju socjalistycznym potrafimy lepiej zaspokoić potrzeby człowieka. Że w ostatecznym rachunku historyczne koszty socjalistycznej industrializacji będą niższe od industrializacji kapitalistycznej.

Ale rzeczywiste koszty i rzeczywista cena historii — bez żadnej metafizyki; cena ekonomiczna, cena społeczna, cena moralna”.

CEL I ŚRODKI

Jak niemal wszystkie najogólniejsze cele, cel naczelný socjalizmu — zniesienie wyzysku człowieka przez człowieka — uzna zapewne każdy. Spory i walki między ludźmi nie dotyczą celów ogólnych, gdyż ogólność poręcza ich uniwersalność i powszechną aprobatę. Spory i walki rozpoczynają się wówczas, gdy od celów przechodzimy do środków, dróg mających nas przybliżyć i ostatecznie doprowadzić do celów wspólnych.

Wiele składa się na to przyczyn. Nasza wiedza o stosunkach między środkami i celami jest wiedzą bardzo niedoskonałą. Często nie znamy nie tylko dalekich, lecz nawet bezpośrednich następstw naszych czynów. W naszym życiu osobistym i społecznym jesteśmy stale stawiani przed sytuacjami, których nie zamierzaliśmy, chociaż sytuacje te są następstwem naszych uprzednich uczynków. Często nie wiemy, jaki środek doprowadzi nas do upragnionego celu, innym razem widzimy wiele takich środków, między którymi należy dokonać wyboru, a gdzie ma miejsce wybór, tam nieodmiennie wystąpi różnica opinii. Wybór także oznacza iż aby coś osiągnąć musimy się także czegoś wyrzec, a kalkulacja narosłych strat i zysków jest sprawą w której ludzie będą zawsze się różnić. Raz dokonany wybór ogranicza swobodę dalszych wyborów i świadomość tej okoliczności zaostrza spory i stwarza grupy walczące między sobą.

Problem wyboru środków, jakich należy użyć, by przybliżyć realizację celów, także wówczas gdy są one powszechnie akceptowane, znalazł dotąd jedno racjonalne rozwiązanie — rywalizację różnych programów politycznych. Albowiem ta rywalizacja pozwala na sformułowanie alternatyw, a alternatywne środki są w praktyce społecznej odpowiednikiem metody prób i błędów. Pozwalają one oprzeć się na doświadczeniu i korygować dokonywane zmiany w świetle ich następstw. Rywalizacja różnych programów politycznych jest istotą demokracji parlamentarnej, której wyższość nad innymi formami ustrojowymi przypisać należy temu, iż w największej mierze pozwala doświadczeniu kształtować rzeczywistość społeczną.

Lewica marksistowska odrzuca podobne rozwiązanie. W kraju, w którym we wszystkich zasadniczych zagadnieniach ugrupowania polityczne są zgodne i stoją na platformie socjalizmu, nie ma miejsca na opozycję i partie opozycyjne (S. Ehrlich, *Nowa Kultura* 47/56). Podobny wywód jest paralogizmem. Cóż bowiem oznacza „platforma socjalizmu”? Jeszcze niedawno nie stałby na tej płaszczyźnie ktoś, kto domagałby się przywrócenia rzemiosła i drobnych prywatnych przedsiębiorstw lub wątpił w sens i celowość kolektywizacji. Ponieważ tak właśnie było, dwa „niemarksistowskie” stronnictwa pełniły smutną rolę parawanu zakrywającego krzywdę wsi i rzemiosła. Propozycja dopuszczenia w Polsce do głosu opozycji (K.

Biskupski, *Prawo i Życie* 13/56) nie jest „dywagacją poza czasem i realiami politycznymi” nawet wówczas, gdyby „pozycje socjalistyczne” były niezmiennie i jednoznacznie określone. Także bowiem wówczas istnieć mogą zasadnicze różnice poglądów co do środków wiodących do realizacji socjalizmu, a gdzie ta różnica istnieje tam jest również miejsce na opozycję i partie opozycyjne.

Lewica marksistowska odrzuca rywalizację programów politycznych jako metodę wyboru środków wiodących do socjalizmu, gdyż warunkiem koniecznym i niezbędnym osiągnięcia tego celu pozostaje dla niej nadal dyktatura proletariatu. „Uboża jest myśl, że socjalizm mogą budować tylko komuniści, tylko ludzie o materialistycznych poglądach społecznych”, mówił Gomułka na VIII Plenum KC PZPR. Lecz dopuszczenie do dyskusji nad drogami urzeczywistnienia socjalizmu ludzi niepodzielających materialistycznych poglądów społecznych nie obejmuje ich prawa do formułowania alternatywnych programów politycznych.

„Wolność służyć może w naszym kraju jedynie ludziom pracy — budowniczym nowego socjalistycznego ustroju. Dla wrogów socjalizmu i władzy ludu pracującego wolności być nie może” (Rezolucja VIII Plenum).

„Młodym komunistom i wszystkim rzecznikom postępu w Polsce idzie o zasadniczą naprawę, o umocnienie dyktatury proletariatu. Głosiliśmy zawsze i głosimy nadal przemoc i dyktaturę większości, to jest narodu, nad znikomą mniejszością, to jest nad burżuazją i obszarnictwem. Możemy szanować odmienne poglądy filozoficzne, możemy z oponentami dyskutować o słuszności naszych założeń, ale jest granica, na której się kończą dyskusje, a zaczyna działalność polityczna wroga. Na nią nie ma zgody” (Kolegium Redakcyjne Sztandaru Młodych, *Sztandar Młodych*, 19. 10. 56).

DYKTATURA PROLETARIATU

Dogmat dyktatury proletariatu, która nadal stanowi warunek konieczny i niezbędny urzeczywistnienia socjalistycznego ideału, pozostaje więc nienaruszony. Stwarza to w życiu wewnętrznym kraju poważne napięcia i trudności. Termin „dyktatura proletariatu” sugeruje sam przez się trwały podział społeczeństwa na dwie klasy obywateli — na rządzących i rządzonych, na posiadających pełne prawa obywatelskie i na pełni tych praw pozbawionych. Dyktatura proletariatu stwarza nieuchronnie zjawisko, które określić można marksistowskim terminem „alienacji”, politycznego wyobcowania wielkiej masy społeczeństwa z życia kraju. „Stan trzeci”, jak tę wielką masę określił St. Stomma (3), będąc odsunięty od wpływu na rządze-

(3) Mianem „stanu trzeciego” określił Stomma „miliony obywateli o obliczu politycznie nieskrystalizowanym lub też nieujawnionym”, grupę znajdującą się w pośrodku między zdeklarowanymi komunistami z jednej i ich zdecydowanymi wrogami z drugiej strony.

nie państwem, nawet na decyzje dotyczące bezpośrednio jego życia, spychany jest w ustroju dyktatury proletariatu, naturalnym biegiem wydarzeń, na pozycję „jałowej”, czasem zgorzkniałej, a czasem przekornej i buntowniczej opozycji”. Krajem, w którym istnieje „stan trzeci”, można rządzić, lecz bardzo trudno jest dobrze rządzić, a na pewno nie można go zmobilizować do zadań wymagających wytrwałego i ofiarnego wysiłku całego społeczeństwa.

Dołączają się do tego obiekcje odmiennej natury. System monopartyjny, także wówczas gdy jest rzeczywistą dyktaturą proletariatu, jest rzeczą budzącą instynktowny i gwałtowny sprzeciw każdego demokraci. Żadna partia nie jest nieomylna, a jedyną znaną i wypróbowaną korekturą omyłności jest rywalizacja między partiami. „Każda władza demoralizuje, a władza absolutna demoralizuje w sposób absolutny”. Cieniem władzy autokratycznej jest pragnienie sprawowania władzy dla niej samej i zabezpieczenia się przed jej utratą. Dlatego właśnie władza autokratyczna rodzi prędzej lub później system represji i utrzymuje się w ostatecznej instancji dzięki środkom przemocy. Historia uśnana jest przykładami tej mechaniki władzy i żadna dyktatura — jednostki, grupy, lub partii — nie uchroniła się od nemesis swych uroszczeń. Piszę się obecnie w Polsce, iż dla wyjaśnienia kultu Stalina potrzeba nowego Marxa. Słuszniejszą rzeczą byłoby powiedzieć, iż trzeba nowego Tacyta i nowych „Kronik Imperialnego Rzymu”.

Powyższych okoliczności i obiekcji nie można pominąć pogardliwym wzruszeniem ramion jako sprzeciwów inspirowanych przez „burżuazyjną ideologię”, której pragnieniem jest „restauracja kapitalizmu”. Jest rzeczą łatwą rzucać podobne oskarżenie, o czym marksiści w Polsce mogli się przekonać z lektury prasy niektórych bratnich partii. O restauracji kapitalizmu nikt lub prawie nikt w Polsce nie myśli, lecz wielu w Polsce żyje w lęku „restalinizacji”. Tego lęku nie usunie demokratyzacja Partii. Władza w imieniu ludu, czytaliśmy niedawno w „Po Prostu”, jest faktycznie władzą nad ludem. Smutną spuściznę pozostawiłaby za sobą dziejowa misja proletariatu, gdyby jej osiągnięciami było zniszczenie wszelkiej demokracji. „Wolność zarezerwowana dla samych tylko zwolenników rządu, dla samych tylko członków jednej partii”, pisała Róża Luksemburg, „to nie jest wolność. Wolność oznacza zawsze wolność dla tego, kto myśli inaczej” (4). Socjalistyczna demokracja to wolność i socjalizm. Między dyktaturą proletariatu a socjalistyczną demokracją istnieje sprzeczność nieprzewyciężona.

Szczególne trudności, jakie się z tą sprawą łączą, znalazły lepsze naświetlenie w publicystyce ludzi należących do „stanu trzeciego” aniżeli w publicystyce partyjnej. Marksista znalazł

(4) Fragment z „Rewolucji rosyjskiej” drukowany w „Sztandarze Młodych” 24. II. 56.

się pod tym względem na intelektualnie grząskim gruncie. Wraz z upadkiem stalinizmu dyktatura proletariatu zmienia swą treść społeczno-polityczną, a jej konieczność traci swe tradycyjne uzasadnienie i ideologicznie skuteczne argumenty.

W przeszłości cały system marksizmu-leninizmu w postaci nadanej mu przez Stalina dostarczał uzasadnienia dla dyktatury proletariatu. Stalin stworzył z marksizmu-leninizmu uniwersalną doktrynę, obejmującą wszelkie sprawy na niebie i ziemi, o których śniło się i nie śniło filozofom. Materializm dialektyczny i historyczny był pełnym kodeksem natury i społeczeństwa, obejmującym ruchy materii, zjawiska życia, uderzenia serca ludzkiego, prądy społeczne i umysłowe, procesy historyczne, wojny, rewolucje, budowę socjalizmu. W tym systemie dyktatura proletariatu miała swoje określone miejsce, była „uzasadniona” przez tezy ją poprzedzające i z kolei dawała „uzasadnienie” dla tez innych. Nie można jej było wyrwać nie niszcząc całej struktury doktrynalnej, upraszczającej rzeczywistość do niedorzeczności, sprzecznej ze zdrowym rozsądkiem, faktami i poprawnym rozumowaniem, lecz jednocześnie pozornie spójnej i samowystarczalnej. Dyktatury proletariatu nie trzeba było wówczas uzasadniać, gdyż uzasadniało ją „wszystko”. Nie można było jej kwestionować, gdyż umacniał ją aparat represji wspomagany inną tezą doktrynalną, tezą o zaostrzaniu się walki klasowej w miarę postępu budowy socjalizmu. Dyktatura proletariatu była w tym samym sensie warunkiem socjalizmu, jak powietrze jest warunkiem życia.

Gdy ta cała pseudoracjonalna struktura doktrynalna — „stalinowska dezinterpretacja marksizmu” — rozpadła się w nicłość, powstało zagadnienie, jak można racjonalnie uzasadnić dyktaturę proletariatu. Dla praktyka jest to sprawa nieistotna. Wie on, iż głosił ją Marx, głosił Lenin i w ogólności „marksista jest ten jedynie, kto rozszerza uznanie walki klas do uznania dyktatury proletariatu”. Nie wchodzi on w subtelności, nie zastanawia się, czy Lenin był w tej sprawie wiernym interpretatorem Marxa, czy też przekształcił ideę Marxa na potrzeby rewolucji proletariackiej w Rosji (5). Nie obchodzi go również sprawa w jakich okolicznościach Marx doktrynę dyktatury proletariatu sformułował i co przez nią rozumiał. Lecz nie wystarcza to dla teoretyka marksizmu. Proste odwołanie się do Lenina lub Marxa przestało stanowić argument, a dowód wymaga czegoś więcej niż wykazania zgodności głoszonego poglądu z pismami założycieli marksizmu.

(5) Rozwój dyktatury proletariatu w Z.S.R.R., pisał A. Schaff w „Nowych Drogach” (4/56), dokonywał się w „kraju ekonomicznie zacofanym”, zacofanym „również pod względem społecznym i kulturalnym... kraju o wielowiekowych tradycjach samowładztwa, kraju o poważnych przeżytkach feudalnych i patrymonialnych... sprzyjających kultowi jednostki”.

„Traktować socjalizm jako naukę to przede wszystkim przenieść do teorii naukowego socjalizmu z innych nauk zasadę, że twórcy i klasycy danej nauki nie są bogami, a ich poglądy, osiągnięcia — ewangeliami. Światopoglądowi marksistowskiemu obcy jest nie tylko kult Stalina. Obcy byłby również kult Marxa czy Lenina”. (R. Turski, *Po Prostu* 43/56).

Teza o konieczności dyktatury proletariatu nie ma dzisiaj ideologicznego uzasadnienia. Jest ona jednak nadal tezą ideologicznie nietykalną. Jest ona tezą nietykalną z dwóch różnych powodów zaczerpniętych z diametralnie odmiennych dziedzin rzeczywistości.

Pierwszy z wspomnianych względów apeluje do zdrowego rozsądku, poczucia rzeczywistości i zrozumienia narodowego interesu. W obecnym układzie międzynarodowym i na skutek geo-politycznego położenia kraju sojusz z Rosją Sowiecką jest naczelnym nakazem polskiej racji stanu. Ten sojusz ogranicza wybór form ustrojowych, wymaga utrzymania „podstaw ustroju ludowo-demokratycznego”, pozostawiając prawo własnej drogi do socjalizmu w pozostałych sprawach. Zakres swobód demokratycznych, stwierdził Gomułka, jest określony warunkami, które towarzyszą budownictwu socjalizmu w naszym kraju :

„W naszym głębokim przekonaniu, które oparte jest na tym, że idea socjalizmu reprezentuje największe dążenia i interesy wszystkich ludzi pracy, nadejdzie taki czas, kiedy socjalizm nie będzie miał żadnych ram ograniczających swobodną działalność każdego człowieka. Dzisiaj te ramy są jeszcze koniecznością wypływającą tak z zewnętrznych jak i wewnętrznych stosunków klasowych, które nas otaczają” (Przemówienie z 29. 11. 56).

Ten punkt widzenia jest punktem widzenia Partii, grupy „Po Prostu”, a również przedstawicieli „stanu trzeciego”. Nie jesteśmy już narodem, który politycznie nie miałby nic do stracenia, a wszystko do zyskania. Tragedia typu węgierskiego zagroziłaby śmiertelnie egzystencji biologicznej narodu i polskiej państwowości (Patriotyzm a Ekonomia, *Po Prostu* 46/56). Chociaż jestem zwolennikiem ustroju demokracji parlamentarnej, pisał S. Kisielewski, „sprawa ta nie tylko nie może być w tej chwili w Polsce aktualna, lecz nawet próba wprowadzenia systemu wielopartyjnego mogłaby skończyć się dla kraju tragicznie”. W obecnej sytuacji groziłoby to naruszeniem sojuszu ze Związkiem Sowieckim, a dla każdego politycznie myślącego Polaka konieczność jego istnienia jest pewnikiem (*Nowa Kultura* 47/56). Do podobnych wniosków, popartych nadto względami zaczerpniętymi ze stosunków wewnętrznych, dochodzi St. Stomma :

„Demagogia jest rzucanie hasel nie liczących się z realnymi warunkami i z obiektywną koniecznością. Demagogią byłoby lansowanie teraz w Polsce programu demokracji parlamentarnej. Zagadnień ustrojowych nie można rozstrzygać abstrakcyjnie” (*Przegląd Kulturalny* 43/56).

Z konkretnych warunków życiowych wypływają postulaty

polityczno-ustrojowe, z których jednym jest kierownicza rola Partii dostarczającej „koniecznych ram demokracji”.

Dla marksisty dyktatura proletariatu jest nie tylko pragmatycznie, lecz i merytorycznie trafny wyborem, a to przekonanie czerpie on z marksistowskiej socjologii klas. Dla Marxa proletariatu był „jedyną prawdziwie rewolucyjną klasą”, nosicielem zupełnie nowego porządku *to go genere* różnego od wszystkich dotychczasowych. Inne klasy zdobywając stanowisko klasy panującej umacniały swą pozycję życiową przez podporządkowanie całego społeczeństwa warunkom swego bogacenia się. Natomiast proletariatu stając się klasą panującą i znosząc dawne stosunki produkcji „znosi wraz z tymi stosunkami produkcji warunki istnienia przeciwieństw klasowych, znosi w ogóle klasy i tym samym swoje własne panowanie jako klasy”. Miejsce dawnego społeczeństwa burżuazyjnego z jego klasami i przeciwieństwami klasowymi zajmuje „zrzeszenie, w którym swobodny rozwój każdego jest warunkiem swobodnego rozwoju wszystkich” (Manifest Komunistyczny).

Wiara w historyczne posłannictwo klasy robotniczej jest wiarą szczerze podzielaną przez wielu marksistów i demokratycznych socjalistów. Lecz jest rzeczą co najmniej wątpliwą, czy wiara ta uzasadnia dyktaturę proletariatu. Tam, gdzie dyktatura proletariatu została ustanowiona, degenerowała się szybko w dyktaturę nad proletariatem, a osiągnięcia socjalistyczne ugruntowane zostały w społeczeństwach, które dyktatury proletariatu nigdy nie doświadczyły.

Wiara w posłannictwo dziejowe klasy robotniczej nie zawsze sprowadza się do przekonania, iż jest ona demiurgiem urzeczywistniającym na mocy uchwał ludu gotową utopię (w „Wojnie Domowej we Francji” Marx przeciwstawiał się podobnej interpretacji tezy o roli proletariatu po dojściu do władzy). Wiara ta, jak to wyraził Gomułka, może być wiarą w „rozum, rozsądek, ofiarność i rewolucyjną postawę” klasy robotniczej, w jej solidarność i poczucie sprawiedliwości, które to właściwości rozwija ona w sobie dzięki okolicznościom swej społecznej egzystencji i jakimi w swej działalności politycznej wzbogaca rzeczywistość społeczną. Ze wszystkich ustrojów politycznych demokracja parlamentarna była zaś dotąd ustrojem zapewniającym klasie robotniczej maksymalne możliwości działalności politycznej, inicjatywy ustawodawczej i faktycznego wpływu na bieg przemian w duchu społecznej sprawiedliwości.

W Polsce za dyktaturą proletariatu padają inne jeszcze argumenty. Mówi się więc, iż jedynie dyktatura proletariatu uchronić może kraj przed kontr-rewolucją i reakcją społeczną. Przez kontr-rewolucję rozumie się w tym kontekście zniesienie osiągnięć socjalistycznych — reformy rolnej, upaństwowienia przemysłu, szeroko rozbudowanego systemu oświaty wraz z otwartą drogą do awansu społecznego, ubezpieczeń społecznych — oraz powrót do jakiegoś status quo ante, do kapitalizmu. Jeżeli taki sens łączy się z kontr-rewolucją, to jest ona mistyfikacją.

Wszystko bowiem na to wskazuje, że za realnymi osiągnięciami socjalistycznymi stoi całe społeczeństwo. Te nieliczne jednostki, które się im przeciwstawiają, nie byłyby w stanie swych zamierzeń osiągnąć niezależnie czy istniałaby lub nie istniała dyktatura proletariatu.

Odpowiedź na pytanie, czy istnieje niebezpieczeństwo reakcji społecznej, zależy będzie od tego, co rozumiemy przez postępowość i reakcję społeczną. Zmienność poglądów „ludzi postępu” na istotę postępowości jest wielce żenująca. E. Osmańczyk w artykule drukowanym przed kilkoma miesiącami w „Świecie” upatrywał jej sprawdzian w „stosunku do ZSRR i do faszyzmu i do rasizmu i do Partii” (rządzonej wówczas w duchu stalinowskim). Niedawno A. Braun podniósł — całkiem słusznie — do rzędu postępowości to, co niedawno uchodziło za reakcję: „stosunek do własnej ojczyzny, jej wolności i suwerenności, stosunek do krzywdy ludzkiej, jednostkowej i społecznej, stosunek do wolności słowa i myśli twórczej” (*Nowa Kultura* 42/56). Postępowością było przecież niemal wczoraj tropienie herezji i ideologicznych odchyłeń, reakcyjnością wierność prawdzie i sumieniu. Zbyt często to, co obwoływano postępowością, okazało się zwykłym wstecznictwem, by jeszcze jedną jej wersję przyjąć z dobrą wiarą i bez zapytania o pełnomocnictwa.

Albowiem dzisiaj sprawdzianem postępowości staje się stosunek do dyktatury proletariatu — kto ją odrzuca lub traktuje za zło konieczne jest reakcjonistą myślącym potajemnie o odbudowie kapitalizmu, kto ją uznaje bezkrytycznie za najwyższą doskonałość jest zwolennikiem postępu. Przy takim pojmowaniu „reakcji” i „postępowości” upatrywanie w dyktaturze proletariatu ochrony przed społeczną reakcją jest jałową tautologią, ponadto tautologią niebezpieczną, gdyż usypia zdrowe i uzasadnione wątpliwości.

Nic bowiem nie umacnia skuteczniej przekonania o słuszności własnej sprawy niż moralne potępienie tych, którzy się jej przeciwstawiają. Nic także nie maskuje lepiej pragnienia władzy dla władzy niż stworzenie w sobie i w innych przekonania, iż sprawuje się ją dla dobra ludzkości. Każda władza ma swoją mistykę i dyktatura proletariatu nie stanowi pod tym względem wyjątku. Również nie jest w dziejach rzeczą nową, iż wyznawcy dyktatury proletariatu traktują swoją własną mistykę jako ugruntowaną w naturze rzeczy i historii, podczas gdy wszystkie inne były maską nieczystego sumienia, osłaniającą brutalną przemoc na użytek partykularnych interesów grup lub jednostek.

Niebezpieczeństwo reakcji nie jest wystarczającym uzasadnieniem monopartyjnego systemu, gdyż monopartia nie jest żadną gwarancją postępowości. W każdym organizmie społecznym istnieją elementy postępowe i konserwatywne, a nawet kołtuńskie. Każdy z tych elementów spełnia również określoną funkcję. W organizmie ludzkim użyteczne są nawet mikroby, bez których człowiek straciłby odporność i szybko rozstał się z życiem. Cho-

rób nie zwalcza się przez tłumienie jej objawów. Podobnie rzecz się ma z problemami społecznymi, których nie można rozładować i rozwiązać represją, potępieniem i oskarżaniem o ciemnotę, przesady i zabobon. Talenty, kwalifikacje umysłowe i szerokie horyzonty są cenną właściwością jednostek, lecz nie one decydują o zdrowiu, sile i wartości społeczeństwa. Na to składa się poszanowanie prawa, tolerancja, uczciwość, ludzkie stosunki międzyludzkie i tym podobne przyziemne rzeczy, które nie są funkcją oświeconego umysłu. Społeczeństwo obdarzone tymi właściwościami rozwija się normalnie, a rozwijając się normalnie idzie również z postępem.

W polemice między J. Bocheńskim a E. Werfel o „żaby”, ludzi „żyjących w stadzie”, niezdolnych do wzbicia się na „orle wyżyny samotności”, uczciwych, o ograniczonych horyzontach, prozaicznym poczuciu rzeczywistości i obdarzonych zdrową nieufnością do mitów i recept na zbawienie świata, rację miała E. Werfel (*Przegląd Kulturalny* 38/56, 39/56). Program lewicy społecznej oparty na pogardzie dla „żab” nie byłby tym, za co się podaje. Każde społeczeństwo składa się z „żab” i kilku Jacków Bocheńskich i dobrze że nie jest odwrotnie. W „Lordzie Jimie” Stein mówi gdzieś do Marlowa, iż społeczeństwo składające się z Jimów nie mogłoby istnieć. Nie mogłoby także istnieć, gdyby składało się z samych Jacków Bocheńskich, chociaż liczne talenty kilku z nich są dla społeczeństwa niezbędne i bardzo użyteczne. Po „polskim pałdzierniku” uznał to bodaj i J. Bocheński. Pisał on bowiem w następnym felietonie:

„Przed miesiącem dyskutowaliśmy w redakcji: czy w Polsce uwolnionej od stalinowskiego terroru może zwyciężyć tylko wstecznicтво? Czy musi wziąć górę reakcja? Czy polski lud, mając swobodę wyboru i działania, pójdzie za programem politycznym reakcji, czy za postępem i socjalizmem? „Życie dało odpowiedź ... masy opowiedziały się za postępem i socjalizmem, świadomie i spontanicznie” (*Przegląd Kulturalny* 43/56).

DEMOKRATYZACJA PARTII

Na XIX sesji Rady Kultury i Sztuki A. Słonimski mówił drwiąco o tych, którzy w „kulcie jednostki” upatrują przyczyny „błędów minionego okresu”, po czym dodał: „Przede wszystkim nie kult jednostki, ale jednostka. Nie jednostka, ale system, który umożliwia takie szkodliwe działanie jednostki”. A. Schaff, jeden z czołowych ideologów Partii, przyłączył się do tego zdania. Zjawisko określane nazwą „kultu jednostki”, pisał Schaff, nie ogranicza się do spraw związanych bezpośrednio z osobą Stalina:

„Jest to sprawa znacznie szersza, sprawa dotycząca pewnego stylu kierownictwa i pracy aparatu partyjnego i państwowego, sprawa naruszania

podstawowych norm demokracji wewnątrz-partyjnej i demokracji proletariackiej w ogóle" (*Nowe Drogi* 4/56).

Na VIII Plenum KC PZPR Gomułka przyjął ten punkt widzenia jako własne stanowisko :

„Kultu jednostki nie można sprowadzać tylko do osoby Stalina. Kult jednostki to pewien system, który panował w Związku Radzieckim i który przeszczepiony został do wszystkich bodaj partii komunistycznych, jako też do szeregu krajów obozu socjalizmu, w ich liczbie i do Polski”.

System, o którym mowa, polegał na hierarchicznej drabinie kultów. Na jej szczycie stał Stalin, na drugim szczeblu — pierwszy sekretarz KC poszczególnych krajów, ubrani na swoim obszarze również w szatę nieomyślności, świecącej jednak światłem zapożyczonym od nieomyślności Stalina. Poniżej rozciągały się dalsze szczeble hierarchii, każdy ze swym własnym „nosicielem prawdy obiektywnej” i orszakiem „bezmysłnego bloku współpracy z kierownictwem”.

System, który skupił władzę absolutną w ręku jednostki powstał na skutek łamania zasady *demokratycznego* centralizmu. Demokratyczny centralizm, wyjaśniał Schaff, polega na „świadomym podporządkowaniu się woli większości, a nie na ślepej wierze w czyjąkolwiek nieomyślność”. Nie ma bowiem „nieomyślnych ani jednostek, ani ciał zbiorowych”, a „również partia nie jest nieomyślna”. Zastąpienie „kultu jednostki” przez „kolegialne kierownictwo” w niczym istotnym nie zmienia dawnego systemu. Aby system ten zmienić do gruntu i zapobiec jego odrodzeniu się „w tej lub innej postaci”, należy przeprowadzić „konsekwentną realizację *demokratycznego* centralizmu”.

Demokratyzacja Partii wymaga, zdaniem Schaffa, spełnienia trzech postulatów. Po pierwsze, chodzi o to, by decyzje dotyczące polityki Partii zapadały w sposób demokratyczny na konferencjach i zjazdach partyjnych oraz posiedzeniach KC. Wymaga to swobody dyskusji, prawa każdego do obrony własnych poglądów i odrzucenia przesądu o szkodliwości różnicy zdań. Drugim postulatem jest „konsekwentne kontrolowanie wszystkich instancji od dołu do góry”. Efektywna kontrola wszystkich instancji nie jest zaś możliwa bez jawności życia politycznego. Trzecim wreszcie postulatem jest „zasada demokratycznej obieralności wszystkich instancji”.

Gomułka przyjął w pełni ten program na VIII Plenum KC PZPR :

„Aby partia mogła sprężysto wypełniać swe zadania i stać na czele procesu demokratyzacji musi być przede wszystkim zwarta, jednolita, oraz musi w swych szeregach, w swoim życiu, zastosować w pełni zasady demokratycznego socjalizmu... Na czoło tych zasad należałoby postawić sprawę wyboru władz partyjnych, jawność życia partyjnego, prawo do zachowania swych poglądów przy zasadzie, że uchwały większości obowiązują wszystkich członków partii”.

Realizacja powyższych postulatów położyłaby kres dyktaturze proletariatu w jego dwóch dotychczas znanych formach — dyktatury jednostki i rządów partyjnej oligarchii. Ich miejsce zająłby system monopartyjny, dyktatura partii sprawującej autokratyczną władzę nad społeczeństwem, rządzącej się natomiast w stosunkach wewnętrznych normalnymi demokratycznymi zasadami.

Schaff wyraził nadzieję, iż demokracja wewnątrz-partyjna rozwiąże sama przez się problem formułowania i korygowania polityki partii przy „współdziale mas” i przywróci utracony kontakt między partią a społeczeństwem. Te nadzieje nie są uzasadnione. Praktyka demokracji wewnątrz-partyjnej może trwale przywrócić zaufanie między kierownictwem a masami partyjnymi. Problem stosunku Partii do autokratycznie rządzonego społeczeństwa pozostaje natomiast nadal otwarty i nierozwiązany. Jedność Partii i społeczeństwa osiągnięta w okresie „rewolucji październikowej” była podyktowana wspólnotą określonych interesów, a nie wspólnotą poglądów we wszystkich sprawach życia publicznego i społecznego. W miarę stabilizacji osiągnięć rewolucji — suwerenności narodowej w jej zewnętrznym i wewnętrznym aspekcie — oraz przy utrzymaniu autokracji Partii nad społeczeństwem miejsce jedności zajmie rozbieżność poglądów, a w ślad za tym pojawi się zjawisko alienacji, o którym była mowa poprzednio. Albowiem zjawisko alienacji występuje prędzej lub później nie tylko w ortodoksyjnych formach dyktatury proletariatu — dyktatury jednostkowej lub oligarchii — lecz również w systemie monopartyjnym przestrzegającym wszystkich zasad wewnątrz-partyjnej demokracji.

Problemu stosunku i odpowiedzialności Partii przed całym społeczeństwem nie można na długą metę uniknąć. Dyktatura Partii, jak każda inna dyktatura, prowadzi szybko do atrofii życia społecznego. Ograniczenie procesu demokratyzacji struktury politycznej do Partii, dalsze odtrącanie niepartyjnej części społeczeństwa — stanowiącej jego olbrzymią większość — od oddziaływania na sprawy publiczne, od współdziału — poprzez kształtowanie opinii publicznej — w decyzjach dotyczących losów i przyszłości całego narodu, zamieniłoby zapowiadaną „naprawę Rzeczypospolitej” w pustą deklarację i smutną karykaturę.

Lewica marksistowska staje pod tym względem na pozycjach, które stawiają pod znakiem zapytania wykonalność jej programu. Dyktatura partii robotniczej o demokratycznej strukturze nie wyczerpuje pojęcia socjalistycznej demokracji, nawet jeżeli w „jakimś sensie” istnieją inne partie, samorząd fabryczny i niezależne demokratyczne związki zawodowe. Pozostawia to bowiem istotę władzy, prawo podejmowania decyzji, w wyłącznej dyspozycji Partii. Istnieje konflikt między dyktaturą partii, jakiej wymaga racja stanu, a postulatami demokratycznymi, których ignorowanie i zapoznanie prowadzi z reguły do fatalnych następstw.

Dlatego zgodzić się trzeba z St. Stomą, iż problem demo-

kracji w Polsce to problem udziału „stanu trzeciego” w życiu państwa, a rozwiązanie wspomnianego konfliktu wymaga „rozsądnego kompromisu pomiędzy dalekosiężnymi nakazami historycznej racji narodu a jego faktyczną wolą i konkretnymi żądaniem”. Przyjęcie tej zasady stworzyłoby już samo przez się „klimat demokracji” (*Przegląd Kulturalny* 43/56). Zagadnienia czego chce naród nie da się rozwiązać bez udziału narodu.

„Klucz sytuacji tkwi w rękach lekceważonego i zapomnianego Wielkiego Niemowy: społeczeństwa. Na pytanie co robić, najlepiej odpowiedzieć może owe dwadzieścia parę milionów ludzi, którzy nie są w Partii, nie są marksistami ani socjalistami, którzy ustrój nasz oceniają nie doktrynalnie, lecz praktycznie z punktu widzenia zdrowego rozsądku oraz materialnych i organizacyjnych osiągnięć” (S. Kisielewski, *Nowa Kultura* 47/56).

DROGA DO SOCJALIZMU

Sprawa stosunku i odpowiedzialności Partii wobec społeczeństwa występuje ze szczególną jaskrawością ze względu na formułę Gomułki. Za tym, co jest niezmiennie w socjalizmie — zniesienie wyzysku człowieka przez człowieka — opowiada się ogromna większość społeczeństwa i w tym sensie społeczeństwo opowiada się za socjalizmem. Nie przesądza to jednak sprawy, iż całe społeczeństwo jest jednomyślne co do środków mających do tego celu doprowadzić.

Do definicji socjalizmu Gomułka dodał jeszcze inną zasadę, która stanowi istotne novum, prawdziwą rewolucję w całym dotychczasowym myśleniu i praktyce Partii. W wyborze środków wiodących do zniesienia wyzysku człowieka przez człowieka teoria może być użyteczna, lecz ostatecznym sprawdzianem wybranych środków są fakty i doświadczenie. Tylko doświadczenie może rozstrzygnąć, jaki model socjalizmu jest w danych warunkach najodpowiedniejszy i prowadzi najlepszą drogą do celu ostatecznego.

Należy zdać sobie sprawę, iż to empiryczne podejście do zagadnień politycznych, gospodarczych i społecznych znajduje się na przeciwległym biegunie „stalinowskiego socjalizmu”. Droga do socjalizmu była wówczas wyznaczona przez teorię i doktrynę, a gdy te popadały w konflikt z rzeczywistością zwyciężała doktryna, a nie rzeczywistość. Konfliktów nie usuwano przez rewizję teorii, lecz do teorii, przy pomocy nowych interpretacji i mistyfikacji, naginano rzeczywistość. Co nie powinno istnieć stosownie do doktryny, tego istnienia nie uznawano, gdyż istnieć nie mogło. Gomułka na VIII Plenum KC PZPR przywrócił faktom właściwe i należne im miejsce i uznał je za miernik drogi do socjalizmu. Przyjmując postawę empiryczną i odwołując się do

doświadczenia Gomułka uderzył w strunę, która miała szeroki rezonans.

„Dwa razy uczyliśmy się katechizmu. Dziś odrzucamy wszystkie kanony i wersety, wszelkie święte i wyklęte biblie. Mamy zdrowe ręce, mamy zdrowe mózgi, chcemy robić w Polsce socjalizm. Robić, a nie spekulować dogmatami” (B. Drozdowski, *Życie Literackie* 44/56).

„Mamy pewne obowiązki wobec idei, wobec ruchu komunistycznego. ... Najważniejsze jednak dla nas są losy naszego narodu, losy tych milionów źle ubranych, niedożywionych, zapracowanych ludzi, którzy zachowali w sobie wiarę w sprawiedliwość społeczną” (W. Górnicki, *Sztandar Młodych*, 24. 11. 56).

Z empiryczną postawą do zmian i reform społecznych łączy się jeszcze inna doniosła tendencja. Gdy o drodze do socjalizmu decydowała doktryna, miarą postępu było zbliżanie się do jednoznacznie określonego modelu, idealnej formacji społeczno-gospodarczej. W budowie socjalistycznego społeczeństwa realne socjalistyczne osiągnięcia spełniały rolę podrzędną. Socjalizm w życiu człowieka był sprawą generacji przyszłych i nie ma sensu martwić się, iż nie osiąga go żyjące pokolenie. Empiryczna postawa kładzie kres temu ideologicznemu nadużyciu, wyzyskowi ludzi żyjących w imię abstrakcji i wątpliwego dobrobytu pokoleń nienarodzonych. Między dawnym i nowym pojmowaniem socjalizmu istnieje pod tym względem zasadnicza różnica. Socjalizm zaczyna się od pierwszej chwili budowy socjalizmu.

„Walka o socjalizm nie jest dla naszego pokolenia jakimś abstrakcyjnym, niesłychanie odległym i trudno uchwytnym zadaniem — nie jest walką tylko dla przyszłych pokoleń. Jej sukces jest niezbędnym warunkiem urzeczywistnienia naszych bardzo realnych, bardzo zasadniczych, bieżących interesów” (R. Turski, *Po Prostu* 43/56).

Wytworzyliśmy w sobie, w wyniku ciężkich doświadczeń, zdolność porównywania ustrojów, pisze T. Hołuj, a wiedzy zdobytej w ten sposób nie już w ludzkiej pamięci nie zatrze. W świadomości mas stopień uprzemysłowienia, budownictwa industrialnego, uspołdzielczenia wsi, nie stanowią socjalizmu. „To wszystko i tym podobne procesy... rozwijają się bujniej i lepiej czasami w ustrojach odmiennych”. Rzewnie brzmią okrzyki triumfu zwycięstwa socjalizmu, gdy te zwycięstwa są utożsamiane z budową nowych obiektów przemysłowych:

„Ludzie nie utożsamiają ‘amerykanizacji’ z ‘socjalizmem’, co zdarza się z reguły naszym politykom gospodarczym. Nikt ludziom nie wytłumaczy, że wyzysk kapitalistyczny jest gorszy od niedostatku przy ludowym aparacie władzy gospodarczej, spełniającym nadal po części funkcje kapitalistyczne, albo że wolność sprowadza się do obalenia panowania fabrykantów i dziedziców... Nie ma innej rady: trzeba jasno, po prostu stawiać ideał Socjalizmu, zgodny z pragnieniami wielu pokoleń, udowodniać jego możliwość i słusność na przykładach żyjących pokoleń” (T. Hołuj, *Życie Literackie* 42/56).

Empiryczne podejście do spraw życia społecznego, z którym łączy się dyrektywa realizowania socjalizmu na dzisiaj, na użytek doczesny, przekształca socjalizm ze złudnego i nieosiągalnego wzoru w postawę moralno-polityczną. Definicja socjalizmu w terminach postawy do życia i ludzi pozwala „odnaleźć na nowo humanistyczną i intelektualną treść komunizmu”. Albowiem wówczas ideał i praktyka socjalistyczna zbiegają się z pragnieniami odczuwanymi przez ogół ludzi dla których:

„miarą ustroju, każdego ustroju, jest... suma chleba oraz suma wolności, ludzkości, sprawiedliwości, jaką ustrój daje swoim obywatelom” (E. Werfel, *Przegląd Kulturalny* 39/56).

Powrót do empiryzmu i oceny osiągnięć socjalistycznych w świetle kryterium „chleba i wolności” ujawnił gwałt zadany przez stalinizm ekonomii i polityce, ludzkim myślom i wartościom. Stalinizm

„pomieszał znaczenia słów: wolność i niewola, wierność i zdrada, rewolucja i kontr-rewolucja. Nawet słowo socjalizm tak okaleczył, że wielu z nas uwierzyło, że już nic więcej w nim się nie kryje ponad bardzo gwałtowny i kosztowny system uprzemysławiania krajów gospodarczo zacofanych” (J. Kott, *Przegląd Kulturalny* 43/56).

Podnoszenie dobrobytu materialnego jest ważnym i istotnym zadaniem socjalizmu, a wzrost dobrobytu jest funkcją uprzemysłowienia kraju. Lecz nie każda droga uprzemysłowienia poręcza poprawę warunków życia. Aby ten cel osiągnąć, trzeba zmienić „metodę, środki polityczne władzy” oraz zerwać z praktyką traktowania człowieka jako „elementu sił wytwórczych” służącego „bezosobowym interesom gospodarczym państwa”. Jednostka jest celem socjalizmu. Z socjalizmu uczyniono natomiast szyld dla ukrycia procesów „pierwotnej akumulacji”, opisanej przez Marxa w „Kapitale”, narastania z dnia na dzień rezerwowej armii pracy, pauperyzacji i degradacji klasy robotniczej (zjawisk charakterystycznych dla kapitalizmu), formowania się nowej grupy lub klasy panującej podporządkowującej całe społeczeństwo „warunkom swego bogacenia się” (S. Chelstowski - W. Godek, *Po Prostu* 44/56; J. Segel - A. Wasilkowski, *Po Prostu* 47/56).

Marx przeciwstawiał się energicznie pogładowi jakoby społeczeństwo było tylko sumą składających się nań jednostek lub ich mechanicznym skupieniem, dopuszczającym w stosunkach istniejących między nimi wszelkie zmiany stosownie do „woli władzy”. Marx jednocześnie postulował istnienie określonego determinizmu przemian społecznych, w których środki produkcji spełniają szczególną i niezależną rolę. Środki produkcji wyznaczają bowiem charakter sił wytwórczych, które z kolei wyznaczają stosunki i sposób produkcji. Ingerencja człowieka w mechanizm przemian społecznych może być wtedy tylko skuteczna, jeżeli liczy się z ich obiektywnym, to znaczy niezależnym od woli

ludzkiej, naturalnym następstwem zdarzeń. Z tej koncepcji wynikała w szczególności teza, iż wystarczy zmienić stosunki własności środków produkcji, uczynić je własnością społeczną, by w ślad za tym ujawniły się i zaczęły działać socjalistyczne stosunki produkcji. Doświadczenie jednak wykazuje, iż ten warunek jest niewystarczający.

„Oto dokonała się rewolucja — środki produkcji znalazły się w rękach państwa ludowego. Właśnie: w rękach państwa, a nie klasy robotniczej... Kapitałiści zostali wprawdzie wywłaszczeni, ale to przecież nie stworzyło od razu socjalistycznych stosunków produkcji” (J. Roszko, *Życie Literackie* 43/56).

„Sądono, że sam fakt uspołecznienia środków produkcji stwarza już wystarczającą podstawę dla tworzenia się nowego socjalistycznego stosunku do pracy, nowej socjalistycznej moralności, nowej socjalistycznej wewnętrznej dyscypliny i jeszcze innych nowych socjalistycznych zjawisk zachodzących w świadomości ludzi, którzy uczestniczą w budownictwie socjalistycznego ustroju. Wszystko co pozostaje w niezgodzie z tymi założonymi postawami traktowano jako przeżytki starej świadomości”. Okazało się jednak, że nie ma „prostej drogi od przeżytków mentalności drobnomieszczańskiej do szczytów moralności socjalistycznej... Sam fakt wywłaszczenia burżuazji i uspołecznienia środków produkcji nie działa przecież bezpośrednio na świadomość ludzi. Robotnicy przyjmują go za pośrednictwem całego zespołu nowych instytucji w ustawodawstwie pracy, w organizacji produkcji i w organizacji życia społecznego zakładu” (I. Majchrzak, *Nowa Kultura* 29/56).

Marksistowski model przemian społecznych jest nieadekwatnym opisem rzeczywistego przebiegu tych przemian. Zakres skutecznej interwencji w procesy społeczne uwzględniać musi działanie innych elementów prócz tych, które Marx brał pod uwagę. Tym elementem jest człowiek i jego postawa, bodźce ekonomicznej i nieekonomicznej natury, jakim ulega, zaufanie, którym obdarza „dzierżących ster władzy państwowej”. Człowiek nie jest ani częstką mechanizmu, ani dodatkiem do maszyny, a w procesie produkcji jego funkcja nie sprowadza się do roli elementu sił wytwórczych. Ma on potrzeby i aspiracje, które muszą być zaspokojone, jeżeli rozwój sił wytwórczych ma służyć budowie socjalizmu.

Albowiem nie ma socjalistycznego społeczeństwa bez sprawnie działającej i uporządkowanej gospodarki narodowej, a o tym czy gospodarka narodowa jest sprawna i uporządkowana decydują nie tylko materialne czynniki — narzędzia produkcji, ich poziom techniczny i umiejętność obchodzenia się z nimi, lecz również „sprawa natury ogólniejszej, jak stopa życiowa, warunki awansu, kwestia udziału w zarządzaniu przedsiębiorstwem oraz zaufanie do racjonalności polityki gospodarczej państwa” (O. Lange, *Przegląd Kulturalny* 29/56). Zarzut, iż te „sprawy natury ogólniejszej” nie wchodzą do marksistowskiej analizy działania gospodarki narodowej, gdyż nie ma ich w pismach Marxa i Lenina, byłby bezpodstawny. Marx nie miał, bo nie mógł mieć, wyobrażenia jak działać będzie gospodarka socjalistyczna, nie doceniał, bo nie mógł docenić, funkcji przedsiębior-

stwa socjalistycznego i czynników decydujących o jego sprawnym działaniu. Marx udowodnił, iż w zasadzie gospodarka socjalistyczna zapewnia szybsze tempo wzrostu produkcji niż ma to miejsce w gospodarce kapitalistycznej. Lecz ani Marx, ani Lenin nie analizował warunków skutecznego działania motywów i bodźców wzrostu i postępu gospodarki socjalistycznej, gdyż nie istniała ona w czasach, w których żyli. Samo uspołecznienie środków produkcji nie zapewnia wzrostu wytwórczości, zaspakajania we wzrastającej mierze potrzeb, postępu technicznego, sprawności działania. Są to rzeczy osiągalne przez właściwą organizację gospodarki i politykę ekonomiczną. (E. Lipiński, *Nowa Kultura* 37/56).

Sprawnie działająca gospodarka narodowa jest warunkiem koniecznym, lecz nie wystarczającym socjalistycznego społeczeństwa. Nie ma bowiem socjalistycznego społeczeństwa bez aktywnej, rzeczywistej troski o człowieka, przekształconej z „hasełka rzucanego na konwentykłach politycznych i społecznych” w najwyższą zasadę działania. Praktycznym wyrazem troski o człowieka jest usuwanie krzywd i niesprawiedliwości. „Są w Polsce rachunki krzywd”, pisał T. Hołuj w przeddzień oskarżenia Gomułki, iż „przebrała się miara”. Ich wyrównaniem olbrzymia większość narodu ocenia „przydatność wszystkich reform, trudu ludzkiego serca i mózgu, sensowność urządzeń społecznych, istotę ustroju”. Najważniejszym składnikiem socjalizmu jest „marzenie o przemianie społeczeństwa, o zmianie stosunków między ludźmi” (*Życie Literackie* 42/56). Do socjalistycznych idei, pisał A. Braun, przyciąga „wolność i usunięcie krzywd” (*Nowa Kultura* 42/56). Rozczarowałem się do wielu komunistycznych realizacji, pisał J. Bocheński, lecz muszę być nadal komunistą, gdyż komunizm zawiera pewne ogólne wskazania ideowo-społeczne, które są zawsze żywotne i trwałe:

„Gdziekolwiek na świecie żyją ludzie wyzyskiwani, popieraj ich sprawę, a walcz z wyzyskującymi. Jeśli gdzieś są głodni i syci, zabieraj sytym a dawaj głodnym. Jeżeli gdzieś jest pan i niewolnik, uderzaj w pana, a staraj się podźwignąć niewolnika. Żadna ideologia poza komunizmem takich wskazań nie daje, w każdym zaś razie nie zobowiązuje do praktycznych działań. Myślę, że dlatego właśnie nie mogę wyrzec się komunizmu” (*Przegląd Kulturalny* 38/56).

Grupa „Po Prostu” określa swój program mianem humanistycznego komunizmu. Jest to komunizm humanistyczny, gdyż jego celem jest „rzeczywiste, pełne i wszechstronne wyzwolenie człowieka”, „zniesienie wszelkich form niewoli ludzkiej, wszelkich form poniżającej zależności”, „wyzwolenie człowieka od nękającego go uczucia strachu”. Lęk jest bowiem wrogiem ludzkiej szczególności, lęk „przed głodem, przed prześladowaniami politycznymi, przed innymi ludźmi, przed przyrodą, przed samym sobą”, przed tysiącnymi innymi rzeczami, jakie rodzi nieprzerwanie nasza cywilizacja. Jest to humanizm komunistycz-

ny, gdyż powrót do utraconego raju ma się dokonać w ziemskich warunkach i ziemskimi środkami :

„Nie jesteśmy utopistami, uważamy się za marksistów. Dlatego też walki o wyzwolenie człowieka z najprzeróżniejszych form niewoli, zależności i strachu, nie sprowadzamy do kazań moralnych. Nie negując roli czynników ideologicznych, uważamy, że główny front walki o wyzwolenie człowieka przebiega i będzie przebiegać w sferze warunków społeczno-materialnych, politycznych, że wyzwolenie człowieka nastąpić może jedynie w wyniku zmian realnie istniejących warunków społecznych. Zmian stosunków społecznych nie traktujemy jednak jako cel sam w sobie, uznajemy je za środek raczej do celu, którym jest wyzwolenie człowieka” (*Po Prostu* 48/56).

ZMIERZCH IDEOLOGII

Zmierzch marksizmu-leninizmu był w Polsce jednym z pierwszych i najważniejszych znaków nadchodzących zmian. Dopóki bowiem marksizm-leninizm był doktryną obowiązującą i popartą wszystkimi środkami przymusu totalitarnego państwa, doktryną uniwersalną, która dyktowała rozwiązania w dziedzinie nauki, literatury i sztuki, kierowała myśleniem i działaniem, inspirowała przemiany społeczne i gospodarcze, nie mogło być mowy o tych wszystkich zjawiskach, jakie w przeszłości określane były nazwą „odwilży” lub „liberalizacji” i jakie doprowadziły do rewolucji październikowej wraz z obecnymi procesami demokracji.

Zmierzchu marksizmu-leninizmu nie ukrywają najgorliwsi wyznawcy tej doktryny :

„Trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, że w szerokich kołach inteligencji autorytet ideologii marksistowskiej został nadszarpnięty. Nie jest to wcale sprawa jakiejś wrogości inteligencji w stosunku do marksizmu, lecz raczej sprawa długotrwałych i ciężkich błędów popełnianych przez obóz marksistowski w uprawianiu nauki i w walce ideologicznej...

Musimy pamiętać, że nasze deklaracje na temat przodującej roli nauki marksistowskiej mocno się zdewaluowały w oczach słuchaczy. Zresztą sami dostarczaliśmy broni swym przeciwnikom, popełniając najrozmaitsze dogmatyczne głupstwa, do których potem przyznawaliśmy się, które nawet potępialiśmy. Przypomnijmy kolejne losy dyskusji lingwistycznej, biologicznej, fizjologicznej, dyskusji w sprawie teorii względności w fizyce, w sprawie teorii rezonansu w chemii, w sprawie oceny Hegla w filozofii, w sprawie teorii bazy i nadbudowy w materializmie historycznym itd., itp. Najgorsze, że wszystkim zwrotom w jedną, a następnie w drugą stronę towarzyszyło gromkie powoływanie się na świadectwo marksizmu, przypisywanie zwolenników marksizmu o zawrót głowy, a ludzi nie związanych z ruchem robotniczym po prostu odrzucając od naszej ideologii” (*A. Schaff, Aktualne zagadnienia polityki kulturalnej w dziedzinie filozofii i socjologii*, Warszawa 1956, p. 92).

Marksizm-leninizm doprowadził do „zwyrodnienia idei ko-

munistycznej", do opętania i zaczadzenia tysięcy mózgów „ideologicznym kłamstwem” i „metodami wyrafinowanego oszustwa”. Jego bankructwo jest widoczne na wszystkich odcinkach — w ekonomice, teorii rozwoju społecznego, w nauce o partii, w estetyce i filozofii. Nie dostarcza on narzędzi intelektualnych dla wytlumaczenia „nas samych”, przemian zachodzących w Polsce i w międzynarodowym ruchu robotniczym (J. Kuczyński, *Po Prostu* 47/56; M. Czerwiński, *Przegląd Kulturalny* 44/56; W. Górnicki, *Sztandar Młodych* 24. 11. 56).

Marksizm-leninizm dzieli los Stalina, gdyż jest on jego dziełem i spadkiem. Ani Lenin, ani tym mniej Marx, nie żywili ambicji zbudowania uniwersalnego wszechogarniającego systemu. Dla Marxa materializm historyczny był teorią samodzielną, jaka miała zastosowanie w historii, ekonomice i socjologii. Lenin słusznie interpretował intencję Marxa traktując materializm historyczny jako „konsekwentną kontynuację, rozciągnięcie materializmu na dziedzinę zjawisk społecznych”. Marx i Lenin nie wyszli jednak poza tę podstawową spójność. Kroku dalszego dokonał Stalin. W 1925 roku opublikowano po raz pierwszy manuskrypt „Dialektyki Przyrody” Engelsa, co doprowadziło do podziału marksistów na dwa obozy — „dialektyków” i „mechanistów”. Z tego sporu materializm dialektyczny wyszedł zwycięsko. Stalin połączył materializm dialektyczny i historyczny w jedną „systematyczną” całość i w ten sposób znalazł „teoretyczno-filozoficzną” podstawę dla rozwiązania zagadnień politycznych, społecznych, gospodarczych, kulturalnych w określony sposób. Mówiąc w wielkim skrócie, materializm dialektyczny polega na przerzuceniu do przyrody zasad ideologii społeczno-politycznej, by je potem z materializmu dialektycznego wyprowadzić jako prawa natury, prawa przyrodzonego następstwa zdarzeń. W swej rozprawie „O materializmie dialektycznym i historycznym” Stalin pozostawił niezwykle przejrzysty dokument genezy i zamierzeń dialektycznego materializmu, dokument obciążony olbrzymim balastem antropomorfizmu i antropocentryzmu.

Odbrażowanie Stalina pociągnęło za sobą odbrażowanie marksizmu-leninizmu jako zbioru naiwności i „głupstw dogmatycznych”. Z marksizmem-leninizmem padł nie tylko system, lecz i coś więcej — potrzeba uniwersalnej doktryny obejmującej wszystkie sprawy przyrody i człowieka.

„Dawniej komunizm był dla mnie systemem uniwersalnym, poznawczym, etycznym i organizacyjnym. Pouczał, co sądzić o wszelkich zjawiskach, mówił, jak działać we wszelkich okolicznościach i praktycznie powodował, że działałem... Ile z tego pozostało do dzisiaj? Odeszło bardzo wiele, albowiem skończył się uniwersalizm. Skończyło się zresztą moje zaufanie do uniwersalizmu jako takiego. Pozbyłem się nawet tęsknoty za doktryną wszechogarniającą i wszechporządkującą. Doktryna taka, jeśli czyni nas Prometeuszami, to nie dzięki temu, że umożliwia wykradzenie ognia bogom, lecz co najwyżej dzięki temu, że przykuwa do skały” (J. Bocheński, *Przegląd Kulturalny* 38/56).

Jeśli odrzuci się marksizm-leninizm w interpretacji Stalina — Stalin „marksistą nie był i marksizmu nie reprezentował” — pozostaje jeszcze marksizm-leninizm jako luźny i bliżej nieokreślony zbiór tez Marxa i Lenina. Teoria marksistowska jest i pozostaje — jak to określił Sartre — „kulturalnym mieniem lewicy”, obdarzonym potężnym moralnym ładunkiem, inspiracją koncepcji intelektualnej kultury w nowej epoce „ofensywy rozumu”. Jeżeli jednak teoria marksistowska ma te funkcje spełnić, stać się teorią adekwatną do epoki współczesnej, epoki bomby atomowej, atomowej rewolucji przemysłowej i automatyzacji wytwórczości, należy ją zmodernizować. Aby ją zmodernizować, trzeba najpierw powiedzieć, co to jest marksizm.

„Pierwsze zadanie związane jest ściśle z określeniem naszego stosunku do tradycji: co w marksizmie jest już tylko historią, a które elementy mają stanowić ów zasadniczy fundament na którym powstanie nowy dom” (J. Kuczyński, *Po Prostu* 47/56).

Teoria marksistowska nie jest obecnie jasno określonym zbiorem tez i trudno byłoby powiedzieć, jaka teza jest i jaka nie jest elementem tej teorii. Albowiem nie każda teza Marxa i Lenina wytrzymała próbę życia lub wytrzymuje próbę nowych faktów, jakie marksista musi dzisiaj uwzględniać. Tez Marxa i Lenina nie można przyjmować na zasadzie autorytetu nazwiska. Z faktu, iż wypowiedział ją Marx lub Lenin, nie wynika, że jest ona prawdziwa. Światopoglądowi marksistowskiemu obcy jest zarówno „kult Stalina” jak „kult Marxa czy Lenina”, a teoria marksistowska nie jest gotowym zbiorem formułek. Jej

„podstawowym postulatem filozoficznym musi stać się zasada uniwersalnego antydogmatyzmu, racjonalizmu, oparcie całej działalności na osiągnięciach współczesnej nauki... Obecnie są nam w równym stopniu dogmaty tak w katolickim jak i w marksistowskim — raczej pseudomarksistowskim — wydaniu. Uznając, że materializm historyczny, marksizm, jest najbardziej płodnym kierunkiem w naukach społecznych, nie uważamy bynajmniej za słuszne nonsensownego sekciarstwa rezygnującego z osiągnięć — niejednokrotnie poważnych — innych szkół naukowych, a zwłaszcza różnych kierunków w ruchu robotniczym. Dalecy jesteśmy od dogmatycznego traktowania samego marksizmu. Uważamy go za naukę, a w związku z tym uznajemy za słuszne poddawać go tym samym metodom sprawdzania, weryfikacji naukowej, jak i twierdzenia wszelkich innych nauk — ciągle konfrontować z faktami, z praktyką i systematycznie rewidować, rozwijać” (Grupa „Po Prostu”, *Po Prostu* 48/56).

Zdanie „uznajemy naukę ale tylko marksistowską naukę” jest fałszem i nieporozumieniem, pisał W. Bieńkowski, przedstawiciel starszego pokolenia marksistowskiego. Dane twierdzenie jest prawdziwe nie dlatego, że jest marksistowskie, lecz jest marksistowskie dlatego, że jest prawdziwe (*Przegląd Kulturalny* 44/56).

Każda teza Marxa lub Lenina wymaga sprawdzenia, czy i w jakiej mierze zachowuje ważność we współczesnych warunkach. O wielu z nich jest rzeczą wiadomą, iż należy ich ważność

zawiesić do chwili przeprowadzenia „specjalnych studiów naukowych i dyskusji, nie ograniczonych niczym innym poza dążeniem do ustalenia obiektywnego stanu rzeczy” (L. Kołakowski, *Nowe Drogi* 9/56). Do też budzących szczególną wątpliwość należy prawo postępowej pauperyzacji klasy robotniczej w ustroju kapitalistycznym, marksistowska teoria kryzysów, teoria rewolucji socjalistycznej, wszystkie problemy związane z mechanizmem władzy w społeczeństwach rządzonych przez partie komunistyczne, zagadnienia imperializmu, postępu technicznego i wielu innych (L. Kołakowski, *Nowe Drogi* 9/56; J. L. Toeplitz, *Życie Gospodarcze* 20/56).

Teoria marksistowska staje się we wzrastającej mierze teorią filozoficzno-historyczną i teorią ekonomiczną, raczej pierwszą aniżeli drugą teorią:

„Jeżeli z marksizmu odrzucić scholastykę i propagandę minionego okresu, pozostanie z niego to, co wiele umysłów poza partiami komunistycznymi, znaczna część nauki w ogóle, uznaje za bezcenny wkład do ludzkiego dorobku myślowego: zostaje metoda analizy klasowego uwarunkowania ekonomiki i kultury” (M. Czerwiński, *Przegląd Kulturalny* 44/56).

Jako teoria ekonomiczna marksizm znajduje się pod silnym naporem krytyki i wątplenia w jej merytoryczną słuszność i praktyczną użyteczność.

„Marksizm pojęty jako realny dorobek w dziedzinie poznania, a nie jako możliwość dorobku, ma tę zasługę, że objaśnia epokę kapitalizmu w okresie przed wybuchem rewolucji socjalistycznej. Sprawność poznawcza marksizmu w okresie późniejszym, niezależnie od przyczyn, które to spowodowały, okazała się znacznie słabsza” (J. Bocheński, *Przegląd Kulturalny* 38/56).

Ostateczną przyczyną niepowodzenia, jakie wspomina Bocheński, jest ta okoliczność, iż budowa socjalizmu nie następuje w okolicznościach przewidzianych przez Marxa, to znaczy po osiągnięciu przez kapitalizm stanu pełnej dojrzałości, lecz w krajach zacofanych lub o słabym rozwoju ekonomicznym. Budowa socjalizmu następuje jednocześnie z „rewolucyjną drogą uprzemysławiania”. Stwarza to problemy, których Marx nie przewidział i nie mógł przewidzieć.

„To co popularnie bywa u nas przedstawiane jako ‘teoria uprzemysłowienia’, sprowadza się do paru rudementarnych i prymitywnych tez polityczno-gospodarczych, nie mających wiele wspólnego z jakąkolwiek teorią.

Nie jest bowiem jeszcze teorią uprzemysłowienia szereg zasad uprzemysłowienia, na czele z zasadą, że najpierw należy tworzyć przemysł ciężki i maszynowy, a potem przemysły lekkie. Są to maksymy polityki ekonomicznej, oparte na teorii ekonomiki i wysnute z teorii, ale maksymy bynajmniej nie obowiązujące ogólnie... Teoria uprzemysłowienia czeka dopiero na swoje opracowanie” (E. Lipiński, *Ekonomista* 5/56).

Renesans marksizmu jako teorii filozoficzno-historycznej wymaga odrodzenia się socjologii „jako nauki samodzielnej, nie

zaś zbioru komunalów'', renesans marksizmu jako teorii ekonomicznej wymaga odrodzenia się ekonomiki. W przeszłości utożsamiano naukę i politykę ekonomiczną, które należy ściśle rozróżniać, gdyż będąc z sobą powiązane są jednak całkowicie różne. Ekonomika stawia sobie cele poznawcze, łącznie z poznaniem warunków skutecznego działania, polityka ekonomiczna realizuje postulaty teorii. Pierwsza jest zbiorem zdań empirycznie sprawdzalnych, druga jest zbiorem norm i zaleceń, porządkujących cele działania ekonomicznego. Pomylenie nauki i polityki ekonomicznej prowadzi do pomylenia tego, co być powinno, z tym co istnieje rzeczywiście.

Odrodzenie teorii marksistowskiej wymaga w ogólności zerwania z poglądem, iż dysponuje ona odrębną logiką i metodologią. Program odrodzenia teorii marksistowskiej, sformułowany przez Kołakowskiego (*Nowe Drogi* 9/56), głosi powrót do zasad poprawnego rozumowania, poprawnego obserwowania faktów i techniki metod empirycznych, jakie rozwinęły się i ugruntowały w historycznym rozwoju nauki.

Powrót w teorii marksistowskiej do „reguł obowiązujących we wszelkiej pracy teoretycznej” wymaga odrzucenia raz na zawsze błędów właściwych marksizmowi-leninizmowi, które sprawiały, iż był on ezoteryczną doktryną biorącą rozbrat z rzeczywistością i logicznym myśleniem. Kołakowski wymienia cztery takie błędy, dobrze znane z praktyki przeszłości. Należy do nich „ograniczanie przedmiotu badań naukowych dla racji politycznych”; ogłaszanie jakichkolwiek prawd teoretycznych za „politycznie słuszne” oraz ich rozpowszechnianie niezależnie od uzasadnionych wątpliwości i krytyki, jakie wywołują; narzucanie kierunku badań naukowych i wreszcie „ustalanie jakiegoś zakresu prawd nietykalnych i wyłączonych z dyskusji”. Ten ostatni błąd zawiera w sobie wszystkie pozostałe, a w każdym razie jest on podstawą wszystkich pozostałych. „Gdzie istnieje katalog twierdzeń bezdyskusyjnych, niejako dogmatyka szkolna, pozostałe myślenie staje się apologetyką”, a apologetyka poświęca poprawność myślenia na rzecz realizacji celu w danej chwili dyktowanego przez potrzeby taktyczne. Tezom prawdziwym niepotrzebna jest nietykalność, tez fałszywych nietykalność nie ocali.

„W dziedzinie intelektualnej twórczości potrzebne jest przekonanie, że wszystko musi być zanalizowane na nowo, wszystko podane w wątpliwość (co nie znaczy: odrzucone), że człowiek nauki nie może mieć cienia litości dla przedmiotu swoich badań, jeśli nie chce pogрузić pracy teoretycznej w ten stan, z którego teraz z trudem zaczyna się ona wydobywać” (*Nowe Drogi* 9/56).

Kołakowski zaleca marksiście przyjęcie postawy badacza i przez aprobatę postawy badacza we wszelkich sprawach, nie wyłączając spraw światopoglądowych i ideologicznych, pragnie przywrócić integralność myślenia intelektualisty-komunisty, metodologiczną jedność nauki i komunistycznego światopoglądu

oraz tożsamość stosowanych w nich kryteriów prawdy. Tylko bowiem wówczas zniknie przeciwieństwo, które dotąd charakteryzowało doktrynę marksistowską, między „dążeniem do obiektywności wiedzy naukowej a walką o cele polityczne ruchu”.

Program Kołakowskiego jest dalej idącą rewolucją umysłową aniżeli odrzucenie marksizmu-leninizmu w pierwszym z wyróżnionych znaczeń lub zakwestionowanie tych lub innych tez marksizmu. Propozycje Kołakowskiego dotyczą podstaw logicznych i metodologicznych teorii marksistowskiej, wymagają od jej wyznawców całkowitej reorientacji myślowej, przejścia z płaszczyzny ideologicznej na płaszczyznę empiryzmu i obiektywizmu, który dawniej był anatemą i grzechem pierworodnym „nauki burżuazyjnej”. Kołakowski domaga się jednocześnie zniesienia tego, co określa się jako „prymat polityki w nauce”. Zasada prymatu polityki w nauce ostatecznie opiera się na przekonaniu, iż interesy ruchu komunistycznego stoją w sprzeczności z obiektywną wiedzą o świecie. Gdyby tak było w istocie, komunizm skazany byłby na oportunizm, a naukowy światopogląd sprowadzałby się do zbioru zawstydzających banałów, znanych truizmów i odwiecznych komunałów.

Jeżeli jednak nauka ma się rozwijać swobodnie, a nadto teoria marksistowska ma się oprzeć na tych samych zasadach logicznych i metodologicznych, jakie obowiązują w każdym racjonalnym myśleniu, marksizm traci pozycję światopoglądu wyróżnionego i przestaje być miarą prawdziwości światopoglądów odmiennych. Albowiem światopoglądy zbudowane w oparciu o zasady poprawnego myślenia są pod tym względem równouprawnione. Każdy z nich może być kwestionowany, lecz żadnego z nich nie można a limine odrzucić, jeżeli nie grzeszy przeciw zasadom myślenia. Z światopoglądem odmiennym od własnego można się nie zgadzać, lecz brak takiej zgody nie dopuszcza kwalifikowania światopoglądu własnego jako prawdziwego, a światopoglądu odmiennego jako fałszywego. Kategorie prawdy i fałszu w klasycznym tego słowa znaczeniu do światopoglądów zastosowania nie mają. Światopoglądy są koherentne lub niekoherentne, różnią się między sobą przez jakieś twierdzenia naczelne przyjmowane na skutek tego, iż takie właśnie a nie inne jest nasze „doświadczenie świata”, znajdujące we wspomnianych twierdzeniach naczelnych swoje racjonalne sformułowanie.

Przy równouprawnieniu światopoglądów rywalizacja między nimi ograniczona jest do użytkowania wyłącznie racjonalnych środków. Taka rywalizacja nie doprowadza zazwyczaj do eliminacji lub wyrównania światopoglądowych różnic, lecz do wyznaczenia ich sensu i zakresu oraz do wyjaśnienia pod jakim względem wyznawcy różnych światopoglądów zgodnie stwierdzają istnienie między nimi nie dających się dalej zredukować różnic.

Taki stan rzeczy ma doniosłe praktyczne następstwa. Jeżeli bowiem dopuszcza się mnogość poglądów co do istoty bytu, praw nim rządzących, natury ludzkiej woli, sensu życia, ocen

i reguł postępowania, logika nie pozwala wykluczać a limine różnic poglądów w sprawach innych dotyczących zasad ustroju politycznego, społecznego i gospodarczego, uprawnień państwa, praw obywatela i tysięcy innych problemów narastających w codziennym życiu zbiorowości. Powstaje wówczas pytanie, w jaki sposób teoria marksistowska, zbudowana w oparciu o zasady poprawnego myślenia, uzasadni dyktaturę proletariatu, nawet jeżeli dyktatura proletariatu przekształcona jest w monopartyjny system oświeconego absolutyzmu, a dyktatura partii idzie w parze z wewnątrzpartyjną demokracją.

PODSUMOWANIE

To, co nazywano socjalizmem lub komunizmem w niedawnej przeszłości i to, co dzisiaj tę nazwę nosi, stanowi dwa różne światopoglądy i polityczne programy.

W przeszłości komunizm oznaczał podporządkowanie interesów narodowych interesom międzynarodowego ruchu robotniczego, personifikowanego i utożsamianego z interesami Rosji Sowieckiej. Droga do socjalizmu i do komunizmu była tylko jedna: wyznaczały ją przemiany dokonane lub mające się dokonać w Rosji Sowieckiej. Miara zbliżania się do socjalizmu był stopień upodobnienia się pod każdym względem, maksymalna adaptacja do sowieckiego pierwowzoru.

Obecnie narodowa suwerenność jest warunkiem niezbędnym i koniecznym realizacji socjalizmu. Dróg do socjalizmu jest bowiem wiele, stosownie do różnorodnych okoliczności miejsca i czasu. Uwzględnienie tych okoliczności wymaga natomiast suwerennego prawa rządzenia się we własnym kraju.

Model socjalizmu i komunizmu był w przeszłości gotowy. Wyznaczały go prawa historii, która była podróżą do znanego celu. Koszt podróży się nie liczył. Rzeczą istotną było dojście do kresu podróży w najkrótszym czasie, szybkość zapewniała największą nadwyżkę zysków nad stratami. Nie liczyły się nieszczęścia pokoleń żyjących wobec szczęśliwości, jaką cieszyć się będzie nienarodzona potomność.

Obecnie nie ma modelu socjalizmu, a kres podróży jest nieznany. Orientuje w niej drogowskaz wskazujący stały kierunek — zniesienie wyzysku człowieka przez człowieka. Dróg do tego celu jest jednak wiele, zarówno dla różnych krajów, jak i dla każdego kraju z osobna. Różnią się one kosztem, kosztem płaconym przez żyjące pokolenia i ta droga jest najlepsza, która pozwala zbliżyć się do celu ostatecznego kosztem najmniejszym. Socjalizm buduje się z myślą o przyszłości, lecz realizuje się go zaraz i na dzisiaj. Zdobyczy socjalizmu zaznać ma żyjące pokolenie.

W przeszłości doktryna dyktowała każdy następny krok w budowie socjalizmu. Nie liczyły się fakty i sprawdzalne na-

stępstwa podejmowanych decyzji. Budowa socjalizmu następowała poprawnie i planowo, jeżeli tylko była zgodna z doktrynalnym zaleceniem. To, co istnieć powinno, to też istniało i nie istniało, co istnieć nie powinno.

Obecnie socjalizm buduje się empirycznie, metodą prób i błędów, gdyż życie jest bogatsze niż najpełniejsza i najdoskonalsza teoria. W wyborze środków kieruje zasada, by usuwały określone krzywdy i niesprawiedliwości, ograniczały wolność jednostki o tyle i pod takim względem, o ile jest to potrzebne dla osiągnięcia ostatecznego celu socjalizmu. Teoria jest bez wartości, jeżeli nie służy człowiekowi, celem jest człowiek, a nie system.

W przeszłości uniwersalna doktryna wyznaczała nie tylko drogę do socjalizmu, lecz także każdą inną dziedzinę ludzkiej myśli i działalności. W nauce, literaturze i sztuce prymat miała polityka.

Obecnie odrzucony jest prymat polityki — nauka, literatura i sztuka jest wolna. Różne światopoglądy są logicznie równouprawnione, intelektualne alternatywy są warunkiem rozwoju osobowości.

W przeszłości dyktatura proletariatu była źródłem wszelkiej władzy w państwie, a dyktatura proletariatu polegała na autokratycznej władzy partii nad społeczeństwem i dyktaturze jednostki lub oligarchii nad partią.

Obecnie istnieje dyktatura partii nad społeczeństwem, lecz w obrębie partii rządzącej mają zasady demokratyczne, uniemożliwiające dyktaturę jednostki lub oligarchii. Konieczność ograniczenia wolności obywatelskich jest koniecznością podyktowaną przez warunki geopolityczne i rozwój społeczny. Te ramy ustrojowe nie są jednak raz na zawsze określone i niezmiennie. Nadejdzie taki czas, gdy znikną ramy ograniczające swobodną działalność każdego człowieka.

Doświadczenie i praktyka życia są sprawdzianami socjalizmu, a celem socjalizmu jest człowiek. Jeżeli ta troska znajdzie wyraz praktyczny i konkretny w rządzeniu krajem, reformach społecznych i gospodarczych, instytucjonalnych gwarancjach praw jednostki, marksistowska lewica zyska autentyczny tytuł do miana humanistycznych komunistów. Chodzi o zgodność, zwykłą — a nie „dialektyczną” — zgodność czynów z deklaracją. Marksisci winni wiedzieć dobrze, iż ludzie nie są tym, za co się podają lub za co uchodzą w oczach innych, lecz tym, czym są „rzeczywiście”. Komunizm nie stanie się humanistyczny przez interpretację świata. Aby komunizm stał się humanistyczny, świat trzeba zmienić stosownie do interpretacji.

Komunizm w Polsce ma wielki dług do spłacenia, dług w stosunku do społeczeństwa i do idei. Od czasów swych narodzin ideał socjalistyczny nie zaznał poniżenia i ponieważ równiej tej, jakiej doświadczył z rąk komunistów w okresie lat ubiegłych.

Medytacje o posłuszeństwie i wolności

Podporządkowanie większej liczby mniejszej liczbie, ten fakt podstawowy prawie wszelkiej organizacji społecznej, nie przestaje zdumiewać wszystkich, co trochę myślą. Widzimy, że w naturze ciężary większe mają przewagę nad mniejszymi, że rasy bardziej płodne zagarniają miejsce mniej płodnych. U ludzi te tak oczywiste stosunki zdają się być odwrócone. Niewątpliwie, jak wiemy z codziennego doświadczenia, człowiek nie jest po prostu fragmentem natury, a to co jest największe w człowieku — wola, inteligencja, wiara stwarza co dzień niemal cuda. Nie o to jednak tutaj chodzi. Bezlitosna konieczność, która rzucała i rzuca na kolana masy niewolników, masy ubogich, masy posłusznych nie ma w sobie nic duchowego. Jest ona analogiczna do najbardziej brutalnych zjawisk natury. A jednak zdają się działać tutaj prawa przeciwne prawom natury. Jak gdyby na wadze społecznej gram znaczył więcej niż kilogram.

Prawie cztery wieki temu młody La Boetie w swoim „Contre — un” postawił pytanie. Nie udzielał odpowiedzi. Jakimi wzruszającymi ilustracjami moglibyśmy poprzeć jego traktat, my, którzy widzimy dzisiaj jak w kraju, obejmującym szóstą część globu, jeden człowiek upuszcza krwi całemu pokoleniu! Kiedy sroży się śmierć, najbardziej rzuca się w oczy dziw posłuszeństwa. Jest już dostatecznie zdumiewającą sprawą jeżeli wielu ludzi poddaje się jednemu z obawy, że ich zabije. Ale że zachowują posłuszeństwo aż do umierania na jego rozkaz, jak to zrozumieć? Jeżeli posłuszeństwo naraża na co najmniej równe ryzyko jak bunt, dlaczego się utrzymuje?

Poznanie świata materialnego, w którym żyjemy, mogło się rozwinąć od chwili kiedy Florencja, wydawszy tyle innych cudów, przyniosła w podarunku ludzkości, za pośrednictwem Gali-

leusza, pojęcie siły. Tylko wtedy też opanowanie materialnego środowiska przez przemysł mogło być przedsięwzięte. A my, którzy mamy opanować środowisko społeczne, nie zdobędziemy nawet najbardziej elementarnej wiedzy tak długo, jak długo nie ustalimy jasno pojęcia siły społecznej. Społeczeństwo nie może mieć swoich inżynierów zanim nie będzie miało swego Galileusza. Czy jest w tej chwili na powierzchni kuli ziemskiej choć jeden umysł, zdolny choć z grubsza pojąć jak to się dzieje, że jeden człowiek na Kremlu ma władzę ściąć jaką mu się podoba głowę na terytorium objętym rosyjskimi granicami?

Marksieści, wybierając ekonomię jako klucz do społecznej zagadki, nie ułatwili jasnego spojrzenia na problem. Jeżeli się traktuje społeczeństwo jako istotę zbiorową, wtedy to wielkie zwierzę, jak wszelkie zwierzęta, może być przede wszystkim określone przez sposób, w jaki zapewnia sobie pożywienie, sen, ochronę przed zmianami pogody, krótko mówiąc — życie. Jednak społeczeństwa, jeżeli się weźmie pod uwagę jego stosunek do jednostki, nie da się określić przy pomocy samych modalności produkcji. Chociaż uciekano się do wszelkiego rodzaju subtelnych rozumowań, żeby z wojny uczynić zjawisko zasadniczo ekonomiczne, rzuca się w oczy, że wojna jest zniszczeniem a nie produkcją. Żeby zdać sobie sprawę z takich zjawisk jak posłuszeństwo i wydawanie rozkazów, nie wystarczy znać warunki produkcji. Kiedy stary robotnik, bez pracy i bez pomocy, milcząco dogorywa na ulicy albo w jakiejś ruderze, takiej rezygnacji która sięga aż po śmierć nie da się wytłumaczyć grą konieczności życiowych. Masowe niszczenie zboża czy kawy w czasie kryzysu jest niemniej wymownym przykładem. Pojęcie siły a nie pojęcie potrzeby dostarcza klucza, który pozwala odczytywać zjawiska społeczne.

Galileusz nie miał osobiście powodu, żeby winszować sobie użytku, jaki zrobił ze swego geniuszu i uczciwości odcyfrowując naturę; w każdym razie natknął się tylko na opór garstki ludzi potężnych, biegłych w interpretowaniu Pisma Św. Badańom mechanizmu społecznego stoją natomiast na przeszkodzie namiętności, którym ulegają wszyscy i każdy z osobna. Nie ma prawie nikogo kto by nie pragnął albo obalić albo zachować obecne stosunki rozkazywania i posłuszeństwa. I jedno i drugie pragnienie wznosi zasłonę mgły przed oczami umysłu i nie pozwala dostrzec lekcji historii, która ukazuje nam wszędzie masy pod jarzmem i niektórych ludzi dzierżących bat.

Jedni, po stronie która apeluje do mas, chcą wykazać, że podobna sytuacja jest nie tylko wstrętna ale również niemożliwa, przynajmniej kiedy chodzi o bliższą czy dalszą przyszłość. Inni, po stronie która chce zachować porządek i przywileje, chcą wykazać, że jarzmo jest lekkie a nawet dźwigane chętnie. Z obu stron przesłania się całkowitą absurdalnością społecznego mechanizmu, zamiast spotkać tę absurdalność twarzą w twarz i analizować ją po to, żeby odkryć sekret maszyny. W jakiegokolwiek

dziedzinie jest to jedyna metoda dla myśli. Zdziwienie jest ojcem mądrości — mawiał Plato.

Ponieważ wielka liczba jest posłuszna i jest posłuszna aż do znoszenia cierpień i śmierci, podczas kiedy mała liczba rozkazuje, nie jest prawdą, że liczba jest siłą. Liczba, choć wyobrażnia każe nam sądzić inaczej, jest słabością. Słabość jest po tej stronie gdzie znosi się głód, gdzie upada się pod pracą, gdzie błaga się, gdzie drży się ze strachu, a nie po tej stronie gdzie żyje się w dobrobycie, gdzie udziela się łask, gdzie się grozi. Lud nie jest uciskany pomimo, że jest liczbą ale dlatego, że jest liczbą. Jeżeli na ulicy człowiek bije się przeciwko dwudziestu, niewątpliwie rozłożą go oni na bruku. Ale na znak jednego białego człowieka, jeden czy dwóch przełożonych ekipy potrafi smażyć kolejno batem dwudziestu annamickich kulisów.

Sprzeczność jest być może tylko pozorna. Nie ulega wątpliwości, że we wszystkich wypadkach ci, co wydają rozkazy są mniej liczni niż ci, co je wykonują. Ale właśnie dlatego, że są mniej liczni tworzą zespół. Inni właśnie dlatego, że są zbyt liczni są jeden plus jeden plus jeden i tak dalej. Tak więc władza nieznacznej mniejszości opiera się pomimo wszystko na sile liczby. Ta mniejszość przewyższa o wiele swoją liczbą każdego z tych, co składają się na gromadę większości. Nie należy wyciągać stąd wniosku, że organizacja mas odwróciłaby ten stosunek, gdyż jest ona niemożliwa. Można uzyskać zgranie tylko pomiędzy małą ilością ludzi. Poza tym jest tylko przeciwstawność jednostek czyli słabość.

Bywają jednak momenty kiedy tak nie jest. W niektórych momentach historii wielki poryw obejmuje masy, ich rytm oddechu, ich słowa, ich ruchy tworzą jedno. Wtedy nic nie zdoła się im oprzeć. Można poznać wtedy nareszcie co znaczy czuć się samotnym i bezbronnym i drzą. Tacyt, na kilku nieśmiertelnych stronicach opisujących bunt wojskowy, doskonale to zanalizował. „Główna to oznaka sięgającego głęboko ruchu, niemożliwego do stłumienia, że nie byli oni podstawieni ani mianowani przez kogoś ale razem zapalali się, razem milczeli, z taką jednomyslnością i taką stanowczością, iż można by było sądzić, że działają na rozkaz”. Byliśmy świadkami cudu tego samego rodzaju w czerwcu 1936 i dotychczas nie zatarło się jeszcze wrażenie jakie zostawił.

Podobne chwile nie trwają długo, choć uciśnieni gorąco pragną, aby trwały zawsze. Nie mogą trwać, bo ta jednomyslność, która rodzi się w ogniu mocnego i powszechnego porywu, nie jest do pogodzenia z żadną akcją metodyczną. Ma ona zawsze jako skutek zawieszenie wszelkiej akcji, zatrzymanie biegu codziennego życia. Ten czas zatrzymania nie może się przedłużać, bieg codziennego życia musi odzyskać swoje prawa. Prace każdego dnia muszą być wykonywane. Masa rozpada się znowu na jednostki, zaciera się wspomnienie zwycięstwa; pierwotna sytuacja czy sytuacja jej odpowiadająca ustala się

stopniowo i choć w międzyczasie władcy mogli się zmienić, zawsze ci sami są posłuszni.

Nie ma pilniejszego zadania dla możnych niż hamować tę krystalizację podległych tłumów albo przynajmniej, bo nie zawsze potrafi jej zapobiec, uczynić ją jak najrzadziej możliwą. Że jeden i ten sam poryw ogarnia równocześnie wielką liczbę uciśnionych, zdarza się często, a wynika to z samego naturalnego biegu rzeczy; jednak zwykle ten poryw, zaledwie obudzony, natrafia na poczucie nieuleczalnej niemocy i gaśnie. Utrzymywać to poczucie niemocy jest pierwszą zasadą zręcznej polityki władców.

Umysł ludzki jest nieprawdopodobnie giętki, skłonny do naśladownictwa, skory do poddania się zewnętrznym okolicznościom. Ten, kto jest posłuszny, którego ruchy, prace, przyjemności są uwarunkowane przez słowa innego człowieka, czuje się niższy nie mocą przypadku ale z natury. Na przeciwnym krańcu drabiny społecznej inny czuje się z tego samego tytułu wyższy i te dwa złudzenia wzmacniają się nawzajem. Żaden umysł, nawet najbardziej heroicznie stanowczy, nie potrafi zachować wiary w swoją wewnętrzną wartość, jeżeli ta wiara nie wspiera się na czymś zewnętrznym. Nawet Chrystus, kiedy wiedział że życie jego nic dla nikogo nie waży, że jest opuszczony przez wszystkich, wyszydzany, pogardzany, stracił na moment poczucie swojej misji; cóż innego może oznaczać ten krzyk: „Boże mój, czemuś mnie opuścił?”. Zdaje się ludziom żyjącym w posłuszeństwie, że jakaś tajemnicza niższość przeznaczyła ich od wieków do posłuszeństwa; a każdy dowód pogardy okazany im przez ich zwierzchników czy przez im równych, każdy rozkaz jaki otrzymują, a przede wszystkim każdy akt poddania jaki sami wykonują, co utwierdza ich w tym poczuciu.

Wszystko to co przyczynia się do zapewnienia ludziom, zepchniętym na dół drabiny społecznej, poczucia, że mają wartość, jest w pewnej mierze wywrotowe. Mit Rosji sowieckiej jest wywrotowy, jeżeli da niewykwalifikowanemu robotnikowi-komunistcie wyrzuconemu przez swego majstra, poczucie, że pomimo wszystko ma on za sobą armię czerwoną i Magnitogorsk i w ten sposób pozwoli mu zachować własną dumę. Mit rewolucji historycznie nieuniknionej gra tę samą rolę, choć bardziej abstrakcyjną; to nie mało, kiedy jest się nieszczęśliwym i samotnym mieć za sobą Historię. Chrześcijaństwo w jego początkach było równie niebezpieczne dla ładu. Nie budziło wśród ubogich, wśród niewolników, chciwości dóbr ziemskich i pragnienia potęgi, wprost przeciwnie. Ale dawało im poczucie wewnętrznej wartości, która ich stawiała na równi z bogatymi, albo wyżej, i to było dosyć, żeby zagrozić społecznej hierarchii. Dość szybko chrześcijaństwo naprawiło ten błąd i nauczyło się robić różnicę między ślubami, pogrzebami bogatych i ubogich jak przystoi, a nędzarzom wyznaczyć w kościołach ostatnie miejsca.

Siła społeczna nie obywa się bez kłamstwa. Dlatego wszystko co jest najwyższe w życiu ludzkim, wszelki wysiłek myśli,

wszelki wysiłek miłości, podminowują ład. Myśl może równie dobrze i z równą słusnością być piętnowana jako rewolucyjna po jednej stronie, jako kontr-rewolucyjna po drugiej. Ponieważ układa ona bez ustanku wartości w hierarchię „która nie jest z tego świata”, jest ona wrogiem sił rządzących społeczeństwem. Nie jest ona jednak bardziej przychylna przedsięwzięciom, które dążą do burzenia czy przekształcania społeczeństwa i które, nawet zanim cel zostanie osiągnięty, nakazuje tym co się temu poświęca podporządkować większą liczbę mniejszej liczbie, pogardzać, jak to robią wszyscy uprzywilejowani, anonimową masą i posługiwać się kłamstwem. Geniusz, miłość, świętość zasługują w zupełności na zarzut, jaki im się często stawia: że niszczą to co jest, nic na tym miejscu nie budując. Natomiast ci, którzy chcą myśleć, kochać i przenieść w akcję polityczną to, co im dyktuje ich umysł i serce, zginą zamordowani, opuszczeni przez najbliższych, potępieni po śmierci przez historię — jak tego doświadczyli Grakchowie.

W takiej sytuacji każdy człowiek troszczący się o dobro publiczne jest wewnętrznie rozdarty i nie ma na to rady. Brać udział, choćby z daleka, w grze sił które kształtują historię jest rzeczą niemożliwą bez zabrudzenia sobie rąk, albo bez skazania się na klęskę. Rzeczą niemożliwą jest również schronić się w obojętność czy w wieżę z kości słoniowej, chyba że jest się nieświadomym. Formuła „mniejszego zła”, tak skompromitowana przez użytek jaki z niej zrobili socjal-demokraci, pozostaje jedyną jaką można zastosować, pod warunkiem, że stosuje się ją z zimną samowiedzą.

Ład społeczny, chociaż niezbędny, jest z zasady zły, niezależnie od tego jaki jest. Nie można zarzucać tym, których miażdży, że podrywają go jak umieją; kiedy rezygnują z walki nie składają dowodu cnoty, przeciwnie, dowodzą że wskutek poniżenia przygasły w nich cnoty męskie. Nie można też zarzucać tym, co organizują ład, że go bronią, ani przedstawiać ich jako uczestników spisku przeciw dobru ogólnemu. Walki między współobywatelami nie pochodzą z braku zrozumienia czy z braku dobrej woli, wynikają z natury rzeczy i nie da się ich zażegnać, mogą być one tylko zdławione przez przymus. Nikt kto kocha wolność nie powinien życzyć, żeby zniknęły, powinien natomiast życzyć, żeby nie wykroczyły poza pewną granicę okrucieństwa.

Simone WEIL

(Przełożył Czesław MIŁOSZ)

(Z fragmentów pisanych między 1933 i 1938 r.)

Copyright by Librairie Gallimard, Paris.

Traktat poetycki (II)

Ta część jest dość trudna, jednakże nie ma w niej nic szczególnie tajemniczego. Żeby usunąć z góry pośądzenia o powrót do metody niekontrolowanych skojarzeń, wyliczyć warło główne „wątki”. Autor na wstępie stwierdza, że magiczne zaklęcie (wzięte z „Doktora Fausta” Marlowe’a) nie daje wyniku i że człowiek stoi wobec natury dla niego obcej i nieprzenikalnej. Następnie opisuje wieczór, w którym oglądał bobra na jednym z jezior Północnej Ameryki. Zasadnicza inność zwierzęcia jako istoty powoduje przypływ wspomnień i to przeważnie nieosobistych, dotyczących dziejów ludzkiego gatunku. Poprzez pamięć uświadamia sobie, że dane jest nam życie podwójne, i w naturze i poza naturą. Tylko uchwyciwszy w pełni rolę czasu (to jest historyczności) jesteśmy zdolni przezwyciężyć prymitywne pojęcia dwudziestego wieku polegające na przenoszeniu praw natury w sferę ludzką. Ten sens ma recytowany w ciemności wiersz-groźba pod adresem Republiki: jej megafony zostaną zmuszone do milczenia przez człowieka, z chwilą, kiedy przestanie on ulegać siłom społeczności tak, jak jego jaskiniowy przodek ulegał siłom żywiołów. Tutaj znajduje rozwiązanie dylemat III-ej części „Traktatu Poetyckiego”. Wreszcie autor daje obrazy północno-amerykańskiej przyrody. Jest, jak widać, pod jej urokiem i widzi w niej pokrewieństwo z idylliczną przyrodą jego rodzinnych okolic. Nawiedza go pokusa, żeby żyć tylko w naturze, bo tylko ona jest „tematem wiecznym” poezji. Pokusa ta zostaje przezwyciężona. Fragment z Horacego o Venus cyteryjskiej na końcu poematu oznacza ucieczkę z Cytery, tego schronienia ludzi, którzy chcą się odwrócić od współczesnego świata.

IV. NATURA

Ogród natury otwiera się.
Trawa na progu zielenieje.
Migdałowe drzewo zakwita.

Sint mihi Dei Acherontis propitii!
Valeat numen triplex Jehovahae!
Ignis, aeris, aquae, terrae spiritus,
Salvete! — mówi gość w dom.

Ariel, choć mieszka w pałacu jabłoni,
Nie zjawia się wibrując skrzydłem osy.
I Mefistofel, w przebraniu opata
Dominikanów albo Franciszkanów,
Nie stąpnie z krzaku morwy na pentagram
Wyryty laską w czarnoziemie ścieżki.

Ale po skałach idzie w skórzniach liści
Milcząc różowym dzwonkiem rododendron.
Koliber, bączek dziecinny powietrza,
Zawisnął w miejscu, silne serce ruchu.
Brunatną kroplą poci się u pyska
Na gwóźdź tarniny wbity konik polny,

Ani tortury świadomy, ni prawa.
I cóż ma począć ten, jak go nazwano,
Upiór naczelny, więcej niż czarodziej,
Jak go nazwano: Sokrates ślimaków,
Muzykant gruszek, rozjemca wilg, człowiek?

W rzeźbach i płótnach indywidualność
Potrafi przetrwać, a w żywiołach ginie.
On niechaj kroczy za trumną leśniczych
Których obalił górski diabeł, kozioł,
Z obręczą rogów nad karkiem zagiętą.
Niechaj ogląda cmentarz harpunników.
Oszczep wbijali w ciało lewiatana
I w tłuszczu jelit szukali sekretu.
Energia stygła i węgla morze.
Także pamiętnik doktorów alchemii
Niechaj rozwija. Prawie już dosięgli
Cyfry, więc berła, i wtedy minęli
Bez rąk i oczu i bez eliksiru.

Tutaj jest słońce. A kto dzieckiem wierzył,
Że akt i czynność wystarczy zrozumieć,
Żeby rozerwać powtarzalność rzeczy,
Jest poniżony, gnije w skórze innych
I dla kolorów motyla ma podziw
Niemy, bez formy, nieprzyjazny sztuce.

Ażeby wiosła w dulkach nie skrzypiały
Zwijałem chustkę. Ciemność podchodziła
Od Gór Skalistych, Nebraski, Nevady,
Zgarniając w siebie lasy kontynentu.
Odbite żary nieba z ostrą chmurą,
I loty czapli, drzewa torfowiska,
Suszu czarny, siny. Czółnem roztrącona
Znów zakładała utopia komarów
Błyszczące dwory. Grażąc się, szeleścił
Płaski cień lilii, pod burtę zepchnięty.

Aż noc już tylko, popieleje toń.
Grajcie muzyki, ale niesłyszalnie
Jak ścieg zegarka, bo czekam godzinę.
Moją stolicą bobrowe żeremie.
I sfałdowała się jeziorna woda,
Orał ją w kółko czarny księżyc zwierza
Wzeszły z głębin, z bulgotu metanów.
Niematerialny nie jestem, nie będę.
Tak niecielesne nie dla mnie spojrzenie.
Mój odór wspólny, mój odór zwierzęcy,
Mieni się tęczą, huczy, bobra spłoszy
I klaśnie echo.

Ale ja zostałem

W wysokiej, miękkiej skrzyni aksamitu,
Władając nad tym, co trafiło we mnie:
Jak tam pracują czwórpalczaste łapy,
Jak się otrząsa włos w mokrym tunelu.
On nie zna czasu i nie wie o śmierci.
Mnie jest poddany, bo ja wiem, że umrę.

Wszystko pamiętam. Ten ślub w Bazylei.
Dotknięta struna wioli i owoce
W misach ze srebra. Puchar przewrócony,
Na ust sześcioro, zwyczajem Sabaudii,
Z którego ścieka wino. Płomień świec
Chwiejny i kruchy w powiewie od Renu.

Jej palce, z kostką świecącą przez skórę,
Trafiały w hafty i spięcia jedwabiu.
Suknia, otwarta łupina orzecha,
Spadła z toczzonej ziarnistości brzucha.
Łańcuch na szyi dzwonił bez epoki,
W studniach, gdzie splata się broń testamentów,
Krzyk ptaka wiosną i rudość cesarów.

Może to zresztą moja tylko miłość
 Za siódmą rzeką. Tam brud subiektywny,
 Obsesja, chronią na zawsze dostępu.
 Aż okiennica, psy w zimnym ogrodzie,
 Gwizdek pociągu, sowa na jedlinie,
 Zabrane będą fałszom przypomnienia
 I trawa powie: nie wiem czy to było.

Pluśnięcie bobra w noc amerykańską
 I pamięć większa niż jest moje życie.
 Cynowy talerz ciągle jeszcze dzwoni
 O skośne tafle ceglanej podłogi,
 Belinda z wielką stopą, Julia, Thaïs
 Włochatość sexu zakrywają wstążką.
 Pokój księżniczkom pod tamaryszkami.
 O farbę powiek bił im wiatr z pustyni.
 Zanim związano ciało w bandolety,
 Zanim pszenica w grobowcu zasnęła,
 Zanim umilknął kamień i jest litość.

Wąż wczoraj drogę przebiegał o zmroku.
 Starty oponą, wił się na asfalcie.
 A my jesteśmy i wężem i kołem.
 Dwa są wymiary. Tu niedosięgalna
 Prawda istoty, tutaj, na krawędzi
 Trwania, nie-trwania. Dwie linie przecięte.
 Czas, wyniesiony ponad czas przez czas.

Niemy, bez formy, przed barwą motyla
 Lęk w sobie czuje, on, niedosięgalny.
 Bo czym jest motyl bez Julii i Thaïs?
 I czym jest Julia bez puchu motyla
 W jej oczach, włosach, ziarnistości brzucha?
 Królestwo mówisz. My nie należymy.
 Choć równocześnie do niego należąc.

Na jakże długo starczy mi nonsensu
 Polski, gdzie pisze się poezję wzruszeń
 Z ograniczoną odpowiedzialnością?
 Chcę nie poezji, ale dykcji nowej.
 Bo tylko ona pozwoli wyrazić
 Tę nową czułość, a w niej ocalenie
 Od prawa, które nie jest naszym prawem,
 Od konieczności która nie jest nasza,
 Choćby nasze jej nadali imię.

Z rozbitych zbroi, z oczu porażonych
Rozkazem czasu i wziętych z powrotem
Pod jurysdykcję pleśni i fermentów,
Nasza nadzieja. Tak, połączyć w jedno
Kosmatość bobra i zapach sitowia
I zmarszczki dłoni leżącej na dzbanie
Z którego ścieka wino. Czemuz wołać
Że historyczność niszczy nam substancję,
Jeżeli ona właśnie jest nam dana,
Muza siwego ojca, Herodota,
Jako broń i instrument? Choć niełatwo
Użyć jej wreszcie i tak spotęgować
Że niby ołów z czystym centrum złota
Posłuży znowu na ratunek ludzi.

Tak myśląc, ciemnym środkiem kontynentu
Pędziłem czołno przez grząskie łodygi,
Z wyobrażeniem fal dwóch oceanów
I chwiejby latarń na statkach strażniczych,
Świadomy, że w tej chwili nie ja jeden
Jak w ziarnie trzymam nienazwaną przyszłość.
W takt układało się wtedy wezwanie
Dla émy, jedwabiem furkocącej, obce:

O Miasto, Społeczeństwo, o Stolico!
Wnętrze dymiące swoje odstoniłaś.
Nie będziesz nigdy czym dotychczas byłaś.
Serc nam już pieśni twoje nie nasycą.

Stal, cement, wapno, edykty i prawa
Nazbyt już długo były uwielbione.
W tobieśmy mieli i cel i obronę.
Nam rosła twoja sława i niesława.

I gdzie złamane zostało przymierze?
Czy w ogniach wojny, w trzasku meteorów,
Czy raz, o zmierzchu, nad pustynią torów,
Kiedy biegnące widać było wieże

I w oknie, za krążeniem lokomotyw,
Dziewczynę, która pochmurną i wąską
Twarz w lustrze bada i związuje wstążką
Włosy, przebite iskrą papilotów?

Te mury twoje są murami cieni.
 I twoje światło na zawsze zniknęło.
 Nie posąg świata, nasze tylko dzieło
 Stoi pod słońcem zmienionej przestrzeni.

Ze ścian i luster, szkieleł i malowideł,
 Zastłony drąc ze srebra i bawełny,
 Wychodzi człowiek, nagi i śmiertelny,
 Gotów do prawdy, do mowy i skrzydeł.

Płacz Republiko. Wołaj: na kolana!
 Megafonami próbuj swoich czarów.
 Słuchaj — to idzie w tykaniu zegarów
 Śmierć, jego ręką tobie już zadana.

Z wiosłami na ramieniu szedłem lasem.
 Jeżozwierz fukał na mnie w sękach drzewa.
 I był obecny puchacz, mój znajomy,
 Nieodmieniony przez epokę, przestrzeń,
 B u b o ten sam z dzieła Linneusza.

Ameryka ma dla mnie sierść racoona
 I oczy jego w czarnym okularze.
 Miga chipmunkiem w złożach suchej kory,
 Gdzie bluszcz i powój nad czerwoną glebą
 Splata arkada pnie tulipanowca.
 Jej skrzydło jest koloru kardynała.
 Dziób półotwarty, kiedy mocking-bird
 Syczy pod krzakiem w łaźniach wodnej pary.
 Jej linia jest falista jak moccasin
 Przeplływający rzekę ruchem trawy.
 Grzechotnik, rumowisko płam i centek,
 Zwija ją w kłębek pod kwiatami yukki.

Ameryka jest dla mnie dopełnieniem
 Podań dzieciństwa o jądrze gęstwiny
 Opowiadanych w stuku kołowrotka.
 I skrzypce, wiodąc korowód square-dance,
 Grają jak skrzypki Litwy albo Flandrii.
 Moją tancerką jest Biruta Svenson.
 Wyszła za Szweda, urodzona w Kownie.
 A wtedy w światło wpada nocny motyl
 Tak duży, jak złożone obie dłonie,
 I z przezroczystym połyskiem szmaragdu.

Czemu w naturze, jak neon gorącej,
 Na zawsze sobie nie założyć domu?
 Czy mało robót przynosi nam jesień,
 Zima i wiosna i trujące lato?
 O dworze króla Zygmunta Augusta
 Nic nam nie mówi rzeka Delaware.
 „Odprawy posłów greckich” nie potrzeba.
 Herodot będzie leżał nierozcięty.
 I tylko róża, symbol seksualny,
 Albo miłości, piękności nadziemskiej.
 Otworzy przepaść, nigdy znaną do dna.
 O niej to we śnie znajdziemy piosenkę:

*We wnętrzu róży są domy ze złota,
 Zimne strumienie, czarne izobary,
 I świt ma palce na krawędzi alp,
 I wieczór spływa z palm w zatoki morza.*

*Kiedy umiera ktoś we wnętrzu róży
 Długim pochodem sfałdowanych płaszców
 Niosą go z góry drogą purpurową,
 W pieczary płatków świecą pochodniami.
 I pogrzebany będzie w nietykalnym
 Początku barwy, pod źródłem westchnienia,
 We wnętrzu róży.*

Nazwy miesięcy niech tylko to znaczą
 Co znaczą. W żadnej grom armat „Aurory”
 Niech nie trwa. Żadnej nocny marsz chorążych
 Niechaj nie skazi. Najwyżej pamiątka
 Niech się zachowa, niby wachlarz w kufrze.
 Czemuż na wiejskim, chropowatym stole
 Po staroświecku nie pisać nam ody,
 Na chwałę gwiazdom poddanych sezonów,
 Spędzając z liter żuka ostrzem pióra?

ODA

O październiku.
 Jesteś moją prawdziwą rozkoszą.
 Miesiącu żurawiny i czerwonych klonów,
 Gęsi lecących w czystym powietrzu od zatoki
 Hudsona,
 Schnących powojów i przywiedłych traw.
 O październiku.

O październiku.

W tobie mieszka cisza dróg wystanych igliwiem
I zawodzenie psów doławiających się tropu.
W tobie jest granie na piszczalce ze skrzydła sowy
I łoskot ptaka, nim zapadnie w bór.

O październiku.

O październiku.

Ty na szpadach białym szronem błyszczysz
Kiedy na West Point, z obrośniętej bluszczem skały,
Artylerzysta polski widzi różnobarwną puszcę
I klonowe kabaty angielskich żołnierzy
Przekradających się szlakiem Apalachów.

O październiku.

O październiku.

Chłodne twoje kryształowe wino.
Cierpki smak twoich ust nad naszyjnikiem z jarzębin.
Twoje boki zdyszane okrywa
Płowa sierść górskiego jelenia.

O październiku.

O październiku.

Zasypujący rosą rdzawe ślady,
Dmący w róg bawoli nad obozowiskiem pawstańców,
Palący bose nogi na pochyłych miedzach,
Kiedy idą ziemniaczane i armatnie dymy.

O październiku.

O październiku.

Jesteś porą poezji to jest zupełnego odważenia się
Na zaczynanie życia w każdej sekundzie na nowo.
Dajesz mi czarodziejski pierścień, który, odwrócony,
Świeci w dół niewidzialnym dla nikogo klejnotem
wolności.

O październiku.

Wiele nam będzie, wiele wypomniane.
Ześmy, tak mogąc, spokój odrzucili
Milczenia, marzeń o strukturze świata
Godnych szacunku. I że temat wieczny
Nas nie przyciągał jak trzeba, ni czystość.
Że, wręcz przeciwnie, pył zdarzeń i nazwisk
Chcieliśmy co dzień poruszać słowami,
Za mało dbając o to, że zagaśnie

Tysiącem iskier i my razem z nimi.
Nawet przyjęta na siebie niesława
Nie była obca niektórym zamiarom
I, choć z niechęcią, płaciliśmy cenę.

Nie jeden przyzna, jeżeli zna siebie,
Że był jak człowiek, który słyszy głosy
Choć nie wie, co te znaczą. I stąd wściekłość,
Stopa oparta na akceleratorze,
Jak gdyby w szybkość uciec można było
Od widm i głosów. Tak wlekliśmy wszędzie
Sznur niewidzialny, w sobie czując ostrze.

A jednak mylą się oskarżyciele
Ubolewając nad złem tej epoki,
Jeżeli widzą w nas tylko aniołów
Strąconych w otchłań i stamtąd, z otchłani,
Wygrazających pięścią pracom Boga.
Na pewno wielu niesławnie niszczało
Bo czas i względność, jak analfabeta
Odkrywa chemię, tak nagle odkryli.
Dla innych sama wypukłość kamienia
Kiedy go weźmie się nad brzegiem rzeki
Była nauką. Wystarczy ten moment,
Albo krwawiące okuniowe skrzela,
Albo, nim księżyc wejdzie ponad chmurą,
Płuzenie bobra w miękkiej, sennej toni.

Bo kontemplacja gaśnie bez oporu.
Z miłości do niej trzeba jej zabronić.
A my szczęśliwsi byliśmy napewno
Niż tamci, którzy z ksiąg Schopenhauera
Czerpali smutek, słysząc jak na dole
Pod ich mansardą, huczy tingel-tangel.
I filozofia, poezja, działanie
Nie były, tak jak dla nich, rozdzielone.
W jedną łączyły się wolę? niewolę?
Taka jest, przykra czasami, nagroda.

Jeżeli z błędem, tylko historyczni,
Nie dostaniemy wieńców długiej chwały
To, ostatecznie, co? Mają pomniki
I mauzolea, ale w deszcz majowy
Pod jednym płaszczem chłopiec i dziewczyna
Ich doskonałość miną obojętnie,

I zawsze słowo które pozostanie
Będzie wspomnieniem półotwartych ust:
Nigdy, jak chciały mówić, nie zdążyły.

Duchy powietrza i ognia i wody
Bądźcie więc przy nas, ale nie za blisko.
Śruba okrętu już od was oddala.
Mijamy strefę mewy i delfina.
Potem nadzieja, że Neptun z trójzębem
Wynurzy brodę, wlokąc orszak nimf,
Nie jest spełniona. Nic, tylko ocean
Wre i powtarza: daremnie, daremnie.
Tak mocna nicość, że ją zwyciężamy
Próbując myśleć o kościach korsarzy,
O atłasowych brwiach gubernatorów
Które przebijał krab, sięgając mięsa.
Raczej nam ścisnąć metal balustrady.

W zapachu farby, mydła i lakieru
Szukać pomocy. Trzeszczy w nitach pudło,
Niesie szaleństwo nasze i niejasność,
Wiarę ukrytą i brud subiektywny
I białe twarze poległych bez domu.
Do wyspy szczęścia? Nie. W tobie i we mnie
Wicher zagłuszył strofę horacjańską.
Z ławki, pociętej szkolnym scyzorykiem,
Już nie dogoni nas w tej słonej pustce:

Iam Cytherea choros
Ducit Venus imminente luna.

Brie-Comte-Robert, 1956.

Czesław MIŁOSZ

Problem antysemityzmu

ANKIETA „KULTURY”

Wyniki ankiety „Kultury” o polskim antysemityzmie są skromne. Prawie żadnej odpowiedzi od osób, które prosiliśmy o wypowiedzenie się w tej sprawie. Przyczyny tego milczenia mogą być oczywiście różnorodne: niechęć do „Kultury”, brak czasu, niechęć do zbyt może rozpowszechnionych dziś ankiet... Jest to jednak pierwszy wypadek, aby tego rodzaju inicjatywa podjęta przez „Kulturę” spotkała się z tak negatywną reakcją. Trudno nie wyciągnąć stąd wniosku, że temat jest żenujący. Potwierdzają to w pewnej mierze listy które otrzymaliśmy, przeważnie od czytelników którzy napisali do nas samorzutnie. Na dwadzieścia cztery listy od czytelników na emigracji, cztery listy przyznają, że antysemityzm polski jest zjawiskiem groźnym, niemal patologicznym. Są w nich nuty szydercze, są nuty bolesne. Nie jest łatwo Polakowi, chętnie idealizującemu swój naród, zdobyć się w stosunku do niego na tak ostrą krytykę. Czternastu czytelników emigracyjnych stawia sprawę (w różnych wariantach) dość charakterystycznie: polski antysemityzm nie istnieje — twierdzą oni. Niestety, ci sami czytelnicy są skłonni w stosunkach polsko-żydowskich przypisywać wszystkie niemal winy Żydom, co w praktyce pokrywa się z antysemityzmem. Jeden tylko list potępia wyraźnie polski antysemityzm, traktując go jako zjawisko fragmentaryczne, z którego nie wolno wyciągać wniosków dotyczących całego narodu.

Brak odpowiedzi od osób zapytanych, mniejszość ostro krytykująca własny naród, negacja istnienia antysemityzmu przez większość: czyżby miał rację *Rafał Malczewski* twierdząc, że polski antysemityzm jest zbiorową psychozą? Nie inaczej prze-

jawiają się odruchy chorych w stosunku do psychozy indywidualnej: ucieczka od problemu, zapamiętała negacja samego faktu psychozy, samookrucieństwo z chwilą jej rozpoznania.

Szczególnie ciekawe są cztery odpowiedzi, które otrzymaliśmy od czytelników z Polski, gdyż pozwalają na bezpośredni rzut oka na ten problem w opinii krajowej.

Zaznaczymy dalej, że w czterech listach otrzymanych od czytelników Żydów (z których trzech piszą, że nie uważają się już za Polaków), przeważa życzliwość do narodu polskiego i sceptycyzm co do celowości ankiety.

Zanim przejdziemy do omówienia ankiety, zaznaczymy że artykuł K.A. Jeleńskiego i list Miriam Hochberg-Mariańskiej, które niezależnie od siebie zbiegły się w naszym wrześniowym numerze, poczytane zostały przez niektórych czytelników niemal za „prowokację”:

— „W ankiecie uderza nieprzyjemny, mentorski ton w stosunku do Kraju” (*list A. z Polski*).

— „.... Dwa wystąpienia, które uważam za nieobliczalne i pełne nieprawdy, a tym samym wymagające natychmiastowego zaprzeczenia. Odnosi się to do artykułu p. K.A. Jeleńskiego i listu p. M. Hochberg-Mariańskiej. Obydwie osoby, jakby przeczuć tej ankiety tknięte, zrobiły wiele, aby konieczną w przygotowywaniu odpowiedzi atmosferę spokoju, powagi, bezstronnej analizy i obiektywnego podejścia zamieszać, zagotować i sprowadzić do riposty na niewyszukane inwektywy i podrażniające, uogólnione ponad wszelką miarę, napaści na masę narodu polskiego”.

.... P. Jeleński podkreśla antysemityzm partii komunistycznej w Rosji i w Polsce z ubolewaniem godnym zawiedzonego sympatyka...” (*Stefan C. Mączyński, South Bend, Indiana, USA.*)

„Dla jakiego celu równocześnie z ogłoszeniem ankiety na stronie 12-ej, zamieszczono na stronie 13-ej i następnych taki niesłychanie „polakożerczy” artykuł p. Jeleńskiego. Mówiąc szczerze, zrobiło to na mnie takie wrażenie, jakoby Redakcja „Kultury” chciała świadomie i celowo zrobić uczestnikom ankiety podobny zabieg, jaki komuniści stosują w swych szkołach i kaźniach śledczych, a który przyjęło się określać terminem: „mycie mózgu”. Bo wydaje mi się, że kto przeczyta ankietę i zaraz następujący po niej artykuł p. Jeleńskiego, tego mózg zostanie już tak „przemyty”, iż jego sposób myślenia i „krótkie wypowiedzi” pójdą już w kierunku narzuconym przez artykuł p. Jeleńskiego.

Takiego artykułu „polakożerczego”, opartego tylko na „prawdach” reżymowych, nie należało zamieszczać nie tylko zaraz po ankiecie, ale w ogóle w tym samym numerze „Kultury”. Przecież ten artykuł jest odpowiedzią na ankietę, a niczym innym, więc przez to sugeruje, że taki mniej więcej duch winien panować także w innych odpowiedziach” (*Dr W. Piotrowski, Chicago, USA.*)

„W epoce przeżywającej jeszcze wspomnienia hitlerowskich komór gazowych i likwidacji ghetto; w czasach gdy nie ma dnia by w Izraelu Żydzi nie ginęli od kul, bomb czy noży arabskich — rozpisywanie ankiety, specyficznie „antysemityzm polski” zatytułowanej, uważam za ponurą anegdotę. Komu ona dzisiaj potrzebna??? Czy Niemcom, by wykazać, że nie oni ale właśnie my jesteśmy niepoprawnymi antysemitami? Czy bolszewikom by od-

wrócić uwagę od sowieckiego antysemityzmu? Czy Arabom, by wykazać, że nie tylko oni Żydów biją? Czy wreszcie naszym rodzimym „filosemitom”, wzdychającym za czasami, gdy pociągnięcie za pejsy Żyda w Grójcu opisywane było nazajutrz przez międzynarodową prasę jako „polski pogrom”? Takie właśnie wrażenie sprawia artykuł K.A. Jeleńskiego, nachalnie „od endecków do stalinistów” zatytułowany. Sama Redakcja „Kultury” wie „ile polski antysemityzm przyniósł szkody sprawie polskiej zagranicą”. Czy rodmuchując go sztucznie na nowo — ma zamiar szkodę tę naprawić ?? (*Aleksander Grobicki*.)

— „Czytając artykuł o antysemityzmie w „Kulturze” nie mogę wyjść z podziwu. Zwyczaje zakurtynowej samokrytyki, ruchliwe jak żywe srebro w paryskiej „Kulturze”. (*Czesław Karczasan, Douai, Francja*).

— „Całe to „wiele hałasu o nic” świadczy jedynie o bardzo wschodnio-polskim składzie zespołu „Kultury”. Za dużo kajania się za grzechy niepopelnione. A przecież reakcja każdego Żyda będzie prosta: Na złodzieju czapka gore” (*Andrzej Michna, Cordoba, Argentyna*).

— „Żałować należy, że omawianie tego tematu rozpoczął artykuł p. Jeleńskiego, który poczynawszy od tytułu, a skończywszy na podejściu do tematu, przypomina raczej ujęcie pewnej klasy prasy codziennej niż periodyka typu „Kultury”. P. Jeleński zdecydowanie nie lubi „endeków”, którym to popularnym terminem obejmuje beztrósko ugrupowania od Stronnictwa Narodowego, do O.N.R., choć wszyscy, nawet nie parający się bezpośrednio polityką, wiedzą, że te grupy różniły się mocno od siebie” (*Tadeusz Maryański, San Ramon, Chile*).

— „.... P. Jeleński miałby powód do zrozumiałości, gdybym ja chciał rozprawiać się z jego bzdurami. To co piszę — piszę do Redakcji o artykule Jeleńskiego, spodziewając się wyjaśnień w tej sprawie. Bo kim jest p. Jeleński nie wiem i wcale o to nie jestem ciekaw. Wolno mu mieć swoje cele, tym bardziej jeśli jest wrogiem mojej Ojczyzny, ale „Kultura”? (*F. Nahalewicz, Serras de Cordoba, Argentyna*).

— „Cały artykuł p. Jeleńskiego uważam za tendencyjny i szkodliwy, że w zdaniu tym nie jestem odosobniony cytuję „Dziennik Polski” z Detroit z dnia 21 września br., który trudno posądzić o sympatie proendeckie. „Sugestie Jeleńskiego są w tej sprawie nie tylko niesprawiedliwe, nieobiektywne i tendencyjne, ale bardzo szkodliwe dla interesu polskiego ponieważ podchwytone na Zachodzie, przez koła sprawie polskiej niezyczliwe, mogą posłużyć do zupełnie nieobliczalnych wniosków w stosunku do Polski i wyrządzić sprawie polskiej większe szkody, aniżeli antysemityzm owej „kołtunerii”, której rolę autor artykułu w „Kulturze” tak zresztą nadmiernie wyolbrzymił”. (*Jan Pogorzelski, Detroit, USA*).

OCENY KRAJOWE

Listy z Kraju są o tyle ciekawe, że pochodzą od antykomunistów, operujących w listach do „Kultury” argumentami, których nie mogliby nawet obecnie użyć w prasie krajowej.

Przytaczamy jeden z tych czterech listów w całości, gdyż zawiera on w najobszerniejszej formie argumentację, powtarzając się również w pozostałych listach z Kraju :

— „.....Prawdą wydaje się fakt odzicia uczuć antysemitycznych w pewnych odłamach społeczeństwa polskiego, a zwłaszcza tej jego części, która nie lubiąc nadużywać mózgu, kieruje się w swym postępowaniu różnego rodzaju emocjami. Chcę przeprowadzić pewną analizę wypadków, jakie miały miejsce tak w okresie drugiej wojny światowej, jak i po jej zakończeniu i moim zdaniem, wpłynęły na wydobycie się znowu na powierzchnię tej przysłowiowo polskiej cechy.

Rok zakończenia drugiej wojny światowej zastał Polskę prawie bez Żydów, zatem i bez antysemityzmu. Okrucieństwa Hitlera cofnęły to uczucie głęboko w podświadomość. Zbyt wiele grozy przeżyli Polacy w latach okupacji, tak jako naród, jak i oglądając masakrę drugiego narodu żyjącego w Polsce, to jest Żydów.

List do redakcji „Kultury” p. Hochberg-Mariańskiej, umieszczony we wrześniowym numerze, zawiera wiele, moim zdaniem, trafnych uwag w odniesieniu do szerzącego się ostatnio w Polsce tak zwanego chuligaństwa, ale w związku z tym zbyt może jednostronnie oświetla kwestię wydawania, czy szantażowania Żydów przez Polaków w okresie okupacji. Jednak p. Hochberg dziwić się nie należy, albowiem człowiek skazany na śmierć tylko dlatego, że należy do narodu, który pewien niepoczytalny osobnik uznał za niegodny do zajmowania miejsca na ziemi, ma prawo spoglądać na świat i ludzi przez pryzmat tej zbrodni.

Mnie się wydaje, że wypadki tak wydawania Żydów w ręce Niemców, jak i szantażowania ich przez różnego rodzaju hieny nie są wyłącznie przejawem polskiego antysemityzmu. Tu również uważam za jednostronne naświetlenie tej sprawy przez p. Jeleńskiego w artykule „Od endeków do stalinistów”, umieszczonym we wrześniowym numerze „Kultury”. Nasz antysemityzm nie posunął się nigdy do masowych zbrodni. Proszę sobie nie wyobrażać, że mam zamiar w jakikolwiek sposób usprawiedliwiać istnienie tego zjawiska, chodzi mi tylko o stwierdzenie, że środki którymi Polacy dawali ujście temu uczuciu były bez porównania mniej drastyczne, niż środki stosowane przez Niemców czy Rosjan. Ciemne interesy pewnego odłamu społeczeństwa polskiego, praktykowane na Żydach w okresie okupacji, powodowane były chęcią zysku pewnych typów, których nie brak w żadnym narodzie. Zdobycie pieniędzy w jakikolwiek sposób, nagromadzenie majątku bez względu na środki, prowadzące do tego celu, to była myśl przewodnia ludzi, uprawiających proceder ukrywania za wysokim wynagrodzeniem ludności pochodzenia żydowskiego, to również było powodem uprawiania wszelkiego rodzaju szantażu. Przypuszczam, że typy te, niegodne miana człowieka, postępowałyby tak z każdym, bez względu na jego pochodzenie, gdyby zaistniały po temu sprzyjające okoliczności.

Nie neguję oczywiście faktu, że pewne jednostki nie odczuwały klęski żydowskiej, jako zbrodni nie mającej sobie równej w dziejach ludzkości, ale mam pełne prawo przypuszczać, że były to przypadki wyjątkowe. Do jakiego stopnia pewne koła, znane ze swych uczuć antysemitycznych, musiały liczyć się z faktem że ich antysemityzm spotka się ze zdecydowanym potępieniem, niech posłuży przykład, że nawet znany twórca „Falangi” Bolesław Piasecki, stojący w czasie okupacji na czele organizacji „Konfederacja Narodu”, w swym piśmie „ideologicznym” — „Nowa Polska” raczej starannie omijał sprawy, dotyczące Żydów, a w żadnym wypadku nie głosił jawnego antysemityzmu tak, jak to miało miejsce przed wojną.

W mnogości różnych spraw, krzyżujących się ze sobą w Polsce w la-

tach okupacji, były podłóści różnego typu, a więc i podłóści popełniane na Żydach. Większość jednak narodu opowiedziała się stanowczo przeciwko tym praktykom. Być może, że zbyt mało ludności pochodzenia żydowskiego ocalało z pogromu, dzięki pomocy ludności pochodzenia polskiego, być może że naród polski stać był na więcej, ale trudno jest znaleźć należyte kryterium oceny tych wypadków, jeżeli i Polacy, choć w dalszej kolejności, również stali nad grobem.

Nie wiem, jakie byłyby dalsze koleje polskiego antysemityzmu, być może że zginąłby on wreszcie razem z milionami ofiar hitlerowskich, niestety na arenie ukazał się potężny antysemita — Związek Sowiecki. Wydaje mi się, że Stalin był genialnie perfidny, chyba że ta perfidia, a raczej jej skutki były całkowicie niezamierzone.

Z chwilą zajęcia Polski, Sowieci rozpoczęli przysyłać masowo ze swego i nie ze swego terytorium Żydów, nie tylko tych, którzy dawniej mieszkali w Polsce, ale i takich, którzy Polskę widzieli po raz pierwszy, obsadzając nimi większość eksponowanych stanowisk. Gdyby wśród tych Żydów znalazło się choć kilku naprawdę wybitnych, może byliby oni w stanie zdać sobie sprawę ze skutków takiego postępowania i przerwałoby błędne koło. Niestety, większością z nich kierowała chęć wyciągnięcia jak największych korzyści z przyznanych im stanowisk, do objęcia których nie mieli w większości fachowego przygotowania. Skutkiem tego stanu rzeczy jest powrót uczuć antysemickich do świadomości wielu ludzi.

Prowokacja w Kielcach, napływ ludności pochodzenia żydowskiego na wysokie stanowiska przy jednoczesnym utrudnianiu obejmowania ich przez Polaków, łącznie z głoszoną oficjalnie walką z antysemityzmem, posuwającą się aż do takich drobnostek, jak zakaz mówienia i pisania dowcipów na tematy żydowskie, wreszcie zezwolenie na ufundowanie pomnika Bohaterów Ghetta, z jednoczesnym opluwaniem całości walk wyzwoleniczych Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich, w przeciętnych umysłach większości obywateli wywołał następujący efekt: „A więc prawdą był przedwojenny slogan — precz z żydo-komuną!” Czyż nie jest perfidią fakt, że w ten sposób prawdziwy sprawca terroru, sowiecki imperializm, usuwał się w cień? Jeżeli był to cel zamierzony, to Stalin go osiągnął.

Kryteriami, jakimi kierowano się przy przyjmowaniu kogoś na wysokie, dobrze płatne stanowisko, czy synekurę, były bardzo często względy „rasowe”. Niestety tylko Żydzi mogli sięgać po takie posady i jest oczywiste, że jeden z nich, wywindowawszy się wysoko, ciągnął za sobą sznurerek znajomych i krewnych. Gdyby to byli ludzie odpowiadający wymaganym ogólnie kwalifikacjom, albo gdyby ich walory umysłowe przewyższały walory kandydatów pochodzenia polskiego, kwestia ta nie nadawałaby się w ogóle do roztrząsania. Oczywiście śmiesznym jest przypuszczać istnienie jakiejś „ery idealnej”, gdzie tylko ludzie o odpowiednich kwalifikacjach zajmować będą stanowiska tych kwalifikacji wymagające, ale jeżeli aparat państwowy ma w każdej dziedzinie funkcjonować sprawnie, niech choć część stanowisk obsadzona będzie zgodnie z wymaganiami. Ponieważ wymagania systemu na wzór sowiecki są inne, więc od osób, mających im sprostać żądano jedynie czystości politycznej i całkowitego podporządkowania się „genialnym” rozkazom Kremla. Jasne jest więc, jak nędzne często umysłowo i etycznie typy po te stanowiska sięgały.

Z relacji różnych osób wynika, że większość ludzi, którzy różnymi drogami obsiedli wygodne stolki, nie nadaje się do sprawowania powierzonych im funkcji. Wśród tych ludzi większość, to Żydzi.

W tej chwili sytuacja jest bardzo trudna, a szermowanie hasłami antysemityzmu, to nie tylko narzędzie walki obecnie pokonanej grupy natolińskiej, ale również narzędzie obrony Żydów. Wydaje się, że natolińczycy

przegrali bitwę o Polskę również z powodu głoszonych przez siebie hasel antysemityzmu, albowiem Żydzi z KC nolens-volens sprzymierzyli się z Gomułką. Gomułka, jeżeli rzeczywiście będzie chciał uporządkować aparat gospodarczy, będzie musiał przeprowadzić drastyczne zmiany na wielu stanowiskach w wielu gałęziach gospodarki. I oto, co się będzie działo: Żydzi uderzą, a nawet już uderzyli na alarm o istniejącym w Polsce antysemityzmie, który każe usuwać osobników pochodzenia żydowskiego z kluczowych stanowisk. Tak więc, kwestia antysemityzmu, to nie tylko broń stalinistów przy udziale kołtunierii, jak to określił p. Jeleński, ale również zasłona dymna, stosowana przez tych Żydów, którzy absolutnie nie mają zamiaru zrezygnować z osiągniętych przywilejów. Jest oczywiste, że człowiek dobrowolnie nie wyrzeka się zdobytych w taki czy inny sposób dobrodziejstw i zależnie od stopnia inteligencji i rodzaju posiadanych hamulców moralnych będzie tych dobrodziejstw bronił. Wydaje się, że większość dygnitarzy żydowskiego pochodzenia nie zawaha się przed żadnym rodzajem obrony. Jest bardzo smutne, że ci właśnie Żydzi, którzy mają dostęp do wszelakich dóbr doczesnych w Polsce, w większości niedostępnych dla przeciętnych obywateli, występować będą z wielkim hałasem przeciwko antysemityzmowi w Polsce, aby upiec swoją pieczeń na ogniu świętego oburzenia opinii publicznej polskiej czy też światowej. Istniejący bowiem obecnie antysemityzm, poza nielicznymi wybrykami, skierowany jest właśnie przeciw tym Żydom. Inne odłamy ludności pochodzenia żydowskiego, nie należące do „elity”, a korzystające z tak znikomo przydzielanych dóbr, z jakich korzysta każdy obywatel, nie spotykają się z żadnym przejawem wrogości ze strony ludności pochodzenia polskiego.

Nie mam zamiaru uważać zjawiska antysemityzmu za zrozumiałe w tej sytuacji, ani też usprawiedliwiać go. Należy jednak wziąć pod uwagę fakt, że antysemityzm był, moim zdaniem, celowo wydobyty na wierzch i ugruntowany przez naszych władców z Kremla, jak również jest umiejętnie wykorzystywany do własnych celów przez różnego rodzaju typy, które stanowią widomy obraz ucisku sowieckiego w Polsce”. (*List B z Kraju*).

W powyższym liście, jak i w innych, istnieje widoczne zupełne pomieszanie pojęć. Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że Polacy żądają, po rewolucji październikowej, usunięcia z kierowniczych stanowisk ludzi skompromitowanych współpracą ze stalinistami, a zwłaszcza takich, którzy odczuwają nostalgię do metod stalinizmu. Kwestia czy są to Żydzi, czy nie, powinna być całkowicie nieistotna. Wobec tych listów, napisanych przez inteligentów, uważających się za demokratów i liberałów, całkowicie zrozumiałą staje się zabieg grupy natolińskiej, która właśnie dążyła do utrwalenia metod stalinizmu w Polsce poprzez czystkę o charakterze nie politycznym a rasistowskim. Żydzi w KC dopomogli do zwycięstwa Gomułki — pisze B. Czy wyłącznie przeciw „natolińczykom”? Dla pilnego obserwatora polskiej prasy i literatury wydaje się nie ulegać wątpliwości, że udział Polaków pochodzenia żydowskiego w całym procesie odwilży wielokrotnie przewyższał stosunek procentowy. Szkoda, że wypominając Żydom występowanie się stalinistom Polacy zapominają że inni Żydzi stanęli w pierwszym rządzie tych, którzy z narażeniem własnego bezpieczeństwa zaczęli wysuwać w Polsce hasła wolności indywidualnej i niepodległości narodowej.

Antysemityzm jest jeszcze bardziej widoczny w innych lis-

tach z Kraju. Oto, na przykład, typowy dla antysemityzmu argument oparty na anonimowej anegdocie :

„Antysemityzm? A może — antypolskość? Znana i powtarzana była wypowiedź dość cyniczna jednego z Żydów w Łodzi: „Dużo nas zginęło, to prawda, ale tych co zostali wystarczy, aby wami rządzić”.

C. pisze że nie jest antysemitą. Twierdzi że :

„niedopuszczalny jest rasizm” :

„Dlatego uznaję, że mając stuprocentową krew żydowską, można być stuprocentowym Polakiem. Nie jest to tylko założenie teoretyczne, gdyż realność jego stwierdziłem w osobistym doświadczeniu, inna rzecz, że faktem jest to dość rzadkim i niestety, dla danych osobników przeważnie tragicznym”.

W tych kilku słowach tkwi tragiczna istotnie ironia, niezamierzona zapewne przez autora. Żąda on pełnej asymilacji Żydów, ale jednocześnie stwierdza że los Żyda w pełni zasymilowanego jest w Polsce „tragiczny”. Czy tego rodzaju postawienie sprawy nie woła o gruntowną rewizję stosunku całego narodu polskiego do problemu żydowskiego?

List D. zawiera informacje groźniejsze jeszcze od tych które cytował Jeleński za prasą krajową :

„W Polsce mówi się o uczuciu paniki wśród części ludności żydowskiej i o fali ponownej emigracji do państwa Izrael. Do odziedziczonych po caracie tricków należy organizowanie przez władze pogromów. Przed kilku tygodniami szeptano we Wrocławiu, że w Wałbrzychu, gdzie zamieszkuje 20 tysięcy zamożnej ludności żydowskiej miały miejsce dwudniowe, krwawe zaburzenia antyżydowskie. Oczywiście, trudno dociec, czy i kto dokonał tu prowokacji. Nie ulega jednak wątpliwości fakt nagromadzenia materiału wybuchowego nie bez walnego współudziału Żydów, a o iskrę w tych specyficznych warunkach nerwowego życia jest bardzo łatwo.

Miedzy faszystami zachodnio-europejskim a stalinowskim, względnie chruszczowowskim nie ma pod tym względem różnicy. W Związku Radzieckim obserwuje się wzrost nastrojów nacjonalistycznych zwłaszcza wśród Rosjan.

W rezultacie faktu powrotu antysemityzmu w wielu państwach Europy Wschodniej nie można negować. Jedynym skutecznym ratunkiem może tu być jedynie emigracja Żydów, gdyż sami Żydzi nie zdołali dotąd nigdy i nie zdobędą się bodaj na to, by swe interesy podporządkować interesom narodu, wśród których żyją”.

Jakie są możliwości walki z tak groźnym stanem rzeczy? D. wskazuje na dwa ośrodki, które mogłyby podjąć walkę z antysemityzmem : Kościół katolicki i Gomułka :

„Obecnie antysemityzm w odróżnieniu od przedwojennego objął szerokie masy ludowe wiejskie i robotnicze, przy mniejszym udziale inteligencji, przeto nie jest łatwo wskazać na „sfery”, które mogłyby przeciwdziałać wzrostowi antysemityzmu. Prasa jest tu najmniej pomocna, gdyż dopiero od niedawna zaczyna nieco zyskiwać na kredycie zaufania po jedenastu latach kompletnego i tragikomicznego serwilizmu. Zniszczona i zmęczona inteligencja

ma tu niewielkie możliwości, a to tym bardziej, że i wśród niej szerzy się antysemityzm, gdyż również i ona ma monżość obserwowania uprzywilejowanej sytuacji Żydów przy równoczesnej pauperyzacji szerokich mas narodu. Jedyne środowisko widziałbym w sferach katolickich wychowanych na etyce chrześcijańskiej i stosujących ją w życiu. Przywrócenie do urzędowania prymasa Wyszyńskiego mogłoby mieć znaczenie niemal decydujące dla poprawy obecnej sytuacji Żydów w Polsce. Również Gomułka, popularyzując w szerokich masach, mógłby przyczynić się do likwidowania antysemityzmu.

Na rewizję postawy politycznej i kulturalnej Żydów wobec samych siebie i społeczeństwa polskiego znów jest pewnie za późno, podobnie, jak to uznał przed 1939 rokiem jedynie Słonimski na łamach „Wiadomości Literackich”. Tym niemniej pewne rugowanie Żydów ze stanowisk oficjalnych jest nieuniknione w tej chwili z różnych względów, a przede wszystkim z racji skompromitowania przez Żydów operatywności ustroju i poderwania autorytetu rządów socjalistycznych w Polsce”.

Końcowy wniosek D. jest jednak beznadziejnie pesymistyczny:

„Narody i rządy państw anglosaskich winny zająć się poważnie realizacją pokojowej i kulturalnie przeprowadzanej emigracji Żydów z całej wschodniej Europy i Związku Radzieckiego z zapewnieniem im nowych, dogodnych gospodarczo terenów”.

Dodajmy nawiasem, że w tej sugestii odnajdujemy ślad jeszcze jednej antysemitkiej legendy: przemożnego wpływu Żydów na „państwa anglosaskie”... Przypomina się mimowoli powiedzenie Chruszczowa do Gomułki: „Agent Amerykanów i Sjonistów!” Oto, niestety, pewna wspólna piaszczyna Kremla i polskich antykomunistów...

Podobny wniosek w liście C.:

„Jaka jest droga wyjścia? Usunąć wspomnianą anomalie, doprowadzając do stanu, w którym udział Żydów w poszczególnych dziedzinach polskiego życia dojdzie do miary w przybliżeniu normalnej. Wtedy nadmiar Żydów, nie czujących się Polakami wyemigruje skwapliwie zagranicę, pozostali spolszczą się do reszty, a antysemityzm zniknie z korzyścią wielką nie tylko dla kosmopolitycznie rozumianego humanizmu, ale także dla wolności, twórczości, samostanowienia narodów i podniesienia stopy życiowej mas”.

Nie chcemy bynajmniej wytwarzać wrażenia że te cztery głosy z Kraju są „wyrazem polskiej opinii”. Artykuły w prasie krajowej i wypowiedzi wielu przyjezdnych z Kraju są dla nas dowodem, że istnieje wielki odłam polskiej inteligencji zdającej sobie sprawę z niebezpieczeństwa antysemityzmu i walczącej z nim na każdym kroku. Ponieważ jednak celem naszej ankiety jest obiektywne przedstawienie problemu, uważamy że cytowane listy, pochodzące od przedstawicieli lewicowej, antykomunistycznej inteligencji, wyrażają dezorientację, która panuje w tej dziedzinie.

POPRZEZ DWIE OKUPACJE

Przejdźmy do wypowiedzi emigracyjnych. Większa część nadesłanych nam listów polemizuje z oceną odpowiedzialności Polaków za eksterminację Żydów pod okupacją hitlerowską.

Najbardziej obiektywny w tonie jest tu list *Adama Uziembło*, z którego przytaczamy obszernie ustępy, tym bardziej że zawiera on nieuznawane przez większość opinii polskiej argumenty co do pozytywnej roli Żydów w naszej przedwojennej gospodarce:

„Że antysemityzm był ciężką chorobą, że wypaczył całą psychikę polską i wyrządził nam nieobliczalne szkody — to zdaje się już dziś nie ulega żadnej wątpliwości — bodaj że dla nikogo. Ale właśnie dla tego trzeba go traktować możliwie spokojnie i możliwie ściśle. Bo w tej sprawie zawiniли nie tylko politycy, którzy czynili zeń atut propagandowy, aby grać na najniższych instynktach mas do społecznego życia nie zaprawionych, ale i humanitarni liberalowie, którzy po prostu negowali sprawę żydowską. Po prostu przymykali oczy na takie zjawiska, że nasze miasteczka oddzielały chłopą od życia miejskiego, nie dawały możności wyjścia ze wsi nadmiaru sił. Nie stanowiły ośrodków życia kulturalnego w najszerszym tego słowa znaczeniu. Sprawy te bynajmniej nie potrzebowały ani gwałtu ani dyskryminacji — wymagały tylko naprawdę poważnej organizacyjnej pracy. Ale do tego trzeba było spojrzenia w oczy rzeczywistości i — świadomości, że wyprostowanie skrzywień musi się odbywać nie kosztem części ludności, ale z pożytkiem dla całej ludności. Ale warunkiem powodzenia była znajomość faktów.

Żydzi w Polsce nie żyli za darmo. Odgrywali oni w strukturze gospodarczej Polski rolę bardzo poważną. Nie mówię o tej części, która się asymilowała i wchodziła w skład narodu polskiego. Mówię o masie. Otóż przeszło 70% tej masy zajęta była pracą produkcyjną w drobnym rzemiośle lub chałupnictwie, którego zasadniczą cechą była niesłychana elastyczność — zdolność do przystosowania się do najgorszych warunków.

Bez żydowskiego sortownika np. nie do pomyślenia byłby nasz eksport szczeciny. Tylko tani rzemieślnik żydowski mógł zaopatrzyć wieś choćby w czapki. A i handel żydowski przystosowany był do niskich dochodów ludności. Dość powiedzieć, że kiedy koszt wędrowki towaru od producenta do konsumenta wynosił w handlu ok. i ponad 30% (w poznańskim np.), w Suwalszczyźnie spadał on do 12%. Można dużo mówić o lichocie tej obsługi handlowej, ale w warunkach ubóstwa wsi — taka tylko była jedynie dostępa.

Żyd kupiec na wsi był ponad to dostawcą kredytu. Łatwo znów powiedzieć — lichwiarskiego. Ale jak twierdził tej miary znawca sprawy co Franciszek Stefczyk — ten lichwiarski kredyt ratował chłopą przed jeszcze droższym i już zgoła niszczycielskim kredytem „sąsiedzkim”, którego cena teoretyczna w stosunku rocznym sięgała do 560% i więcej.

Nie tu miejsce na rozważanie bardziej szczegółowe tych rzeczy. Można jednak twierdzić z całą pewnością, że wytypienie tej masy żydowskiej przez Hitlera zadało ciężki cios naszej gospodarce społecznej i odebrało organizmowi Kraju odporność wobec nacisku komunistycznego. Dochodzące nas głosy zaniepokojenia z powodu zupełnego braku rzemiosła po miastach i miasteczkach — to są skutki zupełnego zniszczenia rzemiosła żydowskiego. Stalin dobrze wiedział, dla czego pomagał po cichu Hitlerowi w tępieniu Żydów w krajach, które podbił, lub podbić zamierzał.

Niestety, o tej pozytywnej roli Żydostwa w naszej gospodarce nie mówiono wcale. Stąd ten absurd, że naszywacza guzików na kartony w Częstochowie, albo sortownika szczeciny w Radzyminie, którzy wraz całą rodziną pracując, zarabiali niespełna 50 groszy dziennie — uważało się za pijawkę i pasożyta.

Materiały do tej sprawy gromadziła i spółdzielczość rolnicza i spółdzielczość spożywcza. Sporo ich posiada niewątpliwie Joint. Zanim więc zabierzemy się do „psychoanalizy” należy zestawić najzwyczajniejsze fakty sprawdzalne i jawne.

Ale — antysemityzm w Polsce istniał. W latach rewolucji usiłowały go zaszczepić rządy rosyjskie. Zorganizowani robotnicy stawili temu opór czynny. Powstawały specjalne pogotowia do zwalczania gromad „czarnej seciny” podwożonej przez policję tam i tu. Pogromy, które pomimo to urządzono (Siedlce) były dziełem wyłącznie umundurowanych oddziałów rosyjskich. Niestety, pewne kierunki polityczne w Polsce uchwyciły się antysemityzmu jako środka demagogii i bardzo wydawnie pomogły zaborcy zatruć naszą atmosferę i moralną i społeczną (*).

Czy istnieje antysemityzm na emigracji? Zapewne, przecież żyją i odgrywają rolę polityczną ludzie, którzy go w Polsce propagowali. Przyczili — to prawda. Ale często dlatego, że dziś w Polsce sprawa żydowska praktycznie nie istnieje.

Czy istnieje w Kraju? Fakty przytaczane przez „odwilżowców” powinny być dokładniej zbadane. Nie wiem, ile w tym jest prowokacji. Bo niewątpliwą prowokacją były i „rozruchy” antysemickie w Krakowie w roku 1945 i pogrom w Kielcach roku 1946. Jak można sobie wyobrazić bojkot dziewczynki żydowskiej w szkole obecnej? Czy to nie chodziło o skompromitowanie kogoś? Nie wiem — powtarzam. Co innego zjawiska antysemickie pod opieką Rokossowskiego, czy innego dygnitarza. To już łatwiejsze do zrozumienia. Wyrzuca się po prostu Żydów dla — zyskania popularności. To najwyczajniejszy chwyt polityków ściśle według wzorów wszystkich reakcjonistów od czarnej sotni począwszy. Co innego, że może to istotnie odpowiadać pewnym nastrojom i stwierdzać istnienie potencjalnego antysemityzmu...

... W środowisku żydowskim istniało poczucie odrębności i — obcości. Obcość ta była pielęgnowana i wśród wierzących w nadejście Mesjasza i przez działaczy sjonistycznych, i przez „narodowców” Jidisz i przez Bund. Wszystkie te grupy wysuwały tę odrębność nieraz bardzo stanowczo. Ogłosiły one m. in. neutralność podczas naszych walk o wschodnią granicę. A poseł Grünbaum po uchwaleniu ustawy o odpoczynku niedzielnym w handlu rzucił w sejmie groźbę: „W tej chwili straciliście Lwów i Wilno”. Nie będę sięgał w czasy jeszcze dawniejsze, do stosunku kahałów względem wojsk rosyjskich w epoce rozbiorów. Nie o to mi chodzi. Stanowisko tego rodzaju było podyktowane tak czy inaczej pojętym odrębnym interesem żydowskim. Nie zrobiliśmy z Żydów nie tylko Polaków, ale i obywateli polskich.

Przyjmowanie „radosne” wojsk sowieckich w 1939 roku należy właśnie do tego rodzaju objawów. Myli się p. Jeleński, dowodząc, że tak objawiała się radość z wyzwolenia od okupacji niemieckiej. W roku trzydziestym dziwiącym, a nawet czterdziestym jeszcze nikomu się nie śniło o krematoriach i o wytepieniu. Tysiące Żydów po wkroczeniu bolszewików usiłowało się przedostać od nich na okupację niemiecką w przekonaniu, że zastaną tam

(*) Rząd rosyjski przez masowe wysyłanie Żydów do Polski, spoza linii osiedlenia planowo zastrzelał sytuację.

warunki lepsze do przetrwania. I byli wśród nich nie tylko ludzie z ulicy, ale między innymi jeden z wybitniejszych dziennikarzy — Stefan Grostern. W wytepienie nie wierzono i nie chciano wierzyć nawet gdy już ghetta zostały zamknięte. Ba, kiedy przesłaliśmy szczegóły likwidacji ghetta w Krakowie (istotnie potworne) — w odpowiedzi od Jointu otrzymaliśmy ostre wyrzuty za szerzenie „Greuelpropagandy”. Powitania bolszewików były to przede wszystkim manifestacje odrębności, odcięcia się od tych, z którymi Sowiety prowadziły wojnę — od Polaków — zrzucenia z siebie odpowiedzialności za Państwo Polskie. Nie wolno udawać że się tego nie widzi. I trzeba od razu stwierdzić, że był to skutek naszej polityki i naszego antysemityzmu. Nie umieliśmy sprawy żydowskiej postawić na właściwej płaszczyźnie.

A w roku wybuchu wojny wyodrębnienie społeczności żydowskiej osiągnęło szczyt przez rozpisanie propagandy już zgoła programowej, wzywającej do krwi przelewu. Odepchnęła ona od nas nawet ludzi zupełnie zasymilowanych.

W tych warunkach nadchodzi okupacja niemiecka. Żydzi zostają pozbawieni praw cywilnych i odcięci w „Seuchengebiet ach”.

Już to doprowadza nawet naszych antysemitów do przytomności. W opinii polskiej obserwujemy zwrot. Gestapo przygotowuje ghetta. Polskie sfery prowadzą propagandę za niepoddawaniem się tego rodzaju wyodrębnieniu. Olbrzymia większość Żydów decyduje się jednak dać zamknąć. „Przecież jakoś przetrwamy”. A z tą chwilą pomoc społeczeństwa polskiego na szerszą skalę została uniemożliwiona — w tym samym niemal stopniu, co pomoc dla pojmanych w łapankach, lub zamkniętych w obozach koncentracyjnych.

Ale lekceważyć tej pomocy, której doznali ci, co nie poszli w zamknięcie nie można. Nie lekceważy jej pani Miriam Hochberg-Mariańska w swym liście. Ale z lekceważeniem odzywa się o niej p. Jeleński mówiąc, że była ona nikła, sądząc po liczbie ocalałych. Mówić w ten sposób może tylko ten, kto nie widział z bliska tej pracy. Osobiście zajmowałem się nią tylko niedługo. A jednak dostawałem całe skrzynki dowodów osobistych przeznaczonych dla ukrywających się Żydów. Były ich tysiące i to tylko dla Krakowa i jego okolic. Dostawałem całe skrzynki pieczęci na te dowody. A dostarczaniem ich zainteresowanym zajmowali się ludzie bardzo różni: robotnicy i inteligenci, i policjanci granatowi i listowi — a nawet trzech Niemców — w tym jeden prokurator. Moja rola w tym, powtarzam, była bardzo skromna. Ale — przyjrzałem się technice tej roboty i jej trudnościom.

Ratowało się tam nie człowieka walki, ale najczęściej jednostkę bierną o nerwach zszarpanych. Człowiek tego rodzaju, jeżeli został złapany zasympyal nieraz wszystkich, wskazywał komu dał na przechowanie klejnoty lub pieniądze. Ale nim został pojmany zdawał się robić wszystko, by wpaść. Widziałem osobę, którą nie tylko zaopatrzyło się w dokumenty, ale się umieściło w przedsiębiorstwie niemieckim pod opieką Treuhaendera. W pewnej chwili po prostu powiedziała, że nie może wytrzymać napięcia nerwów i poczęła paplać na prawo i lewo o swojej sytuacji. Widziałem inną, którą umieściło się zupełnie bezpiecznie. Już w pierwszych dniach poczęła sprawdzać, jak się do niej stosują nie tylko współlokatorzy i właściciel mieszkania, ale sam gospodarz domu. Kilka razy musieliśmy ją przenosić z miejsca na miejsce. Cud, że się uratowała. Ludzie czynni oczywiście trzymali się.

Że akcja ratunkowa nie przybrała rozmiarów szerszych tego przyczyna leży w odrębności żydowskiej.

Ale na naszą odpowiedzialność zapisuje się jeszcze coś więcej.

Po pierwsze udział w akcji wytepienia oddziałów policji granatowej i *Baudienstu*. Otóż jeszcze poważniejszy udział w tym brała — policja

żydowska — żółta. To kwestia psychozy przymusu. Tej gehenny jeszcze nikt dotknąć nie próbował. A policjanci granatowi — nie wszyscy oczywiście — przecie i do nas strzelali! A Oradour we Francji i rola Alzatzyków i — ułaskawienie ich!

Nie! za to społeczeństwo polskie winy nie może ponosić — jak nie ponoszą winy Żydzi za policję żółtą.

A dalej — szantaże na Żydach. Tego dopuszczali się żywioly kryminalne. AK karała to śmiercią. O takich rzeczach mówiono przy dzieciach tam, gdzie opowiadano o rabunku i kradzieży. I w tym samym tonie.

„Kultura” zapowiada ankietę. Chodzi o przeprowadzenie badań psychoanalitycznych na temat antysemityzmu. Nie wiem, czy czas na to. Chodzi o ustalenie faktów i o próbie do ich segregacji. A już i z szlachetnego w tonie listu pani Hochberg-Mariańskiej i z artykułu p. Jeleńskiego wynika, że te fakty jeszcze tłumaczymy sobie bardzo różnie.

Pani Hochberg wspomina o dzieciach polujących na wymykających się dzieciaków z ghetta. Widziałem, jak takie bandy gromadzili Gestapowcy. P. Jeleński powiada o wodzie sprzedawanej za złote monety. Szkoda, że p. Jeleński nie widział owych pociągów. Dostępu do nich broniły pistolety automatyczne i karabiny maszynowe. Przysną — nie odważyłem się podejść tam ze szklanką wody. Mógł się przy nich ktoś znaleźć przypadkowo. Znęcony pokazaną sztuką złota — mógł doskoczyć. Nie jest wykluczone, że akcję sprzedaży wody organizowali sami gestapowcy. To było jednak zjawisko zbyt wyjątkowe.

A bająskie zarobki na dostawach stałych do ghetta? W tym brało udział więcej Żydów niż Polaków. To szmugiel czy paskarstwo. Z antysemityzmem to nie ma nic wspólnego.

Powtarzam — zacząć trzeba od oceny faktów. P. Hochberg pisze, że na bezstronność trudno się zdobyć. Sądzę, że nie tak trudno, jak by się zdawało. Trzeba tylko wyrzucić z siebie resztki kompromisów ze zbiorową odpowiedzialnością, trzeba szczerze pogadać, aby każdy fakt postawić na właściwym miejscu”. (A. Uziębło).

Podobne uwagi o sytuacji Żydów podczas okupacji przesyła nam p. Stefan K. Ziemiński z North Easton, USA.

P. Bronisław Kustra z La Guaira, Wenezuela twierdzi że Polacy nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za wyniszczenie Żydów. Czy nie jest jednak charakterystyczna jego uwaga o „różnicy zasadniczej”? Wystarczy pomyśleć o sytuacji w której na likwidację byłoby skazane polskie społeczeństwo emigracyjne — chociażby w Wenezueli:

Wypadki brania udziału przez niektóre elementy w likwidacji Żydów nie upoważniają nikogo do wyrażania poglądów, że naród polski nie zdał egzaminu. W każdym społeczeństwie są szumowiny. W czasie wojny naród polski leżał w śmiertelnej agonii na równi z narodem żydowskim, z tą różnicą, że naród polski jest gospodarzem w swoim domu a Żydzi byli, niestety, niepożądanymi gośćmi. Różnica zasadnicza”.

P. Andrzej Michna usprawiedliwia zresztą antysemityzm, usprawiedliwiając właśnie dyskryminację przeciw Polakom na Zachodzie:

„Jeżeli dzisiaj w kraju szerzy się niechęć do Żydów, to przyczyn tego przykrego zjawiska nie należy szukać wyłącznie w psychice ludu polskiego.

Nie wyobrażam sobie Polaka na stanowisku ministerialnym w Izraelu. Jeżeli Polacy nie lubią na decydujących stanowiskach w administracji ani Niemców ani Moskali, to dlaczego mieliby się zachwycać Żydami? W swej wędrówce emigracyjnej nasłuchiwałem się już różnych: *bloody Pole, sale Polonais i mierda Polaco!* Taki jest świat. Czy miałem zacząć zalewać się łzami z powodu braku liberalizmu w świecie?

ANTYSEMITYZMU NIE MA

Dr W. Piotrowski z Chicago twierdzi po prostu że antysemityzm w Polsce nie istnieje:

„Ankieta „Kultury” bazuje się na całkiem — moim zdaniem — mylnym założeniu, że w obecnej Polsce antysemityzm rzeczywiście istnieje. Sama zaś treść ankiety i następującego po niej artykułu p. Jeleńskiego robią takie wrażenie, jakby „Kultura” pragnęła przesądzić z góry wynik ankiety. Dalej odniosłem wrażenie jakby „Kultura” pragnęła w drodze ankiety uzyskać szerokie potwierdzenie postawionej przez siebie tezy, że antysemityzm w obecnej Polsce nie tylko rzeczywiście istnieje, ale nawet wzrasta, zanalizować jego oczywiście tylko „polskie” źródła i rozważyć środki i sposoby z nim walki. W takim bowiem duchu są ułożone wszystkie tematy ankiety. Na nie tylko zapytani mają dać „krótkie wypowiedzi”. Nie ma natomiast pytania, które, moim zdaniem, powinno być postawione, jako pierwsze i zasadnicze. A mianowicie: „Czy antysemityzm w obecnej Polsce rzeczywiście istnieje?”

P. Cz. Stan. z Lens też nie godzi się na to żeby politykę dyskryminacji wobec Żydów nazwać antysemityzmem:

Dla p. Aleksandra Grobickiego „antysemityzmem” są tylko komory gazowe.

Najoptymistyczniej stawia sprawę p. S. Legeżyński z Londynu:

„Spora ilość Żydów, która bardzo mocno spojona jest z Polakami emigrantami, jest dowodem naszego filosemityzmu jak też sympatii czy nawet miłości Żydów do Polaków..

Tak na emigracji jak w Izraelu Żydzi mogli swobodnie pokazać co myślą i czują: „I owszem” było niewinnym żartem wobec tego morza zbrodni które rozlali hitlerowcy, podobnie jak „Żydzi do Palestyny!” w stosunku do miłosiernego przygarnięcia przez Polskę milionów Żydów z Rosji po pierwszej wojnie — a z Niemiec przed drugą.

Żydzi powinni (i myślę że czują to) być Polakom zobowiązani za wszystko co dla nich uczynili będąc filosemitami od wieków”.

ANTYSEMITYZM NA EMIGRACJI

Pocieszającą stroną naszej ankiety są liczne głosy dowodzące że na emigracji antysemityzm polski zanika.

Jeden p. *Czesław Arka* z Douai (Nord) notuje wypadki antysemityzmu, ale „politycznego” :

„W polskim życiu emigracyjnym antysemityzm istnieje i jest zakorzeniony dość głęboko, typu politycznego. Nie tyczy on Żydów francuskich lecz obsady P.C.K., urzędów konsularnych i prasy reżymowej. Przejawia się w stronienu emigranta od tych placówek”.

W artykule pt. „Emigracja odtrutką na antysemityzm” omawia naszą ankietę „*Związkowiec*” z Toronto :

„....W krajach dotkniętych podmuchem antysemityzmu Żyd był w najlepszym wypadku tolerowany jako przypadkowy i niemiły gość, w najgorszym — prześladowany jako niepożądany intruz. Ta perspektywa ulega odwróceniu z chwilą wyemigrowania za granicę : wychodziwo polskie, bez względu na jego liczbę absolutną i względną, jest w kraju osiedlenia typową grupą mniejszościową. Grupa ta przeto nie może dyktować swoich poglądów względnie narzucać swoich uprzedzeń narodowych większości mieszkańców kraju imigracyjnego. Co więcej, domagając się prawa kultywowania swojego języka, pielęgnowania swoich tradycji i w ogóle swobody organizowania swego życia zbiorowego, polska grupa etniczna w Kanadzie nie może występować na rzecz ograniczenia tej swobody, jeśli chodzi o Żydów. Wszyscy Polacy kanadyjscy wiedzą doskonale, że wszelka dyskryminacja, jakkolwiek ograniczony byłby początkowo jej zakres, musiałaby się w końcu obrócić przeciw nim samym.

Przewycięzenie moralne i świadome odrzucenie antysemityzmu, jako doktryny z gruntu fałszywej i opacznej, następuje jednak dopiero z chwilą poznania w osobistym doświadczeniu dobrodziejstw systemu demokracji kanadyjskiej. Przybysz szybko spostrzega, że podstawą tego systemu jest jak najszerzej pojęta i praktykowana tolerancja dla każdej odrębności narodowej, językowej i rasowej pod warunkiem respektowania praw i instytucji Kanady. Przyswojenie sobie wartości moralnych demokracji kanadyjskiej prowadzi nieuchronnie do potępienia ekskluzywizmu narodowego. Kanada uczy emigranta, że stosunki międzyludzkie i międzygrupowe można i należy oprzeć na wręcz odmienniej zasadzie dopuszczenia wszystkich do wspólnoty narodowej, dostatecznie wielkoodusznej, by dopuścić nie zakłócające harmonii zbiorowej odrębności etnicznej”.

GŁOSY ŻYDOWSKIE

Z pewnością jedną z odtrutek na antysemityzm byłoby dla Polaków poznanie Izraela. Wybitny izraelski dziennikarz opowiada nam o wizycie w Izraelu polskich marynarzy, których sam oprowadzał :

„...Trudno im było uwierzyć, aż się przekonali, że zwykły robotnik jest lepiej urządzony i lepiej żyje od przedwojennego urzędnika w Polsce... I wtedy jednemu z marynarzy, zupełnie prostemu i bez wykształcenia, wy-rwało się: „Panie! ja tam nie bardzo lubię Żydów, ale niech Matka Bos-ka broni tego, co teraz złe słowo na Żydów powie: mordę skuję!”.

Ten marynarz i jego koledzy już nigdy z antysemityzmem nie wspólnego mieć nie będą. Tego samego zdania są też Polacy żyjący w Izraelu i ci co go odwiedzają. Miara tolerancji, uprzej-mości i kulturalnego podejścia — bezinteresownego, kruszy naj-głębiej nawet zakorzeniony antysemityzm zwiedzającego Po-laka.

P. *Moses Parientes* z Wichita, Kansas, USA, bierze w obro-nę... polski antysemityzm :

„...Chciałbym zaproponować dodatek do ankiety, a mianowicie: „Kul-tura” powinna się zwrócić do niezależnie myślących Żydów z apelem żeby się wypowiedzieli w tej sprawie biorąc w obronę Polaków. Polacy wobec Żydów są na terenie międzynarodowym bezbronni. Poza tym tak jak istnieje uzasadniony i nieuzasadniony antysemityzm, tak samo istnieje antypolski kom-pleks żydowski, wśród dużej grupy społeczeństwa żydowskiego”.

P. *Parientes* uważa że artykuł Jeleńskiego jest „histerycz-ny” i że można szereg punktów wysunąć „w obronie antysemi-tyzmu polskiego”.

Inny dziennikarz izraelski pisze :

„Przyznam szczerze : nie zachwyca mnie pomysł ankiety. Znów po-toczy się mętna fala demagogii, wzajemnych oskarżeń, babrania się w za-dawnionych ranach przeszłości. Cui bono?”.

Dr *Fryderyk Godschlag* z Sydney (Australia) zwraca uwagę na związek pomiędzy antysemityzmem i kompleksem niższości :

„Geniusz każdego narodu wydaje własną odmianę antysemityzmu, nie-raz charakterystyczną i oryginalną, często plagiatową tylko. Narody prze-świadczane o własnej wartości i posłannictwie kulturalnym nie przejawiają antysemityzmu, nie obawiają się konkurencji, nie zazdroszczą bliźniemu, nie gleichszaltują świątyń pańskich. Żadna propaganda ani nawet próby ofi-cjalnego przymusu nie zdołają zachwiać tą wspólną, pełną godności postawą takiego społeczeństwa. Anglia i Włochy mogą służyć za przykład. Narody cierpiące na przewlekły kompleks niższości znajdują idealne ujście w nie-nawiści, najchętniej i najłatwiej skierowanej do bezbronnego przedmiotu a więc do Żydów. Wszystkie zawody, niepowodzenia, potknięcia przypi-suje się „wrogom Chrystusa”...

I, dalej, kilka uwag co do antysemityzmu w dzisiejszej Polsce i środków jego zwalczania.

„Antysemityzm w obecnej Polsce : Niewątpliwie komunistyczna, poli-tyczna robota, mająca na celu dywersję i przygotowanie kozłów ofiarnych. Przydadzą się Stalinowcom i Odwilżowcom. Ale to jedna strona medalu.

Druga to śmiertelne drgawki epileptyczne wymierającego, antysemityzmem przeżartego pokolenia, wychowanego na endecko-oenerowskiej religii nienawiści”.

... Więcej mię cieszą odważne głosy Broszkiewicza, Kadena, Ważyka i innych aniżeli smućą wybryki hien kobiecych, hańbiących swym postępowaniem tak zaszczytny zawód jak nauczycielski.

Kto może przeciwstawić się antysemityzmowi? No każdy przyzwoity człowiek, przede wszystkim każdy dobry Polak. Nawet każdy nie najlepszy Polak, ale już po szkodzie. Bo antysemityzm wyrządził nam takie szkody, że na więcej nie możemy sobie pozwolić. Naturalnie, że szkoła i kościół są powołane do obrony kultury i religii. A w nie godzi antysemityzm”.

PSYCHOZA I TRADYCJA

Cztery odpowiedzi które otrzymaliśmy usprawiedliwiają, naszym zdaniem, rozpisanie ankiety, gdyż dotykają, z różnych stron, samego sedna problemu.

Zacznijmy od wypowiedzi o charakterze anegdotyczno-historycznym, tym bardziej cennej, że autor jej, p. *Cass P. Nowak*, z własnego doświadczenia zna najgłębsze korzenie polskiego ludowego antysemityzmu :

„Ileż to razy przyszło mi się wstydzić, rumienić jak cnotliwej pannie, „języka w gębie zapominać”, właśnie z powodu polskiego antysemityzmu. Niedawno w fabryce (jestem majstrem w narzędziowni, przy jednej z wielkich fabryk samochodowych w Detroit) miałem spór z pewnym Niemcem. Niemiec ten jest hitlerowcem bardzo podłego gatunku. Cdy się nieco rozgadało o obozach koncentracyjnych, o mordowaniu ludu, o antysemityzmie, mój Niemiec począł mi udawadniać, że Polacy są antysemitami jeszcze gorszego kalibru niż Niemcy — i począł przywoływać się na świadectwa pracujących z nami polskich emigrantów. Wynik? Lepiej o tym nie pisać... co tu dużo mówić, ten Niemiec miał sporo racji! Polacy są antysemitami nie tylko z przekonania, ale i z zawodu i powołania. Antysemityzm polski nie jest na pewno tak systematyczny, żywiołowy, a równocześnie planowany i przemyślany jak niemiecki, nie jest tak okrutny jak antysemityzm Rumunów czy Litwinów, nie tak zwierzęcy czy raczej bydlęcy — jak ten jaki objawiał się w wychowanych w ojczyźnie chłopów i robotników żołnierzach armii Własowa — ale to do jasnej cholery mała i żadna pociecha! Antysemityzm ten jest i to bardzo, bardzo głęboko zakorzeniony”...

....Polska jest krajem chłopskim. Tradycje demokratyczne są raczej bardzo a bardzo młode. Sam znałem osobiście chłopów którzy chodzili na pańszczyznę, widziałem takich, którzy pokazywali swe plecy pełne znaków po włódarkim knucie. Pamięć po pańszczyźnie jest na wsi jeszcze bardzo świeża, świeższa niż to wielu z nas sądzi. Z pańszczyzną związany jest system karczmarzy, arendarzy, szynkarzy. W każdej dosłownie wsi stała karczma, a jej właścicielem czy dzierżawcą był zawsze Żyd. Był on nie tylko karczmarzem, ale i powiernikiem, agentem, sojusznikiem, często i szpiegiem dworu przeciwko chłopu. Dla chłopu, ten Żyd biedujący często nie lepiej niż pańszczyzniany chłop, był symbolem zła i oszustwa. Chłopi na pewno nie kochali szlachty, ale ich niechęć tępiła wspólnota religijna, więzy językowe

i mocniejsza ponad wszystko ochrona kleru. Ksiądz nie tylko rozgrzeszał dziedzica. Ksiądz go jeszcze malował w najpiękniejszych kolorach. Za to ci Żydzi! Nie tylko że to szachraje na codzień, a służy Antychrysta na święto — to, to także mordercy Pana Naszego. W tym duchu nauczano polskiego chłopca od lat czterystu przynajmniej. I dziwić się tu teraz antysemityzmowi na wsi! W chłopie drzemie antysemityzm jeszcze z czasów karczmy w każdej wsi...”

„....Nie starczało w przeludnionej i biednej Polsce chleba na wsi, musiało go tedy i brakować w mieście i miasteczku. Tylko analfabeta polityczny mógł sądzić, że przez usunięcie Żydów coś się naprawi. Nikt jakoś nie myślał o tym, że Żydzi to część Narodu i że przez ich wkład kraj może się podnieść na nogi tak samo jak przez wkład Kaszubów, Ślązaków i Kurpiów. Strach ekonomiczny zaślepił ludzi w małych miasteczkach, spychał ich w antysemityzm typu bezmyślnego, zwierzęcego. Przypomina mi to żywo sytuację Murzynów w mojej drugiej ojczyźnie, ojczyźnie z wyboru nie urodzenia. Największe nastawienie antymurzyńskie mamy na południu, a zwłaszcza w tak zwanym Piedmoncie, bardzo biednym i przeludnionym dystrykcie Virginii i obydwu Karolin gdzie Murzyni stanowią poważną konkurencję ekonomiczną. Pisał o tym Faulkner niedawno, wspominał w *Atlanticu* Mc Gill...”

„....Antysemityzm chłopski typu bezmyślnego i antysemityzm małomiaszeczkowy typu ekonomicznego — lub raczej zazdrościowego były filarami na których wyrósł potwór polityczny naszych czasów: polski antysemityzm polityczny. Antysemityzm ten czerpał obficie z tradycji naszego polsko-katolickiego kościoła.

P. Nowak widzi następujące metody przeciwdziałania antysemityzmowi:

„A kto mógłby w Polsce zwalczać antysemityzm? Jedna tylko grupa ludzi. Kler katolicki. Dlatego, że wpływ księży jest największy, najgłębiej sięgający. Kler może wytrzebić antysemityzm z korzeniami, wysuszyć jego źródła. Pisanie o tym w prasie krajowej nie wiele pomaga a wiele szkodzi. Prasa krajowa jest bowiem czytana na opak. Parę listów pasterskich Episkopatu teżby pomogło. Antysemityzm istnieje na emigracji. Wielu z przyjezdnych tu do Ameryki „dipisów” ośmiesza się i oczernia dobre imię Polski swymi antysemitycznymi oświadczeniami, składanymi zwykle ochotniczo, bez prowokacji i zaproszenia. W prasie polonijnej w Ameryce antysemityzmu nie widać, z wyjątkiem może jednego pisma. Poza hałaśliwymi wystąpieniami jednostek — i to zwykle dopiero co przybyłych z Europy, zorganizowanego antysemityzmu nie ma wśród Polonii amerykańskiej. Istnieje może niechęć do Żydów, antysemityzm chłopski, atawistyczny, tu wyrażający się w opowiadaniu o Żydach którzy dzieci zabijają na „matzos”, ale wyłącza on nienawiść do jednostek. Rola emigracji w zwalczaniu antysemityzmu może być kluczowa. Ci co nie posłuchają apelów prasy krajowej nadstawia ucha, gdy na ten temat odezwie się silny i SZCZERY głos emigracji. Trzeba o tym pisać w prasie emigracyjnej. Trzeba pisać w listach do kraju. Nasz głos może dotrzeć do kraju i dotrze na pewno — o ile będzie zgodny i szczery. A co ma się ludziom w Polsce o tym powiedzieć? Powiedzieć im trzeba że na kulturalnym zachodzie antysemityzm uważany jest za rozrywkę głupców, czubaryków i buszmenów. Przedstawić Polsce życie Ameryki gdzie 60 narodowości żyje jeśli już nie w zgodzie, to przynajmniej w ucywilizowanych stosunkach. Trzeba też aby emigracja pisała więcej o doli Żydów podczas ostatniej wojny. To zupełnie przemilczany temat”.

Rafał Malczewski podchodzi do antysemityzmu w sposób jak zawsze oryginalny i bezpośredni, ale z głębokim pesymizmem :

„Jako niepytany czytelnik zabieram głos w ankiecie „Kultury” w sprawie antysemityzmu. Moim zdaniem pytanie skierowane do „szeregu przedstawicieli polskiego życia na uchodźstwie” powinno brzmieć krótko i po prostu : Dlaczego Pan (Pani) jest antysemitą?

Takie pytanie trafiłoby nieomylnie w sedno sprawy. Samo znajdowanie się po tak zwanej stronie „Wolności” nie umniejsza naszego zakłamania w różnych dziedzinach jak też w sprawie antysemityzmu, naszego grzechu z pogranicza nikczemności.

Zdajemy sobie dobrze sprawę, że każdy Polak jest antysemitą, często mieszaniec polsko-żydowski, nierzadko krypto-Żyd a nawet Żyd wychowany w Polsce.

Przy naszej miękkości i niekonsekwencji, „złotym sercu” itd., obraz jest bardziej zamazany niż jakby na to wskazywała niesłyszana wśród Polaków stuprocentowa zgodność jeżeli chodzi o antysemityzm. Oczywiście istnieją setki odcieni i niuansów polskiego antysemityzmu, poczynawszy od wielbicieli hitlerowskich metod aż po lukrecję hipokryzji posypane sympatie dla „dobrze sprawujących się” Żydów. Ponadto jeżeli chodzi o emigrację polityczną antysemityzm nie zaznacza się tak ostro, miarkowany korzystaniem z usług żydowskich, jak też zatrudnieniem wielu Polaków w przedsiębiorstwach żydowskich.

Jeżeli chodzi o opinię Polaków w kraju, to sądząc po listach pisanych szerze, zniszczenie trzech milionów Żydów w Polsce nie zmieniło stosunku między dwoma odłamami obywateli państwa polskiego”.

Pytanie postawione w sposób jak podałem powyżej, skłoniłoby niejednego z przedstawicieli życia polskiego na uchodźstwie do zastanowienia się w jakich ciemniach jego podświadomości rodzi się JEGO antysemityzm. Na pytanie zaś jakie postawiła Redakcja mogliby odpowiedzieć psycholodzy, psychiatry, psychoanalitycy, socjologowie, itd., słowem specjaliści uczeni. Nie tak zaraz zapewne i nie tak łatwo. Sposobem zaś jakim Redakcja pomyślała można dorobić się co najwyżej igraszki literackiej.

Zagadnienie polskiego antysemityzmu podobnie jak np. stosunek białych Amerykanów do Murzynów wymaga głębokich studiów. Wyniki naukowych badań nie potrafią rozwiązać społecznego zagadnienia tych spraw. Wkraczamy wobec tego w zagadnienie moralności i nakazów wiary. Iluż ludzi kieruje się nimi?! Może jeden, może dwóch?”

Marian Pankowski tłumaczy uniwersalizm polskiego antysemityzmu jego aspektem magicznym :

„Żyd, pomimo iż jest częścią bożego Stworzenia, jest dla nas, Polaków, istotą nieczystą. Czego by nie dotknął, gdziekolwiek by nie wszedł — gesty jego czy też po prostu obecność mają własności kalające. Na ulicy wielkiego miasta mijają nas mężczyźni i kobiety. Patrząc na nich, myślimy: „jakiś urzędnik”, albo : „temu na pewno nie brak pieniędzy”, czy też : „Boże, jaki świński blondyn!”. Skoro jednak zbliża się ku nam istota o ciężkich powiekach, wypukłych oczach i ciemnych, twardo skręconych włosach, nie tworzymy wówczas — jak powyżej — obrazów interpretujących, rozwijających pierwsze doznanie, lecz myślimy magicznie : Żyd! W aurę, gdzie wszystko współistniało harmonijnie, wtargnęło naraz coś innego. Dlatego też, pragnąc zażegnać ranę zadaną naszemu światu, nazywamy to coś słowem nagłym, zaklęciem. W wyobraźni Polaka jednemu

temu słowu odpowiada mnóstwo obrazów odwartościowujących, jak np.: brud, pejsy, śledzie, broda, chajder, lichwa itp. Prymitywni, bronimy się instynktownie, rzucając w stronę zagrażającego nam intruza słowo spychające w dół, słowo, dzięki któremu to coś, owa żydowskość nieczysta, nie zdąży zaistnieć jako człowiek, jako jednostka o indywidualnej charakterystyce.

Żyd jest istotą kalającą. („Mądrość” naszego ludu posiada w swym skarbcu takie oto życzenie: „Bodajś Żydom wodę nosił!” Pamiętam z jaką pogardą wyrażali się dorośli o kimś, kto rzeczywiście nosił, a raczej sprzedawał Żydom wodę.)

Podczas okupacji niemieckiej, w jednym z miast Belgii rodzina flamandzka przygarnęła żydowską sierotę. Dziecko zostało adoptowane i ochrzczone. Mówiło po flamandzku i francusku, zapominając macierzysty *jidisz*. Ale — jak się to zdarza u dzieci polskich Żydów — przechowało pamięć o Kraju młodości swych rodziców. W 1948 piętnastoletnia wówczas panna A. zapragnęła tam pojechać. U kresu długiej podróży znajdowała się mała stacyjka w krakowskim. Stąd wozem dojechała do wioski N. Do kogo miała się zwrócić, nikomu nieznana? Udała się na plebanię. Ksiądz przyjął ją bardzo serdecznie i zaofiarował gościnę. Nazajutrz była niedziela. Stała w tłumie chłopów, i w polskim kościółku modliła się po flamandzku za swych żydowskich rodziców.

..... Po przyjęciu Komunii św. klęczałam chwilę przed ołtarzem, po czym, jak inni, wróciłam w głąb nawy. Nie zdążyłam jeszcze otworzyć książeczki, gdy kobieta stojąca obok mnie stanęła naraz przede mną, ale tak że musiałam cofnąć się nieco. Cofnęłam się mechanicznie, nawet nie myśląc, że zachowanie jej mogło być zamierzone. Ale zaraz potem jakiś mężczyzna, jakby chcąc się precyzyjnie tuż przede mną, stanął tak, że znowu musiałam się cofnąć. Za trzecim razem, kiedy jakiś chłopak ponownie odepchnął mnie w tył, zaczęłam pojmować. Zresztą ludzie ośmielili się na dobre. Środkiem kościoła, tam gdzie zbiega się tłum kobiet i mężczyzn, dosłownie wykopywano mnie w stronę wyjścia. Wykopywano, gdyż po pierwszych, niby przypadkowych potrąceniach następowały nowe, coraz brutalniejsze. Po chwili, mając sandały zadeptane od ich ciężkich butów, na wpół przytomna ze wstydu i żalu, znalazłam się przed kościołem...”

I tym razem ludzie, ludzie prości, *instynktownie* obronili „zdrowie” gminy zagrożone pojawieniem się *nieczystego*. Ani sieroctwo i pielgrzymka do ziemi ojca i matki, ani nawet sakrament Komunii św. nie zdołały oczyścić istoty skalanej. Skalanej od czasu, kiedy nasz Pan Jezus umarł *przez nich* na krzyżu. Skalanej i kalającej wszystko po wszystkie dni świata.

Pisząc niniejszą odpowiedź na ankietę, zająłem się wyłącznie i świadomie *antysemityzmem „magicznym”*, ten bowiem uważam za formę stokroć groźniejszą i bardziej rozpowszechnioną niż *antysemityzm ideologiczny* (Rosenberg, O.N.R.), bądź odmianę tegoż antysemityzmu, będącą wyrazem wrogości i nienawiści (Arabowie, stalinowcy)“.

Maria Czapska rozwija niektóre myśli p. Nowaka, dotyczące stosunku polskiego katolicyzmu do Żydów. Pod tytułem „Pro Perfidis Judeis...” przesyła nam ona następujące uwagi:

„Na temat jednego tylko pytania ankiety ogłoszonej przez „Kulturę” (Nr 9/107) chciałabym zabrać głos, mianowicie na pytanie: jakie sfery mogłyby przeciwdziałać wzrostowi antysemityzmu w Polsce. Nie będzie to zresztą odpowiedź, a dalsze jedynie pytanie.

Istotne, często głębokie porozumienie pomiędzy Polakami a Żydami istniało wśród inteligencji postępowej jednej i drugiej strony, a porozumienie to, sięgając epoki pozytywistycznej, miało piękne tradycje. Ale tak Żydzi

jak i Polacy tej klasy byli na ogół elementem bezwyznaniowym, leżącym na peryferiach mas obu narodów i z tych mas częstokroć wyłączeni. Masa katolickiego ludu polskiego i skupiska ortodoksyjnych Żydów nie mieli ze sobą przeważnie nic wspólnego poza interesem pieniężnym. Duchowieństwo i prasa katolicka, dla tych mas przeznaczona, nie przeciwstawiała się antysemityzmowi w imię zasad miłości bliźniego, przeciwnie, wykazując niebezpieczeństwa „żydo-komuny” i „żydo-masonerii”, ostrzegając przed podwójną etyką Talmudu podsycala wrogość i podejrzliwość Polaków do całego Izraela, odgrodzzonego od nich, w swej masie, wiarą, językiem i obyczajem, narodu najstarszego cywilizacyjnie ze wszystkich narodów europejskich.

Ekscesy antyżydowskie pod wodzą fanatycznych duchownych sięgają korzeniami w daleką przeszłość Kościoła katolickiego. Każdego roku w okresie Wielkiego Tygodnia masy polskiego ludu wierzącego słyszały i słyszą w kościołach opisy męki i śmierci Chrystusa, zadane mu przez Żydów. Wielkie święta chrześcijańskie bywały nieraz dniami śmiertelnej trwogi dla Żydów.

Raz tylko do roku liturgia katolicka modli się publicznie za Żydów. W W. Piątek, zaraz po odśpiewaniu Męki Pańskiej wedle św. Jana następują uroczyste modlitwy za Kościół, papieża, biskupów, naczelników państw, więźniów wszystkich stanów, więźniów, chorych, podróżnych, za heretyków i schizmatyków, wreszcie za Żydów, po których wymienieni są już tylko poganie.

A modlitwa ta brzmi: *Oremus et pro perfidis Judaeis, ut Deus et Dominus noster auferat velamen de cordibus eorum, ut et ipsi agnoscant Jesum Christum, Dominum nostrum.* (Módlmy się także za Żydów wiarołomnych, aby Bóg i Pan nasz zdarł zasłonę z ich serc, iżby i oni poznali Chrystusa Pana naszego).

Perfidi tłumaczone jest po polsku na wiarołomni albo przewrotni, po francusku na *perfides* albo *infidèles*. (Odmiany wprowadzone do liturgii Wielkotygodniowej w bieżącym roku pozostawiły przymiotnik *perfidi* w tej modlitwie bez zmiany).

Żydzi w rozproszeniu zostali poprzez wieki wierni Bogu Jedyjnemu i prawu Mojżeszowemu, żadnej nie łamali wiary. Tych co uczcili Boga w Trójcy Jedynej zasymilowały bez reszty narody ich osiedlenia. Tamci byli nadal prześladowani za swoją wiarę w Boga Jedyne.

Wieńc dlaczego *perfidi* (przewrotni, wiarołomni)?



*Ty jesteś w Europie poważny narodzie
Żydowski jak pomnik strzaskany na Wschodzie,
Swojem i gdy złomki wszędzie się rozniesie,
Na każdym hieroglif unosząc odwieczny... (*)*

Jak to się stać mogło, że wspólność źródeł religii mojżeszowej i chrześcijańskiej nie stworzyły więzi pomiędzy wierzącymi katolikami i ortodoksyjnymi Żydami! Dla czego Kościół w Polsce, jak mi się zdaje, nie przyczyniał się do tego? Dlaczego braci Tharaud, najzupełniej obcych i nieświadomych tych spraw uderzyła i zastanowiła ta fantastyczna wierność strzaskanego i rozproszonego narodu, wierność dobrowolnie przez wieki zachowana w cieniu kościołów i krzyżów?

Dlaczego tak niewielu nas katolików zdołało dojrzeć i odczytać ów hieroglif odwieczny? Dlaczego bardzo tylko nieliczni Polacy znali język żydowski (jidisz), mogli śledzić ich prasę, poznać ich literaturę?

(*) C. Norwid: *Żydowie Polscy* 1861.

Gdybyż wierni w kościołach słyszeli nie tylko o Żydach winnych śmierci Chrystusa, ale o *Żydach* apostołach i uczniach Jego, o Żydach wielkich patronach Kościoła, i pierwszych męczennikach, o pierwszych gminach chrześcijańskich na Wschodzie, o kolebce Kościoła wiary i krwią Żydów, pierwszych wyznawców, ugruntowaną — może pogromy nie byłyby wtedy do pomyślenia?

Gdyby katolicy nie usunęli ze swej pamięci, że Matka Boska, patronka niezliczonych po całym świecie kościołów, ta z Lourdes i z Jasnej Góry, i z Ostrej Brama, z obrazów, posągów, i medalików była Żydówką, w świątyni Salomona wychowaną — to może młodzież akademicka pielgrzymująca do Częstochowy, aby składać śluby wierności Królowej Korony Polskiej nie dopuszczałaby się następnie gwałtów na narodzie żydowskim? I może żołnierze polscy w 1920 roku nie obcinaliby bród i pejsów Żydom w kresowych miasteczkach, ściągając na swoje głowy ich zemstę w 1939, nie wystawialiby ich na pośmiewisko gawiedzi, gdyby wiedzieli, że te brody i pejsy to rękojmia przymierza z Bogiem, to święty symbol wiary, jak dla nich krzyżyki, medaliki i szkaplerze. Gdyby lud nasz pamiętał że nędzne „kuczki”, które sobie Żydzi klecili późną jesienią na balkonach miejskich kamienic i na zabłoconych podwórkach naszych młynów i karczem, budy kryte słomą lub gałęziami świerczyny zamiast „gałązek palmowych... i wierzbiny od potoku” były symbolami namiotów pustyni egipskiej — to by może nie rozbijał kamieniami nędżnych szałasów?

I w kuczkach mieszkać będziecie przez siedem dni, każdy zrodzony w Izraelu... aby wiedzieli potomkowie wasi iżem w namiotach kazał mieszkać synom Izraelskim, gdy ja wywiódł z ziemi Egipskiej, ja Pan Bóg wasz. (Lev. 23,42-43).

Ale księża znający Stary Testament nigdy nam nie mówili o Zakonie Mojżeszowym.

„Czarnym Łądem” zatytułowała Wanda Melcer książkę o wynaturzeniach obrzędowości żydowskiej, o przesadach tej ciemnej masy, o martwej literze obowiązujących ją przepisów, o brudzie i braku higieny tych praktyk. Ale dla Wandy Melcer obrzędowość katolicka była prawdopodobnie również stekiem przesądów i pozostałością po ciemnym Średniowieczu. Wierzącą katolik znalazłby na tym „Czarnym Łądzie” niejedno źródło żywej mistyki religijnej, przekazywane z pokolenia w pokolenie, utajone w mroku biednych wsi i małych miasteczek. Ale nikt, lub prawie nikt z katolików, nie znał języka ani obyczajów tego narodu z którym żyliśmy pod tym samym niebem od wieków.



Pamiętam późne wieczory w Bibliotece Publicznej na Koszykowej i nisko schylone pod zielonymi umbrami lamp głowy młodzieży żydowskiej zaczytanej w dziełach Marksa, Engelsa, Lassale'a, Lenina. Na fiszkach leżących przy moich książkach odczytywałam ich adresy. Gęsia, Towarowa, Żelazna, Twarda... Z dalekiej dzielnicy północnej ściągala tu ta młodzież w poszukiwaniu nowej wiary i nadziei. Dziś niejedna z tych, których spotykałam trzydzieści lat temu na Uniwersytecie i w bibliotekach, z tych którzy na proseminarium prof. Klejnera wybuchnęli śmiechem kiedy nam profesor zalecał znajomość Biblii, nieodzowną dla kultury literackiej — niejedna z nich zajmuje w Polsce Ludowej odpowiedzialne stanowisko. Zawierzyl nowemu Zakonowi i nowej Ojczyźnie, które miały ich wreszcie uobywatelić i z resztą narodu porównać.



W latach wyniszczenia Żydów polskie seminaria i klasztory dały wielu z nich przytułek i bezpieczeństwo. Kilka dziesiątków tysięcy Żydów przeżyło w Polsce lata hitlerowskie; ilu z nich zawdzięcza swoje przetrwanie Polakom, którzy życie swoje kładli za nich, ilu drogo kupiło sobie opiekunów i kryjówki, a ilu zginęło z winy polskich donosicieli i szantażystów? Tego nikt nie wie, i nikt nie obliczy. Ale ta najstraszniejsza w świecie zbrodnia, która się spełniła na ziemi polskiej nie obaliła muru obcości dzielącego oba narody, nie wytepiła wzajemnej wrogości, zakorzenionej w tyłu sercach. Dla tego krew pomordowanych ciąży na sumieniu katolickiej Polski za brak miłości, tej co odmienia wewnętrznosci ludzkie, za obojętność jednych, za udział w zbrodni drugich.



Na niwach gdzie nasz ród ma siedlisko — mówił Mickiewicz — ...mieszkają miliony ludu znanego całemu światu... ludu starszego od wszystkich ludów cywilizowanych, miliony Izraela, który ze swoich bóżnic nie przestaje od wieków wołać krzykiem z jakim nic w porównaniu iść nie może... (**).

Nie ma już tych milionów. Zagasły w Polsce świeczniki szabasowe, święte księgi spłonęły, cmentarze zaorano, a nagrobki poszły na kamień drogowy. Czy w zachowanych synagogach woła ktoś jeszcze ku niebu tym „rozdzierającym krzykiem”?



Odwet za kłamstwo i nieprawość ostatnich lat Polski Ludowej zagraża dziś znowu Żydom, odwiecznemu kozłowi ofiarnemu, odwiecznemu wśród narodów tułaczowi.

Czy jeszcze czas by zapobiec nowej hańbie i czy Kościół Katolicki w kraju, silniejszy i żywotniejszy niż kiedykolwiek, podejmie świadomie walkę z rosnącym antysemityzmem w poczuciu swojej chrześcijańskiej odpowiedzialności? (Maria Czapka).

Pomiędzy zapowiedzią naszej ankiety i ogłoszeniem jej wyników doszły nas nowe echa wzrostu antysemityzmu w Polsce. Część kwiatu polskiej inteligencji zawodowej — uczeni, lekarze — zastanawia się poważnie nad opuszczeniem Polski, ze względu na swoje żydowskie pochodzenie. Oto „tragizm” pełnej i od danej asymilacji, o którym wspominał jeden z naszych korespondentów krajowych. Znana lekarka, Żydówka z pochodzenia, najlepsza polska patriotka i działaczka społeczna, pisze nam z Kraju:

„Za każdym razem gdy moje wnuki wracają ze szkoły drzę: czy wyśnawiano im dziś od parszywych Żydów? Trudno jest opuścić ojczyznę którą się kocha. Ale czy wolno skazywać dzieci i wnuków na miłość tak pełną goryczy?”

(**) Wykl. Liter. Słow. Lekcja 26. XII. 1843 r.

Przed paroma dniami rozmawialiśmy z jednym z Francuzów, którzy uczestniczyli w polsko-francuskim seminarium ekonomistów na Sorbonie. Podczas seminarium zwrócili się do niego dwaj młodzi polscy uczeni z zapytaniem: — „Dlaczego wśród francuskich wykładowców jest tylu Żydów?” — „Mieli na myśli między innymi Friedmana i Lévi-Straussa” — śmiał się nasz znajomy Francuz. — „Starałem się im wytłumaczyć, że nikomu z nas nie przychodzi na myśl że są oni Żydami, tak jak oni nie myślą że jestem katolikiem z Bretanii. Są to po prostu nasi najlepsi w swych dziedzinach uczeni”.

To pytanie młodych, „postępowych” uczonych — bodaj członków partii komunistycznej — jest jeszcze jednym dowodem siły „żydowskiego kompleksu” wśród Polaków.

Antysemityzm polski przejawia się niewątpliwie na dwóch płaszczyznach — świadczą o tym zresztą liczne głosy z Kraju. Jedną z tych płaszczyzn jest mroczne podłoże narodowej, ludowej podświadomości, tak silnie uwydatnione przez *Cass P. Nowaka* i *Mariana Pankowskiego*. Drugą płaszczyzną jest nacisk sowiecki, sowieckie wpływy, działalność sowieckich agentów i stalinowców polskich. Antysemityzm w ZSSR przybiera przeraźliwe rozmiary. Mimo że śmierć Stalina uniemożliwiła wykonanie zamierzonego planu zesłania wszystkich Żydów do obozów koncentracyjnych, mimo że „kolektyw” zrehabilitował żydowskich lekarzy, których proces miał być sygnałem podjęcia przez Kreml polityki eksterminacji Żydów, antysemityzm w sowieckim życiu nie tylko nie zanika, ale wciąż wzrasta. Wspominał o nim *Z.K. Brzeziński* w swoich notatkach z Rosji w grudniowym numerze „Kultury”. Podobnych świadectw mamy bardzo wiele. Na ukraińskich uniwersytetach sowieckich istnieje w stosunku do Żydów faktyczny „*numerus clausus*”. Żydowska młodzież z Ukrainy, chcąc się uczyć, musi udawać się na uniwersytet w Alma-Acie. Nierzadkie są antysemickie incydenty na ulicy. Jeden z francuskich pisarzy, który niedawno wrócił z Moskwy opowiadał nam następujący incydent: Tłumacz jego, Ormianin, „Bohater Związku Sowieckiego” z okresu wojny, został pobity w tramwaju i zwymyślany od „jewejskich swołoczy” za nieumyślne potrącenie jednego z pasażerów. Wszyscy pasażerowie zajęli wrogie mu stanowisko. Odmówiono zatrzymania tramwaju. Gdy na przystanku ofiara agresji zwróciła się do policjanta, ten odmówił podania mu nazwiska napastnika. Dopiero poprzez Związek Pisarzy Sowieckich udało się pobitemu literatowi dowiedzieć się że napastnikiem był... docent moskiewskiego uniwersytetu. — „Ale dowiedziałem się o tym tylko dlatego że jestem Ormianinem, nie Żydem”, oświadczył przyjacielowi Francuzowi. Inny drobny fakt (ale z drobnych faktów składa się działalność całej tkanki społecznej): wdowa po zasłużonym uczonym, Żydówka z inteligencji, otrzymuje, po długim bezrobociu, posadę sprzątaczką w jednym z ministerstw. — „Ale to tylko do czasu gdy nie zjawi się na tę pracę kandydatka Rosjanka” — oświadczają jej.

W chwili gdy Polska, poprzez jedność całego społeczeństwa i rozagę politycznego kierownictwa uniezależnia się stopniowo od Związku Sowieckiego, w chwili gdy wszystko co sowieckie, a zwłaszcza pozostałości stalinizmu, budzi u Polaków automatyczne niemal odruchy odrazy i wrogości, smutny jest fakt, że istnienie związku pomiędzy antysemityzmem i wpływami sowieckimi w Polsce nie przeniknęło jeszcze dostatecznie do świadomości narodu. Natolińska Targowica wysuwała i wysuwa antysemityzm niemal otwarcie jako jedno z głównych swych haseł. Nawet „naturalni” antysemici polscy przyznają że Żydzi w Komitecie Centralnym i w sferach kierowniczych Partii przyczynili się do zwycięstwa Gomułki. Skądinąd oczywisty jest wielki wkład pisarzy i publicystów pochodzenia żydowskiego do zburzenia totalnego kłamstwa stalinizmu, do liberalizacji i demokratyzacji polskiego życia.

Niestety, nawet przyznając że tak jest, Polacy nadal operują pojęciami na których znać pozostałości oenerowskiego mitu o „żydokomunie”.

W niezmiernie trudnej sytuacji międzynarodowej, w jakiej znajduje się dziś Polska, należy wzmacniać związki nasze z Europą i odcinać się od Sowietów w każdej dziedzinie, która nie grozi Krajowi polityczną katastrofą na miarę Węgier. Taką dziedziną jest nasz stosunek do Żydów. Oczyszczając nasz Kraj od antysemickiej spuścizny po Hitlerze i Stalinie, stworzymy jedną więcej więź z Zachodnią Europą. Uwolnieni od strachu przed nawrotem antysemityzmu w Polsce, świadomi groźnych jego form w Związku Sowieckim, Żydzi polscy mogą nam oddać tu nieocenione usługi.

Pozostaje zagadnienie antysemityzmu podświadomego, czy „magicznego” w masach polskiego ludu. Wydaje się że może mu się skutecznie przeciwstawić jedynie Kościół katolicki. Oby polska Hierarchia pamiętała, że nic nie zyskało Kościołowi tyle ogólnego szacunku i uznania w świecie w ciągu ostatniego stulecia, co jego bezkompromisowe stanowisko, w niektórych przynajmniej krajach, w obronie Żydów przed hitlerowską eksterminacją. Oby katolicy polscy zdali sobie sprawę z tego, że antysemityzm jest zagadnieniem totalnym, którego nie można usprawiedliwiać częściowo.

REDAKCJA

Literatura emigracyjna a Kraj (dok.)

ANKIETA „KULTURY”

Jan BRZEKOWSKI (Paryż). Do wydarzeń, jakie zaszły w kraju powinniśmy ustosunkować się z jak największą dozą obiektywności i dobrej woli. Ich bezstronna ocena wymagała więc zaczekania na pewne ustabilizowanie się sytuacji, gdyż było oczywiste, że istnieć będą tendencje albo do zaakcentowania osiągniętych rezultatów, albo do cofnięcia się na dawne pozycje. Wydaje się, że rezolucja Związku Pisarzy na Obczyźnie została powzięta zbyt pośpiesznie i nie czyni zadość tym warunkom. Wystarczy przypomnieć nowe fakty, które zaszły między 21 października a 15 listopada: już nazajutrz po uchwaleniu rezolucji można zacytować jeden, o kapitalnym znaczeniu: wyeliminowanie Rokossowskiego z Komitetu Centralnego Partii (22. X.); w ciągu dni następnych przeprowadzono „czystkę” w armii, w partii, syndykatach i policji usuwając elementy najbardziej prosowieckie, spowodowano dymisję Rokossowskiego ze stanowiska ministra wojny i wreszcie nastąpiła (14. XI.) podróż Gomułki do Moskwy. W tych warunkach można było tylko zalecić powstrzymanie się od jakichkolwiek inicjatyw do czasu wyjaśnienia sytuacji i ewentualne powzięcie decyzji, dopiero po zasięgnięciu opinii możliwie największej liczby pisarzy, zarówno należących do Związku jak i przebywających poza nim.

Sprawa drukowania lub niedrukowania w kraju — jest niewątpliwie problemem nie tylko literackim, ale także — politycznym. Jeśli możemy żywić jeszcze pewne obawy, że zmiany jakie zaszły w kraju okażą się nie trwałe — nie można podawać w wątpliwość ich realności i pomniejszać ich znaczenia. „Polski październik” stanowi ogromny krok naprzód, jest to niewątpliwie maksimum tego, co w chwili obecnej i w aktualnej konfiguracji stosunków międzynarodowych — można było osiągnąć. Czy oznacza to, że nowowytworzoną sytuację uważamy za całkowicie zadawalającą? Nie, pragnęlibyśmy niewątpliwie, by zmiany te poszły jeszcze dalej. Ale tu nasuwa się pytanie: czy jest to możliwe? Rozumując kategoriami politycznymi wydaje się, że w chwili obecnej zbyt szybkie pójście w kierunku demokracji pojmowanej w zachodnio-europejskim znaczeniu tego słowa — by-

łoby ogromnie ryzykowne i mogłoby doprowadzić do katastrofy. Dlatego nie możemy wysuwać zarzutu, że proces ten nie postępuje tak szybko jakbyśmy pragnęli i należy zaufać rodakom w kraju, że w odpowiednim momencie potrafią uczynić następny krok. Powinniśmy więc nawiązać i utrzymać możliwie najbliższy kontakt z pisarzami przebywającymi w kraju. W przeszłości były wprawdzie momenty, gdy mieliśmy może do niektórych z nich żal o brak dostatecznej szczerości w stosunku do nas, lub o zbytne uleganie otrzymywanym dyrektywom, ale obecnie musimy przyznać, że większość pisarzy i publicystów odegrała bardzo dużą rolę w ostatnich zmianach i że dążą oni do ich dalszego rozszerzenia lub pogłębienia. Wysiłek ten może się spotkać tylko ze zrozumieniem i z jak najbardziej sympatycznym poparciem z naszej strony. Dlatego odcinanie się od kontaktu z krajem i od sposobności ograniczonego choćby przyczynienia się do tego procesu — nie wydaje mi się wskazane. Czy w naszej chęci utrzymania tego kontaktu powinniśmy posunąć się do drukowania w kraju? Sądzę, że najbliższe miesiące, lub może nawet tygodnie, przyniosą odpowiedź na to pytanie. Zależć ona będzie od tego, w jakim kierunku rozwinie się sytuacja w Polsce, czy komunizm polski istotnie będzie szukał własnej drogi do socjalizmu, czy literatura niezaangażowana politycznie będzie dopuszczona na łamy czasopism, czy będzie możliwe pisanie tego co myślimy, bez niedopuszczalnych skreśleń i poprawek. Pozostanie jeszcze sprawa honorariów: pisywanie za darmo byłoby nielojalną konkurencją w stosunku do pisarzy krajowych, rozwiązanie proponowane przez „Kulturę” wydaje się najbardziej realne, ale nie jest jeszcze całkowicie zadawalające. Może należałoby je uzupełnić przez opracowanie takiej formuły, w której znalazłby swe miejsce czynnik zbiorowości, co odjęłoby temu charakter indywidualnej transakcji finansowej (np. przez utworzenie pewnego rodzaju „poolu” honorariów, z którego czerpano by na pomoc dla rodzin w kraju). Gdyby zamiast Związku Pisarzy istniała organizacja o charakterze bardziej zawodowym np. Związek Literatów, byłaby ona powołana do odegrania tu pewnej roli koordynującej.

Już tych kilka zdań świadczy, jak bardzo skomplikowane jest to zagadnienie. Ileż tu problemów, na które należałoby znaleźć odpowiedź! Jakkolwiekby ona wypadła — może być powzięta tylko indywidualnie przez każdego pisarza, zgodnie z jego sumieniem i niezależnie od wszelkiego nacisku.

Andrzej CHCIUK (Australia). Uchwałę londyńską uważam za nonsens i błąd. Aczkolwiek autorzy uchwały wychodzą z założeń z swym przekonaniu czystych i szlachetnych, nic tak nie boli jak niepotrzebne (i nie-mądre) poświęcenie: literatura polska, pomimo rozdziału formalnego na krajową i emigracyjną, jest jedna i przyszłość okaże to lepiej.

Drukowanie w Kraju daje niewątpliwie reżymowi (piękne i dźwięczne słowo, zawsze z małej litery!) atuty propagandowe i — powiedzmy szczerze — możliwości presji na pisarzy emigracyjnych (faworyzowanie jednych, odosobnianie innych mniej wygodnych), ale o ile emigracyjne utwory mogą tam wyjść bez samowolnych skrótów, zawsze głosowałbym za drukowaniem choćby z tego niemałego powodu, że czytelnik w Polsce może się zetknąć z książką emigracyjną, a autor z czytelnikiem krajowym. Wydaje mi się też, że drukowanie w Kraju musi przypomnieć czytelnikowi w Polsce, że emigracja istnieje, *pocoś i dlaczego*. Oblewano literaturę emigracyjną pomyjami, a tu nagle okazała się partnerem.

Drukowanie na przykład Grahama Greene przez Pax nazywamy *udostępnieniem go*, natomiast czemu wydanie na przykład Kuncewiczowej miałoby znaczyć, że *kupili ją?*

Wybraliśmy Zachód (z jego sprzecznościami i wadami) po to, by cieszyć się wolnością, a tu tymczasem prą na nas różne koterie i kliki, zakazy i ukazy, sami zagęszczamy ten smród w imię świeżego powietrza. Jeżeli większość z nas pracuje tu w najdziwniejszych zawodach, poto, by móc w wolnych chwilach pisać tak jak się chce i czuje, nikt nie powie w Kraju że zostaliśmy na emigracji dla wygody, lub dobrobytu, skoro z dochodów takiego Kruczkowskiego w Polsce można by tu utrzymać piętnastu pisarzy.

Gdyby na emigracji powstała książka lewicowa, ale nie zakłamana, nie lakiernicza i nie nieprawdziwa jak Brandys, byłby to — moim skromnym zdaniem — lepszy sukces propagandowy dla emigracji niż wszystkie baloniki, bo każdy inteligentny czytelnik w Polsce musiałby sobie zadać pytanie: „Czemu facet nie wraca? Coś tu musi być na rzeczy, trzeba sięgnąć głębiej, odrzuciwszy szablon, jakim nas karmią od dwunastu lat”.

Odnosnie artykułu Mieroszewskiego (choć aprobuję jego przesłanki): nie bardzo rozumiem troskę o dewizy reżymu. Skoro ma na wyjazdy sportowców, propagandę, placówki i handlowców, oraz na rozpaczliwą bzdurę „Kraj”, a nie ma ich na biblioteki i kontakty naukowców, to srom spada nań, nie na nas. Gdyby na przykład inżynier-emigrant wynalazł nową metodę spawania metali i sprzedał patent Paławagowi, nikt by nie żądał, by nie przyjął wynagrodzenia. Gdyby na przykład szewc-emigrant wynalazł nowy sposób ćwiekowania zelówek i patent sprzedał jakiejś centrali obuwniczej Nr X, wszyscy uważaliby za normalne, że *powinni* mu zapłacić, że mu się *należy*. Tylko intelektualista, a ściślej mówiąc pisarz, ma zawsze robić za darmo, za „*mnie samego to więcej kosztuje*”. Zamykanie łamów prasy emigracyjnej takiemu pisarzowi za to, że nie mając rodziny w Polsce przyjął zapłatę za pracę tu, jest niepoważne i taktycznie złe, bo wepchnęłoby go w całkowitą zależność od wydawnictw i prasy krajowej. Gdyby go w Polsce sfalszowali, nie miałby nawet możliwości napiętnować tego w *wolnej* prasie emigracyjnej. Kto by na tym zyskał?

Zbyt politycznie podchodzimy do literatury, a zbyt literacko do polityki. Dlatego leży emigracyjna polityka i literatura krajowa. Orędzia polityczne rządów, egzekutyw i innych kanapowych ojców narodu na emigracji czytają już tylko zecerzy emigracyjni i krajowi archiwanci U.B., Brandysa w Polsce czytają pilnie zecerzy, na emigracji zaś krytycy gwoili smutnej uciechy.

Drukowanie pewnej ilości pisarzy emigracyjnych w Kraju odciążałoby ubożuchny rynek wydawniczy w pewnym stopniu: można by tu więcej wydać takich książek, które w Kraju nie ujrzą światła dziennego, a które tu w imię wolności i uczciwości powinny powstać.

Zbigniew JASIŃSKI (Australia). Mimo że jestem członkiem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, treść „krajowej” uchwały przyjętej przez walny zjazd Związku poznałem dopiero z okólnika „Kultury” za co jestem jej wdzięczny, bo przynajmniej tą drogą mam sposobność wzięcia udziału w tej sprawie.

Członkiem Związku Pisarzy zostałem w zrozumieniu, że jest to związek powołany do promocji zawodowych spraw pisarza, a zrzeszający ludzi pióra bez względu na ich poglądy osobiste. Jako człowiek swobodny, żyjący w świecie wolnym, na domiar jako pisarz, mam prawo wypowiadać się w sposób własny, nawet jeśli w poglądach swych byłbym odosobniony. Co więcej, mam prawo wierzyć że — w myśl zasad „rzeczywistej wolności słowa i druku”, tak gorąco głoszonych przez Związek — żaden z kolegów

nie zechce zgłosić wniosku, by mnie za tę właśnie pisarską wolność słowa i druku wyłączono z grona członków Związku. Jakiż bowiem inny związek jest bardziej predestynowany do czuwania nad obroną tej najbardziej cennej wolności pisarza?

Tymczasem — ta sama uchwała, w imię tejże „rzeczywistej wolności słowa i druku”, zabrania mi pisać tak jak chcę i tam gdzie chcę. Zakreśla mi terytorialne granice, poza które moje wolne słowo nie ma prawa dotrzeć. Nakłada mi na usta kaganiec: narzuca przymus milczenia w sprawach, które uważam za najbardziej istotne. Zabraniając mi użycia stylu własnego, bo odmawiając prawa do zajęcia stanowiska odrębnego — w zamian poddaje moją twórczość rygorom pod dyktando tego rocznego zarządu czy jakiejś specjalnej komisji literacko-politycznej. Gwałcąc to co jest najcenniejsze w pisarzu, ba! najcenniejsze w każdym człowieku — jego osobowość — autorzy uchwały sprzeniewierzyli się właśnie wolności słowa i druku. A londyńscy zjazdowicze uchwałę przyjęli. Pisarze, czy — cenzorzy?...

Sformułowanie tekstu uchwały wywołuje uśmiech rozgoryczenia. Czy autor tekstu, pisarz którego zawiodło własne narzędzie — już nie mistrzostwo literackiej formy, ale prosta zręczność techniczna w zredagowaniu zwykłej uchwały zjazdowej (a był to przecież zjazd nie byle jaki: zjazd luminarzy emigracyjnego parnasu piśmienniczego!) — czy taki zatem stylista ma być moim wodzem duchowym w sprawach niesłychanie ważnych, które na pewno widzę inaczej? Taki styl, jaka myśl; taka myśl, jaki człowiek. Czy dał nam może coś nowego, świeżego, zapłodnił ducha myślą twórczą na rok cały, czy skrzesał choćby jedną iskrę, godną polskiego piśmiennictwa? Slogany i frazesy wiecowe nie są kwiatami literatury — czyżby rzeczywistość sięgała szczytów Związku... Pisarzy? Jeśli Związek mój przestał być zrzeszeniem przede wszystkim ludzi pióra, jeśli uważa się przede wszystkim za ciało polityczne, za rzecznika jakiegoś usztywnionego programu rządowego, odzianego w szmatki frazesów z lamusa prowincjonalnej gazetyny — to może należało było zaprosić kogoś z zewnątrz, by londyńskim cenzorom podał definicję: co to jest wolność słowa i druku, a co nią nie jest.

Wołając o demokrację, piorunując na totalizm, ani spostrzegliśmy się że pojęcia te stały się nam tylko frazesami. Czy naprawdę zwalczamy totalizm? Czy może raczej zwalczamy tylko totalne metody wroga, a nasz własny totalizm zwiemy demokracją? Przykładów, włącznie z uchwałą Związku, nie brak. Na przykład skądinąd sympatyczny Janusz Kowalewski szantazuje „Kulturę”, że jeśli nie będzie drukowała tylko tego, co on lubi czytać, to on rozgłosi wszem wobec i każdemu z osobna, by „Kulturę” bojkotowali. A nawet, o tempora! o mores! Juliusz Mieroszewski!... stawia ultimatum że „Kultura” zamknie swe łamy pisarzowi, który ośmieliłby się zawrzeć z krajowym wydawcą odrębną umowę handlową, sprzeczną z osobistym widzi-mi-się Mieroszewskiego... (No dobrze, powiedzmy że zamknie; ale sądzić że świat się kończy na „Kulturze”, to chyba też — maksymalizm?).

Ryszard Krygier, współredaktor miesięcznika „The Free Spirit” (Bulletin of the Australian Committee for Cultural Freedom), w liście do redakcji „Sydney Morning Herald” zwrócił uwagę na to, że żaden z protestanckich kościołów w Australii nie zaprotestował przeciw krwawej masakrze Węgrów przez armię sowiecką. Odezwali się tylko baptyści: „Owszem, co dzień modlimy się za cały świat, a to przecież obejmuje także terytorium Węgier”. Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie zapewnia nas uchwałą, że „Pisarze polscy łączą się myślą i sercem z narodem polskim walczącym o wyzwolenie, składają hołd tym, co padli ofiarą tyranii i przemocy. Postanawiają dołożyć wszelkich wysiłków, aby krew polskich bojowników wolności nie poszła na marne, ale wołała do wolnego świata o sprawiedliwość dla Polski”.

Wołają — jak? Ilu z nas włada angielszczyzną na tyle swobodnie, aby dotrzymać tej obietnicy? Pisarze postanawiają dołożyć wszelkich wysiłków — jak? Przez nieustraszone maglowanie sloganów na łamach emigracyjnych pisemek, których świat nie czytuje, bo nie czytuje? I przez knebłowanie ust tym kolegom, którzy gotowi są ponieść wolne słowo — bez względu na to, jak zostanie przyjęte — nie w skostniałe bezpieczeństwo Londynu, ale braciom w Kraju? Nie zasiedziały, ostrożnym, letnim i wystygłym, co „postanawiają dołożyć wszelkich wysiłków”; ale tym, co żarliwie swe serca spalają w ogniu zaprawdę śmiertelnego boju. Im to winniśmy przynajmniej spróbować ponieść wolne słowo, choćby za cenę potwarzy i kolumnii i wbrew jakże gorzkiej wiedzy, że, za tę odrobinę cywilnej odwagi, takie — pisarzom wciąż wolnym — po tej stronie wypłacą honorarium. Po tej, i może po tamtej.

Wiem, że nie wrócę do Polski nigdy. I żał mi, straszny żał, że los mi wrota zatrzasnął jak wieko trumny. Bo — pisarzowi na obczyźnie — pisać warto tylko dla swoich.

Józef MACKIEWICZ (Monachium). Nie zamierzałem brać udziału w ankiecie na temat uchwały Związku Literatów Polskich w Londynie. Raz dlatego, że do wspomnianego Związku nie należę. Dwa, że mam szczerą odrazę do wszelkich „postulatów” narzucanych literaturze czy sztuce, z jakichkolwiek ex-catedra by zostały uchwalone, rządowych, związkowych, czy kolektywnych. Trzy dlatego, że frazesy zawarte w deklaracji uchwały Związku, wydają mi się równie groteskowe, jak odwrotnie, dokładne „przepisy” opracowanej przez p. Mieroszewskiego instrukcji dla literatów emigracyjnych, które przewidują nawet pośrednią kontrolę ich prywatnych rachunków. Jednakże w numerze grudniowym „Kultury” przeczytałem odpowiedzi na ankietę, które przygnębiają swą fatalną jednomysłnością. Dlatego proszę o zamieszczenie mej, choć spóźnionej, wypowiedzi.

Prócz jednego Andrzeja Bobkowskiego, nieomal wszyscy biorący udział w ankiecie literaci emigracyjni, na „dretwą mowę” uchwały Związku, odpowiadają niemniej „dretwą mową” polrealistycznego poputnicztwa z polskim komunizmem. Po prostu aż się roi od sloganów tego typu, co: „Szczęśliwe przemiany w Polsce... Współpraca z życiem narodu... Cztery dni, które wstrząsnęły Krajem... Różne drogi do socjalizmu... Siła biologiczna narodu... Bezkrwawa rewolucja Gomułki... Likwidacja stalinizmu... Ugruntowanie suwerenności... Siły moralne kraju... Demokratyzacja ustroju... Desatelizacja Polski... Nowa Wiosna Ludów... Program przemian odpowiada polskiej racji stanu... Wielkie i wspaniałe sprawy w Polsce — polscy komuniści powiedzieli, że celem ich jest walka o dobro mas pracujących...” etc., etc. O uniformizmie tych wypowiedzi świadczy najlepiej fakt, że niektóre ze sloganów powtarzane są przez różnych pisarzy w dosłownym brzmieniu jednocześnie.

Dotychczas, ilekroć przeciwstawiałem się rozciąganiu odpowiedzialności zbiorowej na cały naród niemiecki za hitleryzm, i na cały naród rosyjski za komunizm, wskazując, iż w takim wypadku i cały naród polski można by obciążyć odpowiedzialnością za panujący w Polsce „reżym” — słyszałem zawsze monotonną odpowiedź: „To nie to samo! Komunizm jest obcy Polsce i trzyma się tam na „rosyjskich” bagnetach. A ustroje w Niemczech, czy Rosji, to ich, „własne”! — I oto raptem dowiaduję się, że komunizm polski jest czymś nieskończenie lepszym od moskiewskiego, bo polski, bo — *własny!*... Ze trzeba mu udzielić kredytu i wyciągnąć rękę do komunistów polskich, by iść z nimi „po puti” dla wspólnej walki z Rosjanami. Przy-

znam, iż osobiście wołałbym wyciągnąć rękę do Rosjan dla wspólnej walki z komunistami. Wyznam też, że jeden tylko ustrój wydaje mi się bardziej odpychający niż międzynarodowy bolszewizm, mianowicie: nacjonal-bolszewizm. Jako połączenie zła ze złym. Ale to, naturalnie, rzecz gustu. Co natomiast budzi zastrzeżenia, to brak obiektywizmu i głęboka nieszczerłość w uprzedniej ocenie rzeczy. Narodowy-socjalizm niemiecki, w pierwszych latach po roku 1933, był niewątpliwie ustrojem mniej totalnym, niż dzisiejszy nacjonal-bolszewizm Gomułki. A przecież już wtedy znajdowaliśmy zrozumienie dla emigracji niektórych pisarzy niemieckich, którym wydało się zbyt duszno aby drukować w kraju. Dziś natomiast sami czynimy odwrotnie, wielki krzyk dla skłonienia emigracyjnych pisarzy do drukowania w kraju...

Gdyby Rosjanie mieli brać przykład z Polaków, to albo nie wyemigrowałoby ich ponad dwa miliony po rewolucji bolszewickiej w ogóle, albo już od roku 1918 „daliby kredyt Leninowi” na emigracji, gdyż Moskwa nie będąc nigdy zależna ani od Warszawy, ani Belgradu, od początku była tym co nazywamy dziś — „titoistyczną”... To znaczy była „suwerenną”, obrała „własną drogę do socjalizmu”. A któż jak nie publicystyka polska najhańsliwiej wskazywała, że polityka Związku Radzieckiego „pokrywa się z rosyjską racją stanu”! Czyniąc dalsze zestawienia, przez analogie należałoby oczekiwać, że emigracja rosyjska powinna była takiego „kredytu udzielić” w każdym razie Stalinowi. Gdyż jak wiadomo, właśnie „stalinizm” z przywróceniem rang, epoletów, praw cerkwi, reedukacji historycznej, oraz w rewindykacji wielu wartości, sloganów, frazesów i haseł narodowych, bardziej od innych taktak komunistycznych zbliżony był do dzisiejszej „gomułkowszczyzny” w Polsce, podszytej narodową podszewką. Fakt, że emigracja rosyjska, z nielicznymi wyjątkami, nie dała się zwieść rzekomym „stalinizmem”, który był tylko jednym z taktycznych chwytów, a w istocie konsekwentnym ciągiem leninowskiego, międzynarodowego bolszewizmu — świadczy o jej głębszym wyrobieniu i głębszym pojmowaniu rzeczywistości, oraz istoty komunizmu, od emigracji polskiej, która w znacznej części skłonna jest raptem w „polskim titoizmie” dostrzegać nie tylko „niepodległość”, i „suwerenność”, ale niemal spełnienie marzeń narodowych...

Wydać mi się, iż pisarze emigracyjni drukujący w kraju, tracą moralny statut pisarza emigracyjnego automatycznie. Tak samo jak zwykły obywatel nie może jednocześnie domagać się prawa politycznego azylu zagranicą i jeździć lub przebywać fizycznie w kraju. Emigracja polityczna zakłada bowiem nie wewnętrzną, legalną opozycję do panującego ustroju, a negację tego ustroju, z zakwestionowaniem legalności ustanowionych przez niego władz i instytucji, aż do państwowych firm wydawniczych włącznie.

Sytuacja pisarza jest szczególna. Odpowiedzialny jest on często nie tylko za to co pisze, ale i za to co — przemilcza. Powtarzając ciągle o „liberalizacji” i „demokratyzacji” w Polsce, zdajemy się zapominać, że pół-podatku, czy pół-dostawy żywca, to zupełnie co innego niż pół-prawdy, która bywa czasem gorsza od całego łgarstwa. Argumenty, hasła i piękne slogany wypowiedane w ankiecie „Kultury”, już są, niestety, pół-szczere. W praktyce bowiem... W praktyce każdy rozumie i po cichu zdaje sobie sprawę, że początek drukowania w kraju, będzie końcem piśmiennictwa emigracyjnego.

Czytałem między innymi, głosy, które złośliwie suponowały, że największymi przeciwnikami wydawania w kraju są ci autorzy, którzy wiedzą, że im w kraju nikt wydawnictwa ich rzeczy nie zaproponuje. Nie będę ukrywał, że wiem, iż mnie osobiście nikt nie zaproponuje. Ale też nie będę ukrywał, że — jestem z tego trochę dumny.

Wiktor OSTROWSKI (Argentyna). List Pana z dnia 6-go listopada z załączonym odpisem uchwały Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie w sprawie „niedrukowania” w obecnej sytuacji swoich książek w Polsce, dopiero teraz doszedł do moich rąk. Od dłuższego czasu jestem, że tak powiem, odcięty od tego co potocznie nazywamy cywilizacją, zaszyty w tropikalne lasy i łowiący ryby-potwory w Górnej Parana. Termin pańskiej ankiety dawno minął, spadłe w ostatnich dniach ulewy przerwały tu wszelką komunikację na dłuższy czas. Nie wiem więc kiedy ten mój list dojdzie do Pana. W paru słowach jednak chcę wyrazić swoją opinię.

Zacznę od stwierdzenia pewnych faktów natury osobistej. Nie wiem czy przysługuje mi miano pisarza. Mając w swoim dorobku szereg wydanych książek jestem raczej podróżnikiem, opisującym swoje wędrówki i przygody. Aczkolwiek piszę po polsku — ostatnie moje książki ukazały się w paru nakładach, ale — po hiszpańsku. Na wykażane obecnie: „Życie Wielkiej Rzeki” i „Wędrówki Patagońskie” mam z góry zamówienie od obcojęzycznych wydawców. Brak wydania w oryginale na pewno nie jest zachętą dla autora. Przed dwoma miesiącami otrzymałem zapytanie od wydawnictwa w Polsce — czy zgodziłbym się na wydanie mojego „Mas alto que los Condores” w Kraju. Naturalnie wyraziłem zgodę. Mało tego — CIESZYŁEM SIĘ!

Wracam do uchwały Związku Pisarzy. Do Związku nie należę, ale stwierdzam kategorycznie, że gdybym należał a zapadłaby tego rodzaju uchwała — natychmiast musiałbym wystąpić. Uważam ją za nonsens. Mało tego — za skandaliczny nonsens równoznaczny z... opuszczeniem „żelaznej kurtyny” — z naszej strony. I to w obecnej chwili kiedy, przynajmniej na odcinku kulturalnym, „kurtyna” reżymu komunistycznego z lekka zaczęła się unosić!

Może, obcując teraz z Przyrodą przez duże „P” i prostym ludkiem rybacko-myśliwskim, może — zdziżałem, ale dalebóg nie mogę zrozumieć tego „niepodległościowego” gestu! Górnołotnie patriotyczna frazeologia okraszająca sam sens uchwały jest tylko kamuflażem, nie tłumaczy nic, a sama forma wywołuje mdłości.

Przed wyjazdem tu z Buenos Aires śledziłem jednak uważnie przebieg dyskusji „wydawać-nie wydawać” na łamach szeregu naszych czasopism emigracyjnych. Dużo hysterii a brak szczerości. Cała dyskusja toczy się w dwóch wymiarach, na płaszczyźnie: autor-wydawca. W schemacie bardzo uproszczonym. Według niego autor to zawsze ten „...dokładający wszelkich wysiłków, aby krew polskich bojowników wolności...” (patrz uchwała Związku Pisarzy) a wydawnictwa krajowe to naturalnie TYLKO agendy reżymu komunistycznego czyhające na duszę emigracyjnego autora i starające się przekupić go srebrnikami.

Uderzający jest fakt braku w tej dyskusji troski o czynnik trzeci a chyba NAJWAŻNIEJSZY, o CZYTELNIKA w Kraju! O jego zainteresowaniach, o jego POTRZEBACH nie mówi się, namiennie dyskutując — zapomniano!

Pozwolę sobie zwrócić uwagę na szczegółowe sprawozdanie-omówienie odbytego przed paru miesiącami w Polsce Zjazdu bibliotekarzy i kierowników wypożyczalni książek. Ich uwagi na temat pewnych książek porastających kurzem i półek pewnych działów — świecących stale pustkami, bo „pewne” książki, o „pewnej” tematyce są stale w ruchu, stale są przez czytelników poszukiwane — mnie osobiście mówią bardzo dużo.

Mając na uwadze ten trzeci czynnik, CZYTELNIKA, stawiam pytanie: a jeżeli autor polski przebywający na emigracji uzyskuje możliwość choćby na małym, malusieńkim odcieczku dotarcia do rąk czytelnika w Kraju, to co? Ma kategorycznie stwierdzić: wszystko-albo nic? Ma przyjąć NA SIEBIE WINĘ w oczach czytelnika?

Może bezkompromisowe „nie!” uchwały Związku Pisarzy na Obczyźnie brzmi bardzo „niepodległościowo” w odniesieniu do państwowych, „totalistycznych” wydawnictw w Polsce ale w stosunku do czytelnika ma zupełnie inny wydźwięk.

Zofia ROMANOWICZOWA (Asnières). Proszę wybaczyć zwłokę w odpowiedzi na Pańską ankietę. Przyczyną tego był rodzaj bolesnego osłupienia w jaki wprawiły mnie komunikaty radiowe gdy tymczasem mijał i mijał terminznaczony przez Pana. Moja wypowiedź wydawała mi się czymś, co nie miałoby żadnej z tym co się działo proporcji.

Związek Pisarzy emigracyjnych, a raczej ci z jego członków, którzy byli obecni na zebraniu i wylonili spośród siebie uchwałę o którą chodzi, zajął stanowisko uczonych w Piśmie, którzy do końca świata gotowi są czekać na przyjście Mesjasza, dzierżąc listę atrybutów jego królewskości sine qua non. Osobiście chętnie chciałabym dożyć przynajmniej Jana Chrzciciela choćby chodził boso. Zamiast zakrywać sobie oczy na to, co niewątpliwie świta w tej chwili nad Warszawą i czym się będą karmić pokolenia, chociażby, nie daj Boże, na jakiś czas znowu miały to ogamnąć mroki, zamiast zakładać z góry „to na pewno nie to” pozwalam sobie myśleć: „może to już”? A do nadziei każdy ma prawo.

Mam więc nadzieję, że dojdzie do współpracy literackiej z krajem przede wszystkim dlatego, że byłby to dobry znak. A problemem jest nie czy pisać do kraju, ale co pisać, jak pisać, żeby to nie było „kaszką z mlekiem”, na którą nikt nie ma apetytu. Drożenie się i przetargi są nie na czasie, kto wie dla kogo okaza się aktualne, czy w ogóle okaza się aktualne. Ale w momencie gdy tu chodzi o reputację czy wygodę, tam chodzi o życie. Czy do końca będziemy woleli wysyłać paczki? Z listów ludzi, zwyczajnych ludzi stamtąd widać, że spodziewają się od nas czegoś więcej.

Stanowisko „Kultury” jest więc moim, z tym że razi mnie trochę że tak obwarowywuje pisarzy przed ich własną sprzedajnością, o której jakby była z góry przeświadczona. Sprawa honorariów jest ważna, ale nie powinna być wysuwana na całkiem pierwsze miejsce. Tak głośną i reklamującą się bezinteresownością możemy ściągnąć na siebie podejrzenie, że w gruncie rzeczy chodzi o niepalenie za sobą mostów, o zabezpieczenie sobie odwrotu nie tylko do rejtanowskiej postawy ale i... innych dochodów. Myślę że do tego można podejść w sposób naturalny i nie wyznaczać kreską kwoty czy waluty, ponad którą uczciwość pisarska byłaby poddana wątpliwościom.

PODSUMOWANIE ANKIETY

UCHWAŁA „TERLECKI-KISIELEWSKI”

Ponieważ w czasie wojny w Londynie przebywał rząd polski in exile i znad Tamizy rządził rozległym emigracyjnym imperium — pogrobowcy tego okresu świetności do dziś wierzą niezachwianie, że co polski Londyn zadecyduje obowiązuje Polaków we wszystkich pięciu częściach świata. Tym się tłumaczy, że Zarząd Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, przygotowując projekt anty-krajowej uchwały, nie uważał za stosowne porozumieć się z pisarzami przebywającymi poza Wielką Brytanią. W końcu

cóż do powiedzenia ma pisarz z Kanady czy z Buenos Aires. Niech będzie zadowolony, że Londyn w ogóle przyznaje się do niego.

W polskim Londynie obowiązuje „demokracja konwentyklowa”. W Kraju ludowa — u nas konwentyklowa i wszyscy zadowoleni. Wolne głosowanie wolnym głosowaniem — ale chodzi przecież o to by uchwałę przepchać. Powołuje się komisje, która w ciszy i w dyskrekcji przygotowuje piękny drzewo-mowny projekt uchwały. Gdyby tekst wyszło się uprzednio za ocean mogłyby nadejść różne wypowiedzi ponieważ — jak wiadomo — ludzie poza Londynem są zupełnie zdezorientowani i nie wiedzą czego się trzymać. Po co więc utrudniać im życie.

W pierwszym dniu posiedzenia dnia 20 października 1956 roku Zarząd wystąpił oficjalnie z projektem uchwały. Ów dokument powielony na cyklostylu zachowałem w moich archiwach jako kuriozum. W pierwotnym projekcie powiedziano dosłownie między innymi: „Rozpatrując dziś na nowo tę sprawę, z uwzględnieniem ostatnich, określonych nazwą „odwilży”, zmian w Polsce — Związek Pisarzy Polskich na obczyźnie doszedł do wniosku, że w Polsce nie nastąpiły żadne istotne zmiany i Kraj jest w dalszym ciągu w niewoli”.

To było już po VIII Plenum, po usunięciu Rokossowskiego z Politbiura, po wyjeździe z Warszawy (z kwitkiem) delegacji sowieckiej.

Istnieją jednak pewne granice trawienia drętwej mowy nawet u Polaków, którzy w tej umiejętności trenowani są od kolebki. Generał Kukiel, świetny historyk i stylistą wstał i oświadczył spokojnie, że trzeba być... cymbałem by niedostrzegać istotnych zmian jakie zaszły w Polsce (W tym miejscu na sali odezwały się samotne brawa niżej podpisanego i Zdzisława Broncla). Po dyskusji postanowiono w pierwszym dniu głosować tylko nad samą zasadą uchwały a ostatecznie jej sformułowanie odłożyć do dnia następnego. W poprawionym tekście nie ma już mowy o „odwilży” i nieistotnych zmianach — ale wszystko inne pozostawiono bez retuszu.

Czym należy tłumaczyć podjęcie tej uchwały?

Pisarze w Kraju byli awangardą ostatnich przemian a tygodniki i pisma jak na przykład „Po Prostu” były i są nadal czołową kolumną walki o wolność i niepodległość — w dostępnych nam granicach. Czym należy tłumaczyć utratę wyczucia pulsu narodowego w takich przełomowych chwilach jak 18 do 21 października ubiegłego roku? W owym dniu, w którym p. Kisielewski imieniem komisji obwieszczał emigracyjnym pisarzom, że w Polsce nie zaszły żadne istotne zmiany — w Warszawie czuć było w powietrzu krew i dym.

Jakie jest socjologiczne tło tej uchwały? Po pierwsze: wiek. Przełomna wieku pisarzy, którzy uchwalili to wiekopomne dzieło jest raczej wysoka. 55 do 60 lat. Młodzi pisarze do Związku nie należą. Po drugie — samozachowawczy instynkt emigracyjny. Świat emigracyjny wypracował swoje własne kryteria ocen i wartości. Można być znanym pisarzem na emigracji będąc zupełnie nieznanym w Kraju. Mamy własne nagrody, własną giełdę wielkości i snobizmów literackich, własne sławy i „best-sellery”, własne wzloty i upadki. W tej kłateczce emigracyjnej nie jeden wróbel uwierzył, że jest orłem. Gdyby kłatkę otworzyć mogłoby się okazać, że naszym orłom brak już tchu by wzbić się w powietrze.

Ludzie, którzy w wymiarze emigracyjnym rozbudowali swą sławę i twórczość instynktownie boją się otwarcia klatki i konfrontacji z szeroką,

polską rzeczywistością. Ci panowie dosłownie heroicznie walczą o zachowanie zrębów świata emigracyjnego i podpierają klateczkę ze wszystkich stron — by przedłużyć trwanie układu, który zapewnia, że jest się kimś tu, choć się jest niczym — tam.

Co stanowi dominantę najświeższych wypowiedzi pisarzy polskich w Kraju? Wolność — suwerenność — problematyka nowego ustroju.

Co stanowi dominantę literatury emigracyjnej? Wspominki i jeszcze raz wspominki. Jeżeli pominąć publicystykę to należy stwierdzić, że problematyka współczesnej Polski w literaturze emigracyjnej w ogóle nie istnieje. W emigracyjnych książkach nie znajdzie się nawet słabiutkiego echa dyskusji, które rozpalają do białości pisarzy w Polsce.

W czasie owego walnego zgromadzenia jeden z członków ustępującego zarządu rzucił pogardliwie pod moim i Broncia adresem: „Nas nie interesuje titoizm”.

To są typowe metody, które mają usprawiedliwić odcięcie się od rzeczywistości w Polsce, umycie rąk wobec tych pisarzy w Kraju, którzy walczą o wolność słowa.

Gdybyśmy stwierdzili z dumą, że nie ma na całym świecie kraju, gdzie na „czarnym rynku” pisma klasy „Po Prostu” osiągają cenę dziesięciokrotnie wyższą od normalnej — gdybyśmy w tym dziwnym, przedwcześnie dojrzałym pokoleniu publicystów i pisarzy krajowych dopatrzyli się przeświadczenia wielkości — byłoby nam trudno obronić naszą napuszoną mierność. I dlatego wolimy oświadczyć, że nie interesuje nas titoizm niż przymierzać nasze wspominki do ich twórczości. I dlatego w naszej uchwale nie znalazło się ani jedno zdanie mówiące o solidarności z tymi, których gen. Witaszewski miał na liście aresztowań i którym groził, że ich będzie tłukł rurą od gazu...

Byłoby jednak krzywdzące tego typu tendencje przypisywać ogółowi pisarzy emigracyjnych. Uwagi powyższe dotyczą wyłącznie grupy, która uchwaliła ową antykrajową uchwałę. Dobrze się stało, że „Kultura” ogłosiła listę nazwisk tych, którzy głosowali za uchwałą bo w ten sposób owa grupa została wyodrębniona i wyizolowana z społeczności emigracyjnej.

Wynik ankiety „Kultury” wśród pisarzy emigracyjnych jest miazdzący dla pp. Terleckiego i Kisielewskiego oraz ich grupy. Tadeusz Nowakowski, Pankowski, Jeleński, Miłosz, Herling-Grudziński, Gombrowicz, Józef Wittlin, Zofia Kossak, Kuncewiczowa, Straszewicz... myślę, że chyba dość. Proponuję Czytelnikom by ciężar gatunkowy powyższych nazwisk pisarskich porównali z listą osób, które głosowały za uchwałą. Nie trzeba zaiste być krytykiem literackim by z tego porównania wyciągnąć właściwe wnioski.

Zbigniew Jordan w swej odpowiedzi zaznaczył skromnie, że nie jest pisarzem. Jordan jest naukowcem i publicystą. Jego oświadczenie, że nie solidaryzuje się z uchwałą „Terlecki-Kisielewski” jest tym donioślejsze jeżeli się zważy, iż Jordan jest niewątpliwie jednym z najwybitniejszych na emigracji znawców Polski współczesnej. Jego studia o „odwilży”, które drukowaliśmy na łamach „Kultury” należą do najsutelniejszych źródłowych analiz jakie na ten temat ukazały się na łamach prasy Zachodu.

Jordan w swej odpowiedzi w kilku zdaniach ujął sedno sprawy. Ta wypowiedź warta jest by ją przytoczyć powtórnie. Uchwała jest „wyrazem umysłowości utopijnej, która nie dostrzega procesów zachodzących w umysłach i w życiu kraju, istnienia grup i sił, wśród których intelektualisci,

pisarze i publicyści odgrywają przodującą rolę, prących ku rozszerzeniu i ugruntowaniu suwerenności narodowej, swobód osobistych, wolności słowa i myśli. Błędny stosunek do wspomnianych procesów prowadzi do paradoksalnego wniosku, że ich ignorowanie jest najskuteczniejszą metodą walki o przywrócenie Polsce pełnej niepodległości”.

Obrzydliwy w uchwale „Terlecki-Kisielewski” jest fakt *odmowy* solidaryzowania się z owymi pisarzami i publicystami, którzy walczą o rozszerzenie i ugruntowanie suwerenności narodowej, swobód osobistych, wolności słowa i myśli. To już nie jest przejaw utopijnej umysłowości ale zdrada (nie waham się użyć tego słowa) posłannictwa pisarskiego. To już nie jest ignorowanie, o którym mówi Jordan, lecz zerwanie więzi jaka w godzinie próby winna łączyć ludzi pióra, którzy nie dzielą się na emigracyjnych i krajowych lecz na polskich i nie polskich.

Pozostaje do omówienia ostatni punkt tej ponurej sprawy. Uchwała „Terlecki-Kisielewski” została powzięta przez dwadzieścia kilka osób lecz niemniej uchwałę firmuje Związek Pisarzy jako całość. Na emigracji przyzwyczailiśmy się traktować wszystko pół-serio. Nikt nie przejmuje się orędziami Rady Trzech ani uchwałami takich czy innych „ciał” emigracyjnych. W tym jednak wypadku sprawa jest serio. Każdy z pisarzy rozwiąże ją zgodnie ze swymi przekonaniami. Sądzę, że Czytelnikom „Kultury” winien jestem wyjaśnić moje osobiste ustosunkowanie się do tej sprawy. Głosowałem przeciwko uchwale. Byłem pewien, że gdy ogół głosujących zapozna się z wypadkami jakie rozegrały się w Warszawie — gdy wieść o zmianach raczej istotnych — dotrze do świadomości emigracji — zarząd Związku Pisarzy pod naporem opinii podejmie kroki zmierzające do anulowania uchwały. Czekalem jednak na próżno. Ponieważ z Związkiem, który podejmuje antypolskie uchwały nie chcę mieć nic wspólnego — zgłosiłem moje wystąpienie.

Juliusz MIEROSZEWSKI

LEKARSTWA

MATERIAŁY

ŻYWNOŚĆ

NAJSZYBCIEJ, NAJKORZYSTNIEJ, NAJTANIEJ

wyślesz przez

P. C. STORES

STEFAN BREWKA

18, Queens Gate Terrace, London S.W.7, England

Cennik nasz, dostosowany do przepisów celnych w Polsce
jest naszą najlepszą reklamą.

Paryskie spotkanie

W październiku ubiegłego roku odbył się na Sorbonie kurs studiów francusko-polskich, dotyczący postępu ekonomicznego i socjalnego. Kurs ten, zorganizowany na prośbę rządu polskiego przez UNESCO i przy współudziale francuskiej komisji do spraw UNESCO, zgromadził sześćdziesięciu młodych uczonych i badaczy, po połowie z obu wymienionych krajów. Debaty trwały trzy tygodnie, były kolejno poświęcone aspektom historycznym, ekonomicznym i socjologicznym pojęć postępu i kierowane przez profesorów Fernanda Braudel (z Collège de France), Jean Lhomme'a (z paryskiego Wydziału Prawa) i Georges Friedmanna (z Narodowego Konserwatorium Sztuk i Zawodów). Każdemu z przewodniczących pomagała mała grupa profesorów francuskich i polskich (do których przyłączyli się dwaj Anglicy i jeden Szwajcar), przy czym szło o pokazanie słuchaczom różnych aspektów zagadnienia. Naukowe kierownictwo kursu powierzone zostało niżej podpisanemu.

Ze względu na swój charakter niezmiernie rozległy, przedmiot kursu podzielony został na pewną liczbę tematów, które można zgrupować w trzech następujących działach:

— badanie samego pojęcia postępu: rozwój koncepcji filozoficznych w stosunku do postępu ludzkości; rytm postępu; ewolucja czy rewolucja; próba wymiaru postępu ekonomicznego; kryterium postępu społecznego.

— dyskusja nad kilkoma najważniejszymi zagadnieniami dzisiejszego świata: koegzystencja pokojowa; stosunki ekonomiczne pomiędzy krajami o różnych systemach rządów; postęp krajów gospodarczo niedorozwiniętych i różne koncepcje pomocy dla tychże krajów; humanizacja cywilizacji technicznej.

— rozpatrzenie tendencji metodologicznych w badaniach naukowych: zastosowanie metody statystyki w historii ekonomicz-

nej i socjalnej; czynniki społeczne w interpretacji ekonomicznej; stopień obiektywizmu w naukach społecznych w społeczeństwie podzielonym; użycie nauk matematycznych w naukach społecznych.

Streszczenie osiemnastu posiedzeń kursu jest niemożliwe, spróbuję więc tylko pokazać jego znaczenie jako międzynarodowego spotkania, analizując kolejno zachowanie się uczestników i bieg dyskusji. Na zakończenie wykażę, że obserwacje zebrane w czasie trwania kursu nie są pozbawione wartości, jeśli idzie o interpretację obecnej sytuacji w Polsce.

I

Dla inicjatorów, powyższy kurs miał znaczenie doświadczalne: szło o znalezienie — w szczególnym wypadku — warunków podjęcia na nowo ciągłych stosunków pomiędzy uczonymi i badaczami Wschodu i Zachodu w zakresie nauk społecznych. Nie ulega wątpliwości, że Francja i Polska nadawały się najbardziej dla takiego doświadczenia ze względu na dawną tradycję przyjaźni, łączącej te dwa kraje i rozległość ich wspólnych podstaw kulturalnych. Mimo tych sprzyjających warunków, zrealizowanie skutecznego dialogu wcale nie wydawało się rzeczą pewną. Można było obawiać się, że skończy się na prostym zestawieniu przeciwnych i nie do pogodzenia ze sobą punktów widzenia; że linia podziału ustali się pomiędzy zwolennikami marksizmu (wszyscy Polacy i pewna liczba Francuzów) a ich przeciwnikami. Zagadnienie sprowadzało się do stwierdzenia czy jest możliwa współpraca w dziedzinie kulturalnej, gdyż w dziedzinie polityki, współpraca zdawała się ostatnio sprowadzać do sloganów.

Ponieważ zagadnienie to bardzo nas interesowało, postanowiliśmy — w odpowiedzi na zaproszenie rządu polskiego — spędzić kilka tygodni (marzec-kwiecień 1956) w Polsce, aby móc zbadać na miejscu szanse takiej naukowej współpracy francusko-polskiej. Właśnie kilka tygodni przedtem zakończył się XX Zjazd Partii, który z ogromną siłą wstrząsnął kołami intelektualnymi Warszawy. Ten Zjazd, w którym wielu Francuzów widziało po prostu zapowiedź przemian wewnątrz sowieckiej biurokracji, ukazywał się Polakom jako zapoczątkowanie całkowitego zerwania z dawnym porządkiem i obietnicą narodowej niepodległości ustrojów i partii komunistycznych wobec Moskwy. Dla cudzoziemca, natychmiastowym rezultatem tych nastrojów było danie mu dużej swobody poruszania się oraz śmiałość z jaką odpowiadano mu na wszystkie pytania, nawet bardzo niedyskretne. Naturalnie, że nie zniknęły szeroko zakorzenione zewnętrzne oznaki niedawnego ucisku, na przykład system ścisłej kontroli przy wejściu do wszystkich urzędów publicznych, nie wyłączając Akademii Nauk (absurdalność tej kontroli wykazała prasa polska

rozgłaszając historię pewnego dziennikarza, który przedostał się przez wszystkie zapory, podając się za Juliusza Cezara). Konformizm nabrał ostatecznie w Polsce cech komicznych (jak na przykład dopatrywanie się kosmopolityzmu u ludzi noszących motylki zamiast krawatów): ale śmieszności nie mogły zasłonić zasadniczej treści, która w dziedzinie kulturalnej polegała na całkowitym podporządkowaniu uczonych i badaczy ortodoksji sowieckiej, na niemożliwości nie tylko odbiegania od linii (na przykład artykuł w piśmie, przeciwny tezom rosyjskim, zostawał systematycznie odrzucany), ale nawet systematycznego zapoznawania się z kierunkami i pracami ich kolegów, pozostających poza zasięgiem systemu. Mimo, że Polacy dołożyli wszelkich wysiłków aby jak najszybciej usunąć te przeszkody, można było jeszcze ocenić znaczenie przegrody, jaka przez tyle lat oddzielała inteligencję polską od kultury zachodniej.

Ale zapewniano z przekonaniem, że ta izolacja została ostatecznie przekreślona a ton tych oświadczeń (które w owym czasie nie były pozbawione ryzyka), nie pozwalał wątpić w ich szczerość. Podjęcie i wzmocnienie kontaktów z Francją okazało się szczególnie silnie pożądane. Francja wydawała się Polakom najpewniejszą i najbardziej korzystną drogą do podjęcia przerwane go dialogu. I dlatego mogliśmy powrócić z Polski z uczuciem optymizmu, jeśli idzie o perspektywę zebrania.

W rzeczywistości klimat swobodnej dyskusji, jaki zapanał w czasie kursu, przeszedł nadzieje jakie w ramach rozsądnego przewidywania można było żywić kilka miesięcy przedtem. Stało się tak, gdyż w międzyczasie postępy ewolucji przybrały wyjątkową szybkość: od tej chwili jasne i rozstrzygające stanowiska zajęły miejsce oświadczeń zasadniczych i jeszcze niezupełnie wykrystalizowanych pragnień, z pierwszego okresu. A więc, krótki przeciąg czasu wystarczył, żeby wzmocnić i rozszerzyć ruch, który był elementarnym warunkiem powodzenia projektowanego zebrania. Chociaż jest ciągle modne w naszych czasach kładzenie nacisku na przyspieszenie historii, z trudem można sobie wyobrazić jak zmiany mogą być nagłe i brutalne. Stąd więc, wszystkie środki ostrożności, przedsięwzięte przez organizatorów, aby złagodzić starcia i zmniejszyć napięcie, które uważano za nieuniknione — okazały się nie tylko zbędne, ale całkowicie nieaktualne. Najlepszym sposobem opisanja zauważonych zmian jest pobieżna analiza zachowania się polskich uczestników kursu, których poziom intelektualny okazał się wyjątkowo wysoki.

Rzecz, która może najbardziej uderzyła Francuzów, była wielka różnorodność zdań ujawniająca się w łonie polskiej delegacji. Tam, gdzie niektórzy spodziewali się znaleźć monolit, odkrywali nie bez zdziwienia, szeroki wachlarz poglądów. Należy już do tradycji uważać, że Polacy posiadają szczególne zdolności dyskusyjne i że po prostu bawi ich kontrowersja: ten aspekt narodowego temperamentu specjalnie zaznaczył się na tym naukowym seminarium. Jeśli idzie o zagadnienie tak podstawowe

jak obiektywizm uczonego w analizie rzeczywistości społecznej, uczestnicy polscy zajęli stanowiska różne: od pewnej wiary w możliwości realizacji aż do bardzo jaskrawego sceptycyzmu; wszystkie zagadnienia rozpatrywane w czasie seminarium natrafiały u nich na rozbieżność zdań (nie były to jedynie drobne niuansy, ale zasadnicze przeciwieństwa). W sumie, jeden z członków grupy francuskiej zaobserwował słusznie, że w delegacji polskiej reprezentowane były wszystkie kierunki: od marksizmu do neo-pozytywizmu. Inne ciekawe spostrzeżenie — to zapalczywość z jaką młodzi polscy uczeni nie wahali się w wielu wypadkach sprzeciwiać się twierdzeniom swych profesorów, obecnych na kursie. Takie zachowanie wywoływało pewne zdziwienie w porównaniu z uniwersytecką tradycją francuską, bardziej — przynajmniej na zewnątrz — konformistyczną.

Drugim rysem, również bardzo zaakcentowanym, była wyjątkowa szczerość z jaką większość polskich uczestników przyznała i ujawniła błędy popełnione w ciągu ostatnich lat, nie tylko w sensie działania konkretnego, ale także jeśli idzie o interpretację doktrynalną. W wielu wypadkach polscy marksiści żywo krytykowali dogmatyzm ostatniego okresu i podkreślali konieczność nawrotu do koncepcji marksizmu, bardziej giętkiej i ludzkiej, która by z niego uczyniła żywy instrument, przystosowany do historycznych konieczności dzisiejszej Polski. Wiele z ich stwierdzeń zostało podanych w wątpliwość — na ogół poza godzinami wykładów — przez komunistów francuskich, którzy uznali je za fałszywe i niebezpieczne. Nie do mnie, jako autora tego artykułu, należy rozstrzyganie na korzyść jednych czy drugich: mogę tylko stwierdzić, na podstawie zebranych obserwacji, że stosunki pomiędzy komunistami francuskimi i polskimi spowodowały ogromne wzajemne rozczarowania i wywołały różnice zdań, które niekiedy przybierały dość gwałtowną formę. W szczególności, młodzi komuniści z delegacji polskiej byli urażeni pogardliwą interpretacją ich dążenia do narodowej niepodległości przez członków i prasę francuskiej partii.

Trzeci rys, który chciałbym podkreślić, odbiega od poprzednich. Jest nim wielka chęć poznania uzyskanych zagranicą rozwiązań, dotyczących zagadnień ekonomicznych i socjalnych, aby móc z nich wyciągnąć wszystko to co dałoby się zastosować dla poprawy sytuacji w Polsce. Niewątpliwie zamknięcie się w ramach wyłącznie jednego kraju nie jest szczególnie korzystne dla rozwoju. Weźmy wypadek najbardziej banalny: przed wojną nie istniały praktycznie w Polsce wielkie domy towarowe i kiedy chciano je wybudować, wskutek niby zerwania stosunków z Zachodem, jedynym wzorem, jakim można było rozporządzać, był sowiecki. Rezultatem tego są bloki budynków, o których z przykrością należy myśleć, że zostały wybudowane, tak bardzo ich urządzenie wydaje się przestarzałe w porównaniu z nowoczesną techniką handlową. Polacy zdają sobie z tego sprawę i pragną zapożyczyć od świata kapitalistycznego wszystko, co mu daje wyższość w tych sprawach. Wyrazili nawet chęć przysłania spe-

cjalnych ekip dla przestudiowania obecnych form dystrybucji w Londynie, Paryżu i Zuerichu. Taki sam nastrój ujawnił się z żywiołową siłą u uczestników kursu: słowem najczęściej używanym było „doświadczenie”. Charakterystyczna porażka, poniesiona przy zaszczipianiu sowieckich wzorców na nieodpowiednim gruncie, doprowadziła tych młodych uczonych do usilnych poszukiwań gdzie indziej inspiracji, potrzebnych do przebudowy i odnowy. W związku z tym można było docenić urok jaki wywarły pewne formy jugosłowiańskie — specjalnie w dziedzinie decentralizacji przedsiębiorstw. Wyrażając się z rezerwą o — w ich oczach przesadnej — autonomii zakładów przemysłowych w tym kraju, ekonomiści polscy podkreślili, że poczyniono już u nich pewne kroki aby radom robotniczemu dać większą władzę w ramach przedsiębiorstwa (punktem wyjścia było podpisanie przez władzę centralną i rady robotnicze umowy, określającej plan produkcyjny). Ale stwierdzono kilkakrotnie, że nie wystarczy naśladować jedynie przykłady innych krajów komunistycznych, a że należy ponadto wyciągnąć ewentualne wnioski z osiągnięć krajów kapitalistycznych — wszędzie tam gdzie będzie można je z korzyścią zastosować w gospodarce socjalistycznej.

Nie należy tu popełniać błędu: pomimo rozbieżności opinii, uznania błędów i chęci wykorzystania doświadczenia innych, uczestnicy polscy, w swojej przeważającej większości, są zdania, że jedyną otwartą drogą pozostaje socjalizm i że nie ma mowy o odejściu od podstaw nowego porządku społecznego. Przy wielu okazjach podkreślali oni, że podobieństwo zagadnień nie powinno przesłaniać zasadniczej różnicy pomiędzy kapitalizmem i socjalizmem. Stanowiska naszkicowane świadczą o chęci poprawy, ale nie zasadniczej przebudowy w sensie powrotu do dawnego stanu rzeczy. Nie ma potrzeby podkreślać, że to samo uwidoczni się jeśli idzie o życie polityczne: żaden Polak obecny na kursie nie mówił o powrocie do systemu wielopartyjnego, ani nawet nie pozwalał przypuszczać, że taka zmiana mogłaby być brana pod uwagę. Natomiast jeden z profesorów sugerował możliwość systemu pozwalającego na rozwinięcie pewnej aktywności dawnych partii, które przetrwały, bez kompromisu jednak, jeśli idzie o przewodztwo partii robotniczej. Ten projekt nie wywołał żadnego oddźwięku. Trudno jest przewidzieć czy ten pogląd rozwinię się, czy też ustali, na powyższych zasadach, ale, w chwili kiedy miał miejsce kurs, biorący w nim udział intelektualiści jasno podkreślali, że, według nich, system monopartii i uspołecznienia dóbr (w każdym razie wszystko poza rolnictwem) nie może podlegać dyskusji.

Jak można było się spodziewać, delegacja francuska — której wybór opierał się na przesłankach czysto uniwersyteckich — wykazywała niezmiennie szeroki wachlarz poglądów we wszystkich zagadnieniach naukowych i praktycznych. A propos pewnej delikatnej debaty — jeden z członków uważał za wskazane wyjaśnić, że każdy Francuz mówi wyłącznie we własnym

imieniu i że samo pojęcie obozu francuskiego nie byłoby właściwe. Należy zanotować, że Polacy robili przyjacielskie wymówki francuskim kolegom, że stawiają im zbyt dużo pytań, podczas gdy to właśnie oni przybyli do Francji, aby uzyskać informacje; oświadczyli również, że uważają, iż Francuzi są trochę oderwani od własnych zagadnień, w sumie za bardzo spokojni wobec własnych trudności. Ten sąd jest może przesadny, ale niewątpliwie wrzenie, charakterystyczne dla lat Wyzwolenia ustąpiło — w różnych dziedzinach — pewnemu sceptycyzmowi zabarwionemu rezygnacją, który — z pozoru — robi wrażenie obojętności. Wydaje się zresztą, że z biegiem czasu Polacy mogli nawiązać wszelkie pożądane kontakty i uzyskać wszystkie informacje, które były im potrzebne. W sumie, poprzednie obserwacje wyjaśniają, że udało się zrealizować przyjazny i owocny dialog pomiędzy przedstawicielami obu krajów. Naturalnie można było także zanotować pewne, nieraz nawet poważne, starcia na określone tematy. Na przykład: jeden z polskich profesorów oświadczył, że Stany Zjednoczone nie interesują się naprawdę zagadnieniami krajów gospodarczo niedorozwiniętych (a przecież właśnie Stany Zjednoczone praktycznie wniosły tę sprawę na wokandę międzynarodowych organizacji w okresie, gdy Rosja była zbyt zajęta wchłanianiem Europy Wschodniej, aby myśleć o przyniesieniu tym krajom choćby najmniejszej pomocy ekonomicznej); profesor ów sugerował zrealizowanie systemu potrójnej wymiany (blok sowiecki — kraje gospodarczo niedorozwinięte — Europa Zachodnia), Stany Zjednoczone miałyby być w tym systemie ograniczone — na początek — do zawierania serii obustronnych umów. Tego rodzaju stanowisko uznane zostało przez pewną liczbę Francuzów za wynikające z ideologii politycznej. Przeważnie jednak rozmowy toczyły się w nastroju spokojniejszym i każdy z uczestników robił co w jego mocy, aby przystosować się do neutralności wiedzy, co zdaniem wielu Polaków było rzeczą absolutnie niezbędną.

Jest dość łatwe wymienić warunki, których spełnienie uczyniło z kursu instrument międzynarodowej współpracy. Większość uczestników przybyła tu z chęcią wzbogacenia się poprzez stawianie pytań, nawiązywanie kontaktów i zacieśnianie przyjaźni. Ponadto, pracując na zasadach całkowitej równości, szybko zrozumieli, że nikt ze słuchaczy nie ma zamiaru wywierać żadnej presji na innych, aby narzucić swoje zdanie i swoją skalę wartości. Uczestnicy kursu przyjęli dialog ze wszystkimi sprzecznościami.

II

Nikt rozsądny nie mógł spodziewać się, aby seminarium francusko-polskie mogło przynieść ostateczne, czy choćby pogłębione odpowiedzi na zagadnienia, które były na porządku dziennym kursu. Wymiany myśli, jakie następują w czasie podobnych spotkań, mogą — bez wątpienia — ułatwić późniejszą

pracę naukową, ale nie mogą jej zastąpić. A zatem zagadnieniem, które należy zanalizować, nie jest sam przebieg dialogu, ale jego efektywna treść.

Mówiąc ogólnie, kollokwium wydobyło na światło niepewność i niewystarczalność (ktoś bardziej surowy lub mniej optymistyczny powiedziałby — niemoc) nauk społecznych w analizie zagadnień, które uważają one za swoją domenę. Zapomina się często, że zagadnienia te istnieją najwyżej sto lat i że powstały o setki lat później niż nauki fizyczne czy biologia. Nie jest wykluczone, że ta nierównomierność startu jeszcze bardziej pogłębia się w naszej epoce. Z wyjątkiem pewnych bardzo ograniczonych pól badania (np. lingwistyka i etnologia) — nauki społeczne — nawet te z nich, które są najbardziej zaawansowane — nie mogą jeszcze ustalić ścisłych związków na których opiera się poznanie naukowe. W pewnych zacofanych dziedzinach (na przykład studium zjawisk politycznych) nie jest nawet pewne czy doszło się do konkretnego postawienia zagadnień, które należy zanalizować. Pomieszanie słownictwa, które ciąży jeszcze w sposób niekiedy zasadniczy na treści, samo już świadczy o niedorozwoju panującym w tych naukach. Lata wytężonej pracy, strawione przez wybitne umysły, nie pozwoliły jeszcze ekonomistom na uzgodnienie takich pojęć jak postęp, rozwój, wzrost i ekspansja. Socjologowie odrzucają nawet pojęcie postępu, zastępując je pojęciem zmiany. Zaledwie naszkicowano dotychczas wykaz zmieniających się danych, które należy wziąć pod uwagę analizując różne sytuacje życia społecznego. Tylko w dziedzinach najbardziej zaawansowanych, na przykład w ekonomii, jest do pomyślenia przejście od statyki do dynamiki: najczęściej przewidywania nie sięgają poza stadium osobistych intuicji.

Zrozumiała jest więc niechęć z jaką wielu uczonych stosuje nauki społeczne do diagnozy zagadnień naszych czasów i do proponowanych rozwiązań. Ta kwestia była żywo dyskutowana w czasie kursu. Najbardziej surowi spośród uczestników twierdzili, że biorąc na siebie funkcje udzielania rad, specjalista nauk społecznych przypomina astrologa, tak lubianego przez dwory anien régime'u. Inni, mniej skrajni, używali słusznych, jak się zdaje, argumentów, żeby podeprzeć następującą tezę: niedoskonałość teoretycznej wiedzy nie powinna być przez nas uważana za przeszkodę absolutną kiedy chodzi o wypracowanie poglądu na środki, pozwalające polepszyć daną sytuację, czy też pomóc danej polityce. W wielu sprawach specjalista nauk społecznych może odgrywać użyteczną rolę jako doradca rządu w jego posunięciach. Powinien jednak zawsze zachowywać jak największą ostrożność.

Wyrażając się mniej banalnie, seminarium ukazało wyraźnie zasadniczą niemoc różnych dyscyplin społecznych kiedy chodzi o ich współpracę w dążeniu do wspólnego celu. W fachowym żargonie ten kurs francusko-polski był rodzajem spotkania różnych dyscyplin: ale jeszcze raz okazało się, że specjaliści różnych nauk, spotkawszy się, interesowali się przede wszystkim

własnymi problemami, korzystając z okazji, aby wytaczać sobie wzajemnie pretensje. Historycy zarzucali filozofom, że ci zastygli w koncepcjach historii dobrych pięćdziesiąt albo sto lat temu. Ekonomiści to samo zarzucali historykom, jeżeli chodzi o teorię gospodarki. Można tu zresztą nie przytaczać przykładów, dobrze chyba znanych, tego wzajemnego niezrozumienia. Kilku francuskich uczestników wyraziło nawet wątpliwanie czy wskazana jest współpraca pomiędzy dyscyplinami. Złożyli przez to dowód, że nie widzą niesłychanie szkodliwych skutków, jakie pociągają za sobą sztuczne i arbitralne przegrody, wznoszone przez każdą gałąź wiedzy społecznej. I zawsze na pewno tak będzie, jeżeli się ograniczy jedynie do zgromadzenia naukowców, pogrążonych we własnych zakresach badań, a nie dostarczy się im jakiegoś współczynnika, ułatwiającego współpracę. Należy uznać wagę, jaką ma nauka o zachowaniu się ludzkim, o bodźcach postępowania, będąca przedmiotem wysiłku najbardziej nowatorskich dzisiaj umysłów. Jednak analiza prawdziwości zachowania się jest ciągle jeszcze w stadium laboratoryjnym, a tymczasem każdy utrzymuje swoje pozycje ze szkodą prawdziwego udoskonalenia wiedzy.

Oczywiście obserwacje tego rodzaju można byłoby zrobić na marginesie każdego spotkania, poświęconego naukom społecznym. W istocie kontrowersje i rozdzwiewki, jakie powstały na seminarium, nie były bynajmniej sprawą francusko-polską. Historycy, ekonomiści, socjologowie mają w rozmaitych krajach te same mniej więcej postawy w takich sprawach. Spróbujmy teraz wydobyć pewne cechy szczególnie zebrania, spowodowane przez specyficzny dobór słuchaczy.

Podkreślmy przede wszystkim pewną rozbieżność punktów widzenia, dostrzegalną w wielu momentach dyskusji. Pierwsza taka rozbieżność, a łatwo było ją przewidzieć, wypływała z odmiennego charakteru reprezentowanych ideologii. Tak na przykład, kiedy dyskutowano o postępie gospodarczym, natknięto się natychmiast na problem włączenia usług do dochodu narodowego. Wiemy, że Sowiety uważają iż fałszuje się rachunek dochodu narodowego i większa się sztucznie jego wysokość, jeżeli włącza się doń usługi, które według nich wcale nie zwiększają społecznej produkcji, a przeciwnie stanowią jeden ze sposobów jego zużycia. Skądinąd wielu niemarksistowskich ekonomistów nie zdradza wielkiego zachwyty w stosunku do obecnego systemu (zwłaszcza do metod stosowanych żeby wykazać udział państwa w produkcji), ale podkreślają arbitralność decyzji, mocą której włącza się pewne usługi w całość (np. transport towarów) a wyłącza się inne (w szczególności transport osób). To znaczy, że systemowi używanemu poza światem sowieckim wyznaczają miejsce wyłączenie konwencjonalnego narzędzia. Dyskusja o tych problemach, jeżeli nie wypacza jej żadna polemiczna stronniczość, może być bardzo użyteczna i jeżeli nie zdoła zbliżyć pozycji, to przynajmniej przyczyni się do wzajemnego wyjaśnie-

nie swych pobudek. Rozbieżności tego typu nie spowodowały w żadnym wypadku zatoru w dyskusji.

Druga rozbieżność, i o niej mniej myślano na początku, wynikała z tego, że problemy w dzisiejszej Francji i Polsce nie są takie same. Spostrzeżono to zwłaszcza z okazji analizy wyników postępu technicznego, które dzięki prof. Friedmannowi zajmowały tak ważne miejsce w pracach kursu. Profesor ten zauważył, że technologiczne udoskonalenia nie zawsze powodują dobre skutki. W społeczeństwach, gdzie postęp techniczny osiąga wielkie rozmiary przyczynia się on do rozbicia pewnych struktur społecznych i powoduje napięcia szkodliwe dla spójnego charakteru wspólnoty. Jednym z najciekawszych momentów seminarium była analiza pewnych przemysłowych ankiet, mających za temat postawę robotników francuskich wobec tych zjawisk. Otóż Polacy zauważyli, że w obecnej sytuacji nie interesują ich ewentualnie szkodliwe skutki postępu technicznego, ale że przeciwnie, zależy im na jak największym przyspieszeniu postępu. Jeden z nich nawet oświadczył, że życzyłby swojemu krajowi „nieszczęść” cywilizacji technicznej, bo to znaczyłoby, że Polska osiągnęła ten stopień rozwoju gospodarczego, w którym takie problemy powstają. Taka jednak różnica punktów widzenia, choć mogłaby odebrać dyskusji znaczną część wagi, odgrywała tylko niedużą rolę, gdyż w najbardziej zaawansowanych sektorach przemysłu Polsce nie obce są problemy, jakie stwarza postęp techniczny w skali masowej. Na przykład działanie zakładów metalurgicznych Nowa Huta czy też, biorąc rzecz bardziej ogólne, przyspieszona urbanizacja ludności — zmuszają polskich socjologów do uznania, że wady cywilizacji technicznej powinny stanowić ważny przedmiot badań. Docenianie tych trudności będzie coraz większe w miarę gospodarczego rozwoju. I być może seminarium dało ten pożytek, że zwróciło uwagę na rozmaite problemy, często pomijane przez tych, którzy dążą do niewątpliwie koniecznych ulepszeń technologii.

Niezależnie jednak od tych rozbieżności dyskusje francusko-polskie wykazały pewne cechy bardziej zasadnicze i specyficzne.

Tak więc stwierdzono u wielu polskich uczestników skłonność do prowadzenia raczej dyskusji ideologicznej niż do wyjaśniania socjologicznych zjawisk. Weźmy na przykład zagadnienie kryteriów postępu społecznego. Wolno zapytać jakie powinny być kryteria takiego postępu (i nie wyjdzie się wtedy poza wygłaszanie sądów wartościujących), albo też szukać jakie są kryteria powszechnie przyjęte przez daną wspólnotę. Wyniki wyboru pomiędzy dwiema takimi drogami sięgają dalej niż czysta spekulacja. Zadano na przykład pytanie czy wysokość realnej płacy — bardziej jeszcze niż jej stopniowe podwyższanie — nie stanowi czynnika, który decyduje o zainteresowaniu robotników w działalności przedsiębiorstwa. Jeżeli się chce uzyskać ich czynny udział czy nie należy uważać materialnych korzyści, osiągniętych dzięki pracy, za element zasadniczy? Niektórzy polscy koledzy zakwestionowali ten związek pomiędzy płacą

i chęcią współpracy ze strony robotników. Jeden z nich nawet wystąpił przeciwko temu bardzo gwałtownie. A jednak te stwierdzenia były niczym innym jak tylko wyrażeniem osobistych punktów widzenia, opartych raczej na wyjątkowych przypadkach. Jedynie socjologiczna ankieta może dostarczyć przekonującej odpowiedzi na podobne pytanie.

Należy tutaj podkreślić, co zarysowało się jasno w czasie kolokwium, obecną słabość polskiej socjologii, wynikającą z faktu, że nauka ta w czasie wielu lat nie mogła być w Polsce głoszona. I tutaj oskarżenie popełnionych błędów było jedno-myślne. W okresie nazywanym przez Polaków stalinizmem, socjologia uważana była za naukę zbytęcną i wywrotową. Zadanien uczoney było nie przeprowadzenie badań rzeczywistych, ale walka z ideologią burżuazyjną i ogłaszanie pochlebnych komentarzy dla tez oficjalnych. Dopiero w roku 1955 można było podjąć na nowo poszukiwania, prawie całkowicie przerwane w roku 1949. Należy zaznaczyć, że żadna z nauk społecznych nie uniknęła podobnego paraliżu. Jeden z najlepszych ekonomistów polskich, prof. Lipiński, podkreślił w swoim sprawozdaniu, że do ostatnich lat rola nauki ekonomicznej była tylko czystą apologią: należało do niej naświetlanie i bronienie sowieckiej koncepcji socjalizmu. Jeśli idzie o nauki polityczne to — w granicach, w których jednym z ich zasadniczych celów jest analiza rzeczywistego przebiegu podejmowania decyzji i opisywania efektywnych resortów władzy — samo ich istnienie było nie do przyjęcia. Gdyż — jak to zaznaczył jeden z polskich profesorów — jeżeli przyjmuje się fikcję, że wszystkie przepisy prawne, wszystkie czynności aparatu państwowego, reprezentują wiernie wolę większości — naukowa analiza życia politycznego jest niemożliwa.

Nigdy jeszcze nie wyznaczono dokładnie warunków niezbędnych do rozwoju nauk społecznych, ani nie podkreślono współczynników które okazały się korzystne dla ich udoskonalenia. Ale współczesne doświadczenie pozwala nam stwierdzić z całą pewnością, że ustroje autorytatywne nie mogą tolerować rozwoju tych nauk, a nawet w ogóle ich istnienia — jako instytucji o wiedzy niezależnej od rozkazów władzy. Legenda głosi, że pierwszy profesor rosyjski, który ogłosił się socjologiem, został zesłany przez cara na Syberię. Anegdota jest może zmyślona, ale tym niemniej odpowiada całkowicie logice ustroju cesarstwa. Mówiąc ogólniej, od chwili kiedy sądzono, że została z całkowitą pewnością odkryta reguła funkcjonowania życia społecznego i kiedy oświadczone, że należy prowadzić politykę zgodną z tą regułą — nie ma więcej miejsca na swobodne badania nauk społecznych (specjaliści, którzy w dalszym ciągu twierdzą, że to jest możliwe, odgrywają jedynie rolę wychowawców społeczeństwa w poszanowaniu oficjalnych dyrektyw i interpretacji oraz pośredników w technicznym wykonaniu planów rządowych). Ekonomiści i socjologowie polscy potwierdzili, że posiadają obecnie na nowo pełną swobodę badań naukowych. Czy byłaby wygó-

rowaną nadzieją, że w rezultacie mógłby powstać szereg instytucji badawczych, łączących uczonych obu krajów?

Chciałbym na koniec wyodrębnić ostatni rys charakterystyczny kursu: widoczną nieśmiałość, wspólną Francuzom i Polakom, w zetknięciu z niektórymi zasadniczymi zagadnieniami naszych czasów. Czy należy to kłaść na karb ostrożności naukowej (bliskiej wtedy wyznaniu bezsily) czy może powodowano się obawą naruszenia pogodnej atmosfery odnalezionej przyjaźni, co mogłoby wynikać przy ujawnieniu przeciwieństw, kto wie czy nie zasadniczych? Prawdopodobnie grały tu obydwaj względy, ale za cenę wykręcenia się od trudności, których, być może, można było uniknąć, kurs dostarczył w sumie niewiele materiałów do studium zagadnienia koegzystencji, której analizę teoretyczną należy prawie całkowicie wypracować.

Byłoby okrucieństwem podkreślać naiwność pewnych stanowisk, zajmowanych przez polskich uczestników: np. powołując się na obawy różnych środowisk, że polityka koegzystencji może skończyć się przymusową ekspansją komunizmu, jeden z nich stwierdził (na początku października 1956), że po XX Zjeździe zagadnienie to może być uznane za całkowicie zlikwidowane, i że odtąd hipoteza rewolucji narzuconej, czy podtrzymywanej przez siły zewnętrzne, jest niemożliwa. Wielu z nich, w sposób zaledwie nieco bardziej realistyczny, dawało do zrozumienia, że wprowadzając koegzystencję do zagadnienia stosunków francusko-polskich, a nawet do utrzymania spotkań, takich jak to, w którym biorą udział. Cóż to byłoby za szczęście — gdyby koegzystencja tylko od tego zależała! Niestety tygodnie, które nastąpiły po tym kollokwium, zniszczyły te iluzje.

W potocznym języku istnieje stała rozbieżność pomiędzy pojęciem koegzystencji a współpracy (*coexistence et coopération*). A przecież koegzystencja nie narzuca sama przez się współpracy. Koegzystencją, na przykład dla Stanów Zjednoczonych, jest możliwość układania swojego życia tak, aby jeden nie wchłaniał czy nie ujarzmił drugiego; taki stan rzeczy mógłby być uznany za pokojowy, gdyby żaden z tych dwóch nie usiłował zniszczyć drugiego. Współpraca to jest już faza wyższa, w czasie jej trwania mogą być zawiązywane więzy współzależności, ale przejście od koegzystencji do współpracy nie jest ani automatyczne, ani możliwe jedynie poprzez dobre chęci. Zawiera ono w sobie wymagania, bez wypełnienia których każde wezwanie do współpracy jest z góry skazane na niepowodzenie (chyba że jest tylko mawem taktycznym). To, że kurs francusko-polski spełnił warunki pozwalające na współpracę w ściśle określonym kierunku, nie jest jeszcze wystarczające dla całości zagadnienia. Warunków, koniecznych do przejścia od koegzystencji do współpracy na polu politycznym kollokwium nie śmiało, czy też nie mogło formułować, a przecież mało jest zadań bardziej pilnych jeżeli chce się, poprzez analizę skutecznych sposobów działania, doprowadzić do właściwych rozmiarów złydy propagandy.

Tak jak na wszystkich konferencjach, kurs francusko-polski spowodował wiele dyskusji kuluarowych. Ich najważniejszym tematem był los Polski (specjalnie w ostatnich dniach seminarium, w czasie których nastąpiły dramatyczne zmiany w kierownictwie partii robotniczej). Jakież zresztą inne zagadnienie mogło bardziej interesować tych młodych naukowców w chwili, gdy dygnitarze sowieccy lądowali w Warszawie — od losu ich kraju; ich wypowiedzi pozwalają na naszkicowanie konturów zagadnienia polskiego w dobie obecnej.

Dawnemu kierownictwu zarzucono dwa błędy: ucisk polityczny i intelektualny oraz niewystarczającą stopę życiową społeczeństwa. Zmniejszenie i stopniowe usunięcie tych dwóch klęsk, które, wydaje się, jest celem nowych kierowników, znajduje poparcie u tych wszystkich, z którymi udało nam się rozmawiać. Ale łatwiej jest postawić diagnozę, niż rozwiązać zagadnienie.

Na planie politycznym idzie — jak już zaznaczyłem — nie o zmianę ustroju, ale o jego udemokratycznienie. Ponieważ nie stosował tego dotąd żaden reżym komunistyczny, trudno jest ustalić z góry istotę i granicę takiego przedsięwzięcia. W zakresie, w jakim podstawy ustroju komunistycznego są dzisiaj w Polsce przyjęte — jeżeli nie jednomyślnie, to w każdym razie ogólnie — należy rozumieć że wprowadzono do niego dość duży margines wolności. Czy tak jest naprawdę? Niewątpliwie uprzedmiotowienie ogromnie powiększyło procent robotników fabrycznych w stosunku do całej ludności, ale ukryte siły katolickie (których zwierzchnictwo okazało się wyjątkowo ostrożne) pozostają nienaruszone, a wieś z powodzeniem przeciwstawia się usiłowaniom kolektywizacji. Demokratyzacja wewnątrz partii robotniczej i związków zawodowych wprowadza znaczne zmiany, ale czy obecny reżym komunistyczny przewiduje, a w każdym razie z własnej woli, dalszy postęp po tej drodze? A zatem czy ograniczenia wolności politycznej nie mogą po pewnym czasie pobudzić pragnienia nowych ustępstw, które — być może — zmusi kierowników do powrotu do dawnych stanowisk? Czy proces liberalizacji, raz rozhuśtany, może być zatrzymany dokładnie w tym punkcie, gdzie zaczynałby zagrażać reżymowi — na to pytanie nikt nie umie odpowiedzieć na pewno.

Ponadto, nie jest to sprawa wyłącznie Polski, a położenie geograficzne jest jednym z współczynników, któremu najtrudniej jest się wymknąć. Wszyscy nasi rozmówcy przyznali, że sąsiad rosyjski zdolny jest znacznie zahamować postęp wolności politycznej, której tak pragną. Niewątpliwie istnieją zawsze wybiegi, można, powiedzmy, atakować z siłą jakieś określone zagadnienie, na przykład francuską prasę komunistyczną, gdy sprawy, których ona broni, są identyczne z tymi, które głosi prasa sowiecka, podczas gdy tej ostatniej nie oskarża się wcale, albo w sposób o wiele łagodniejszy. Ale tak nie można grać w nieskończoność. A więc w ten sposób kierownicy polscy, pragnąc uniknąć następstw otwartej krytyki polityki rosyjskiej, stają

przed wątpliwym dylematem : zmniejszyć margines przyznanej wolności, albo narazić się na poważne napięcie stosunków z sąsiadem, którego wojska stacjonują na ich ziemi. Czy rządowi polskiemu uda się jeżeli nie wyeliminować to przynajmniej pohamować nastroje antyrosyjskie tak silnie zakorzenione w sercach tylu mieszkańców tego kraju? Podkreśla się, nie bez słuszności, że troska utrzymania zachodnich granic stanowi między Rosją o Polską jeśli nie czynnik przyjaźni, to w każdym razie podstawę solidnych powiązań. A jednak, w pewnych okolicznościach, argument ten może stracić swoją wartość. Sprawa węgierska bardzo skomplikowała zadania nowego kierownictwa. Nikt nie może zapewnić, że niemożliwy jest powrót podobnych dramatów, albo że wykluczone są całkowicie jakieś wypadki, być może mniejszej wagi, ale tym niemniej mogące spowodować wybuch. I tu jeszcze Polacy mogą potknąć się o zasadę niepodzielności wolności.

W polityce rząd może niespodziewanie natrafić na bardzo poważne trudności. A nie jest wykluczone, że zagadnieniem jeszcze cięższym do rozwiązania będą sprawy ekonomiczne. Wszyscy oczekują od rządów Gomułki szybkiego i widocznego podniesienia stopy życiowej. Czy będzie on w stanie to zapewnić?

Każdy, kto był w obecnej Polsce, wie jak niska jest stopa życiowa większej części ludności. W wielu dziedzinach o wiele niższa niż w latach 1946-1947. Zdając sobie sprawę z prowadzonej polityki nie widać możliwości natychmiastowej poprawy (nawet w poszczególnych dziedzinach, jak na przykład warunki mieszkaniowe w Warszawie — przewidywania na najbliższe trzy-cztery lata idą raczej w sensie pogorszenia). Inny współczynnik niezadawalający : różnica poziomu życia pomiędzy Polską i sąsiednią Czechosłowacją, wyraźna od początku, coraz bardziej się pogłębiająca.

Przyczyny tej sytuacji wymykają się częściowo woli Polaków. Niewielu Francuzów zdaje sobie dokładnie sprawę ze zniszczeń, jakim podlegała Polska od roku 1940 i ze skutków, wynikających z systematycznego wyniszczania elity tego kraju. Nie ma ani jednego odcinka myśli i nauki polskiej, który by nie został zdziśiatkowany. Wszelkie krytykowanie obecnego położenia bez pamiętania o tych sprawach, jest niesprawiedliwe i nie-ludzkie. Inna przyczyna trudności : potężny i nieustanny przyrost ludności zmusza do szerokich wkładów społecznych kraj, który dał pierwszeństwo w swoich troskach rozwojowi kulturalnemu. Tym niemniej nie należy nie doceniać popełnionych błędów, z których głównym jest nadmierne uprzemysłowienie (w części dyktowane racjami wojskowymi). Ten wysiłek był tak przesadny, że są dzisiaj w Polsce fabryki, nieczynne z powodu niemożliwości zaopatrzenia ich w surowce. Mamy autorytatywne stwierdzenia, że wybudowano fabryki, które w ogóle nigdy nie były uruchomione. Jeżeli dodać do tego ciężar przymusowych dostaw dla Rosji, która jeżeli nawet w pewnych dziedzinach po-

magala gospodarce polskiej (na przykład przekazywanie patentów i metod technicznych) to za to eksploatowała ją pod innym względem: zwłaszcza, przez lata, Polska musiała dostarczać Sowietaom ogromne ilości węgla po cenie o wiele niższej niż notowania na rynku światowym (sprawa dzisiaj unormowana). Ten zbieg niesprzyjających okoliczności wyjaśnia bez komentarzy charakter tragicznego położenia Polski.

Przyszłość zależy w dużej mierze od wysiłku z jakim chłopci podniosą produkcję środków żywnościowych, dostarczanych miastu. Ale cała historia współczesnego planowania wykazuje, że rolnictwo jest zacofane w porównaniu z rozwojem przemysłowym. Jeżeli nawet chłopci odzyskają zaufanie nie świadczy to wcale, że natychmiast uzyskają wyniki tak znaczne, jakich potrzeba do wydatnego polepszenia poziomu życia mas miejskich. Udoskonalenie produkcji rolniczej może być tylko wynikiem powolnego i ciągłego procesu. Można także przewidywać odwołanie się do pomocy z zewnątrz. Ułatwienia uzyskane przez Gomułę od Rosji nie są do pogardzenia, ale są dalekie od transfuzji bogactw, które mogłyby dać gospodarce polskiej decydującą podniętę. I tak dochodzimy do problemu pomocy Stanów Zjednoczonych, która, być może, mogłaby przybrać potrzebne rozmiary. Ale to jest już zagadnienie polityczne.

Wielu młodych intelektualistów polskich zdawało się uważać liberalizację ustroju politycznego jako rękojmię zasadniczej i szybkiej poprawy poziomu życia. Najbardziej elementarne rozstrząsanie polskich trudności nie pozwala, niestety, na taki optymizm.

Pod jakim kątem nie patrzylibyśmy, położenie Polski ukazuje się nam pełne zasadzek i trudności, a margines manewru — jakim rozporządza kierownictwo, aby je zmniejszyć — jest szczególnie ograniczony. W wyniku, nie jest trudno wyobrazić sobie, że mimo nadzwyczajnej zręczności szefa rządu, okoliczności mogą go zmusić do decyzji o nieobliczalnej doniosłości.

Jean MEYNAUD

(Tłumaczyła *Zofia HERTZ*)

Jean MEYNAUD, były Sekretarz Generalny Association Internationale des Sciences Politiques i Fondation des Sciences Politiques, który był kierownikiem (Directeur d'Etudes) na polsko-francuskim seminarium ekonomistów i socjologów, zorganizowanych na Sorbnie przez UNESCO, jest kierownikiem badań naukowych (Directeur de Recherches) w Ecole Pratiques des Hautes Etudes oraz profesorem Paryskiej Szkoły Nauk Politycznych, jak również profesorem ekonomii politycznej na uniwersytecie w Lozannie.

Strefa neutralna w Europie

Według doniesień korespondenta „Trybuny Ludu” z Moskwy, podczas przejęcia na cześć Gomułki na Kremlu, Chruszczow w swoim przemówieniu miał oświadczyć, że gdy żołnierz amerykański opuści Europę, w tym samym momencie, żołnierz sowiecki wycofa się z Niemiec Wschodnich, Polski, Węgier i Rumunii.

Słowa Chruszczowa, wypowiedziane mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Sowiety wysunęły pod adresem Zachodu swoją nową notę w sprawie rozbrojenia, zawierającą między innymi propozycję inspekcji zbrojeń w strefie około 1.000 mil, a w dalszej fazie, wycofanie wojsk amerykańskich i likwidację baz amerykańskich w Europie, zasługują na bardzo głębokie zastanowienie się i ocenę z punktu widzenia obecnej sytuacji strategicznej na świecie i w Europie w szczególności.

Obecność wojsk amerykańskich w Europie jest konsekwencją Paktu Północno-Atlantyckiego, będącego wynikiem — jak wyraził się J. Burnham w swojej książce „Bierny opór czy wyzwolenie” — amerykańskiej strategii zachodnio-europejskiej. W myśl tej strategii, wojska amerykańskie, stacjonowane w Europie — w razie otwartej agresji Sowietów — mają bronić jej wspólnie z wojskami innych krajów, wchodzących w skład Paktu Atlantyckiego. Z punktu widzenia politycznego, i biorąc pod uwagę czysto obronny charakter Paktu, obecność wojsk amerykańskich w Europie jest wyrazem amerykańskiej polityki „containment”.

Plan operacyjny, sformułowany przez S.H.A.P.E., będący wyrazem tej strategii, nie jest w swych ogólnych zarysach oczywiście — otoczony jakąś tajemnicą: otóż, ze względu na olbrzymią przewagę liczebną sił lądowych sowieckich, plan ten prze-

widuje manewr odwrotowy w kierunku na Ren, z tym, że w międzyczasie amerykańskie lotnictwo strategiczne — nie podlegające, notabene, rozkazom Wodza Naczelnego w Europie, lecz bezpośrednio rozkazom Prezydenta Stanów Zjednoczonych — działające z wielu baz, otaczających prawie cały obwód Związku Sowieckiego, wykonywałoby zadania, ustalone starannie w czasie pokoju, zrzucając bomby atomowe, czy wodorowe na obiekty w Rosji.

Działalność amerykańskiego lotnictwa strategicznego jest wyrazem innej strategii i innej szkoły myśli, a mianowicie, „strategii peryferyjnej”, której myślą przewodnią jest wykorzystanie nowych broni masowego zniszczenia, zarówno przy pomocy lotnictwa, jak również i rakiet dalekiego zasięgu.

Można by zaryzykować powiedzenie, że plan operacyjny S.H.A.P.E. w swych zasadniczych przesłankach, jest do pewnego stopnia mezaliansem tych dwóch strategii amerykańskich: wyrażenie mezalians zostało użyte celowo, dla podkreślenia drugorzędnej roli, jaką odgrywa w planach obrony Stanów Zjednoczonych obrona Europy.

W ciągu ostatnich paru lat, szereg czynników składało się, że ten charakter mezaliansu staje się coraz bardziej zaakcentowany, dlatego warto je pokrótce omówić.

Czynnikiem najważniejszym jest stagnacja, jeśli wprost nie upadek N.A.T.O., które nie tylko nie osiągnęło w 1953 stanów 100 dywizji, przewidzianych konferencją w Lizbonie, ale z trudem utrzymuje stany zbliżone do tych, które zastał w Europie gen. Eisenhower, mianowany Wodzem Naczelnym na początku 1951 roku.

W swoim pierwszym sprawozdaniu do „NATO Standing Committee” w Waszyngtonie, ocenił on, że wojska, będące w jego dyspozycji, mogłyby stawiać opór „nie wiele więcej jak symboliczny” — miał on wówczas pod swoimi rozkazami 12 dywizji, w czym 3 dywizje włoskie oraz prawie żadnych rezerw.

Jakże wygląda sytuacja obecnie, po siedmiu latach istnienia NATO?

Ze względu na wzrastające zaangażowanie sił francuskich w Afryce Północnej, udział Francji w obronie Europy Zachodniej staje się od paru lat coraz bardziej ograniczony; dwanaście dywizji niemieckich, przewidzianych w myśl Układów Paryskich (których podpisanie zostało poprzedzone latami przetargów i politycznej wojny podjazdowej), są wciąż jeszcze jakąś odległą fatamorganą: wprawdzie istnieją już liczne szkoły, zakłady i przede wszystkim sztaby, nie ma jednak mowy by w przyszłym roku powstała jakakolwiek wielka jednostka, a nawet i rok 1958 wciąż jest jeszcze pod dużym znakiem zapytania. Faktem więc jest, że obecny Wódz Naczelnny, gen. Norstad, ma pod swoimi rozkazami zaledwie kilkanaście dywizji, w tym cztery brytyjskie i pięć wielkich jednostek amerykańskich, przeważnie tak zwanych *combat teams*, odpowiadających mniej więcej konwencjonalnym dywizjom.

W tym samym czasie, po drugiej stronie Żelaznej Kurtyny, stoją w Niemczech Wschodnich 22 dywizje sowieckie o pełnych stanach. W większości są to dywizje pancerne lub zmechanizowane, szkolone dla *Blitzkriegu* w wielkim stylu, w ogólnym kierunku na Kanał La Manche lub Pireneje. Dalej na wschód, na terenie Ukrainy i Białorusi lub, po prostu na terenach krajów Europy Wschodniej, w myśl klauzul Paktu Warszawskiego, jest dalszych 60 dywizyj sowieckich, a ponadto (przynajmniej do czasu ukazania się głębokich rys na strukturze Paktu Warszawskiego) dowództwo sowieckie w swych planach operacyjnych brało również pod uwagę 80 dywizji satelickich, które od paru lat zaczęły osiągać wysoką wartość bojową. Wreszcie, jak podaje NATO Yearbook, w razie mobilizacji, armia sowiecka w ciągu trzydziestu dni może się rozbudować do 400 dywizyj, zaś, wszystkie satelickie siły zbrojne stworzone zostały od samego początku jako silne kadry, zdolne co najmniej do podwojenia się.

Zestawienie jedynie z grubsza tych cyfr, wykazuje tak olbrzymią przewagę liczebną Sowietów w dziedzinie tak zwanych „broni konwencjonalnych”, że strategia obrony Europy, pomyślana w myśl zasad klasycznych, stałaby się zadaniem prawie całkowicie beznadziejnym.

Dwa czynniki komplikują jeszcze bardziej to trudne zagadnienie: tak zwana „doktryna atlantycka” (której rzecznikiem był gen. Gruenther), przewiduje manewr odwrotny, a więc wojnę ruchomą, mniej więcej w myśl zasad ostatniej wojny światowej. Wprawdzie, w czasie wojny w Rosji, niemieckie dywizje pancerne, i to nawet poważnie przetrzebione, były w stanie powstrzymać w ciągu wielu dni, a czasem i paru tygodni, na froncie kilkunastu kilometrów, wielokrotnie przewyższające siły sowieckie, tym niemniej stosunek sił do przestrzeni około 800 klm. frontu na kilkanaście dywizji NATO w razie przyszłej wojny, będzie tak absurdalnie niski, że trudno będzie myśleć o jakiejś racjonalnej obronie.

Ponadto, armia sowiecka, w ciągu dekady, jaka nas dzieli od ostatniej wojny, przeszła proces olbrzymiej modernizacji: z masy wojska lądowego w stylu walk 1944-1945, przekształciła się ona w armię jak najbardziej nowoczesną, dostosowaną przede wszystkim do warunków wojny w epoce atomowej. Trudno byłoby, w tych warunkach nazywać ją — jak to uczynił gen. Gruenther „wałem mięsa”, raczej bardziej odpowiednią nazwą — jak wyraził się były generał niemiecki von Mellenthin — byłby „stalowy taran”.

W konsekwencji, manewr odwrotny, prowadzony przez o wiele słabsze siły NATO, będzie musiał doprowadzić w sposób nieunikniony do zalania Niemiec Zachodnich i większej części Europy przez masę sowiecką.

Dlatego też niektórzy wojskowi pisarze niemieccy, z płk. von Bonin na czele, wysuwają od paru lat koncepcję obrony stałej, przez stworzenie wzdłuż obecnej granicy politycznej Niemiec

strefy ufortyfikowanej, bronionej przez specjalne wojska graniczne, wyposażone w ogromną ilość broni przeciwpancernej; w myśl ich tez, obrona Niemiec Zachodnich byłaby zadaniem sił zbrojnych niemieckich, zaś wojska NATO — a w tym i wojska amerykańskie — powinny być wycofane na zachód od Renu, stanowiąc odwrót strategiczny. Wycofanie się sił NATO z terenu Niemiec, mogłoby, zdaniem tych pisarzy niemieckich, stworzyć warunek wstępny do wycofania się wojsk sowieckich z Niemiec Wschodnich.

Zbliżoną do pewnego stopnia koncepcję wysunął znany pisarz wojskowy, były profesor taktyki w Wyższej Szkole Wojennej w Portugalii, Czech z pochodzenia, ppłk. Miksche w swojej książce „Armie i bronie atomowe”. Ponadto, były Szef Sztabu Armii Amerykańskiej, gen. Collins, na łamach najpoważniejszego kwartalnika amerykańskiego „Foreign Affairs”, również wysunął tezę, że bronie nowoczesne, a zwłaszcza taktyczna broń atomowa dają obecnie obrońcy olbrzymią przewagę nad napastnikiem.

A więc, gdyby Zachód dla swojej obrony zastosował doktrynę obrony stałej przy pełnym wykorzystaniu taktycznych broni atomowych, co bynajmniej nie ma nic wspólnego z pojęciem Linii Magnot'a, wówczas zmora „wyzwalania” przez wojska amerykańskie Europy, zalanej przez hordy sowieckie, stałaby się raczej jakimś przykrym koszmarem, dalekim od urzeczywistnienia.

Niestety, brak sił „konwencjonalnych” czyni niemożliwym realizowanie planów obrony stałej i Zachód wydaje się coraz bardziej skazany na użycie broni masowego zniszczenia, lub na groźbę ich użycia, dla odstraszenia przeciwnika od prób agresji. Ponieważ od wielu lat, zarówno mężowie stanu Zachodu, jak i wyżsi dowódcy prześcigają się w swoich oświadczeniach publicznych, że broń masowego zniszczenia będzie przez Zachód użyta jedynie tytułem „odwetu”, cała strategia Zachodu oparta została na koncepcji „odwetu”, który, notabene, podjęty zostanie w warunkach przez Rosję narzuconych i, w konsekwencji dla Zachodu najmniej korzystnych, stając się de facto „strategią samobójczą”.

Ponieważ amerykańskie lotnictwo strategiczne, dysponujące środkami masowego zniszczenia, nie znajduje się pod rozkazami Wodza Naczelnego, w miarę wzrastającego postępu w dziedzinie tych broni, a jednocześnie postępującego kryzysu NATO, mezalians, o którym była powyżej mowa, akcentuje się coraz bardziej na niekorzyść tak zwanej „strategii czołowej” lub strategii zachodnio-europejskiej.

W konkluzji, bezpieczeństwo Europy Zachodniej i całego systemu obronnego NATO, znajduje się coraz bardziej w cieniu o kształcie gryba...

W miarę uzyskiwania przez Rosję parytetu technologicznego z Zachodem i wzrastania zdolności obu stron do zadania sobie nieobliczalnych szkód impas atomowy będzie się powiększał. Notabene, ten tragiczny impas, który przełamać będzie mogła

jedynie Rosja, gdy osiągnie przewagę techniczną, jest, niestety, wyłącznie dziełem przywódców Zachodu, którzy w ciągu tylu lat po wojnie świadomie wykluczyli z arsenału swojej dyplomacji nie tylko bombę atomową ale nawet samą tylko groźbę jej użycia. Wyrażenie „wojna przewencyjna” zostało wyklęte na Zachodzie i wyłączone ze słownictwa politycznego jeszcze przed ostatnią wojną: postawa Zachodu, zwłaszcza Wielkiej Brytanii, podczas zajmowania przez Hitlera Nadrenii, jest tego najlepszym przykładem.

Po wojnie, pomimo potępienia przedwojennej polityki „appeasement'u”, cała ta tragifarsa powtórzyła się ponownie. Jakim kontrastem na tym tle paraliżu woli i braku wizji politycznej są dwie inicjatywy polskiej wojny przewencyjnej w roku 1933 i 1936, oraz ostatnio, inicjatywa Ben-Guriona ofensywy przewencyjnej na Półwyspie Synajskim, uwieńczona wspnianiałym zwycięstwem militarnym. Jedyny zryw ofensywy — o charakterze przewencyjnym — wykonany przez Wielką Brytanię w ciągu ostatnich tygodni w Egipcie, niewątpliwie pod silnym naciskiem Francji — wskutek niezwykle nieudolnego planowania i wykonania, zakończył się wojskowym i politycznym kompletnym fiaskiem.

Na podmurówce tych ogólnych rozważań strategicznych, powróćmy do oferty Chruszczowa, wysuniętej pod adresem Zachodu: zauważmy na wstępie, że nie proponował on wymiany głowa za głowę, czyli Paktu Warszawskiego za NATO. W chwili, gdy przemawiał na Kremlu, żołnierze węgierskich sił zbrojnych, wchodzących w skład Paktu Warszawskiego, w jednym szeregu z powstańcami stawiali opór czołgom sowieckim. Chruszczow zdawał sobie niewątpliwie sprawę, że, w momencie gdy Pakt Warszawski trzeszczy w posadach, propozycja tego rodzaju umowy wymiennej byłaby niepoważna.

Natomiast propozycja wycofania wojsk amerykańskich z Europy — o ile rozważyć ją beznamiętnie — jest niezmiernie interesująca.

W świetle wzrastania potęgi broni atomowej i stopniowego spadku roli Europy w planach obrony Stanów Zjednoczonych, wycofanie z Europy kilku dywizji amerykańskich nie wpłynie poważnie na zmniejszenie się potencjału obronnego Stanów Zjednoczonych: zwolennicy szkoły myśli „strategii peryferyjnej” już od pewnego czasu wysuwali propozycję zredukowania, a być może, wycofania wojsk amerykańskich z Europy. Ponadto, w związku z obecnym kryzysem w stosunkach Stanów Zjednoczonych ze swymi aliantami zachodnimi i odbywającą się „reorientacją” polityki i strategii amerykańskiej w kierunku Bloku Afro-Azjatyckiego, szkoła myśli „strategii peryferyjnej” coraz bardziej będzie dochodzić do głosu. Powzięta jeszcze na parę miesięcy przed Kryzysem Suezkim, decyzja Stanów Zjednoczonych zredukowania stanów liczebnych — niewątpliwie na skutek wpływów admirała Radforda, znanego zwolennika „strategii

peryferyjnej” — jest wyrazem panującej tendencji w Stanach Zjednoczonych.

Sądzić więc należałoby, że Zachód podejmie rozmowy z Rosją na temat sugestii wysuwanych przez jej przewódców, a, jak wiadomo, delegat sowiecki w ONZ, wystąpił w ostatnim czasie z wnioskiem o podjęcie dyskusji nad sowiecką propozycją rozbrojenia.

Podobnie i opinia publiczna w Wielkiej Brytanii, zwłaszcza liberalna, wysuwa od czasu do czasu sugestie stopniowego wycofania się Wielkich Mocarstw z Kontynentu, wychodząc z przesłanek, że im dalej będzie przesunięta granica wolności na Wschód, tym bardziej na Zachód można będzie wycofywać siły wojskowe NATO.

Przechodząc do bliższego rozpatrywania propozycji Chruszczowa, należy z miejsca zastanowić się nad następującym problemem: dokąd mają być wycofane wojska amerykańskie, oraz jakie mogą być warianty rozwiązania, w wyniku ich wycofania się.

Niewątpliwie, w pierwszej fazie, zanim nie zostanie wypełniona luka, wytworzona przez wycofanie się wojsk amerykańskich, mogą być one przewiezione albo do Wielkiej Brytanii, albo przesunięte do Hiszpanii. Luka powinna być wypełniona, w pierwszym rzędzie przez bardziej intensywne niż dotychczas formowanie jednostek wojskowych w Niemczech, lub też — co wydaje się o wiele słuszniejsze — przez wciągnięcie Hiszpanii, z jej ogromnym rezerwuarem doskonałego żołnierza, do systemu obronnego NATO.

Tym niemniej, tak długo jak wojska sowieckie będą znajdowały się gdzieś na obszarach Ukrainy lub Białorusi, skąd zawsze będą mogły, wkroczyć z powrotem do krajów Europy Wschodniej, wojska amerykańskie winny pozostać na przyczółkach w Europie, jakimi są właśnie Wyspy Brytyjskie lub Hiszpania. Groźba trzystu a za parę lat około pięciuset sowieckich łodzi podwodnych jest zbyt poważna, aby nad nią przejść lekko do porządku dziennego. Sowieckie łodzie podwodne, przy braku fregat w wojennej marynarce Wielkiej Brytanii, uczynią przewóz wojsk amerykańskich ze Stanów Zjednoczonych, w razie wojny w Europie rzeczą niezmiernie trudną. Natomiast obecność tych sił, nawet niezbyt wielkich pod względem liczebnym, będzie symbolem czynnego udziału Stanów Zjednoczonych w obronie Europy — udziału, nie ograniczającego się jedynie do zrzucania bomb atomowych, oraz „wyzwalania” zgłiszcz europejskich.

Z drugiej strony, jeżeli nawet wojskowe czynniki amerykańskie, w świetle ewolucji sytuacji strategicznej, zgodzą się w zasadzie na propozycję wycofania swoich wojsk, uzyskując wzajemian od Sowietów zgodę na ich wycofanie się z niektórych krajów Europy Wschodniej, to należy uważać jako aksjomat, że nie zgodzą się one nigdy, pod żadnym warunkiem, na likwidację swoich baz lotnictwa strategicznego. Trzeba sobie uprzytomnić, że fakt okupacji Europy Wschodniej przez Sowiety, być może,

jest dla wielu Amerykan rzeczą przykrą; ewentualna utrata Europy Zachodniej może być przez nich oceniona jako rzecz niebezpieczna z punktu widzenia interesów obrony Stanów Zjednoczonych, lecz wyzbycie się baz lotniczych, które są dla nich kwestią życia lub śmierci — i to w wyniku transakcji wymiennej o niezbyt wielkiej dla nich wartości politycznej i strategicznej — wydaje się wprost nie do pomyślenia.

Ponadto, ze względu na olbrzymie postępy osiągnięte ostatnio przez Rosję Sowiecką w konstrukcji ciężkich bombowców dalekiego działania, które wprawiły w podziw ekspertów Zachodu, oraz faktu, że 4/5 sowieckiej floty bombowców dalekiego zasięgu skoncentrowane jest na północno-wschodnich obszarach Syberii, gdzie ostatnio zbudowano liczne bazy lotnicze — sprawa baz lotniczych staje się dla Stanów Zjednoczonych jeszcze bardziej żywotną.

Przyjmując jednak, że Chruszczow, a przede wszystkim marszałkowie sowieccy zgodzą się wzamian za wycofanie pięciu dywizji amerykańskich z Europy, na wycofanie dwudziestu-dwóch dywizji sowieckich z Niemiec Wschodnich oraz kilkunastu — lub kilkudziesięciu — z terytoriów Polski, Węgier i Rumunii, zastanówmy się nad możliwościami, jakie mogą być przedmiotem negocjowania z Rosją.

Oczywiście, dla Zachodu, jak również i dla demokracji ludowych rozwiązaniem idealnym byłoby, gdyby kraje te uzyskały pełną niezależność i suwerenność zagwarantowaną przez Zachód. Rzecz jasna, że Rosja, biorąc udział w rokowaniach na zasadach równości — a nie jako państwo pobite — nigdy nie zgodzi się na wytworzenie tego rodzaju sytuacji. Jednostronne gwarantowanie bezpieczeństwa przez Zachód krajom Europy Wschodniej, oznaczałoby w konsekwencji wciągnięcie tych krajów do systemu obronnego NATO. Pomimo czysto obronnego charakteru tego Paktu, Rosja nigdy nie zgodzi się na wzmocnienie sił Paktu i kilkadziesiąt dywizji doskonałego żołnierza, w dodatku żywiołowo nienawidzącego Sowiety.

Z drugiej strony, biorąc pod uwagę podejrzliwość przewódców sowieckich, należałoby przypuszczać, że rozwiązaniem najbardziej im odpowiadającym byłoby stworzenie strefy zdemilitaryzowanej, złożonej z Niemiec Wschodnich i Zachodnich, połączonych w jedną całość, oraz z krajów Europy Wschodniej.

Jednym z wstępnych warunków realizowania projektu strefy zdemilitaryzowanej — i „neutralizowanej” — winno być zagwarantowanie obecnej granicy polsko-niemieckiej. Niedawne oświadczenie von Brentano, pokrywające się do pewnego stopnia ze stanowiskiem sowieckim, jest dobrym prognostykiem w tym kierunku.

Bezpieczeństwo tego pasa byłoby zagwarantowane przez układ zbiorowego bezpieczeństwa a właściwie przez dwa naprawde Wielkie Mocarstwa, jakimi są obecnie Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki.

Należy dodać, że rozwiązanie tego rodzaju byłoby, de facto rozszerzoną wersją tak zwanego Planu Edena z okresu Konferencji Genewskiej w 1955. Plan ten, przewidywał zjednoczenie Niemiec przez stworzenie z nich strefy zdemilitaryzowanej, której bezpieczeństwo byłoby gwarantowane przez Wielkie Mocarstwa, nie precyzował jednak szczegółów; był do pewnego stopnia *balon d'essai*, tym niemniej napotkał na silne sprzeciwy ze strony Niemiec, gdyż oznaczałby w praktyce utrzymanie obecnej granicy polsko-niemieckiej, przekreślając wszystkie plany Adenauera a przede wszystkim rewizjonistów niemieckich, na jej radykalną zmianę. W konsekwencji plan Edena został po prostu pogrzebany w szufladach biurka Foreign Office i podobnych urzędów w Europie.

Dla ścisłości należy dodać, że, chociaż Plan Edena odrzucony został przez rząd w Bonn — na skutek opozycji Adenauera, będącego najsilniejszym zwolennikiem związania Niemiec z Zachodem i w szczególności z NATO oraz opozycji rewizjonistów niemieckich — socjal-demokraci niemieccy od dawna występowali przeciwko angażowaniu się Niemiec w jakiegokolwiek sojusze wojskowe.

Najbardziej charakterystycznym wyrazem tego stanowiska jest artykuł jednego z czołowych socjal-demokratów niemieckich, Franz Erlera, członka Bundestagu i przedstawiciela Niemiec w NATO, który ukazał się w kwietniu 1956 na łamach najpoważniejszego amerykańskiego kwartalnika politycznego „Foreign Affairs”. Erler wyraził w nim pogląd, podzielany, notabene, przez miliony Niemców, że *nałożenie Niemiec do NATO jest przeszkodą do ich zjednoczenia*. Powrócił on przy tej okazji do koncepcji wysuwanych w swoim czasie zarówno przez czynniki polityczne na Zachodzie jak i przez Sowiety, to jest do zbiorowego paktu bezpieczeństwa, który gwarantowałby granice Niemiec. P. Erler, ostrożnie uniknął bardziej szczegółowego wdawania się w tę sprawę...

Należy dodać, że na terenie Niemiec Zachodnich koncepcja uzyskania zjednoczenia Niemiec za cenę ich wycofania się z NATO zyskuje ostatnio coraz większą popularność: zresztą cały dotychczasowy wkład Niemiec do obrony Europy, jak wspominaliśmy powyżej, równa się, ściśle biorąc, zeru. Jeżeli bowiem Rosja, według „NATO Yearbook”, ma w ciągu trzydziestu dni mobilizacji rozbudować 175 swoich istniejących dywizji do cyfry 400, a Niemcy w ciągu trzech lat, to jest od podpisania Układów Paryskich w 1954 aż do końca 1956 nie zdołały wystawić ani jednej wielkiej jednostki, to to zestawienie mówi samo za siebie.

Wzmagający się obecnie z każdym tygodniem kryzys gospodarczy w Wielkiej Brytanii, będący bezpośrednim skutkiem fiasca akcji anglo-francuskiej w Egipcie, zmusza rząd brytyjski do robienia coraz większych oszczędności. W związku z tym rośnie też nacisk opinii publicznej na rząd, domagającej się zredukowania sił brytyjskich w Europie, względnie ich wycofania.

Należy oczekiwać, że w najbliższym czasie zwiększy się nacisk brytyjski by Niemcy dotrzymały swoich zobowiązań, wynikających z Układów Paryskich, to z kolei wzmoże na terenie Niemiec tendencje do wycofania się z NATO.

W sumie wszystko to wytwarza na Zachodzie „klimat” sprzyjający wznowieniu koncepcji zdemilitaryzowania Niemiec i Europy Wschodniej: wysunięcie jej przez Edena, dałoby mu znowu szansę — tym razem o wiele lepszą i bardziej konstruktywną — ujęcia w swoje ręce „leadership'u”, którego oczekuje od niego zarówno Wielka Brytania jak i Europa. Koncepcja ta dałaby zarazem Sowietom znakomitą sposobność wycofania się z coraz bardziej dla nich kłopotliwej sytuacji na Węgrzech, która, pomimo całkowitej bezsilności ONZ, powoduje stopniowo ich moralne bankructwo na całym świecie.

Przechodząc do szczegółów proponowanej koncepcji, należy stwierdzić, że oznaczałaby ona stworzenie pomiędzy Rosją a Zachodem szerokiego *No Man's Land'u* — złożonego z Niemiec Zachodnich i Wschodnich, w ich obecnych granicach, oraz państw Europy Wschodniej. Siły zbrojne tych państw, a więc przede wszystkim Niemiec Wschodnich i państw Europy Wschodniej musiałyby być całkowicie rozwiązane. Pozostawianie wszelkiego rodzaju załazków czy kadr — jak wykazały doświadczenia po pierwszej wojnie światowej — byłoby rzeczą niebezpieczną. Bezpieczeństwo wewnętrzne byłoby zadaniem policji, bezpieczeństwo granic całej strefy zagwarantowałby europejski pakt bezpieczeństwa zbiorowego, którego sygnatariuszami byłyby, w pierwszym rzędzie Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki. Rozbrojenie całej strefy winno być dokonane pod kontrolą ONZ z udziałem państw NATO, Stanów Zjednoczonych i Związku Sowieckiego.

Niewątpliwie, z punktu widzenia strategii obrony Europy Zachodniej, urzeczywistnienie tego rodzaju koncepcji, uczyni poważną lukę w jej systemie obronnym, pozbawiając ją żołnierza niemieckiego (na razie na papierze) a przede wszystkim „głębi”, czyli przestrzeni do manewru. Jednakowoż ze względu na obecną strategię polityczną Sowietów „podgryzania” Zachodu na peryferiach, agresja otwarta w Europie Zachodniej staje się coraz mniej prawdopodobna, stały rozwój broni atomowej czyni ją przedsięwzięciem zbyt ryzykownym, i w konsekwencji, obrona Europy Zachodniej jest uzależniona od amerykańskiej bomby wodorowej. Innymi słowy, Europa Zachodnia, która od pewnego czasu stała się satelitą Stanów Zjednoczonych pod względem politycznym i gospodarczym staje się również ich satelitą i pod względem wojskowym...

Jeśli idzie o korzyści dla Sowietów, to demilitaryzacja Niemiec i Europy Wschodniej położy wreszcie kres zmorze agresji niemieckiej, wybawi je z kłopotów z Paktem Warszawskim i satelitami, a — biorąc teoretycznie — szeroki *No Man's Land* wzmoże ich poczucie bezpieczeństwa.

Z punktu widzenia interesów polskich koncepcja ta będzie miała korzyści wielorakie: spowoduje wycofanie wojsk sowieckich z kraju i zmniejszenie wydatków na zbrojenia, umożliwiając użycie ich na cele gospodarcze; rozbrojenie Niemiec zlikwiduje niebezpieczeństwo jakiegokolwiek rewindykacyjnej akcji zbrojnej, a wreszcie zwiększy dotychczasową, niezmiernie nikłą, marzę niepodległości.

Rzecz jasna, że rozwiązanie powyższe jest dalekie od ideału, jakim byłoby odzyskanie pełnej niepodległości, ale, w każdym razie przyczynić się będzie mogło poważnie do podniesienia stopy życiowej w Kraju i otworzy poważne możliwości na przyszłość.

Ze względu na nagłe zaaktualizowanie się tej sprawy i wytworzenie się pewnego „klimatu” politycznego dla tej koncepcji, wydaje mi się, że emigracja polityczna, która od lat w wielu różnych tonacjach twierdzi, że pozostała na uchodźstwie aby bronić interesów i dobra Kraju powinna swoje — bądźmy szczerzy — nikłe pod tym względem — możliwości użyć dla jej zrealizowania.

Eugeniusz HINTERHOFF

Niemcy-Polska jesienią 1956

Berlin-Bonn-Berlin, październik-grudzień 1956.

Od przeszło stu lat, konkretniej mówiąc od 1848 roku, nie było takiej fali propolskich sympatii wśród społeczeństwa niemieckiego, jak u schyłku 1956 roku. Rewolucja październikowa w Polsce odbiła się potężnym echem w całych Niemczech, na wschodzie i na zachodzie. Nastroje, które powstały na skutek wiadomości o wydarzeniach w Warszawie w drugiej połowie października, można porównać tylko z epoką wiosny ludów i z ówczesnym prądem w umysłowości niemieckiej zwanym „Polenbegeisterung”.

Fala nagłego polonofilizmu wezbrała w końcu października tak potężnie, że nawet niemieckim działaczom rewizjonistycznym i prasie stojącej na usługach grup i grupek rewizjonistycznych stało się jakoś nijako. Trudno było w owych dniach i trudno jest dziś, przy końcu 1956 roku dąć w trąby rewizjonizmu, jak to bywało jeszcze dość niedawno. Już Poznań zaważył na przytępieniu propagandy antypolskiej poważnie, a wydarzenia październikowe w Polsce zadawały propagandzie rewizjonistycznej cios bardzo dotkliwy.

Zastanawiałem się — obserwując objawy żywiołowych sympatii propolskich, słuchając pogwaru ludu robotniczego w berlińskich, hamburskich

i kolońskich piwiarniach, śledząc długie dyskusje i dociekania z kolegami niemieckimi na oficjalnych i prywatnych „Stammtischach” w dawnej i nowej stolicy Niemiec, przysłuchując się dyskusjom w klubach studenckich i młodzieżowych w Berlinie i w Niemczech Zachodnich — nad motywami tego, przyznam się nieoczekiwanego, prądu nowego „Polenbegeisterung”.

Generalizując można by przypuścić, że ta pełna uniesienia reakcja ma dwojakie podłoże. Polska uchodziła w oczach zarówno przeciętnych jak i politycznie i umysłowo wyrobionych Niemców za naród nieumiejący gospodarzyć (osławiony synonim „polnische Wirtschaft”); nieumiejący się rządzić (słynne powiedzenie, wydaje się że Bismarcka „Polnischer Saisonstadt”); i nieumiejący prowadzić polityki (często słyszane powiedzenie „Die Polen sind Pfantasten in der Politik”). Przeżycia wielkiej części Niemców z ostatniej wojny, wspomnienia o kampanii wrześniowej w 1939 roku, o walkach pod Monte-Cassino i o powstaniu warszawskim podsycaly tego rodzaju nastroje a długoletnia propaganda rewizjonistyczna pogłębiała swoimi teoriami o polach leżących odłogiem, o Chińczykach uprawiających ryż na Dolnym Śląsku i o Mongolach pracujących w kopalniach węgla — lekceważący stosunek do sąsiada odgradzonego Niemiecką Republiką Demokratyczną. Wspólnota interesów między Warszawą a wschodnim Berlinem, nieuchwytna, choć istniejące różnice psychologiczne pomiędzy obydwoma państwami satelickimi w okresie stalinizmu wzmagaly oczywiście negatywne stanowisko zarówno wśród Niemców na zachodzie, jak też wśród opozycyjnie usposobionej ludności wschodnio-niemieckiej. Przyzwyczajono się po prostu oceniać Polskę miarą stosunków panujących w Niemieckiej Republice Demokratycznej, najwinniejszej wśród wiernych kolonii Moskwy. Aż tu nagle w październiku 1956 roku prasa i radio zaczęły mówić rzeczy, które dla przeciętnego Muellera czy Schmidta nie mieściły się w dotychczasowym obrazie o Polakach i Polsce. Zresztą i inteligencja niemiecka, posłowie parlamentu zachodnio-niemieckiego, a nawet ludzie mający zawodowo wiele do czynienia z problematyką polską, stanęli wobec fenomenu, który absolutnie nie pasował do utartych wzorów i pojęć o Polsce i Polakach.

A więc rewolucja ale bez tradycyjnego przelewu krwi sarmackiej. Antyrosyjska demonstracja ale z zachowaniem realizmu politycznego i proporcji co do układu sił międzynarodowych i możliwości polskiej polityki zagranicznej. Ten kontrast pomiędzy tradycyjnymi pojęciami o Polakach i nowym sposobem akcji politycznej tychże Polaków wywołał wśród społeczeństwa niemieckiego najpierw falę zaskoczenia, która się rychło przemieniła w potężny strumień sympatii, uniesienia, zachwyty.

Doszedł do tego jeszcze drugi moment. Rozwiał się mit wspólnoty losów polskiej demokracji ludowej i jej — jak się wydawało dotychczas — nieodłącznej wschodnio-niemieckiej siostrzycy. Zobaczono różnice istniejące w życiu intelektualnym, w środowiskach studenckich, w życiu klasy robotniczej i wreszcie w polityce komunistów po obydwu stronach Odry, których dotychczas nie dostrzegano lub dostrzec nie chciano. I z tego poznania wytworzyło się odczucie wstydu za swoich ziomków pomiędzy Odrą i Łabą, którzy będąc w nierównie lepszej pozycji geopolitycznej i strategicznej aniżeli Polska, mając pośrodku oazę zachodniego Berlina i oparcie w większej części terytorium Niemiec — w Niemieckiej Republice Federalnej — nie tylko że nie poszli za przykładem Polski, ale, jeśli chodzi o panującą kastę

działaczy partyjnych, związkowców, dziennikarzy, ba, nawet księży w rodzaju wybitnego duchownego ewangelickiego proboszcza Gruebera, zaatakowali antystalinowską rewolucję w Polsce.

Jest jeszcze niewątpliwie element pozauczuciowy, element gry i spekulacji politycznej, który wyczułem z wielu dyskusji i rozmów politycznych. Wielu politykom zachodnio-niemieckim wydaje się, że wobec beznadziejnej sytuacji w jakiej się znalazła sprawa zjednoczenia Niemiec, należy szukać poparcia u Polaków. Wychodzą oni z założenia, że Polsce zależy przede wszystkim na znalezieniu argumentów przeciwko dalszemu stacjonowaniu wojsk sowieckich na terytorium polskim. Ponieważ sprawa ta związana jest nierozdzielnie z podziałem Niemiec i okupacją sowiecką w Niemczech Wschodnich, wobec tego winno leżeć w interesie Polski, by doszło do zjednoczenia Niemiec i do wycofania armii sowieckiej z zachodniego zaplecza Polski. Na podstawie obserwacji coraz bardziej rozbieżnego rozwoju politycznego i ideologicznego w ustroju polskim i wschodnio-niemieckim i wynikłych w związku z tym poważnych sporów pomiędzy Warszawą a wschodnim Berlinem, politycy zachodnio-niemieccy opierają swoje przypuszczenia również na tezie, że w interesie Polski i Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej leży zlikwidowanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej za cenę? — I tu tkwi pierwsza rozbieżność jeśli chodzi o czynniki polityczne w Niemczech Zachodnich. Socjaldemokraci twierdzą, że tylko za cenę uzyskania sąsiada w postaci Niemiec naprawdę postępowych i szczerze demokratycznych, innymi słowy Niemiec socjal-demokratycznych z Ollenhauerem na czele. W kołach rządowej partii chrześcijańsko-demokratycznej wydaje się natomiast, że Polska katolicka widziałaby chętnie na swej granicy zachodniej państwo kierujące się ideałami etyki chrześcijańskiej. W obydwu obozach formujących polityczne oblicze Niemiec jutrzejszych istnieje zrozumienie tego, że należy stale podkreślać pokojowość i kompromisowość polityki zachodnio-niemieckiej w stosunku do Polski. Jeszcze w końcu października przebąkiwano w obecnej stolicy Niemiec o jakiejś tam inicjatywie niemieckiej polityki zagranicznej. Z niepotwierdzonych źródeł dziennikarskich można się było dowiedzieć, że chodziło tu o projekt deklaracji rządu zachodnio-niemieckiego, w której Niemcy jakoby miały się zrzec wszelkich dążeń rewizjonistycznych i przyjąć granicę Odry-Nisy za granicę akceptowaną również przez rząd zachodnio-niemiecki. Można sobie wyobrazić, że tego rodzaju oświadczenie, złożone w przeddzień pertraktacji Gomułki w Moskwie, pomieszałoby szyki dyplomacji sowieckiej. Ale inicjatywa ta została gdzieś po drodze zahamowana i jedynym jej konkretnym następstwem było oświadczenie ministra spraw zagranicznych NRF, Heinricha von Brentano, na konferencji prasowej w dniu 30 listopada 1956, iż rząd zachodnio-niemiecki skłonny jest złożyć oświadczenie gwarantujące bezpieczeństwo Polski.

Tym niemniej sprawa nawiązania dyplomatycznych stosunków pomiędzy Bonn a Warszawą nie zeszła z porządku dziennego nie tylko dyskusji i debat w Niemczech Zachodnich, ale również i z zasięgu polityki praktycznej. Mimo że zbliżające się wybory, a w związku z tym przyszła licytacja o głosy kilkumilionowej rzeszy przesiedleńców niemieckich z Polski i z Czechosłowacji utrudniają powyższe konkretne decyzje w sprawie stosunków polsko-niemieckich, należy się jednak liczyć z tego rodzaju krokiem oficjalnej polityki zachodnio-niemieckiej w ciągu przyszłego roku.

W Niemczech Wschodnich przeobrażenia, które miały miejsce w Polsce, wywołały również głęboką falę entuzjazmu. Jednakże nastroje te nie mogły wystąpić na powierzchni życia publicznego i przejawiają się raczej w formie nielegalnej i — jakby się to w zestawieniu z podkreślaną szumnie przyjaźnią nie wydawało paradoksalnie — nastroje te są prześladowane przez partię komunistów wschodnio-niemieckich SED i przez „Bezpiekę” w NRD, tak zwany Staatssicherheitsdienst, który notabene pomimo śmierci Stalina i XX Zjazdu Partii Sowieckiej w niczym się nie zmienił.

Wypadki październikowe odbiły się głębokim echem szczególnie w kołach młodzieży uniwersyteckiej i robotniczej w NRD. Jeden ze studentów wschodnio-berlińskich opowiadał piszącemu te słowa, że Gomułka jest obecnie najpopularniejszą postacią wśród antystalinowskich marksistów młodego pokolenia niemieckiego. Podczas listopadowych manifestacji, które miały miejsce wśród studentów rozmaitych uczelni w Niemczech wschodnich, protestowano przeciwko obowiązkowemu nauczaniu języka rosyjskiego. Charakterystyczne były wypowiedzi studentów w Berlinie i w Lipsku w rodzaju tej oto: „Nie żałuję, że się uczyłem języka rosyjskiego choć mnie to kosztowało dużo przewyciężenia, bo mam nadzieję, że będę mógł teraz łatwiej nauczyć się polskiego, aby móc czytać prasę polską i literaturę polską”.

Stalinowska reakcja „siedząca gromadnie na wszystkich urzędowych stołkach komunistycznej partii SED, w rządzie NRD a nawet w pseudomieszczańskich partiach satelickich, wypowiedziała wojnę wszelkim prądom dochodzącym zza Odry i Nisy. Front walki przebiegał najpierw na zebraniach wewnętrzno-partyjnych i na wieczorach dyskusyjnych przedstawicieli władz partyjnych z niespokojną młodzieżą. Ciekawe, że głównym szermierzem w zwalczaniu antystalinowskich wpływów rewolucji polskiej stał się nie kto inny, jak ów Gerhard Eisler, którego polscy komuniści wybawili z opresji. Eisler, który po uratowaniu go na „Batorym” w 1949 roku, zaklinał się na wiecu w Warszawie, że do ostatniego tchu będzie pomagał towarzyszom polskim — jesienią 1956 roku zapomniał o długu wdzięczności i stanął po stronie Ulbrichta przeciwko komunistom polskim. Jako wędrujący propagandysta taktyki Politbiura SED usiłuje on, przy pomocy najrozmaitszych tricków dialektycznych, uzasadnić krytyczne stanowisko reżymu wschodnio-niemieckiego do przemian w Polsce.

Najcięższe działa przeciwko komunistom polskim wytoczył członek Komitetu Centralnego SED, naczelny redaktor głównego organu partii wschodnio-niemieckiej „Neues Deutschland” Hermann Axen. 40-letni Axen należy do klasycznego typu stalinowców. Wymieniony w 1939 roku w okresie paktu Hitler-Stalin za jakiegoś niewygodnego Rosjanom komunistę, Axen zachował bezgraniczną wdzięczność dla reżymu stalinowskiego za tak rzadką troskę i pieczołowitość. Wrócił on w 1945 roku w mundurze sowieckim i z paszportem rosyjskim w kieszeni. Nic dziwnego więc, że Hermann Axen z szczególną zajadłością wystąpił przeciwko prądom wiejącym od strony Warszawy, 27 listopada Axen opublikował w „Neues Deutschland” olbrzymi pięcioszpaltowy paszkwil przeciwko Edzie Wefel. Formalnie miała być to polemiczna odpowiedź na artykuł Edy Wefel, który ukazał się w 44 numerze „Przeglądu Kulturalnego” i dotyczył reakcji „bratnich partii komunistycznych” na wydarzenia w Polsce. Ale pieniący się najuczciwszym stali-

nowskim oburzeniem artykuł Axena był wymierzony nie w Edę Werfel a w partię polską, w PZPR, jej nowe kierownictwo i jej nowe idee. Otóż — według Axena — nie wolno mówić o stalinizmie, bo jest to herezja i potwarz rzucana na Związek Sowiecki. W drwiącym tonie określa Axen komunistów polskich jako „trubadurów suwerenności i niepodległości” i wymieniając po nazwisku Edę Werfel, ale mając na myśli cały antystalinowski prąd w PZPR, stalinowiec wschodnio-niemiecki oświadcza, że kto mówi o nowej rewolucji lub używa sloganu „stalinizm” ten znajduje się w godnym towarzystwie z kontrrewolucjonistami klubu Petöfi, amerykańskiej rozgłośni RIAS w zachodnim Berlinie lub Ruth Fischer, Doriot, Kęstlera i „innych renegatów”. Eda Werfel zaś została pod koniec zaliczona do „pismaków” i „wrogów”.

W kilka dni później, mianowicie 2-go grudnia SED wystąpiła z drugim z kolei uderzeniem, a mianowicie z krytyką antystalinowskich idei, wypowiedzianych przez redakcję warszawskiego pisma studentów i młodych intelektualistów marksistowskich „Po prostu”. Tym razem partia Ulbrychta użyła pióra Hanny Wolf, dyrektora głównej wyższej szkoły partyjnej im. Karola Marxa przy Komitecie centralnym SED. Znana z głębokiego przywiązania do Stalina komunistka wschodnio-niemiecka, która w ciągu dwunastu lat dawała się używać w Moskwie do wszelkich posług i intryg przeciwko swym prześladowanym towarzyszom z KPD i dzięki temu należała do nielicznej grupy tych komunistów niemieckich, którzy nie powędrowali do obozów koncentracyjnych, ostrzega redaktorów „Po prostu” przed wypaczaniem marksizmu-leninizmu i radzi zaprzestać używania terminu „stalinizm”, gdyż jest to określenie używane przez faszystów w zimnej wojnie. Może najbardziej charakterystyczne dla stalinowskiego konserwatyzmu sedowców jest stwierdzenie (półtora miesiąca po VIII Plenum KC PZPR i wyjaśnieniu przez Gomułkę przyczyn powstania poznańskiego), że w Poznaniu miał miejsce swego czasu „pucz faszystowski”! Odpowiednikiem stalinizmu SED-owców jest stalinizm pseudo-chrześcijańskiego ugrupowania wschodnio-niemieckiej CDU. Organ tej partii „Neue Zeit” wziął na siebie zadanie obrony Bolesława Piaseckiego i jego programu politycznego oraz całej grupy PAX przed atakami i krytyką. Nie kto inny, jak sam proboszcz Grueber oświadczył na łamach „Neue Zeit”, że Bolesław Piasecki jest zasłużonym dla Polski i kościoła działaczem katolickim, który przyczynił się również do uwolnienia prymasa Wyszyńskiego. Kontynuując akcję obronną na rzecz PAX'u i Piaseckiego „Neue Zeit” wyraziło niezwykle pochlebną opinię o ostatnim przemówieniu Piaseckiego. Wydaje mi się, że trudno tu mówić o jakimś nieporozumieniu lub nie poinformowaniu czynników wschodniej CDU na temat kulisów apelu Piaseckiego i PAX'u. Chodzi tu jednak o wspólnotę interesów zagwarantowanych swego czasu kierownictwu SED i CDU, jak również polskim stalinowcom z PZPR i z PAX'u przez stalinizm rosyjski.

Jakież konkluzje i refleksje nasuwają się u schyłku 1956 roku na temat stosunków polsko-niemieckich, a raczej na tle nowego stanowiska, jakie się zarysowało w Niemczech zachodnich i wschodnich wobec przemian i wydarzeń zachodzących w Polsce? W Niemieckiej Republice Federalnej panuje klimat, którego nie było od czasu rewolucji 1848 roku i atmosfery panującej we frankfurckiej Paulskirche. Nastroje polonofilskie mogą rozwijać

się swobodnie i jeśli Warszawa nie zmarnuje nadarzającej się, rzadkiej, szansy historycznej, to będą się one rozwijały jak najpomyślniej.

Zaś w „zaprzyjaźnionej” Niemieckiej Republice Demokratycznej powtórzyło się to, co niejednokrotnie istniało już w dziejach Niemiec. Wbrew nastrojom ludności rządzące koła stalinowskie postanowiły, jakby przejmując testament tradycyjnej polityki pruskiej, przeciwstawić się prądom wolnościowym z Polski. Czy rozumieją wymowę tych faktów odpowiedzialni politycy nowego kierownictwa partii w Warszawie i wyciągną z tego odpowiednie wnioski?

Obserwując prasę polską musimy stwierdzić że artykuły na temat tak Niemiec jak i w ogóle Zachodu, mają nadal (z nielicznymi wyjątkami) charakter szablonowo-propagandowy według starych wzorów, bez najmniejszej troski o rzeczową i obiektywną informację. Oplakany poziom attachatów prasowych i korespondentów zagranicznych nie zmienił się. Radykalne reformy na tym odcinku powinny być jedną z pierwszych trosk rządu warszawskiego. Nie można prowadzić samodzielnej polityki nie znając rzeczywistości.

BERLIŃCZYK

Kronika angielska

„NOWA KULTURA” CONTRA „KULTURA”

P. Andrzej Makowski zamieścił na łamach „Nowej Kultury” artykuł pt. „W sprawie emigracji”. Jest to interesująca wypowiedź odsłania bowiem przed Czytelnikiem pogląd na emigrację, typowy dla pewnych kół intelektualnych w Kraju.

Z niezmałą pewnością siebie p. Makowski stwierdza, że „istnieją (na emigracji) pisma, które ani nie reprezentują emigracyjnej opinii publicznej ani też na nią nie oddziałują. Do takich pism należy między innymi paryska „Kultura”.

W szczęśliwszej sytuacji jest niewątpliwie londyński „Dziennik Polski” czy francuski „Narodowiec”, bo — zdaniem p. Makowskiego — te pisma oddziałują ale nie reprezentują nastrojów i sprzeczności działających wśród emigracji.

Trzeba na wstępie wyjaśnić, że nie ma żadnych analogii między normalnym społeczeństwem zamieszkującym określone terytorium a tak zwanym społeczeństwem emigracyjnym. Nie można również porównywać normalnej prasy z prasą emigracyjną.

Weźmy przykład najbliższy. „Nowa Kultura” czy „Po Prostu” mają nakłady idące w dziesiątki tysięcy egzemplarzy. My na emigracji o takich na-

kładach nie możemy marzyć. Ale pismo to nie tylko nakład, to również i zasięg. Mogę zapewnić pana Makowskiego, że gdybyśmy zaprezentowali mapę świata z szczegółowym rozmieszczeniem naszych Czytelników — okazałoby się, że żadne z polskich pism wydawniczych w Kraju nie ma ani w połowie tak wielkiego zasięgu jak emigracyjna „Kultura”.

A teraz zagadnienie wpływu. Mamy Czytelników na wyspach mórz południowych, w brytyjskich Indiach zachodnich, w zapadłych kątach argentyńskiego „interioru”, w Australii, w Addis-Ababie, na Malajach, w Kenii, w Guatemali i Bóg wie gdzie.

Otrzymuję czasem listy od naszego prenumeratora lekarza w Sudanie. Ów lekarz, Polaków widuje co trzy lata gdy dostaje półroczny urlop wypoczynkowy. Prenumeruje tylko polskie pismo — „Kulturę”. Otóż, ośmiela się twierdzić, że „Nowa Kultura” nie ma ani jednego czytelnika dla którego byłaby tym czym nasze pismo jest dla owych samotników rozrzuconych po najdalszych zakątkach świata.

I jeszcze jeden problem w Kraju zupełnie niedostrzegany.

Weźmy duże skupiska polskie zagranicą jak Wielka Brytania, Kanada czy Stany Zjednoczone. Przed kilku dniami odwiedził mnie polski inżynier pracujący w Kanadzie. Mówiliśmy o wypadkach październikowych i o roli jaką odegrała polska prasa. Namawiałem mojego Kanadyjczyka by zaprenumerował sobie kilka pism krajowych. I oto w odpowiedzi usłyszałem następujące wyznanie: „Wyjechałem z Polski jako 17-letni chłopak. Studia skończyłem w Londynie. Wstyd mi się przyznać ale ja nie rozumiem prasy krajowej. Nie rozumiem tych setek skrótów i po prostu nie znam organizacyjnej struktury współczesnego ustroju Polski. Nie wiem co to są Rady Narodowe, co to jest Podstawowa Organizacja Partyjna, nie pojmuję dla czego ważniejszy jest pierwszy sekretarz partii niż premier, co robi Rada Państwa itd. To wszystko jest tak egzotyczne i różne od form ustrojowych, wśród których się wychowałem, że musiałbym podjąć dłuższe i poważniejsze studia by się w tym jakoś zorientować. Prasa krajowa jest oczywiście pisana i redagowana dla czytelników, którzy znają Polskę współczesną, jej organizację i problematykę ustroju. I dlatego wolę zostać przy „Kulturze”, bo pismo panów podaje wachlarz tych zagadnień w sposób zrozumiały dla polskiego czytelnika w zachodnim świecie”.

Sądzę, że pod tą wypowiedzią podpisałoby się wiele tysięcy naszych Czytelników.

Kazimierz Brandys pisząc na łamach „Nowej Kultury” o spotkaniach z emigracyjnymi pisarzami w czasie Kongresu Penclubów w Londynie, podkreślił naszą dobrą znajomość Polski współczesnej, prasy krajowej i literatury. Pisarze i dziennikarze są istotnie dobrze zorientowani — ale nie szerokie masy emigracyjne. Według moich informacji najlepiej przedstawia się sprawa w Wielkiej Brytanii. Istotnie pewien procent Polaków w Londynie i na prowincji prenumeruje i kupuje pisma krajowe. Niemalą rolę odgrywa również bezprzykładna tolerancja brytyjska. Nikomu za prenumerowanie pism krajowych nie grożą żadne przykrości. Lecz zupełnie inaczej wygląda sprawa w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie czy w Australii.

Nie aspirujemy do misji „arki przymierza” między nowymi a dawnymi czasami. To przekracza zarówno nasze chęci jak i możliwości. Chcielibyśmy natomiast by „Kultura” przyczyniała się do wyjaśniania zagadnień krajowych — Emigracji i odwrotnie zagadnień i trosk emigracyjnych — społec-

czeństwu w Kraju. Pełnić tę funkcję można wyłącznie z postawy niezależnej, bo tylko wówczas liczyć można na zaufanie tak społeczeństwa w Kraju jak czytelników na emigracji.

O WSKRZESZENIE POLSKIEJ AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI

Pytam się młodego człowieka przybyłego do Londynu wprost z Warszawy — co studiował? Młody pan uśmiecha się i z wyraźnym zakłopotaniem wyjawia: „Jestem kandydatem nauk filozoficznych”.

Rozumiem zakłopotanie filozofa. Po polsku można mówić o kandydacie do stanu małżeńskiego ale „kandydat nauk” to brzmi jakoś dziwacznie.

W okresie stalinizmu uważano, że socjalizm sprowadza się do niewolniczego kopiowania wzorców sowieckich. W Rosji „kandydat nauk” jest szacownym o wielkiej tradycji tytułem naukowym. W Polsce jest obcym dziwologiem.

Staliści uważali, że „rewolucja” polega na „zglajszaltowaniu” wszystkiego pod sowiecki strychulec i nigdy im przez myśl nie przeszło, że socjalizm to nie burzenie lecz przeciwnie budowanie na fundamencie polskim i własnym.

Polska Akademia Umiejętności do roku 1952 była najpoważniejszą polską instytucją naukową. Jej początki sięgają Krakowskiego Towarzystwa Naukowego założonego w roku 1816. Wszyscy najwybitniejsi polscy uczeni przez cały wiek XIX i pierwszą połowę bieżącego stulecia ogłaszali swe prace w Polskiej Akademii Umiejętności. Wydawnictwa PAU liczą dziesiątki tysięcy tomów rozpraw i prac z wszystkich dziedzin nauki. PAU dysponowała ponadto licznymi zakładami i instytucjami. W Krakowie do Akademii Umiejętności należały trzy muzea. PAU posiadała równie dwie stacje zagraniczne w Paryżu i w Rzymie.

Staliści doszli do wniosku, że ten wspaniały pomnik żywej kultury polskiej trzeba zniszczyć. Albowiem według stalinowskiej wykładni słowa: polski i reakcyjny to są synonimy. Im coś bardziej w istocie swej polskie, tym oczywiście bardziej reakcyjne i tym szybciej winno być zlikwidowane. Toteż w roku 1952 — PAU zamknięto. Z całej organizacji ocalało tylko kadłubowe prezydium reprezentowane przez prof. Nitscha, Szajera i Jana Dąbrowskiego.

Obecnie 39 uczonych krakowskich wystosowało zbiorowe pismo domagające się odbudowy Polskiej Akademii Umiejętności i naprawienia straszliwej a bezmyślnej krzywdy wyrządzonej nauce polskiej. Zbiorowe pismo podpisali między innymi Stanisław Pigoń, Juliusz Kleiner, Voislav Mole, Karol Estreicher, Tadeusz Tempka, Jan Olbrycht i wielu innych luminarzy nauki polskiej.

Polacy na emigracji w pełni solidaryzują się z żądaniem restauracji Polskiej Akademii Umiejętności. Przywrócenie pełnych praw (i majątku!) tej świetnej instytucji ocenione będzie na emigracji jako ważny krok na drodze do de-stalinizacji życia naukowego w Kraju.

„KRAJ” CONTRA „FREE EUROPE”

Za czasów stalinowskich i natolińskich każdy emigrant polski przebywający na Zachodzie — uważany był za zdrajcę, szpiega, dywersanta i „wroga ludu”. Celem akcji repatriacyjnej było zwabić do Kraju ów groźny element a następnie dyskretnie unieszkodliwić. Tak też się działo.

Wydawać by się mogło, że de-stalinizacja objęła dziś wszystkie dziedziny życia w Polsce Ludowej. Natolin — mniemać wolno — należy do ponurej legendy. Niestety są jeszcze stalinowskie „twierdze Grenady”, które bronią się zaciekle przed demokratyzacją. Jest to w pewnej mierze zrozumiałe ponieważ demokratyzacja uwidoczniłaby i unaoczniała zbędność tudzież szkodliwość wielu instytucji.

Jak długo podtrzymuje się stalinowski pogląd na rolę i charakter emigracji politycznej — tak długo potrzebna jest rozgłośnia i biuletyn „Kraj”, czy pisemka ambasad. Choć działalność tych instytucji przynosi same szkody to przecież garstce wybrańców ...pomaga. „Kraj” wybitnie pomaga p. Mitznerowi i jego redakcyjnym kolegom a likwidacja tej placówki odbiłaby się raczej niekorzystnie na finansach wyżej wymienionych.

W jednej z poprzednich Kronik angielskich pozwoliłem sobie zauważyć, że istnieją pewni ludzie (tak w Kraju jak i na emigracji), którzy są bezpośrednio materialnie zainteresowani w utrzymaniu „żelaznej kurtyny” oraz klimatu politycznego, który ją warunkuje. Do tej grupy należy p. Mitzner i Spółka. Likwidacja „żelazno-kurtynowego” aparatu byłaby dla niego życiową katastrofą. Nic też dziwnego, że ci „aparaczczycy” są zdecydowani nie dopuścić do takiej klęski. Mogą sobie literaci pobierać uchwały mówiące o konieczności zacieśnienia stosunków między pisarzami krajowymi a emigracyjnymi ale przecież p. Mitzner wie lepiej! On wie, że emigracyjni pisarze to dywersanci.

W jednym z ostatnich numerów organu stalinowców pod nazwą „Kraj” p. Mitzner nazwał monachijską radiostację „Free Europe” rozgłośnia dywersyjną a pisarzy polskich z tą rozgłośnia współpracujących — dywersantami.

Nie jestem, nie byłem i nie będę związany z „Free Europe”. Nie jestem i nie byłem entuzjastą tej instytucji. Ale może właśnie dlatego potwarz p. Mitznera oburzyła mnie do żywego.

Co to jest dywersja? Dywersja to zdrada. To jest działanie z cudzego rozkazu i za cudze pieniądze przeciw interesom własnego narodu. W ramach powyższej definicji mieści się bez reszty i całkowicie stalinizm i stalinowcy. Stalinowcy działali bowiem przeciw oczywistym interesom polskiego narodu w oparciu o obce pieniądze i obcą siłę. Podnoszenie przez stalinowców zarzutu dywersji pod adresem Polaków w monachijskiej rozgłośni „F.E.” jest klasyczną metodą przerzucania na innych własnych zbrodni.

Wiem od Polaków przybywających na Zachód, że w Polsce nikt nie czyta biuletynu „Kraj” i nikt nie wie co się w tej instytucji dzieje.

Rzecz się ma całkowicie odwrotnie jeżeli mówimy o polskiej radiostacji w Monachium. Emigracja słucha z krytyczną i czujną uwagą każdego słowa mówionego do Kraju. Można niejedno zarzucić takiemu czy innemu programowi, w żadnym jednak wypadku (jak długo zechcemy opierać się na faktach) nie można pod adresem współpracowników tej rozgłośni wysuwać zarzutu antypolskiej działalności.

Niedawno rozmawiałem tu w Londynie z członkiem Partii i — powiedzmy otwarcie — antystalinowcem dość świeżej daty. Kilku moich kolegów z tego względu odmówiło widzenia się z tym panem. Ponieważ wyznaję zasadę, że dziennikarz powinien rozmawiać z każdym zawsze i wszędzie — odbyłem z tym panem rozmowę, która była bardzo pouczająca. Mówiliśmy między innymi i o „Free Europe”. Mój rozmówca przyznał, że jeżeli chodzi o walkę ze stalinizmem w Polsce — polska radiostacja w Monachium odegrała olbrzymią rolę, w pierwszym rzędzie wydobywając na światło dzienne... Światło. Mój informator nie krył swej skrajnej niechęci do „F. E.” ale nie umiał przytoczyć choćby jednego faktu na poparcie tezy p. Mitznera i innych stalinowców.

„F.E.” jest instytucją amerykańską i antykomunistyczną. Jej polska radiostacja działa na terenie Niemiec zachodnich — co w żadnym wypadku nie jest ułatwieniem. Każdemu wolno być antykomunistą i każdemu wolno uprawiać propagandę antykomunistyczną. O dywersji można by mówić dopiero wówczas, gdyby radiostacja w Monachium ininteresy i cele antykomunizmu stawiała ponad aktualny w danej sytuacji interes narodu polskiego. Gdyby — powiedzmy dla przykładu — podburzała do rozruchów, nawoływała do powstania itd.

Nie zanotowaliśmy nigdy takiego faktu. Przeciwnie, programy radiostacji w Monachium w trudnym okresie październikowym nacechowane były wielkim umiarem i rzetelną troską o interesy narodu polskiego.

Zdaje sobie sprawę, że jest rzeczą znacznie bardziej popularną atakować „Free Europe” niż jej bronić. W tej chwili stoję jednak w obronie dobrego imienia Polaków pracujących w tej instytucji, wśród których nie brak wybitnych pisarzy i dziennikarzy. Powtarzam: Free Europe można krytykować, w żadnym jednak wypadku pod adresem jej polskich pracowników nie można wysuwać hańbiących zarzutów, które nie mają pokrycia w faktach. Przed mikrofonem „Free Europe” nikt nie improwizuje. Wszystko jest nagrane, utrwalone i każde słowo można sprawdzić dziś i będzie można sprawdzić za dwadzieścia lat. W działalności tego typu nie może być mowy o jakiegokolwiek tajemnicy. Radio to nie jest ani dwójka ani... Berg. Wszystko co się mówi — mówi się jawnie wobec milionów świadków.

„ZIEMIA I MORZE”

A więc przede wszystkim trzeba powiedzieć, że „Ziemia i Morze” wydawane w Szczecinie są pięknym tygodnikiem. Przyjemnie jest wziąć do ręki pismo tak barwnie i żywo redagowane i tak smacznie podane. Zespół redakcyjny „Ziemi i Morza” to są nie tylko doskonali fachowcy ale i miłośnicy prasowego rzemiosła.

„Z. i M.” przedrukowało w całości artykuł z wrześniowego numeru „Kultury” pt. „Dialog” a p. Henryk Rozpędowski problemom „dialogu” poświęcił na łamach „Z. i M.” dłuższy artykuł. Nie taję, że nasz zespół był bardzo ujęty oddźwiękiem z jakim apel „Kultury” spotkał się na szpaltach „Ziemi i Morza”.

Zarówno p. H. Rozpędowski jak i korespondenci, którzy na łamach „Ziemia i Morze” zabrali głos w dyskusji — poruszyli szereg istotnych spraw dotyczących wzajemnych stosunków między Krajem a emigracją. Do tych zagadnień powrócimy w jednym z następnych numerów naszego pisma w próbie podsumowania wstępnych wyników „dialogu”. Natomiast w niniejszej notatce chciałbym podkreślić czołowe zagadnienie „dialogu” to jest jego tonację. Nie tylko w muzyce ale i w dyskusji ton przesądza o wszystkim. Weźmy przykład skrajny. Ton jakim przemawia biuletyn „Kraj” wyklucza z góry wszelkie porozumienie.

Artykuł p. H. Rozpędowskiego napisany jest w życzliwej tonacji co w niczym nie pomniejsza jego obiektywizmu. Ton tego artykułu świadczy wyraźnie, że autor pragnie pozytywnego rezultatu „dialogu” to znaczy porozumienia. Natomiast list p. E. Duraczyńskiego drukowany na łamach „Z. i M.” ocieka niechęcią do emigracji. Czytając tego typu wypowiedzi uświadamiamy sobie nagle, że istnieje jeszcze druga „żelazna kurtyna” oddzielająca nas od Kraju — kurtyna zbudowana z urazów, przesądów i uprzedzeń.

Stalinowcy przez dziesięć lat tłumaczyli Polakom w Kraju, że emigranci to są reakjoniści, szpiedzy i płatni pachołkowie obcych imperialistów. Stalinizm upadł — ale propagandyści, którzy zawodowo trudnili się oczernianiem emigracji nie tylko pozostali ale zajmują wysokie stanowiska. P. Stefan Arski — autor paszkwilów w rodzaju „Targowica leży nad Atlantykiem” lub „Na podstawie martwej wizji” — jest dziś wice-przewodniczącym Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL. Mało tego — z łamów biuletynu „Kraj” prawi nam o suwerenności i niepodległości. Emigracja — choć jej winy i przewiny są niemałe — postulat niepodległości i suwerenności wysuwa nieprzerwanie od września 1939 roku. Natomiast p. Arski i jemu podobni przypomnieli sobie o suwerenności dopiero po 20 października 1956 roku!

Niech sobie p. Arski i jego stalinowscy współpasażerowie żyją spokojnie i dyskretnie. Nie nawołujemy do odwetu — czystek czy kontr-czystek. Byłoby natomiast dobrze, by kierownicze polskie czynniki zrozumiały, iż tego typu i pokroju skompromitowanych gentlemanów nie należy wprowadzać do „dialogu” między Krajem a emigracją, no i z Zachodem w ogóle. Przekreśla to bowiem szanse jakiegokolwiek porozumienia.

Przez owe dziesięć lat wyrósł między nami las fałszów i ignorancji. P. Rozpędowski przyznaje, że nie zna żadnej polskiej książki wydanej na emigracji. „Kultura” i nasze wydawnictwa dopiero w ostatnich tygodniach zaczynają docierać do redakcji pism w Kraju, do instytucji naukowych i bibliotek. I to bardzo słabo, mimo rezolucyj i uchwał. Trzeba z góry sobie powiedzieć, że pisarze i dziennikarze tak krajowi jak i emigracyjni, którzy dążą do budowy porozumienia — podejmują bardzo niewdzięczne zadanie. Będą przedmiotem ataków i krytyk z obu stron. Niemniej w naszym przekonaniu owo porozumienie leży w interesie narodowym i jesteśmy zdecydowani tej sprawie służyć. Dlatego bardzo serdecznie witamy inicjatywę redakcji „Ziemi i Morza”. Należy również z naciskiem podkreślić znamieny fakt że inicjatywa tego typu wyszła właśnie z Szczecina a nie centrum warszawskiego.

Najnowsza historia Polski

Na rozdrożu czasów

(MARZEC-SIERPIEŃ 1939)

Szkic poniższy, wspomnienie dwóch dni przed wielką burzą, przeżytych z daleka od kraju na dyplomatycznym posterunku, pisany był w Ankarze bezpośrednio po wojnie. Miał to być niejako wstęp do prowadzonego przez cały czas trwania wojny, a nieogłoszonego dotychczas, „Dziennika Ankarskiego”. Nie wiem, czy i kiedy losy pozwolą na tę obszerniejszą publikację. W międzyczasie oddaję do druku fragment ją poprzedzający. Oddaję go prawie bez zmian, jako dokument historyczny, mimo że niektóre omówione w nim sprawy otrzymały w ciągu ostatniego dziesięciolecia inne i pełniejsze może oświetlenie.

WIDMA I PRZEWIDYWANIA

Jednym z dyplomatów orientujących się trzeźwo w sytuacji międzynarodowej na przełomie lat 1937-1939 był Ferid Tek, od 1935 następca znakomitego Turka Cevad Bey'a jako ambasador w Warszawie. Na spotkaniach latem 1937 i 1938 w Stambule dawał upust swemu krańcowemu pesymizmowi. W szczególności na ostatnim z nich, na *garden party* u von Kellerów, ambasadorstwa Rzeszy, na miesiąc przed kryzysem monachijskim, malował czarno widoki czasów najbliższych i intencje nie-

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

mieckie. Niemcy, według Ferid Teki, wyruszyły już na podbój świata: — pierwszym punktem ich programu jest połknąć Czechosłowację, przy czym sprawa Sudetów i kraje sudeckie są jedynie pretekstem i punktem wyjścia do akcji szerszej: zamierzone jest zajęcie całej Czechosłowacji i zrobienie z niej prowincji niemieckiej; dalszym etapem akcji zaborczej niemieckiej będzie Polska i kraje bałkańskie; celem Niemiec jest panowanie nad światem, a drogą do tego celu wiodącą będzie zawładnięcie dostęпами do Morza Czarnego i Ukrainą.

Ferid Tek, nie pozbawiony zarozumiałej pewności siebie, nie wzbudzał zbyt dużego zaufania do wykładanych przez siebie teorii. Nie umiał przy tym, lub nie chciał, wskazać żadnych źródeł ani wymienić argumentów, na jakich opierał swe przekonanie.

Drugi ze spotkanych w tymże czasie dyplomatów przewidywał rzeczy najgorsze: był nim Sir Percy Loraine, ambasador brytyjski w Ankarze. W niedługi czas po kryzysie monachijskim został on desygnowany na ambasadę przy Kwirenale i w końcu lutego 1939 wyjechał do Rzymu. Loraine był tym, który po konferencji w Montreux zmienił kurs polityki angielskiej na Bliskim Wschodzie i wraz z Kemalem, do jego ciężkiej choroby w początku 1938, zakładał podwaliny pod sojusz brytyjsko-turecki. W ostatnich rozmowach, w szczególności na pożegnalnej wizycie u mnie w połowie lutego, nie krył swego czarnowidztwa. Starałem się go przekonać, że nie co innego jak zbliżenie angielsko-włoskie jest w stanie wstrzymać bezwładny pęd Europy ku przepaści; twierdziłem, że punkt ciężkości kryzysu bynajmniej nie polega na walce o zasady, o światopoglądy, lecz na współzawodnictwie imperiów. Odpowiedział mi, że jedzie do Rzymu bez wiary: — zawsze można znaleźć podstawy do kompromisu, ale musi być dobra wiara ... jeżeli zaś chodzi o to, by załatwić sprawy kosztem naszych interesów i honoru, to wolimy walkę i będziemy walczyć do końca.

Trzecim z dyplomatów, mającym trafne przeczucia, był mój kolega, poseł węgierski w Ankarze, Mariassy: raczej przeczucia, niż orientację polityczną. Był on człowiekiem przewrażliwionym i impulsywnym; klimat Ankary, gdzie siedział od 1935, przyczyniał się niewątpliwie do naprężenia jego nerwów. Od lata 1938, które spędzaliśmy w sąsiednich domach nad Bosforem, był on podniecony i oczekiwał najgorszego. We wrześniu to podniecenie osiągnęło swój punkt szczytowy: lada chwila widział przed sobą wojnę i patrzył w przyszłość z rozpaczą. Na zebraniu u państwa Henriot (1) wieczorem 28 września chodził od grupy do grupy jak zwiastun nieszczęść: mówił wciąż o swej miłości do Francji, wyznawał bez obłonek swoje tragiczne rozłamanie wewnętrzne i nie widział wyjścia. Został mi w pamięci z tego wieczoru jak fanatyczny prorok i, kiedy w ciągu dwóch dni następnych rozeszły się chmury konfliktu, nie przywiązywałem już większej wagi do jego ponurych wizyj. Może niesłusznie, gdyż

(1) Konsul generalny francuski w Stambule.

zarówno jako wybitny z poprzedniej wojny oficer wywiadowczy i jako obecny poseł Węgier, blisko od tego czasu zgranych z Niemcami, Mariassy musiał niektóre rzeczy w istocie prze-czuwać, ale niektóre inne na pewno wiedział. Daleko później, ale jeszcze przed dniami decydujących zdarzeń, mówił do mnie : — padniemy ofiarą wszyscy, czeka nas powszechna ruina, zobaczymy bolszewików w Warszawie i w Budapeszcie.

Stosunki polsko-niemieckie nie znajdowały się w zasięgu mego urzędowania i znałem je na tyle, ile można było wiedzieć z prasy, lub z ogólnych, bardzo wstrzemięźliwych komunikatów informacyjnych Ministerstwa. Regułą było za czasów Ministra Becka komunikowanie poszczególnym kierownikom placówek tylko tego, co wiązało się bezpośrednio z ich działalnością. Ostatnie informacje z zakresu tych stosunków otrzymałem w lipcu 1931 od pana Lipskiego, wówczas naczelnika Wydziału Wschodniego M.S.Z.. Potwierdził mi on fakt, że Marszałek Piłsudski przewidywał kryzys niemiecko-polski bezpośrednio od chwili zniesienia demilitaryzacji strefy nadreńskiej: odtąd widział dla polityki polskiej rozstajne drogi — albo natychmiastową wojnę, albo ułożenie sąsiedzkie z Niemcami. W wojnę prewencyjną Piłsudski nie wierzył, nie sądził bowiem, aby Francja się na nią zdobyła; wobec tego wybierał drogę porozumienia, ale uważał ją za bardzo trudną. W 1931 podyktował Lipskiemu swój pogląd: Niemcy po okresie koniunktury, zasilonym obcymi kapitałami, wejdą w ciężki kryzys gospodarczy; doprowadzi to do przesilenia wewnętrznego, z którego wyjściem stanie się zapewne dyktatura jednostki; dla ułożenia się z Niemcami Piłsudski wolał rządy jednostki od rządów zbiorowych, wzbudzających w nim najmniej zaufania.

Z tą busolą w ręku wyjechałem do Kopenhagi i stamtąd, jak z oszklonego obserwatorium, przyglądałem się przewidzianej przez Piłsudskiego ewolucji wypadków w Niemczech: kryzysowi gospodarczemu, przesileniom politycznym, zwycięstwu i wywyższeniu Hitlera. Uważałem za logiczny rozwój stosunków polsko-niemieckich, zaszły od umowy Wysockiego z Hitlerem w 1934; nie znałem jednak wówczas kulisów tej umowy, nie wiedziałem, że zanim na tę umowę się zdecydował, Piłsudski zapytał Francji, czy gotowa jest, wraz z Polską, przeciwstawić się zbrojnie dyktaturze niemieckiej; decyzja umowy zapadła dopiero wówczas, gdy odpowiedź Francji okazała się negatywna.

Latem 1934 i wiosną 1936 odbyłem podróże samochodowe po Niemczech i, bez żadnej szczególnej intencji, miałem sposobność sprawdzić zastanawiające przygotowania wojskowe. W lecie 1934 uderzył mnie niezwykle ruch wielkich samochodów ciężarowych po szosach w nocy i staranne kamuflowanie. W marcu 1936 na drogach wiodących do Nadrenii, w szczególności wzdłuż drugorzędnych traktów, oglądałem rozległe roboty ziemne i kamuflaż szerokich terenów. Wywarło to na mnie wrażenie budowania lotnisk podziemnych i ukrytych pozycji artyleryjskich na

rezerwowej linii obrony, na odległości około 120 klm. wzdłuż granicy holenderskiej. Obserwacje moje, jakkolwiek dorywcze, wydały mi się na tyle interesujące, iż opisałem je w liście prywatnym Ministrowi Beckowi; zdałem mu również sprawę z przejmującego wrażenia jakie odniosłem, widząc po raz pierwszy potężne konstrukcje *Autobahnen* niemieckich.

Nieco wcześniej jeszcze, w 1935, podana mi została z kół konserwatywnych duńskich wiadomość następująca: między oficerami sztabowymi duńskimi a oficerami sztabu niemieckiego istniały od czasu do czasu kontakty i towarzyskie spotkania; w czasie wycieczki odbytej przez paru oficerów niemieckich do Kopenhagi, zakomunikowali oni w formie dorywczej i czysto informacyjnej, że sztab Rzeszy, pracując nad przygotowaniem przyszłej wojny europejskiej, zajmuje się między innymi Danią; na wypadek wybuchu wojny Niemcy będą zmuszone zażądać wydania w ręce ich wojsk przeprawy przez Wielki Bełt między Korsör a Nyborgiem oraz rzędu wysepek położonych na południu między wyspami Falster a Alsen; jedynie w wypadku dobrowolnej na to zgody Niemcy mogłyby dopuścić do zachowania przez Danię pozycji neutralnej.

Wiadomość powyższa rzucała jaskrawe światło na konkretne przygotowania i celowe przewidywania wojenne po stronie niemieckiej; zakomunikowałem ją więc również listem osobistym Ministrowi Beckowi.

Dopiero w kilka lat później, w pełni drugiej wojny światowej dowiedziałem się od mojego kolegi belgijskiego, poprzednio posła w Warszawie, że w marcu 1936, w krytycznych dniach po wypowiedzeniu przez Niemcy umów lokarneńskich i w chwili zajmowania strefy zdemilitaryzowanej w Nadrenii, Minister Beck zwrócił się do Francji z ofertą wspólnego przeciwstawienia się akcji Niemiec; gdy zaś Francja odmówiła, zwrócił się do van Zeelanda, komunikując mu, że Polska przyłączy się do każdej akcji zainicjowanej przez Belgię.

W ciągu lat 1936-1938, na moim nowym posterunku w Turcji, miałem sposobność przyjrzeć się szeregowi zjazdów, konferencji, wizyt, wymienianych między mężami stanu bałkańskimi. Widziałem, że wiele jest między nimi problemów nierozstrzygniętych i że o najważniejszych zadaniach z reguły się nie mówi. Pomocnicze konferencje wojskowe niczego w gruncie rzeczy nie wyjaśniały i nic nie przygotowywały, prócz jednego jedyne go odcinka, w istocie swej nierealnego: obrony przeciw Bułgarii. Podobnież zresztą *La Petite Entente*, na wpół związana z Blokiem Bałkańskim, z którym dzieliła dwóch wspólnych uczestników, zajmowała się właściwie jednym tylko zagadnieniem natury wojskowej, równie mało realnym: obroną przeciwko Węgrom. O zagadnieniu jedynym ważnym — zagrożeniu niemieckim — z reguły nie było wcale mowy. Realny człowiek

i rzeczywisty mąż stanu spośród całej tej grupy, premier grecki Metaxas, uczuciowo skłaniał się raczej na stronę Niemiec, zaś dla całości związków bałkańskich i dla bezpieczeństwa poszczególnych państw na Bałkanach widział jedno realne niebezpieczeństwo: komunistyczną Rosję. Specjalnie obserwowałem, z natury rzeczy dla nas najważniejszą, politykę rumuńską. Była to obserwacja o charakterze czysto negatywnym, gdyż żadnych informacji ani instrukcji w związku z polityką polsko-rumuńską z reguły nie otrzymywałem. Rozmawiałem kolejno z każdym z czterech następujących jeden po drugim w tym krótkim okresie czasu ministrów spraw zagranicznych Rumunii: Tatarescu, Antonescu, Comnen i Gafenco; w żadnym z nich nie odczułem, do czasu, żadnego żywego zainteresowania problemem ekspansji i remilitaryzacji niemieckiej, prócz chyba frazesów, wziętych żywcem ze słownictwa teoretycznego Ligi Narodów. Odczułem, że Bałkany, jako całość, nie wchodzi właściwie wcale w grę przy żadnym rozleglejszym konflikcie europejskim.

Natomiast, rzucała się w oko na każdym kroku rozpędzona na wielkie koła ekspansja finansowa i handlowa Rzeszy Niemieckiej na wszystkie kraje południowego wschodu Europy. Co mnie uderzyło najwięcej, to fakt zanikania zupełnego wpływów francuskich, kulturalnych, intelektualnych, społecznych, którym zabrakło ważnego ponad wszystkie inne bodźca i motoru ekonomicznego. Francja pozostała gdzieś na samym szarym końcu, wraz z Polską zresztą, w obrotach handlowych z państwami bałkańskimi, przy czym obroty te miały nadal stałą tendencję niskową. Tymczasem Niemcy jednym śmiałym rzutem, w latach po 1930 wydostały się na czoło, wyprzedziły innych i w końcu zajęły w szeregu krajów stanowisko dominujące: w Bułgarii obroty z Niemcami przekroczyły połowę całości, w Rumunii w Grecji wyrosły ponad jedną trzecią, w opornej z początku Turcji zaczęły szybko zdążać ku połowie. Zasadą Rzeszy w obrotach handlowych stała się wymiana towarowa, która w wypadku częstej niemożności materialnej zamieniała się w kredyty towarowe otwierane dla Niemiec. Co gorsza i niebezpieczniejsza, Niemcy, wwożąc nadmiary produktów ze wszystkich tych krajów wchodziły w orbitę ich gospodarstwa, finansowały nieraz samą ich wytwórczość, organizowały producentów. W początku 1938, zestawwszy otrzymane z różnych stron informacje, wystąpiłem do Warszawy raport o ekspansji gospodarczej i handlowej Niemiec na Bałkany. W pierwszych dniach czerwca byłem przyjęty przez Ministra Becka w Warszawie. Nawiazując do mego raportu, zapytał o moje zdanie: czy ekspansja ta jest wynikiem pewnej polityki gospodarczej, czy też jest może tylko przygotowaniem dróg dla polityki zaborczej i ewentualnie wojennej? Czy wznowienie pochodu z Berlina na Bagdad można uważać za realne? Odpowiedziałem z rezerwą: na ile moje obserwacje sięgnąć mogą, gospodarza polityka Rzeszy na Bałkanach nie nosi charakteru zaborczego i przynajmniej na razie ogranicza się do celów czysto ekonomicznych; pochód Berlin-Bagdad uważam za

nierealny w warunkach stworzonych przez porozumienie brytyjsko-tureckie.

Nie podobna było nie wyciągnąć wniosków krytycznych z oglądania całości naszej polityki w stosunku do najbliższych nam państw sąsiednich. Znajdowałem się oto na trzecim z kolei posterunku, ukazującym cele i możliwości tej polityki. Z kolei, w grupie bałtyckiej, potem skandynawskiej, wreszcie bałkańsko-tureckiej stwierdzałem jedne i te same dane i wyniki. Ani jedna z tych grup — najpierw Bałtyk z jego rozdzieleniem między Finlandię a inne państewka, z ciążeniem nad nim stałym nierozwiązalnego konfliktu litewsko-polskiego; następnie Skandynawia, złożona z trzech udzielnych państw monarchicznych o rozbieżnych dążeniach i sprzecznych interesach, choć wspólnej wszystkim kulturze; wreszcie blok południowo-wschodniej Europy, z nierealnym Związkiem Bałkańskim i oględną politycznie Turcją — ani jedna z nich nie stanowiła czynnika politycznie i wojskowo samodzielnego, mającego własne ciążenie i środki akcji, mogącego być partnerem polskim. Polska, skłócona z grupą bałtycką z powodu Litwy, niezdolna do pozytywnej polityki na południu z powodu konfliktu z Czechosłowacją, nie mająca dostatecznych podstaw do porozumienia politycznego ze Skandynawią, była w gruncie rzeczy politycznie osamotniona. Na te izolację nie były w stanie nic poradzić frazesy o barierze środkowo-europejskiej, o zbieżności interesów wzdłuż europejskiej diagonali, o polityce skupienia narodów mniejszych, w przeciwstawieniu i równoległości do wielkich mocarstw.

Kto chce pewnych określonych celów, musi chcieć również prowadzących do nich środków. Jeśli Polska chciała pozyskać sobie mniejsze otaczające ją narody na północy czy na południu, jeżeli zjawiała się w jej polityce od czasu do czasu ambicja przewodnictwa w tej grupie narodów, małych, zazdrosnych o swe istnienie, dbających nade wszystko o zrównoważenie swych gospodarstw, to powinna była oprzeć swoją w stosunku do nich politykę nie tylko na idealizmie politycznym celów czy życiowej konieczności wspólnej obrony, ale przede wszystkim na zrzeszeniu interesów. Celem skoordynowania takiego zgrupowania gospodarczego na linii północ-południe-wschód najsilniejszy z partnerów, Polska, winien był coś poświęcić. Tylko za pomocą dogodnych stawek celnych, taniego do tych krajów przemysłowego eksportu, przyjęcia towarów importowanych bez rygorów kompensacyjnych, mogło się kraje te skłonić do bliższej współpracy ekonomicznej, będącej najlepszym przewodnikiem polityki. Tymczasem polityka gospodarcza i handlowa Polski szła wprost przeciwnymi drogami: dała się żyłować i drenować interesownym posunięciom handlu francuskiego, była ustępliwą we wszystkich konkurencyjnych zagadnieniach z innymi mocarstwami, natomiast stawiała się bezwzględnie rachunkowa, uparcie i drobiazgowo interesowna w stosunku do mniejszych państw i nawet do słabych, z trudem broniących się, gospodarstw narodowych. Ileż trudu poświęcaliśmy, ile upokarzających zabiegów, aby

utrzymać bilans pozytywny z Danią, której nic za to nie dawaliśmy wzajem! Też samą politykę mechanicznej ekspansji handlowej bez żadnej kompensaty próbowaliśmy stosować w Turcji. Takież same wytyczne służyły nam w stosunkach z Łotwą czy Estonią, Austrią czy Węgrami, Jugosławią czy Grecją: nie robiliśmy pod tym względem żadnej różnicy, zastosowaliśmy wszędzie w stosunku do mniejszych i słabszych ten podsumowujący zyski rachunek, bez żadnych dalszych widoków. Potem na zewnątrz, nasza polityka zagraniczna broniła interesów niepodległości małych narodów, wspólnej obrony mniejszych, sąsiadujących z Polską, państw, nawet stawiała od czasu do czasu śmiałe koncepcje zorganizowania międzypaństwowych, „regionalnych” połączeń czy zbliżeń. Natomiast nasza polityka handlowa nic o tych celach nie wiedziała i stosowała wprost przeciwne do nich środki. Zapytałem się kiedyś, będąc w Warszawie, jak może się to dziać, i jak mogą nasze rokowania handlowe iść całkowicie w poprzek zadaniom politycznym, jakie sobie stawia nasza oficjalna polityka zagraniczna? — Odpowiedziano mi na to, że właściwie nie mamy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych żadnej polityki handlowej, że prowadzi ją Ministerstwo Przemysłu i Handlu. Zapytałem, dlaczego nie dążymy do zmiany tego stanu rzeczy? — Odpowiedziano że istnieją względy polityki wewnętrznej, dla których Minister Beck postanowił nie wtrącać się wcale do tej dziedziny i pozostawić ją w całości właściwym resortom kompetentnym.

W tych warunkach pozycja Polski w jej własnym rejonie, na Wschodzie, była izolowana i słaba; w wojnie z Rosją mogła być ona liczyć na pomoce nikłe i niewystarczające, w wojnie z Niemcami — na żadne. Oparcie zaś nasze na sojusznikach na Zachodzie było w istocie swej mało realne. Rozumiałem tedy jako cel polskiej polityki zagranicznej zachowanie pokoju; zaś jako taktykę w razie wybuchu wojny europejskiej — utrzymanie neutralności. Rozumiałem, że środkiem dla przeprowadzenia takiego programu jest zachowanie równowagi — chociażby sztucznej — pomiędzy Rosją a Niemcami. Z biegiem czasu dochodziłem do przekonania, że wojna europejska staje się nieuniknioną koniecznością; przemawiały za tym nie tylko konkretne i na niezwyklej skali prowadzone przygotowania niemieckie, lecz również słabość Francji i błędząca polityka mocarstw światowych: Wielkiej Brytanii, Francji, Stanów Zjednoczonych. Dla każdego, nawet niewtajemniczonego, było jasne, że Stany Zjednoczone sfinansowały Niemcom przygotowania wojenne, że Wielka Brytania dała Niemcom moralno-polityczną podstawę dla rewanżu, że Francja wreszcie, drażniąc Niemcy, ośmieliła je równocześnie, wzbudzając w nich zarozumiałą butę. Moralno-polityczna słabość Francji znana była naszej polityce zagranicznej; co do jej potęgi militarnej, pełno było, jak się okazało później, nieusprawiedliwionych złudzeń. Wszystko to, razem wzięte, nie wykluczało bynajmniej, że wojna przyszła zostanie ograniczona do frontu na Zachodzie. Bez decydującej rozprawy

z głównymi mocarstwami żadna polityka wojenna Niemiec nie była realna. Polska mogła w takiej rozgrywce nie wziąć udziału i pozostać na boku.

Taka polityka polska, a przynajmniej to co sobie o niej wyobrażałem, podległa głębokiemu wstrząsowi we wrześniu 1938, w przesileniu monachijskim. Polska, zgodnie z założeniem teoretycznym, pozostała w nim neutralna; ale jednocześnie, występując przeciw Czechosłowacji, stanęła jak gdyby po jednej stronie z Niemcami. Nasze słuszne postulaty, umiarkowane a nawet skromne cele jakie sobie postawiliśmy, zostały przeprowadzone w sposób krańcowy i bezwzględny, z wyłączeniem kompromisu, z postawieniem na jedną kartę, z zaryzykowaniem wojny. W końcu koło nas wytworzyło się to przekonanie, że w razie jeśli dojdzie do działań wojennych, Polska stanie po stronie Niemiec, zaś conajmniej weźmie równoległy z nimi udział w akcji okupowania czy zawojuowywania terytoriów Czechosłowacji. Wytwarzało to pozycję neutralną, sztuczną, nieszczerą i niezwykle napiętą. Gdyby bowiem wojna istotnie wybuchła, po jakiej stronie w istocie zadeklarowałaby się Polska? Udziału czynnego po stronie Niemiec, widziało się to już wówczas wyraźnie, nie wytrzymałaby polska opinia publiczna; udziału po stronie Czechosłowacji, bronionej ewentualnie przez sprzymierzonych, nikt nie przygotował; pozostawała zatem neutralność, ale czy mogła istnieć ta neutralność w wypadku okupowania przez nas Cieszyna, wtedy gdy Francja bronić będzie integralności Czechosłowacji? Albo też w wypadku interwencji sowieckiej i żądania przepuszczenia wojsk rosyjskich przez Polskę na pomoc Czechom? Czy mogła Polska pozostać neutralna, jeśli Francja, spełniając swoje zobowiązania sojusznicze wobec Czechosłowacji, napadniętą by została przez Niemcy? — Polska niejako mimo woli rozpoznała te kontradycje własnego położenia i Minister Beck oświadczał, w tych dniach krytycznych, możliwość krańcowego odwrócenia linii swej polityki, czyli przewidywał, że wraz z Francją uderzy na Niemcy. Pozory jakie nadaliliśmy naszej polityce były nie tylko gorsze, niż rzeczywistość, ale całkowicie od niej odmienne.

Przesilenie monachijskie stanowiło dla mnie ciężkie przeżycie. Sytuacja ogólna była zarażona fałszem i nieszczerością, nie tylko u nas. Dyplomacja wielkich państw nie odzwierciedlała ich polityki: wszystko było napięte i gotowe do wojny. Nad Bosforem i na Perze, gdzie gwoli tradycji przebywały do końca lata misje zagraniczne, zbierano się właśnie na ostatnie towarzyskie spotkania przed październikowym zwoływaniem się do Ankary. Na tych zbiegowiskach — u nas, u posła Mariassego, u konsula generalnego Francji Henriota, tłumne były oznaki zbiorowego odjazdu, ale w przeciwną stronę. Francuzi otwarcie mówili o pewnej już wojnie, nastąpiły mobilizacyjne zarządzenia, wstrzymane zostały wszystkie niepotrzebne lub wycieczkowe morskie podróże, ustawał ruch statków handlowych, wymieniano terminy ostatnich wyjazdów przez morze. Amerykanie otrzymali

rozporządzenie wyjazdu do ojczyzny. Anglicy liczyli się lada chwila z podobnym wezwaniem. Na jednym ze spotkań usłyszałem, że obywatele angielscy z Polski otrzymali polecenie opuszczenia jej i wyjazdu przez Gdynię. Jak wyglądała w tym wszystkim Polska?

Odczułem w tych dniach dotkliwie dwie rzeczy: niejasność stanowiska politycznego Polski i nieufność jaka nas otaczała. Gorsze było przeświadczenie, że na wypadek wybuchu europejskiej wojny neutralność Polski będzie aktem przyjaznym Niemcom, zaś stoczenie się nasze do wojny postawi nas w przeciwieństwie do całej dotychczasowej polityki. Nie mieliśmy tedy moralnego gruntu pod sobą ani dla zachowania pokoju, ani dla udziału w wojnie. Dlatego zakończenie nagłe kryzysu i utrzymanie pokoju stało się dla nas ulgą i uspokojeniem.

Zjazd w Monachium w fatalnym dniu 29 września, na rok przed kapitulacją Warszawy, pociągnął za sobą od razu ciężkie i znamienne następstwa. Pierwsze — to było gwałtowne i brutalne w formie rozcięcie przez Polskę konfliktu z Czechami o Cieszyn w dniu 1-szym października: było ono prostym wynikiem faktu, że Polska nie została zaproszona do udziału w monachijskiej konferencji, że na tej konferencji spór polsko-czeski odłożony został do załatwienia w przyszłości arbitrażem wielkich mocarstw — „czterech państw” — podobnie jak spór sudecki, czyli bez współudziału zainteresowanego. Jasne było, że Polska nie mogła akceptować takiego projektu załatwienia sprawy w przyszłości ani takiej, pomijającej ją, metody: spór tedy rozciął w ciągu dwudziestu czterech godzin sama. Drugim następstwem werdyktu monachijskiego było proste oszustwo, podówczas przemilczane: układ monachijski podzielił strefy sporne między Czechosłowacją i Niemcami na cztery strefy, mające być oddanymi Niemcom do 10 października, oraz nadliczbową strefę podległą ewentualnemu plebiscytowi; urządzenie plebiscytu, zarówno jak sprawowanie ściślejszego nadzoru nad przekazywaniem poszczególnych stref zostało zarezerwowane dla specjalnej komisji międzynarodowej. Otóż, zarówno ten nadzór, jak urządzenie plebiscytu zostały zeskamotowane; nikt nie ogłosił, co się stało z komisją międzynarodową, a Niemcy w trybie uproszczonym i bez kontroli zajęły zarówno strefę czwartą, jak strefę ostatnią zarezerwowaną dla plebiscytu. Cała ta ciemna sprawa została utopiona w wylewach powszechnego rozczulenia i rozradowania z powodu ocalenia pokoju. Co do mnie, byłem zawsze przekonania, że wartość międzynarodowych układów ujawnia się dopiero szczegółami jego wykonania; nie dopilnowanie więc ściśłego wypełnienia art. 3, 4, 5 umowy monachijskiej uważałem za niebezpieczny symptom słabości i bezradności Wielkiej Brytanii i Francji.

Podczas kiedy w ten sposób dogorywało Monachium, do Turcji zjechał w odwiedziny minister ekonomii Rzeszy Nie-

mieckiej Dr Funk. W związku z jego przyjazdem odbyły się dwa rauty oficjalne, na które pojechałem do Ankary. Na drugim, wydanym przez ambasadora niemieckiego w salonach Ankara-Palas, von Keller zapoznał mnie z Dr. Funkiem i odbyłem z nim dłuższą, w swobodnym tonie, przy piwie, rozmowę. Minister niemiecki zaczął od przesadnej i niemiłej chwały ambasadora Lipskiego, jako przyjaciela, prawie jak swego człowieka; skończył na niesmacznych aluzjach konkurencyjnych pod adresem stojącego opodal ambasadora brytyjskiego, przyjaznego zawsze Polsce Sir Percy Loraine'a; główna zaś część rozmowy poświęconą była Rumunii, Rosji i nade wszystko Polsce. O Rumunii mówił minister Rzeszy jakby ją już miał w kieszeni, jak gdyby rozdzielał tam teki ministerialne, jak gdyby wreszcie „stosunki przyrodzone” tworzyły z tego kraju domenę wyłączną ekspansji niemieckiej — trochę zapominając się, Dr Funk mówił o Rumunii jak o niemieckim protektoracie. Wzmianki o Rosji połączył Dr Funk w rozmowie z polityką Turcji i Polski: przed chwilą właśnie mówił był Arasowi: — No a cóż wy wobec tego śmierzącego trupa? Kiedy zgłosicie się po jego spadek? — Dla Polski, uważał, tam jest teren naturalnej ekspansji: — Na-leży przeczekać, zostawić aż to dojrzeje...

O Polsce za to mówił Dr Funk dużo, z umiarem, ze specjalną żywością, jak gdyby chciał wpoić we mnie i wbić w moją pamięć pewne zasady i argumenty. Szeroko powołał się na Hitlera, na jego rozwiązanie pomyślnie spraw niemiecko-polskich, wbrew opinii wszystkich doradców, a wreszcie na jego sympatię dla Piłsudskiego: — Hitler dał wyraz zrozumieniu, że taki naród musi mieć dostęp do morza, że gospodarka takiego wielkiego państwa musi być z morzem związana... *Ich als Ostpreusse*, ja jako Prusak Wschodni, rozumiem to poświęcenie najlepiej... naturalnie, musi się znaleźć jakieś wyjście pośrednie pomiędzy waszym prawem do morza a jednością naszych Prus z Rzeszą; jakie będzie te wyjście, *ob durch ein Korridor durch den Korridor*, czy w formie korytarza poprzez korytarz, czy w jaki inny sposób, mniejsza z tym, kiedy wyjście musi już być między nami znalezione z chwilą, gdy istnieje wzajemne zrozumienie, kiedy jest łączność wspólnych przed nami zadań...

O tej rozmowie i o jej doniosłych aluzjach i sugestjach doniosłem zaraz do Warszawy; skonstatowałem przy tym z pewnym dla siebie zdumieniem, że takie problematy istnieją, że są one przez Niemców otwarcie wypowiedane, że jednak opinia w Polsce nic o nich nie wie, w dyskusjach politycznych naszych o tym jest głucho, a nawet dla odpowiedzialnych kierowników naszych politycznych placówek są one zamkniętym tabu lub nieoczekiwaną nowością.

Wrażenia z tej rozmowy zasłoniły przede mną wkrótce dramatyczne zdarzenia w Turcji. 12 listopada 1938 zmarł w pałacu Dolma Bahce w Stambule Kemal Ataturk, w dziesięć dni potem odbył się jego wielki pogrzeb z udziałem delegata armii polskiej generała Z. Podhorskiego; pamiętam krótkie i pełne sztywniej

rezerwy spotkanie moje z szefem delegacji niemieckiej, jak się potem, okazało, jednym z głównych wrogów Polski wśród doradców Hitlera, Neurathem. Po czym nastąpiło zwołanie Parlamentu, objęcie faktycznych rządów przez nowego Prezydenta Republiki generała İsmeta, zmiana rządu, zmiana na stanowisku ministra spraw zagranicznych. Zagadnienia dyplomatyczne w Ankarze zeszły w tym czasie na plan drugi, kontakty z Rządem tureckim stały się luźne i pozbawione przyczynowego związku, informacje nie były wzajem sobie komunikowane, tak iż w tym ważnym przygotowawczym okresie straciłem szereg nici, a stosunki niemiecko-polskie nie podległy dla mnie znikąd jakiemuś bądź wyjaśnieniu. Święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok spędzałem w Antiochii, Halepie i Bejrucie. W związku z tym zajęły mnie zagadnienia mojego geograficznego rejonu — sprawy arabskie, powstanie, które rozgorzało w Palestynie, splątany węzeł stosunków francusko-tureckich i arabsko-angielskich. W łączności z tymi zagadnieniami miałem sposobność nie po raz pierwszy uświadomić sobie, że sojusz francusko-brytyjski nie zawsze odbijał się zgodnym echem ani harmonijnym współdziałaniem na terenach Środkowego Wschodu, gdzie z dawna istniało współzawodnictwo i gdzie jeszcze świeżo, zaraz po wojnie światowej, nastąpił od Grecji aż po Liban i Cilię, konflikt otwarty między Anglią a Francją. Te zatargi i te współzawodnictwo mogły się stać niebezpieczne w razie konfliktu wojennego, kiedy rejon Morza Śródziemnego stałby się jednym z decydujących teatrów wojny. Miałem też nadzieję, że przybycie nowego ambasadora Francji René Massigli, aktywnego polityka, człowieka Quai d'Orsay, wyjaśni sytuację.

W niedługi czas po moim powrocie z Syrii do Ankary przybył przejazdem z Warszawy nowomanowany Poseł Rzeczypospolitej w Teheranie Jan Karszo-Siedlewski. Znałem go przedtem z przelotnych spotkań w Warszawie jako konsula generalnego z Charkowa, potem radcę Ambasady w Moskwie, w końcu radcę w Ministerstwie. Postanowiłem wyzyskać jego pobyt w Ankarze, aby omówić i wyjaśnić nękające mnie problemy z dziedziny planów i praktyki naszego handlu zagranicznego. 30 stycznia odbyliśmy konferencję, poświęconą tym sprawom; wyłożyłem na niej moje projekty oparte na przeświadczeniu, że kraje Środkowego Wschodu i Polska uzupełniają się ekonomicznie oraz że Polska powołana jest do tego, aby odegrać rolę instruktora i doradcy w państwach muzułmańskich wchodzących na drogę forsownej industrializacji a obawiających się obcego imperializmu. Zdziwił mnie u Karszy brak wszelkiego entuzjazmu dla tej idei i jego a priori krytycyzm względem wszelkich pomysłów o naszej ekspansji: czyżby nie było w naszym urzędzie żadnych ambicji w tej dziedzinie? Czy też tak daleko zaszły niezrozumienia i tarcia wewnętrzne i brak zgrania między Beckiem a Kwiatkowskim?

Zapytałem Karszę o stan naszych stosunków z Niemcami. Było to zaledwie w trzy tygodnie po bytności Becka w Berchtes-

gaden. Wiedział tylko tyle, że Hitler wystąpił z propozycją kampanii przeciwko Rosji Sowieckiej i wzajemnego porozumienia w sprawie Ukrainy; Beck wysłuchał tej propozycji milcząc i mruknąwszy znacząco nie dał żadnej odpowiedzi. Poza tym Karszo słyszał, że w rozmowach polsko-niemieckich poruszone zostało zagadnienie zneutralizowanej niemieckiej autostrady przez Pomorze: było to więc wprowadzenie na grunt rozmów oficjalnych, sugestii „korytarza przez korytarz”, o jakiej mi mówił w październiku Funk. Zaniepokoił mnie Karszo, mówiąc że i w tej sprawie nie udzieliliśmy Niemcom żadnej odpowiedzi; natomiast według niego porozumienie ostateczne w sprawie Gdańska nie przedstawiało większych trudności.

Pobyt Karszy w Ankarze nie dał mi tedy żadnych wystarczających wyjaśnień ani co do istotnego naszego położenia, ani co do naszych celów i taktyki politycznej. Przejęło mnie niewyraźne zaniepokojenie, polegające na wątpliwości wewnętrznej, czy można będzie jeszcze długo wymijać zagadnienia, grać na zwłokę i nie angażować się nigdzie, utrzymując przy tym zupełną dezorientację własnej opinii publicznej? Odjazd Karszy wieczornym *Taurus* expresse w jednym z pierwszych dni lutego nosił cechy mimowolnie dramatyczne, wszystkim było nieswojo i nikt nie wiedział w jakich okolicznościach nastąpią najbliższe spotkania. Orientowali się już wszyscy, że zjazd w Monachium niczego nie rozstrzygnął: nastąpiły dalsze zbrojenia niemieckie i głośne a zarazem nierealne pozory zbrojeń Wielkiej Brytanii i Francji; zapewnienia przyjaźni, układy gwarancyjne i zabezpieczające pokój okazywały się tylko taktyką bez praktycznego znaczenia i zapytywano się ze stron wszystkich co teraz nastąpi, jaka będzie — po Austrii w marcu, po Sudetach we wrześniu — następna próba siły Hitlera.

Należało się liczyć z wiosną i latem brzemennym w nowe wypadki. Postanowiłem tedy wziąć urlop wczesny i uzyskawszy zgodę Ministerstwa zdecydowałem wyjechać do Palestyny i Egiptu: żona moja mówiła, że wojna wydaje się jej prawdopodobna i że należy korzystać z ostatniej możliwości zobaczenia jeszcze w życiu Egiptu. Podróż naszą odkładaliśmy przez dni kilka i w końcu zdecydowaliśmy się wyjechać 13 marca; gdy zaś jeszcze mój przedział wyznaczony mi w wagonie nosił numer 13, śmieliśmy się, że wyjazd następuje pod jakąś wróżbą. Na dworcu, przejmując zimnym wieczorem zebrało się kilku przyjaciół, między nimi poseł egipski i norweski. Na samym wyjeździe od Bensona dowiedziałem się, że Hitler podobno postawił ultimatum Pradze.

Na trzeci dzień podróży 15-go rano zwiedzaliśmy jeszcze w beztroskim cieple wiosennym ruiny fenickiego Byblos i przed samym południem dotarliśmy do Bejrutu. Tam od Groera i Hulanickiego (2) dowiedziałem się o ogólnie już znanych wypadkach;

(2) Witold Groer, ówczesny wicekonsul w Beirucie. Witold Hulanicki, konsul generalny w Jerozolimie, odwołany natychmiast po utworzeniu rządu

jednakże wszystko przedstawiało się jeszcze zagadkowo i niezrozumiale. Jedno było jasne: Hitler złamał słowo uroczyste dane wobec całego świata głównym mężom stanu Europy i rozpoczął imprezę polityczno-wojenną o nieobliczalnych zupełnie rozmiarach i konsekwencjach. Dopiero jednak 17 marca w Jerozolimie zdałem sobie sprawę z rozmiarów tego co zaszło i zobaczyłem z osłepiającą jasnością że Hitler dokonał definitywnego wyboru i postanowił główny swój atak przeprowadzić na wschodzie.

W tym położeniu odniosłem się do Warszawy i poprosiłem telegraficznie o instrukcje Ministra: czy w odmienionej sytuacji mam kontynuować rozpoczęty urlop. Odpowiedź datowana 18 marca o godzinie 20.15, a podpisana przez naczelnika Wydziału osobowego Drymmera wyrażała „zgode na dalszy urlop ambasadora Sokolnickiego”.

„URLOP W EGIPCIE

Powaga sytuacji europejskiej zaistniała dla mnie w pełni, gdy słuchałem wieczorem 17 marca, w ciszy gabinetu Hulanickiego, sprawozdania radiowego o mowie Chamberlaina w Birminghamu. W cztery dni potem przelatywałem szlakiem powietrznym z Palestyny do Egiptu i od 22 marca przebywałem w spokoju w Mena House pod piramidami, zajmując się sprawami odległymi i nie mającymi nic wspólnego z rzeczywistością. Końcowe dni marca spędziliśmy w Luksorze, w górnym Egipcie, w towarzystwie generała Burhardt-Bukackiego. 30 marca byłem z powrotem w Mena House i odtąd każdy dzień zdawał mi się policzony.

Alarm dany był z Londynu. Rano w sobotę 1-go kwietnia odczytywałem w dziennikach kairskich przełomowe oświadczenie premiera brytyjskiego w Izbie Gmin:

w okresie przejściowym (zanim zakończone zostaną konsultacje pomiędzy zainteresowanymi państwami), w wypadku jakichkolwiek działań zagrażających niepodległości Polski i którym by Rząd Polski uznał za żywotne przeciwstawić się siłami swego narodu, Rząd Jego Królewskiej Mości będzie czuł się zobowiązany do udzielenia Polsce całkowitej pomocy wszystkich swoich sił ... Rządowi Polskiemu dane zostało zapewnienie w tym sensie.

Od chwili przeczytania tego komunikatu uważałem stosunki nasze z Niemcami za skończone, a wojnę europejską za nie-

Sikorskiego, nie zważając na jego doskonałe stosunki z władzami mandatowymi. Dymisja udzielona mu przez ministra Zaleskiego miała za główny motyw, iż Rydz-Śmigły był ojcem chrzestnym jego córki.

uniknioną. Nasze starania pięcioletnie o kompromis lub o pozostanie na uboczu nie wydały rezultatu: wybór został dokonany. Związaliśmy się na śmierć i życie z mocarstwami Zachodu, jasne przeto było, że pierwsza fala ataku przejdzie na Polskę. Gdy szły godziny tych pierwszych dni kwietniowych, oczekiwałem lada chwila, a ze mną zresztą wstrząśnięta i pełna alarmów prasa egipska, że napaść niemiecka przyjdzie błyskawiczna i natychmiastowa. Prowokacja prasowa, która tak fatalną rolę odgrywała od paru lat w Europie i miała wypełniać ją nadal, zapowiadała tę agresję już od dni kilku: zdawało się, że nic jej nie powstrzyma. Naturalnie, rozumiałem od pierwszej chwili że zobowiązanie brytyjsko-polskie może być tylko obustronne, że Polska, zanim Chamberlain przemówił, musiała dać obietnice pomocy wzajemnej, że zatem nie może już być mowy o wyczekującym stanowisku i że agresja niemiecka, czy zdarzy się na wschodzie czy na zachodzie, wciągnie Polskę automatycznie do wielkiej wojny. Kiedy gazety podały wiadomość o podróży Becka do Londynu, bałem się że nie wystarczy czasu i odetchnąłem, gdy został ogłoszony układ londyński z 6-go kwietnia, gdy Beck 8-go powrócił bezpiecznie do Warszawy.

W tychże samych dniach zaczęły nadchodzić złe wieści z Polski. 24 marca w Kairze, w czasie pierwszej wycieczki do piramidy w Sakkarah, dowiedziałem się od p. Alfonsa Kuli, naszego chargé d'affaires w Egipcie o zesłaniu redaktora Maciekiewicza do Berezy. To zarządzenie, pozbawione jakiegokolwiek sensu, uważałem za dalszy objaw niezdrowych stosunków w kraju, jednakże nie chciałem mu przypisać większego znaczenia. Obstawałem przy własnej teorii podziału władz i kompetencji i mimo pamiętnych ostrzeżeń Komendanta Piłsudskiego pragnąłem patrzeć na Polskę jako na normalne państwo: sądziłem, że przy obronie jego interesów na zewnątrz należy trzymać się z dala od różnic i zatargów wewnętrznych. Poza tym, w ocenie naszych stosunków wewnętrznych, starałem się zachować miarę porównawczą i w odpowiedzi na drastyczne głosy krytyki i niepokoju, dochodzące mnie z kraju, odpowiadałem: popatrzcie tylko za miedzę sąsiada, a sądzić będziecie inaczej.

Byłem jeszcze pod wpływem choroby przywiezionej ze starożytnych grobów w pustyni, a poza tym pełen myśli i wrażeń z Luksoru, z Giseh, z Sakkarah, z Heliopolis, gdy wieczorem w poniedziałek 3 kwietnia, po przeniesieniu spod Piramid do hotelu Shepherds'a odebrałem telefon od Kuli o śmierci Sławka. Stałem w obliczu nie tylko śmierci przyjaciela drogiego mi od trzydziestu lat, ale wobec faktu niepojętego z dziedziny spraw narodowych. Ze Sławkiem, w czasie moich ostatnich pobytów w Warszawie w 1936 i 1938 miałem długie i obejmujące całość stosunków w Polsce rozmowy, ale nie doceniłem głębokości załamań wśród ludzi. Oczekiwałem przyjazdu Sławka do mnie na dłuższy odpoczynek, ale przejechał on tylko przez Turcję właśnie w okresie mej czasowej latem 1938 nieobecności. Wie-

działem, że mimo odsunięcia go od steru państwa, wywiera on znaczny wpływ na główne dziedziny, między innymi dzięki bliskiej współpracy z Ministrem Beckiem. Jego śmierć, nagła i straszna, nie pasowała do żadnej z moich teorii o sprawach krajowych — nie była również w zgodzie z charakterem Sławka. Uważałem zawsze, jako człowiek nerwowo zdrowy, samobójstwo za samowolną ucieczkę od życia, zaś Sławka nie umiałem pojąć o dezercję. Wobec tego łamałem się wśród zagadnień, do których nikt mi nie podał wówczas klucza. Zapytywałem: jak mogło się stać, że Sławek odchodzi, gdy Polska jest w niebezpieczeństwie. Zapytywałem również, jakie mogły być tak tragiczne zagadnienia i tak niesłychane powody, że aż śmiercią Sławka trzeba było uderzyć na alarm. Na te pytania nie otrzymałem odpowiedzi aż do następnego września. Zamknąłem je przeto do oddzielnej przegrody i wkrótce potem przestałem o nich myśleć. Nie należały one do dziedziny moich kompetencji i nie mogłem mieć na nie żadnego wpływu.

Tymczasem bowiem każdy z tych ostatnich dni pobytu w Egipcie przeżyty był na tle nadciągającego zagadnienia wojny. Każdy dzień bez agresji niemieckiej wydawał mi się darem losu, niezrównanym zyskiem, otwartą dla Polski możliwością przygotowań i zabezpieczeń. Uważałem za niezrozumiałe pozostawienie nam przez Hitlera tego okresu umożliwiającego racjonalną mobilizację, uzyskanie materiału wojennego i sporządzenie środków obronnych przeciw zmechanizowanym wojskom. Ciągłe, każdego niemal dnia, oczekiwałem alarmu, spodziewałem się naglej i błyskawicznej agresji niemieckiej na nasze granice; bałem się że Beck nie zdąży powrócić z Londynu do Warszawy. W ostatnim tygodniu pobytu w Egipcie, między 7 a 12 kwietnia, codziennie nieomal zapytywałem Burhardta o jego ocenę położenia. Generał, który był inspektorem naszej obrony artyleryjskiej na zachodzie, uspakajał mnie, twierdząc, że w razie istotnego niebezpieczeństwa pierwszy zostanie wezwany do Warszawy. Cytował listy otrzymane ostatnio od Rydza Śmigłego, polecające mu dalsze pozostanie w Egipcie, intensywną kurację, zanim będzie myślał o powrocie. Listy te tchnęły optymizmem, zaufaniem do siebie i wydawały się w ogóle nie przewidywać bliskiej wojny. Nie wiem, ile z tego spokoju można było kłaść na karb optymizmu panującego w Warszawie, ile zaś przypisać względem na chorobę Burkhardta: przechodził on ciężkie cierpienia nerkowe, był od dawnych czasów bardzo zmieniony, nieco ociężały, bez porywów, bez dawnej szybkiej orientacji. Leczył się na skraju pustyni w willi „Jola” w Heluanie. Tam w dni Wielkiejnocy, 9 i 10 kwietnia, prowadziliśmy długie dyskusje. Zdawał sobie w pełni sprawę z nieproporcjonalności naszych sił w stosunku do niemieckich, zarówno pod względem przygotowania w powietrzu jak na lądzie; może być tylko mowa o pewnym czasie naszej obrony, aż do chwili, gdy przyjdzie atak odciążający mocarstw zachodu. Ogólny schemat wojny wyobrażał sobie jako bardzo ciężki, ale nie beznadziejny; zdawał się przy-

wiązywać dużo wagi do informacji które przedstawiały przygotowanie wojenne Niemiec w znacznej mierze jako propagandę i bluff; zdawał się również wierzyć w skuteczność prostych ale dostosowanych do terenu środków obronnych, przedsięwziętych u nas na wypadek ataku dywizyj pancernych.

Wyjazd z Egiptu morzem okazał się technicznie niełatwy i trzeba było wysiłku aby w końcu dostać kajutę na s/m Transylwanii, odpływającej z Aleksandrii 13 kwietnia. Termin wydawał mi się bardzo późny i obawiałem się do ostatniej chwili o spokojny przejazd przez całą szerokość Śródziemnego Morza. Z pewnym ryzykiem możliwego spóźnienia połączony był również dojazd do Aleksandrii — 250 klm. asfaltowego szlaku wzdłuż zrębu libijskiej pustyni. Z niecierpliwością przemierzałem olbrzymią pustą płaszczyznę, gdzie z rzadka tylko przerywał jednostajność cień przechodzącego fellaha w białym zawoju lub wyciągnięta szyja samotnego wielbłąda. Denerwowałem się, czy zdążę, gdy w pobliżu Aleksandrii na błyszczącym niebie ukazywały się w odległości modre wyspy i baszty zamkowe na piaszczystych głazach — uludy fata morgany. Wreszcie, z pędem samochodu nadbiegły pierwsze rzeczywiste palmy, potem domy i ogrody, wreszcie bez żadnej przegrody, lazur Śródziemnego Morza. We wczesnych popołudniowych godzinach Transylwania odbiła od brzegu i szybko opuściła rozległe baseny portowe.

W czasie 48-godzinnego przejazdu z Egiptu przez Grecję do Turcji, pod jednostajną szybkość okrętu, reasumowałem wrażenia i myśli, powstałe z obserwacji Starożytności, wiedząc, że odwraca się karta. Myśl, odrywając się z trudem od ostatnich przeżyć przeszłości i baśni, nawiązywała do biegu wypadków. 7-go kwietnia rozpoczęła się inwazja Mussoliniego w Albanii; nazajutrz Saragoglu spotkał się z Gafenką w Stambule, a więc wyraźnie zadzierzgnięte zostały wszystkie problemy bałkańskie. W związku z tym, w dniach następnych w Kairze i w Aleksandrii rozeszły się pogłoski o napięciu na Bałkanach, o zagrożeniu Rumunii przez Węgry. Na statku, 14 kwietnia, podano uspakajające komunikaty radiowe o umiarkowanym stosunku do Rumunii w oświadczeniu ministra Csaky w Budapeszcie, o ogłoszonej w Londynie gwarancji bezpieczeństwa dla Grecji i Rumunii, o nowym kroku pośredniczącym Ameryki. Transylwania zatrzymała się na kilka godzin popołudniowych w Atenach, po czym w południe 15-go, w pogodny dzień kwietniowy, dopłynęła do Stambułu. W trzy dni potem, 18 kwietnia rano, znalazłem się z powrotem w Ankarze.

POLITYCY I DYPLOMACI W ANKARZE

Po miesięcznej przerwie wracałem do pracy w Ambasadzie z poczuciem, że sytuacja zmieniła się do gruntu i że spotkam się z nowymi zadaniami w innej zupełnie atmosferze. Rzeczy-

wistość przeszła wszelkie oczekiwania. Świat, a razem z nim ludzie działający wchodzili w nowe koleje. Rozpoczął się przednówek: rzeczy nabierały barwy realnej i pierzchały złudzenia.

Miejscem, w którym mi przyszło być widzem lub współuczestnikiem przygotowującej się tragedii, jest Ankara, obchodząca w 1939 swoją szesnastą rocznicę stolicy Republiki Tureckiej. A oto *dramatis personae*.

W maju 1936 zostałem przeniesiony z Poselstwa w Kopenhadze na stanowisko ambasadora przy Rządzie Republiki Tureckiej; 11 czerwca składałem listy uwierzytelniające szefowi państwa Kemal Atatürkowi, dawnemu Mustafie Kemal Paszy, zwycięzcy z 1922 i założycielowi nowej Turcji. Atatürk zmarł 12 listopada 1938 i jego następstwo objął generał Ismet İnönü, najpierw współpracownik wojskowy Kemala Paszy, potem jego premier w ciągu lat trzynastu, wreszcie latem 1937 złożony z urzędu w związku z tym, że się oparł czynnemu wystąpieniu przeciw Francji w sprawie Sandżaku Aleksandretty. Po śmierci Atatürka Ismet Pasza usunął od razu od udziału w rządzie dwóch głównych jego współpracowników: Sükrü Kayę, reprezentanta administracji partyjnej i Rüstü Arasa, zbliżonego wraz z Titulescu i Beneszem do różnych organizmów i mafii międzynarodowych.

Na stanowisku ministra spraw zagranicznych jako następcą Arasa znajduje się w 1939 Sükrü Saraczoglu, dotychczasowy minister sprawiedliwości, zastępca Arasa w czasie jego licznych podróży. Jest to człowiek nowego pokolenia tureckiego, wyrosły z ludu, niezwiązany niczym z zagranicą. Pierwsze jego pociągnięcia i wystąpienia od listopada 1938 cechuje powściągliwość i ostrożność.

Obok niego, na zajmowanym od szeregu lat stanowisku sekretarza generalnego w ministerstwie, Numan Menemencioglu reprezentuje czynnik stałości w polityce tureckiej. Jako prawnik jest głównym negocjatorem z ramienia Turcji, i on również układa formuły i precyzuje motywy w poszczególnych fazach polityki. Z rodu, z przyzwyczajen jest raczej człowiekiem starej Turcji, ale był już i przedtem mężem zaufania Kemala Paszy i pozostaje za nowego reżymu głównym doradcą politycznym Ismeta. Obok niego i w ścisłej z nim współpracy dochodzi do głosu i znaczenia nowa siła dyplomacji tureckiej, Dževad Acizalin, przez rok ostatni delegat Atatürka w Antiochii.

Wśród przedstawicieli państw obcych, grających czynną rolę na terenie Ankary prawie wszyscy wiosną 1939 są nowi. Późną jesienią wyjechał, złożony chorobą ambasador Ponsot, nie zakończywszy ciężkiego zadania wyrównania różnic syryjskich, dzielących Francję i Turcję; wyjechał również ambasador Wielkiej Brytanii Sir Percy Loraine, przez z górą pięć lat negocjator nowej fazy stosunków anglo-tureckich. Na stanowisko reprezentanta Francji przyszedł w styczniu René Massigli, dotychczasowy dyrektor polityczny na Quai d'Orsay, człowiek

pełen rzutkiej energii i rozległych ambicji; na stanowisko ambasadora brytyjskiego przyszedł, w lutym 1939, Sir Hughe Knatchbull Hugessen, który jako pierwszy ambasador przy rządzie chińskim był w 1938 zraniony przez Japończyków. Wcześniej jeszcze, w sierpniu 1938 dotychczasowy ambasador włoski Galli, bystry, pełen energii i aktywności, zastąpiony został przez spokojnego pasywnego Ottavio de Peppo, szefa gabinetu przy hr. Ciano; zaś na pewien czas przedtem, jesienią 1938, opuścił Turcję ambasador Rzeszy Niemieckiej von Keller: człowiek starszy, pochodzeniem z Bawarii, dawny dyplomata, poprawny, grzeczny i układny, nie był on ani człowiekiem inicjatywy, ani też nie posiadał w swoim charakterze tej brutalności i bezwzględności, jakiej wymagały czasy nowe. Na jego miejsce zapowiedziany był od zimy Franz von Papen, dawny agent różnych spraw, znany z wielu kombinacji i intryg, zwiastun niepokoju. Do 1937 był on w Wiedniu i dłuższy czas zapewne upłyne, zanim będzie wiadome jaka w istocie była jego rola i w jakim stopniu planował i świadomie uczestniczył w zaduszeniu Austrii przez Hitlera. Do Ankary przybył w kwietniu, równocześnie z moim powrotem z Egiptu. W ten sposób reprezentanci głównych państw, zainteresowanych wschodem Europy — Italii i Rzeszy Niemieckiej, Republiki Francuskiej i Wielkiej Brytanii — zostali usunięci lub zmienieni w przededniu nowej rozgrywki światowej, między ostatnią jesienią i wiosną europejskiego pokoju. Z większych państw pozostawali od lat kilku jedynie ambasadorowie Stanów Zjednoczonych, Persji, Polski i Japonii. Ale doniosłe zmiany objęły również i pozostałą część korpusu dyplomatycznego w Ankarze.

Część zmian i przesunięć spowodowana została dawniejszym jeszcze epizodem. W lipcu 1937, w czasie wizyty króla Karola rumuńskiego w Warszawie, na bankiecie na zamku królewskim ogłoszona została przez prezydenta Mościckiego i króla Karola wymiana ambasad między oboma sojusznikami. Oświadczenie Prezydenta Rzplitej nosiło cechy wylewności serdecznej i ostentacyjnego aktu przyjaźni sprzymierzeńczej, odpowiedź króla Karola była wstrzemięźliwa i rejestrująca ten fakt bez komentarzy. Na tle tego kontrastu zrodziło się później przeświadczenie, że to Polska latem 1937 wystąpiła z inicjatywą w tej sprawie, że Rumunia była tym zaskoczona i zakłopotana, a w związku z tym potem ociągała się ze zrealizowaniem wzajemnej zapowiedzi. Pojawiły się na tym tle istotnie niemałe trudności, szczególnie z chwilą, gdy rząd francuski przypomniał Polsce obietnicę daną przez jej rząd, wówczas gdy podnoszono rangę poselstwa francuskiego w Warszawie (1923): że reprezentacje nasze w krajach nie posiadających ambasad mogą być podniesione w swej randze jedynie po uprzedniej francusko-polskiej konsultacji. Dowiedziałem się dopiero znacznie później o istotnym przebiegu polsko-rumuńskich rozmów w tym przedmiocie: to król Karol osobiście wystąpił z tą propozycją w rozmowie z ministrem Beckiem, prosząc o podniesienie rangi poselstw wzajemnych i o inicjatywę

Polski; a na skutek tego toast Prezydenta na Zamku nie był wcale niespodziewany, zaś chłód formalny odpowiedzi rumuńskiej i późniejsza zwłoka były tylko taktyką — pozostawiającą Rządowi Polskiemu wynikię stąd trudności i kłopoty.

Dokonane wreszcie, wiosną 1938, podniesienie poselstw polskiego i rumuńskiego do rangi ambasad spowodowało cały szereg następstw. Francja, *après avoir boudé*, mianowała również ambasadora do Bukaresztu, a wtedy w trudnym i drażliwym położeniu znalazła się Turcja — najbliższa z południa sąsiadka i sojuszniczka Rumunii. Z trudności tej znaleziono wyjście, komplikujące jeszcze bardziej całą sprawę. Turcja należała jednocześnie do dwóch bloków sprzymierzeńczych: zachodnio-azjatyckiego Paktu w Saadabad i wschodnio-europejskiego Paktu Bałkańskiego. W azjatyckim związku uczestnicy, przed tym nim Irak do niego przystąpił, wymienili między sobą ambasady. Teraz więc w pierwszych miesiącach 1939 zastosowano tę samą praktykę w Związku bałkańskim i jego członkowie — Turcja, Rumunia, Jugosławia i Grecja — postanowili wymienić między sobą ambasady. Rezultatem tych epizodów stało się zatem ogólne obniżenie rangi przedstawicielstw międzynarodowych, zamieszanie na tle znaczenia tytułów, nienaturalne komplikacje w ocenie znaczenia większych lub mniejszych państw. Polska była ostatnim państwem, któremu przyznano ambasady i nie miała najmniejszego interesu, aby obniżać znaczenie swego przywileju i stwarzać nową płataninę w dyplomatycznych zwyczajach. Sir Percy Loraine rozmawiał ze mną w tym przedmiocie bezpośrednio po zapowiedzi warszawskiej i kiedy, sam nie przekonywany, broniłem miękko decyzji mego rządu, powiedział mi: — Jedynym rezultatem będzie, że odtąd istnieć muszą ambasady dwóch kategorii; będą z natury rzeczy ambasadorowie pierwszej i ambasadorowie drugiej klasy.

W maju 1938 na miejsce dotychczasowego posła Mirosława Arciszewskiego akredytowany został w Bukareszcie pierwszy ambasador, Roger Raczyński, dotychczasowy podsekretarz stanu rolnictwa. W ślad za nim mianowano ambasadorem francuskim dotychczasowego posła, p. Thierry, ale dopiero zimą nastąpiła wymiana ambasad między Rumunią a Turcją. W Bukareszcie pozostał ambasadorem dotychczasowy poseł Supi Tanriover, a do Ankary przybył w styczniu poseł z Łotwy Basil Stoica. Zastąpił on posła bez znaczenia, dyplomatę bez nerwu politycznego Aleksandra Telemaque. Stoica, młody jeszcze i bardzo żywy, był człowiekiem ambitnym, rzutkim, łasym na informacje polityczne. Jego słabą stroną były zwykłe przerosty temperamentu i zmysłowości rumuńskiej, utrudniło mu życie niedobre małżeństwo z Włoszką i dość dziwny romans a później małżeństwo z własną sekretarką, na oczach całego korpusu. Gdy pierwszy raz spotkał się ją na przyjęciu urządzonym w Cifliku przez profesora von der Osten, pani Stoica, będąca tam sama w obecności mojej i von Papena, zapytana o męża, użyła mówiąc o nim najgorszych przezwisk. Dopiero późną jesienią 1939 miały być

obsadzone, po dłuższej w tej sprawie zwłoce i niepewności, ambasady jugosłowiańska i grecka. Jugosławię reprezentował po Brance Lazarewiczu człowiek bez żadnego znaczenia Branko Adžemovic, po czym na ambasadora przyszedł Ilja Szumenkowicz. Posłem greckim był późniejszy ambasador, dawniej poseł w Warszawie R. Raphaël, jeden z najwybitniejszych dyplomatów w Ankarze. Dawniej wenezelistą, więc trzymany trochę na uboczu, wytrawny, równy, obiektywny, choć pełen tłumionych pasyj i złośliwych uprzedzeń, reprezentował obok Massigliego najwięcej wyrobienia i gustu do polityki. Od 1936 w Ankarze pracował gruntownie i metodycznie nad zbliżeniem grecko-tureckim; przeprowadzwszy je, zyskał niemały autorytet w kołach rządowych i stał się najlepiej poinformowanym spośród kolegów.

Z posłów państw innych najdawniejszymi byli Benson i Mariassy. Sigurd Benson poseł norweski, żonaty z Angielką, był wzorem poprawności dyplomatycznej i prowadził dom otwarty dla kolegów i przyjaciół; reprezentował wytrawnie i pilnie duże interesy żeglugi handlowej, jakie Norwegia posiadała na Bliskim Wschodzie; politycznie rola jego była dyskretna. Zupełnie inaczej Mariassy, poseł węgierski: dawny oficer drugiego oddziału armii austro-węgierskiej za tamtej wojny, układny i umiemy, zawsze czynny, łakomy na wiadomości i na spostrzeżenia, może czasem przesadzał w nieustającej ruchliwości i ciekawości i nierzadko wzbudzał nieufność wkoło siebie. Iście po węgiersku ognisty, wrażliwy był jak płyta fotograficzna i odbijał łatwo na sobie nastroje, przeczucia, wspomnienia przeszłe i niepokoje na przyszłość. Pamiętny krzywdy Węgier, w polityce był pro-niemiecki; ale jednocześnie był wierny w przyjaźni dla Polski. Stosunek z nim oparty był, pomimo wszystkie rozróżnienia polityczne, czy odmienne zasady działania, na starej i dobrej zasadzie: „Polak Węgier dwa bratanki”. Dawaliśmy sobie wzajem informacje: ja pamiętając, że każda z nich mogła dojść do von Papen’a, on — wstrzymując się wobec mnie ze swoją niechęcią i nieufnością do Anglii. Był to jednak minister na wylocie; szukał tylko sposobności aby się wydostać z Ankary i spłynąć na szersze wody; marzył o Rzymie, dokąd pojedzie później, ale już w złych dniach.

W jednym i tym samym dniu ze mną, 11 czerwca 1936, składał listy uwierzytelniające Atatürkowi, poseł bułgarski Teodor Christow. Wytworzył się tedy między nami specjalny odcień koleżeństwa, bliski przyjaźni. Był to człowiek subtelny i wrażliwy o niepewnym zdrowiu, więc też chorobliwej uczuciowości. Do Ankary przybył z Berlina — myślę, choć nigdy tego nie udało mi się sprawdzić, że był tam zbyt samodzielny i niezupełnie ulegający wszechwładnej hipnozie nazi. Podobnie jak Mariassy i w zgodzie zresztą z dążeniami obu narodów był nie tylko politycznie, lecz i osobiście przyjazny Niemcom; ale z okresu przed awanturami wyniósł przekonanie, iż Trzecia Rzesza dąży do europejskiej równowagi i światowego współ-

zawodnictwa z Imperium Brytyjskim i nie wierzył w nadejście wojny. Byłem z nim w stałym i bliskim kontakcie osobistym ale w miarę narastających wypadków lata 1939 oddaliliśmy się od siebie naturalną siłą rzeczy.

Również jednocześnie, w czerwcu 1938, przybyli do Ankary poseł szwajcarski Etienne Lardy i poseł holenderski Philips Wisser. Lardy przybywał z Szanghaju, gdzie kolegował z Knatchbull Hugessen'em; jak wszyscy dyplomaci przebywający na Dalekim Wschodzie nabrał przesadnej ostrożności i układności; był kontrastem swojego brata ze Sztokholmu, którego widywałem w czasie jego krótkich postojów w Kopenhadze, gdzie również był akredytowany: jak tamten był żywy tak ten stonowany; jak tamten bezpośredni tak ten refleksyjny i nie ulegający impulsom; tamten drobny i ruchliwy, ten wysoki i szczupły, powściągliwy w ruchach i manierach, ostrożny w rozmowach; dyplomata starej szkoły, wyślizgujący się i mało przejrzysty. Jak wielu z jego rodaków z kantonów romańskich — pochodzą oboje z Neufchâtel — miał w gruncie sympatie niemieckie i ogólne było potem przekonanie, iż regularnie informował von Papena. Zanim jednak zgęściły się wypadki, zajmował się przede wszystkim sprawami handlowymi i rozwinął w tej dziedzinie owocną dla swojego kraju aktywność, co pozwoliło mu w czasie wojny zyskać dla Szwajcarii duży i ważny rynek.

Wissera znałem przed laty, jako sekretarza poselstwa holenderskiego w Sztokholmie i Helsingforsie. Od tego czasu bawił w Indiach, wiele podróżował, stał się wraz z żoną sławny z wyczynów alpinistów w Himalajach. Był zawsze miły i bezpośredni, z edukacji i przyzwyczajzeń bardzo proniemiecki. W rozmowach ze mną od samego początku wracał uporczywie do zagadnienia „korytarza” dość wyraźnie dając do poznania, że wśród jego przyjaciół, wbrew pozorom dyplomacji, ta kwestia stała wciąż na porządku dziennym. W rozpoczynającym się konflikcie usiłował pośredniczyć między Anglikiem i Niemcem.

Dziekanem Korpusu Dyplomatycznego był John Mac Murray, ambasador Stanów Zjednoczonych od początku 1936 — człowiek spokojny, pełen taktu i umiaru, życzliwy, osobiście pragnący wczuć się, zrozumieć innych. Stał trochę na uboczu od problemów politycznych i miał wyraźną tendencję nieangażowania się w żadne konflikty czy różnice. Osobiście wydawał mi się zawsze żywić intelektualne sympatie dla Niemiec. Jest rzeczą dość zastanawiającą, że atmosfera późnego powersалу była tak pełna przesyty dla bezwładnej i nieruchomej polityki mocarstw zachodnich, a z drugiej strony tak umiejętnie pozyskana dla „pokrzywdzonych” i poniżonych Niemiec, że polityka Rzeszy mogła najwidoczniej grać na wszystkich strunach i pozyskiwać sobie najróżniejszych ludzi. Spomiędzy tylu moich kolegów jeden jedyny Massigli był zdecydowanie i bezwzględnie wrogi Niemcom, obcy wpływom niemieckim, podejrzliwy w stosunku do każdego niemieckiego pociągnięcia. Wszyscy inni w gruncie rzeczy ulegali, jeśli nie podszeptom to sugestiom,

jeśli nie skłonności osobistej to politycznemu przekonaniu i albo po prostu godzili się z góry z Niemcami, albo gotowi byli ich postępowanie tłumaczyć, usprawiedliwiać i interpretować na ich korzyść.

Zapewne Monachium stało się i tutaj dotkliwym i rozstrajającym wiele rzeczy wstrząsem. W ostatnich dniach września 1938 dyplomaci bawiący wówczas nad Bosforem obserwowali ze wzrastającym przejęciem to, co się działo z daleka i blisko. Żegluga międzynarodowa została wstrzymana i Cieśniny, szlak tak ruchliwy w czasie pokoju, nagle opustoszał. Anglicy dostali rozkaz pogotowia i tutaj podobnie jak — rzecz ciekawa — w Gdyni przygotowywali się do wyjazdu. Najwięcej alarmu spowodowali Amerykanie, gdyż wszyscy nieurzędowo lub niezawodowo przebywający w Turcji otrzymali polecenie repatriacji i wskazówkę co do statków na jakie mieli się ładować. Departament Stanu, w myśl ogólnych zasad neutralności ustalonych przez Kongres, wydał instrukcje swym obywatelom aby, celem uniknięcia poszkodowań i wyniknąć stąd mogących interwencji, opuszczali od razu tereny zagrożone zawieruchą. Po kilku dniach te zapobiegawcze zarządzenia wydały się śmieszne.

Aż do zjazdu w Monachium panowała w kołach dyplomatycznych opinia, że Polska związana jest z Niemcami. Ogólne zapobiegawcze zarządzenia anglosaskie na wypadek rozpoczętej wojny obejmowały więc między innymi i Polskę w rzędzie krajów niepewnych, ewentualnie nieprzyjaznych. Gdy zjazd w Monachium skończył się ostentacyjnym Paktem Czterech, załatwienie sprawy cieszyńskiej przez Polskę wydało się aktem podobnym do hitlerowskich, tym bardziej brutalnym im mniejsze w porównaniu do sprawy sudeckiej było jego znaczenie. Wrażeniem powszechnym stało się podówczas, że Beck działał na podstawie umowy ułożonej zawczasu z Hitlerem. Na próżno dyplomacja polska powoływała się wówczas i przypominała odtąd właściwe fakty: wrażenie pozostało silniejsze od faktów i na podstawie ogólnej niewyrozumowanej opinii jaka istniała wówczas, sądzono wtedy i potem dyplomację polską. Tak sprawdza się stara reguła: że w stosunkach międzynarodowych nie wystarcza mieć rację, lecz trzeba umieć stworzyć wrażenie racji, trzeba zbudzić i utrwalić przekonanie o niej u swoich, zarówno jak u obcych.

Gdy po miesięcznej z górą nieobecności, wracałem w drugiej połowie kwietnia na swój posterunek, zdawałem sobie sprawę z wyników poprzednich okresów — z dwuznacznego położenia dyplomacji polskiej. Między tym wrażeniem jakie czyniła polityka polska aż do końca 1938 a polityką zainaugurowaną przez oświadczenie Chamberlaina i podróż Becka do Londynu, była jakaś wyrwa psychologiczna, jakieś nieporozumienie, jeżeli nie w faktach samych to w ich efekcie. Zdawało się, że Polska dopiero teraz, późno wkracza na wspólną linię z mocarstwami Zachodu. Zdawało się co gorsza, że zrywa jakieś ciężące jej więzy z Niemcami, chociaż w istocie więzów takich nie było. Ta dwuznaczność była w stosunku do stron obu brzemieniami niebez-

pieczeństwami : albo Polska starać się będzie w dalszym ciągu utrzymać sztuczną równowagę z Niemcami i w takim wypadku narazi na wahanie, czy na wątpliwość nowe układy z Zachodem, albo też Polska okaże się wierna przymierzom i wytrwa w obranej linii a wtedy dojdzie wkrótce do kryzysu z Niemcami. Ułuda zachowania przez Polskę neutralności wobec zbliżającego się w świecie konfliktu, która była zapewne podstawą przez czas dłuższy polityki polskiej, przysła. Polska wyłaniała się jawnie na pierwszy plan europejskiego konfliktu.

Ten nadchodzący konflikt wydawał mi się tak niewątpliwy, do tego stopnia już nieunikniony, że już w Egipcie od 31 marca, a potem w Ankarze od końca kwietnia, liczyłem dni i cieszyłem się każdym, który upływał bez napaści na Polskę. Napaść Hitlera wydawała mi się rzeczą tak absolutnie przesądzoną, że dla mnie grała rolę już tylko data i wyobrażałem sobie, że z natury rzeczy każdy dzień zwłoki tej napaści jest dniem intensywnego przygotowania, dniem mobilizacji wszystkich sił naszych a więc dniem zyskanym dla Polski.

Jedną jeszcze zmianę zastawałem w Ankarze : nie było już przedstawicielstwa Czechosłowacji : na wydanej wiosną 1942 oficjalnej liście Korpusu Dyplomatycznego, strona poświęcona Czechosłowacji zawierała jedynie jej nazwę i puste miejsce. Ostatni poseł czechosłowacki, Robert Freitscher, Niemiec sudecki, żonaty z Węgierką, był figurą ze zdarzenia nieprawdopodobnego, nawet na tle tych iluzorycznych czasów. Opuścił on Ankarę w 1938, zostawiając poselstwo radcy.

Ów radca, przyjemny zresztą i nienaganny urzędnik dyplomatyczny, ale słaby i niezdecydowany człowiek, wzorem Hachy, stracił głowę w dniach marcowych, podobnie zresztą do wielu innych Czechów. Oddał on pośpiesznie klucze nowozbudowanego domu poselstwa, na pierwsze żądanie ambasadora Rzeszy, von Papen'a. O dalszy los gmachu toczyć się będą jeszcze przez dalszych lat parę skomplikowane układy między Ambasadą Rzeszy a Rządem tureckim.

Michał SOKOLNICKI



**POMOC RODZINIE W KRAJU
I ZA LINIĄ CURZONA**

Przodująca polska firma wysyłkowa

LAMPERT & POLIMEX Co

45, Cromwell Rd., London, S.W.7, England

Sylwester Gruszka

Polonia zagraniczna i sprawa polska w wolnym świecie poniosły dużą stratę: dnia 28 listopada 1956 zmarł na udar serca w Sydney, w Australii, śp. Sylwester Gruszka, w wieku lat 63.

Zmarły był ostatnim przedstawicielem rządu wolnej Rzeczypospolitej w Australii od końca 1941 roku. Nie tylko to stanowisko urzędowe, ale przede wszystkim wybitne zalety umysłu i serca sprawiły, że śp. Gruszka był istotnym opiekunem Polonii i orędownikiem sprawy polskiej na terenie australijskim. Do niego zwracano się o radę w wątpliwościach, jego kierownictwa szukano celem rozwikłania trudności dnia codziennego, przy czym czynili to zarówno rodacy, jak rządowe sfery australijskie. Brak jego da się boleśnie odczuć na wielu polach w dalszym rozwoju życia polskiego w Australii.

Ale zasługa śp. Gruszki nie do tego jednego ogranicza się terenu. Oddał on dziesięć lat swej pracy urzędowej i społecznej Polonii Amerykańskiej. Najpierw w Detroit, potem w latach 1935 do 1941 jako konsul generalny R.P. w New Yorku i radca handlowy Ambasady R.P. w Waszyngtonie.

Mało kto spośród urzędników dawnej polskiej służby zagranicznej mógłby dorównać Zmarłemu w popularności wśród Polonii Amerykańskiej, w stopniu pozyskanego jej zaufania i w właściwej ocenie jej walorów i możliwości. Jeśli dodać do tego doskonałą orientację w stosunkach amerykańskich, wrodzoną umiejętność obcowania z ludźmi i głębokie wyczucie politycznej i społecznej atmosfery, żałować prawdziwie wypada, że nie było dane Zmarłemu pracować dla Polski i Polonii w Ameryce w trudnych latach powojennych.

Z dawniejszych etapów swej pracy zagranicą Zmarły znał dobrze Polonię francuską — jako radca emigracyjny Ambasady R.P. w Paryżu — i Polaków w Niemczech — jako konsul generalny w Kolonii i Frankfurcie nad Menem. W pierwszych latach państwowości polskiej należał do grona tych, którzy kładli podwaliny pod organizację polskiej służby zagranicznej w centrali Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Warszawie.

Pochodził z Małopolski Środkowej, doktorat prawa i umiejętności politycznych uzyskał w Uniwersytecie Jagiellońskim. Przeżył pierwszą wojnę światową w szeregach armii austriackiej i jako jeńiec wojenny w Rosji, po odzyskaniu niepodległości — w armii polskiej. Brat starszy, Bruno Gruszka, znany wybitny członek Stronnictwa Ludowego, został zamęczony w więzieniu sowieckim.

†adeusz BRZEZIŃSKI

Nec Hercules...

Autorka „Baśki i Barbary” zamieściła w jednym z poprzednich numerów „Kultury” artykuł z apelem o przedszkola dla polskich i półpolskich dzieci. Sprawy przez nią poruszane są palącym zagadnieniem dla bardzo wielu rodziców; przynależność do nich daje mi prawo zabrania głosu o paru nieścisłościach, jakie się zakradły do jej ocen. Wydaje mi się, że pani Romanowicz nieco przesadza w dwóch kierunkach: niesłusznie krytykując matki, żony Polaków, jak też zupełnie nie doceniając problemów matek, żon cudzoziemców. Wśród znanych mi czysto polskich domów nie spotkałam ani jednego wypadku zobczania dzieci polskiej mowie, o jakich mówi pani Romanowicz. Być może w Paryżu są przyczyny do alarmu, wiem natomiast, że w Szkocji taka krytyka jest bezpodstawna. Matki w polskich domach wywiązują się świetnie z zadania i ich dzieci znają polski język równie dobrze, jak ich rodzice. Zachodzą nawet niekiedy wypadki innej skrajności, kiedy pięcioletnie dziecko polskie nie ma pojęcia o języku kraju, w którym się urodziło i mieszka. Pewna moja pięcioletnia znajoma, która ma nie tylko polski dom i rodziców, ale nawet babcię i dziadka, znalazła się właśnie w takim położeniu, gdy nadszedł czas pójścia do szkoły. Jej matka, bardzo rozsądnie, posłała ją więc do angielskiego przedszkola, by tam się osłuchiła języka jaki będzie ją obowiązywał w „rzeczywistej” szkole. Otóż po roku tych „nauk”, na letnich wyczasach, mała się zbuntowała i do babki, rozsiewającej polskość w ich domu, rzekła:

— Daj mi spokój, nie męcz mnie po polsku, ja jestem na wakacjach!

Jeśli chodzi o domy mieszane, to sprawa ta wygląda całkiem inaczej. Ponieważ autorka nie należy do tej kategorii matek, przechodzi ona nad ich problemami do porządku, stwierdzając kategorycznie, że „gdzie matką jest Polka, wychowanie dziecka w polskiej mowie powinno być rzeczą biologicznie naturalną, zrozumiałą samą przez się”.

Dalej: „Problem odchodzenia dzieci od mowy ojczystej powinien więc istnieć tylko wtedy... gdy matka jest cudzoziemką”. Niestety, niesposób się z tym zgodzić, to są sprawy bardziej złożone. Chcę tu powiedzieć parę słów o tej grupie matek-Polek na obczyźnie, których dzieci nie tylko są pozbawione własnego kraju i własnej szkoły, ale również polskiego domu i polskiego ojca. Te Polki są szczęśliwie w mniejszości, niemniej problemy ich są duże, a walka o polskość własnych dzieci trudna i niedoceniona przez autorkę „Witaminy „P”.

Obserwując polskie i obce małżeństwa posiadające dzieci, odnoszę wrażenie, że ojcowie-cudzoziemcy biorą o wiele bardziej aktywny udział w wychowaniu własnych dzieci niż to czynią Polacy, niemal z ulgą pozostawiając tę domenę życia na wyłączną troskę żon. Moim zdaniem to aktywne zainteresowanie rozwojem własnych dzieci i praktyczny współudział w ich wychowaniu są raczej godne pochwały, choć niezmiernie komplikują i tak trudne zadanie utrzymania dziecka w polskości. Bo ojciec — dając swój wkład —

ma prawo spodziewać się wyników. Pani Romanowicz mu to prawo całkowicie odbiera. Może przeoczyłam, ale słowa „ojciec” w jej artykule nie dostrzegłam. Ojciec to nic, on się nie liczy, jest tylko matka, a jeśli matka Polka, to już wszystko pięknie po polsku i kropka. A tymczasem ojciec, wbrew pozorom, nie tylko jest, ale i wywiera swój wpływ na dzieci, więc jeśli mówimy o „walce” o polskość, sprowadza się to również do „walki” z własnym ojcem dzieci, co jest oczywiście absurdem.

Stanowisko pani Romanowicz dość typowo ilustruje matriarchalną strukturę polskiej rodziny, ale nie pasuje do zasady „fifty-fifty” obowiązującej na ogół, jak niepisana umowa, małżeństwa o dwojakim obliczu narodowościowym. Pani Romanowicz posuwa się nawet dalej i motywując swe wywody historycznie daje nam przykłady, jak to branki średniowiecznych Normanów pozwalały mężom „wzbudzać synów nieprzyjacielowi” wychowując dzieci w swoim języku”. Całe szczęście, że nie istnieje najmniejsza analogia pomiędzy współczesnym małżeństwem Polki z cudzoziemcem a kryteriami tych średniowiecznych związków.

Nie należy im zazdrościć.

Jak wiadomo, język polski nie należy do najłatwiejszych ani gramatycznie, ani składniowo, ani — co dla dziecka jest pewnie najważniejsze — fonetycznie. Jest on od początku skazany na niechęć dziecka, które, niestety, nie rodzi się z zamilowaniem do ciężkiej pracy i tak jak dorośli wybiera, co łatwiejsze to jest język łatwiejszy fonetycznie, który na dodatek ma te zalety, że można się nim porozumieć nie tylko z mamą, ale z mamą i tatą, z kolegami, z siostrą cioteczną i prababką, z listonoszem i szoferem z pralni. Słowem — z całym światem. Jest to język praktyczny podczas gdy język samej jednej mamy — jakby abstrakcja. W najlepszym wypadku pozostanie on zabawnym sekretem, intymnym drobiazgiem rodzinnym niewyposażonym w powagę powszechności. Utrzymanie tych dzieci w mowie polskiej jest sprawą z góry przesądzoną przez obiektywne warunki: przemożny wpływ otoczenia. Samej matce nie da się go zrównoważyć mimo najlepszych intencji, nie da rady, siła złego na jednego. Tym bardziej, że matki te często nie grzeszą ani wykształceniem ani zdolnościami pedagogicznymi, są zupełnie nieprzygotowane do takiej „misji dziejowej”, jaką im powierza pani Romanowicz, a ich dzieci nie umywają się do Bałki, której wyjątkowa inteligencja rzuca się w oczy.

Dla tych matek i dzieci przedszkola są jedynym ratunkiem przed całkowitym wynarodowieniem, przedszkola i książki. Niestety pierwsze istnieją tylko w wielkich skupiskach polskich a i te na ogół pozostawiają wiele do życzenia. Znam wypadek, gdzie polszczyzna nauczycielki przedszkola jest niewyczerpanym źródłem dowcipów dla klubu towarzyskiego, nikt się jednak specjalnie nie przejmuje tym stanem rzeczy i kilkuletnie głowy nadal zapycha się językiem „Polaków z Ameryki”.

Wydawnictwa dla dzieci, a to jak słusznie mówi pani Romanowicz, przede wszystkim wydawnictwa krajowe, też urastają do problemu dzięki swoim wygórowanym cenom, które bronią dostępu rzeszom skuteczniej, niż by to robił jakiś kodeks postępowania emigracyjnego.

Na zakończenie dodam jeszcze jedną komplikację. Zgadza się, że dwujęzyczność, a jeszcze lepiej wielojęzyczność u dzieci jest rzeczą pożądaną, można się obawiać, czy ambicja uczynienia z kilkuletniego smyka poligloty kosztem zakłócenia równowagi stosunków domowych nie okaże się

przysłowiowym wylewaniem dziecka z kąpielą. Wątpliwe jest, czy taka walka rodziców o supremację psychiczną i kulturalną wyjdzie z korzyścią samemu dziecku, bo konsekwentne dążenie matki do utrzymania potomstwa w jego polskiej, obcej ojcu, odrębności musi nosić oznaki rywalizacji, a ta jak wiadomo nie sprzyja pogodnej atmosferze. Czy sprawa się ułatwia, gdy przybywa dzieci w danym domu? Wręcz przeciwnie, problemy się piętrzą przed matką wprost proporcjonalnie do liczby dzieci. Rezultatem nie-rzadko jest dziwna sytuacja, gdzie dzieci mówią po polsku, bardzo kiepsko, z matką, ale już między sobą używają języka ojca i kraju, w którym mieszkają. Z drugiej strony trudno się spodziewać, by ojciec-cudzoziemiec zaczął się na gwałt uczyć polskiego po to, by się móc porozumieć z własnym trzyletnim synem czy córką. *Il y a quand même de l'abus!*

Przedszkoli zatem, jak najwięcej przedszkoli i szkół. W przeciwnym razie dla wielu matek-Polek jedyną metodą wychowanie dzieci pozostanie staro-angielska maksyma: *Have them, love them and let them be.*

Zofia CUNNINGHAM

SENSACJA TECHNIKI I OPLACALNOŚCI !

TYLKO

Auto-knitter

66 dol.

wraz
z przesyłką

nowoczesny suwakowy aparat dziewarski, który
może dać utrzymanie całej rodzinie w Polsce.



SŁUŻY DO PRODUKCJI WSZELKICH WYROBÓW
TRYKOTARSKICH OD SKARPET DO KOSTIUMÓW
DAMSKICH WŁĄCZNIE. 10.000 OCZEK NA MINUTĘ !

Tylko przez
firmę

TAZAB

22 Roland Gardens,
London S.W. 7, England

albo : 36 Third Ave, New York 3, N.Y., tel.: ALgonquin 4-4161.

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

MIĘDZY PRACĄ I BEZCZYNNOŚCIĄ

W Monachium czasu księcia regenta Luitpolda, które pamiętam z pobytu w nim w 1913, ostatnie kawiarnie zamykano o 3-ej rano. Pierwszy lokal, gdzie można było wypić i zjeść, otwierano o 5-ej. Był to dość ponury zakład w formie długiej, zadymionej szuflady. Nad wejściem doń wisiał stary zielonkawy szyld z wyobrażonymi na nim rogami jelenia i napisem: *Gast a Fernwirtschaft zum Bayrischen Donisel*. Spragnieni goście zbierali się już na kilka minut przed 5-tą przed drzwiami gospody. Przed każdym wchodzącym stawiano kufel piwa i parę białych, gorących kielbasek. Skórki z tych ostatnich zwyczaj miejscowy nakazywał gnieść w gałki i rzucać o sufit dopóki się doń nie przylepią. Wkrótce cały zakopcony sufit upstrzony był szarymi gałkami, które w miarę postępu godzin odklejały się i spadały na pijących.

Ranni klienci bawarskiego Dionizosa dzielili się na dwie kategorie. Jedni po zamknięciu ostatnich kawiarni przechadzali się przez dwie godziny nie tracąc ochoty do dalszych libacji. Większy respekt budzili we mnie klienci wstający do picia przed 5-tą rano. Można ich było poznać po świeżo umytych i ogolonych twarzach. Oczy ich nie były zamglone nocną perambulacją, lecz świeciły jakimś złowrogim blaskiem, ruchy zaś miały decyzję i celowość właściwą ludziom wstającym wcześniej.

Ranne picie ma swoją tradycję. *Lever matin n'est point bonne heure, boire matin est le meilleur*, mówi Rabelais. Na drugim końcu kontynentu rzewna pieśń zadnieprzańska wypowiada życzenie: *Jak by mini z ranku horiloczki szklanku...* Są to zapewne pozostałości po obyczajach ludzi wolnych, którzy

budzili się nie mając przed sobą żadnych obowiązków i wychodzili z domu na polowanie lub inne rozrywki odpowiednie ich kondycji; ludzie niezatrudnieni istnieli dawniej we wszystkich klasach podatku dochodowego, najliczniej reprezentowani w tej, która żadnego uchwytne go dochodu nie wykazywała.

Czas tak zwanego pełnego zatrudnienia położyły koniec rannym rozrywkom. W niewielkim lecz bardzo zamożnym miasteczku, będącym od kilku lat miejscem mego tymczasowego zamieszkania, jestem chyba jedynym niezatrudnionym w godzinach rannych. Kawiarnie znajdują się tu tylko w środku miasta, w dalszych dzielnicach nie ma ich wcale. Za blokami kamienic i pasami zieleńców rozciągają się obszerne dzielnice pokryte „domkami rodzinnymi”, których mieszkańcy, między 6-tą i 7-mą z rana, udają się do warsztatów i biur. W domu zostają tylko nieliczne kobiety z dziećmi, przystępujące od razu do prania, cerowania, skrobania kartofli i innych tak zwanych zajęć domowych. Gdy patrzę na tę dyscyplinę pracy, przychodzi mi na myśl powstały w głowie szczedrinowskiego gubernatora Ugrium-Buczajewa ideał miasta: w każdym z stojących rzędami domów mieszkało dwoje młodych, dwoje dorosłych, dwoje starych i jeden szpicel, o 9-ej rano zaś wszyscy, przy dźwięku bębnow, udawali się do maneżów. Do ideałów tego typu — podobnie jak do socjalizmu — dojść można różnymi drogami.

Wobec pełnego zatrudnienia ludności kawiarnie otwierają się dopiero koło 10-ej lub 11-ej. Pierwszymi ich gośćmi są komiwojażerowie z teczkami rozpoczynający obchód klientów i paru obcych podróżnych, którzy nie popasają tam długo. Bliżej południa pojawiają się objuczone paczkami panie, które po dokonaniu zakupów posilają się przed powrotem do domu, lekarze po rannych wizytach u chorych i studenci wracający z wczesnych wykładów. Ta kategoria gości znika z uderzeniem dwunastej, ustępując miejsca biuralistom nie wracającym w południe do domu i posilającym się w mieście. O 14-ej ostatni z nich schodzą z placu i przez dwie godziny kawiarnie stoją puste do chwili wzięcia ich w posiadanie przez dobrze odżywione kobiety schodzące się na plotki przy herbachie z ciastkami.

Jakże inaczej wyglądały znane mi dawniej kawiarnie Warszawy, Paryża, Brukseli, Mediolanu, Wiednia czy Budapesztu, gdzie godziny zdawały się nie mieć znaczenia. Uderzenia zegarów wypędzały z nich tylko przygodnych klientów. Stali goście nie liczyli godzin i wydawali się niczym nie zatrudnieni. Każdy z nich oczywiście czymś się zajmował, ale na sposób hiszpańskiego ambasadora, którego sekretarz, na pytanie jakie są godziny pracy jego szefa, odpowiadał: „Jego Ekscelencja zajmuje się sprawami Hiszpanii, ale nie pracuje nigdy”. Zajęcia ich nie miały godzin ani terminów. Zresztą nie wszyscy *chevaliers de la désœuvrance*, jak ich nazywał Balzac, gromadzili się w kawiarniach. Inni woleli wyścigi i zawody sportowe, siedzieli w wędkami nad rzeką lub po prostu spali na niezabudowanych placach. Niektórzy wreszcie spędzali czas w bibliotekach publicznych.

W kawiarniach zasiadali niezatrudnieni średniej fortuny, wystarczającej na kawę, lecz nie odpowiadającej ich potrzebom mieszkania. Z własnego doświadczenia wiem, że ilekroć miałem własne mieszkanie całymi latami nie odwiedzałem kawiarni.

Nie można twierdzić, aby ten niezatrudniony lud kawiarniany składał się z osób zasadniczo nieprodukcyjnych, stroniących od pracy i stojących obok Cyganów poza nawiasem życia społecznego. Do takiego twierdzenia brak dostatecznie jasnych przesłanek. W moim miasteczku, gdzie wszyscy bez wyjątku są bardzo zajęci, bynajmniej nie wszyscy wykonują pracę użyteczną. Wielu mogłoby równie dobrze łowić ryby lub grać od rana w karty. Widok ich niestrudzonej pracy przypomina mi nieraz znany z *Gargantua i Pantagruela* kraj, gdzie najmowano ludzi do spania i chrapiącym głośno płacono podwójną dniówkę. Utrzymywanie pozornie zatrudnionych jest zapewne kosztowniejsze od utrzymywania bezrobotnych, lecz kryteria użyteczności pracy nie są dość jasne, aby ktokolwiek mógł z nich wyciągnąć praktyczne wnioski.

Stali goście kawiarni stanowili pewnego rodzaju rezerwę nie włączoną na razie do procesów społecznych i gospodarczych. Wieloletni staż kawiarniany miewali za sobą ludzie bardzo skąd inąd i wielostronnie zatrudnieni. Za czasów mego pobytu w Monachium znany później filozof niemiecki Max Scheler zasiadał od rana w kawiarni, i większość jego wczesnych publikacji powstała na marmurowym stoliku w Café Glasl. Lenin i Trocki, zanim w kilku szybkich posunięciach zdobyli władzę, odbyli długi staż w paryskiej Café d'Orient na avenue d'Orléans, w Rotonde i u Landolta w Genewie. Kelnerzy tych kawiarni ze zdumieniem poznali potem w gazetach podobizny swych wieloletnich klientów, policja zaś na wszelki wypadek zamknęła na kilka miesięcy lokale uczęszczane przez emigrantów. Gauleiterzy Hitlera mieli także swój okres kawiarniany. W Berlinie nazi zbierali się wówczas w Kaffee Wilhelma naprzeciw Kaiser Wilhelm Gedächtniskirche, gdzie na stolikach stała oprawna w ramki odezwa gospodarza prosząca gości o powstrzymanie się od molestowania „inaczej myślących”. Nawet w mniej wywrotowych czasach widziano stałych bywalców opuszczających nagle kawiarnię dla zajęcia stanowiska ministra. Kto pamięta Warszawę z lat 1923-1925, musiał widywać późniejszych ministrów i potentatów reżymu majowego zasiadających w knajpach i kawiarniach i skrcających różnymi igraszkami lata oczekiwania. Pewnego dnia opuścili w ciągu kilku minut lokale, włączeni nagle do procesu, który w kilka lat miał zmienić oblicze i obyczaje polityczne kraju.

Przykłady te nie świadczą bynajmniej, aby niezatrudnieni bywalcy kawiarni składali się — jak to często myśli policja — z samych potencjalnych ministrów i wywrotowców, mających w kieszeni gotowe manifesty do ludu i czekających jedynie stosownej okazji. Z kawiarni wyszło znacznie więcej prądów i mód literackich niż przewrotów politycznych.

Było to skutkiem samej długości okresów niezatrudnienia. Lud kawiarniany miał czas przyglądać się różnym bieżącym wzorom działalności, konfrontując je z wzorami dostarczonymi przez historię i wyobraźnię. Przed oknami kawiarni przewijały się obrazy codziennego życia ludności zatrudnionej: urzędnicy z teczkami szli do biur, handlowcy śpieszyli do urzędów celnych i podatkowych, dyrektorzy jechali taksówkami na posiedzenia komisji organizacyjnych, rzemieślnicy z centymetrami w ręku szli po zamówienia, ciężarówki wiozły beczki piwa i stopy kartonów; monotonię pośpiechu z rzadka tylko przerywał wypadek samochodowy lub pościg za złodziejem.

W moim miasteczku na końcu każdej z tych działalności znajduje się zasłużona emerytura i własny domek z grządką kwiatów, radiem, telewizją, lodówką i łazienką z błyszczącymi kurkami, które właściciel w dzień i w nocy może kręcić zwawo w lewo w prawo. Domków takich są tysiące i setki tysięcy. Dokoła miast stoją zrazu w zwartych szeregach, potem przerzedzają się nieco, potem zgęszczają znów na znak, że niedaleko już do następnego miasteczka. Sama ich liczba wskazuje, że w praktyce dostępne są każdemu pracowitemu i oszczędnemu obywatelowi. Tak było nawet w krajach mniej zamożnych, sądząc z liczby domków rozsianych na przykład po malowniczych brzegach Balatonu. Im ideał ten jest łatwiej dostępny, tym mniejsza liczba opierających jego pokusom. W moim miasteczku opierających się nie ma na pozór wcale i dlatego brak w nim bywalców kawiarnianych.

Udział całej ludności w pościgu za własnym domem pociąga za sobą różne uboczne konsekwencje. Miasteczko moje ma swój uniwersytet, którego każdy profesor wydaje zapewne co kilka lat jakąś książkę, nie mogę sobie jednak wyobrazić, aby mógł w nim powstać jakiś godny uwagi rękopis. Nikt nie rozporządza na to dostateczną ilością wolnego czasu. Budowa nowych domów daje możliwość sprzedania pewnej ilości obrazów, mieszka więc tu kilkudziesięciu malarzy wystawiających dwa razy do roku swe płótna, nikt jednak z odwiedzających te wystawy nie oczekuje od nich niespodzianek. Wzory działalności są tu nieliczne, gotowe i podobne do siebie jak wytwory przemysłu konfekcyjnego. Wszystkie mają pozory uregulowanej przepisami pracy, prowadzącej zawsze do podobnych wyników i nie przewidującej żadnej inwencji.

W krajach mniej zamożnych pełne zatrudnienie ludności jest sprawą bardziej skomplikowaną. Pewna ilość mieszkańców zostaje poza procesem wzrostu indywidualnej czy zbiorowej zamożności. Perspektywa posiadania własnego domu jest tak niepewna, że rzecz nie wydaje się warta zachodu. Samo istnienie grupy obywateli przymusowo czy z własnego wyboru niezatrudnionych podaje w wątpliwość wartość powszechnie przyjętych wzorów działalności. Między pracą i bezczynnością powstaje miejsce na świat fikcji otwarty dla wielkiej liczby możliwych porządków wartości. Niespieszni kontemplatorzy mogą zatrzy-

mać uwagę na rodzajach działalności trudnych do pomyślenia dziś, niemniej przeto przekazanych przez historię i literaturę. Wyprawy mające na celu repatriację pięknej Heleny lub wypędzenie Saracenów z Jerozolimy, wznoszenie piramid i innych budowli nie przewidujących amortyzacji kosztów, kruszenie kopii w turniejach lub oddawanie się postowi i modlitwie na puszczy — wszystkie te mniej lub więcej znane wzory zatrudnieni odrzucają a limine, bez dyskusji, gdy niezatrudnieni, bardziej sceptyczni, mogą patrzeć na nie bez uprzedzeń. Marzyciele polscy mają nadto liczne wzory czynu własne, równie niepraktyczne w oczach ludów zamożnych i zorganizowanych, a wypełniające starszą i nowszą historię Rzplitej.

Rozważane spokojnie przy kawie, wzory te nie pobudzają do natychmiastowego naśladownictwa, powiększają jedynie zapas drżących w pamięci odruchów, dzięki którym w każdym marzycielu skrywa się potencjalny człowiek czynu, mogący przy okazji zadziwić dawnych znajomych nieoczekiwaną sprawnością działania.

Z żywym zainteresowaniem czytałem w „Kulturze” rozprawę Tymona Terleckiego o powodzeniu *Hamleta* w Polsce. Dramat ten, toczący się między czynem i bezczynnością, i którego główny bohater zatrzymuje się niezdecydowany przed wspomnieniem Oresta i Elektry, musiał z natury rzeczy pociągnąć w Polsce pokolenia oczekujące poruszenia się wody. Barokowa poezja, bogactwo sytuacji i dygresji *Hamleta* nadawały się świetnie do umeblowania i zagospodarowania w myśli okresów oczekiwania. Interesowało się nim w Polsce wielu późniejszych ludzi czynu. W 1925-1926 Henryk Józewski, późniejszy wojewoda i minister spraw wewnętrznych przygotowywał projekt inscenizacji *Hamleta*, mający się ukazać z litografiami autora w wydaniu bibliofilskim, gdy przewrót majowy wciągnął autora w wir wypadków.

W *Brave new World* Aldous Huxley wypowiada myśl, że dramaty szekspirowskie mogły powstać jedynie w chaotycznych warunkach społecznych początku XVII wieku. Pełne zatrudnienie i związana z nim standardyzacja zachowania się, są zjawiskiem nowym, i nie możemy na razie wycenić powstałej w tych warunkach literatury. Niezatrudnieni byli dotąd kustoszami naszego świata fikcji, symbolów, imaginacyjnych wzorów czynu i odpowiadających im hierarchii wartości. Wraz z niezatrudnionymi wszystkie te rzeczy znikną być może szybko z pamięci społeczeństw zorganizowanych. Jakie drogi utoruje sobie wówczas wyobraźnia?

KRAJOWE WYDAWNICTWA ARTYSTYCZNE

Zawrotna kariera książki artystycznej w ciągu ostatnich czterdziestu lat jest jednym z najbardziej uderzających zjawisk

współczesnych. Żadne inne nie wprowadza nas być może w sposób równie wszechstronny w dzieje przemian odbywających się dokoła nas.

Książka ilustrowana jest wynalazkiem dawnym, starszym nawet od druku. Ozdobione rysunkami mistrzów, rękopiśmienne brewiarze odpowiadały potrzebom książąt, którzy spędzając część życia na koniu pragnęli mieć pod ręką rodzaj kieszonkowego muzeum.

Masowe pojawienie się w ciągu ostatnich lat książek zawierających fotografie dzieł sztuki zdaje się być również tworem naszego „mobilizmu”, krótkoterminowości naszych planów i tymczasowości mieszkań.

Obrazy dawnych mistrzów malowane były najczęściej na zamówienie i miały zdobić wnętrza, do których stylu i oświetlenia były dostosowane. Obecnie oglądamy je na tle szarych ścian muzeów, wyrwane z ich otoczenia, jak stronicę wydarte z książki lub teksty bez początku i końca.

Istniejące jeszcze stare wnętrza szybko znikają. Mieszkając w starej dzielnicy, posiadającej jeszcze pewną ilość wnętrz z XVIII wieku, widzę co dzień jak stare domy są burzone od środka i — nawet jeżeli zachowują dawną fasadę — wypełniane są klitkami z żelazo-betonu. Za jakieś 20-50 lat trudno będzie sobie wyobrazić, jak wyglądało otoczenie przechowywanych w muzeach obrazów.

Mieszkania w domach nowych, pełne okien, drzwi i szaf, nie mają przeważnie miejsca na obrazy i książki. Obrazy stare do nich nie pasują; obrazy współczesne — zawieszone pod niskim stropem w jaskrawym oświetleniu — stają się agresywne i odbierają resztę pogody już skąd inąd niespokojnym wnętrzom.

Obrazy malarzy dzisiejszych są więc z natury rzeczy bezdomne, nie przeznaczone dla żadnego znanego otoczenia, skazane na tłumne wędrówki po salach wystawowych. Oglądane pośpiesznie, wśród setek innych, muszą być napastliwe i wyzywające, jeżeli mają zwrócić na siebie uwagę przechodzącego.

Książka zawierająca fotografie barwne obrazów jest najlepiej dostosowaną do tych warunków formą obcowania z dziełami sztuki. Zamknięta, w swej szarej okładce, jest przedmiotem obojętnym, nie zwracającym uwagi i nie kłócącym się z otoczeniem. Otwierając ją izoluje się od otoczenia; oczy jego ustawiają się na patrzenie z odległości 30 cm. i nie widzą przedmiotów dalszych.

Książka artystyczna daje dostęp do najodleglejszych muzeów świata; mieszkającym na puszcy pozwala śledzić życie wielkich ośrodków sztuki współczesnej.

Sposób użytkowania czasu wolnego od pracy interesuje od dawna historyków i socjologów; wielu widzi w nim rodzaj miary każdej cywilizacji. Wśród sposobów praktykowanych w naszej cywilizacji przemysłowej, książka artystyczna posiada tę prze-

wagę, że pozwala użytkować nie tylko godziny lecz nawet minuty wolne od pracy.

Wartość jej dla żyjących obecnie pokoleń uderzyła mnie w pierwszych latach powojennych w Niemczech. W szerniastym od pożaru ścianach, obok łazienki pozbawionej wody i spowora zastępującego łóżko, otwarta na podłodze książka artystyczna podobna była do deski ratunku, do ostatniej, zdawało się, więzi łączącej jeszcze rozbitków z przeszłością i z resztą świata. Taka sama zapewne była jej rola w zniszczonych przez wojnę miastach polskich.

Mimo oczywistych braków, ruiny nie są być może otoczeniem najgorszym. Przeważnie ciche, sprzyjają samotności i marzeniu. Znacznie bliższe obrazów piekła są przeludnione mieszkania przy hałaśliwych ulicach i stojące obok siebie domki jednorodzinne, uchodzące od pół wieku za ideał mieszkaniowy oszczędnych robotników i biuralistów. Stłoczenie tylu ludzi na ciasnej przestrzeni wywołuje na ich twarzach wyraz głębokiego niezadowolenia, który widzimy u większej części ludności miejskiej. Kto wie, w jakiej mierze zbiorowe marzenia o zabijaniu i niszczeniu, właściwe naszym czasom, są wytworem warunków mieszkaniowych. Kto może, ucieka od nich, chociażby na parę godzin, samochodem. Książka artystyczna, pozwalając oderwać się od otoczenia i izolować w tłumie, spełnia w tych warunkach rolę wentylu społecznego.



Refleksje niniejsze spisuję na podstawie spostrzeżeń zrobionych w obrębie tzw. świata kapitalistycznego i nie potrafię sobie dokładnie wyobrazić co myśleli na ten temat kierownicy warszawskiego PIW'u podejmując w najcięższych latach stalinizmu serię wydawnictw artystycznych. Książki te nie miały za sobą wzorów sowieckich; wydawnictwa rosyjskie uderzały zawsze ubóstwem swej szaty graficznej i niechlujnością zawartych w nich fotografii. Polska książka artystyczna była więc wyrazem odrębności kulturalnej przysługującej w pewnych granicach demokracji ludowej i stanowiła uzupełnienie podjętej już przedtem restauracji budynków zabytkowych i ochrony pomników historycznych.

Wydawnictwa artystyczne PIW'u, w nakładzie 10 do 25 tysięcy egzemplarzy, cieszyły się największym powodzeniem. Niektóre z nich zostały od razu wyczerpane i na próżno starałem się znaleźć je na emigracji. Powodzenie ich u publiczności każe przypuszczać, że warunki, które rozstrzygnęły o rozwoju książki artystycznej na Zachodzie, istnieją również w kraju.



Jednym z pierwszych wydawnictw artystycznych PIW'u był tom poświęcony ołtarzowi krakowskiemu Wita Stwosza. Tom

ten był pewnego rodzaju rewelacją. Ogromne rozmiarem i bogactwem dzieło Stwosza było zarazem znane i nieznane. Jego umieszczenie i oświetlenie w kościele Mariackim pozwalało oglądać je tylko z daleka i niedokładnie. Mieszkając przez parę lat w Krakowie, widziałem kilkakrotnie ołtarz stwoszowy, zamknięty w dni powszednie i otwarty w święta, lecz w pamięci pozostało mi tylko wspomnienie wielkiej szafy pokrytej rzezbami. Znacznie lepiej pamiętałem *Sprzedajnego sędziego* i inne rzeźby mistrza z Germanisches Museum w Norymberdze. Główne dzieło Stwosza pozostało pod korcem i dopiero rozmontowanie go podczas ostatniej wojny pozwoliło zobaczyć je w szczegółach. Tu leży być może przyczyna, dla której — jak piszą komentatorzy PIW'u — Wit Stwosz „nie znalazł uczniów, nie stworzył szkoły i dzieło jego nie stało się nauką dla potomnych”.

Na tom PIW'u składają się 162 fotografie in folio ułożone w porządku idącym od całości do szczegółów przybliżających się coraz bardziej do patrzącego. Układ i wybór ich odpowiada założeniu wydawców upatrujących w ołtarzu twór „realizmu mieszczańskiego”, dający wierny obraz życia krakowskiego z końca XV wieku. Znaczna więc część fotografii poświęcona jest ubiorom, broni, sprzętom domowym, szczegółom architektury itd. Aspekty artystyczne ołtarza pozostały niejako na drugim planie programu wydawców. Na szczęście fotografia nie pozwala oddzielić dokładnie elementów dokumentarnych od artystycznych ołtarza. Uważne oglądanie tych fotografii zostawia pewne uczucie niedosytu: chętnie na przykład zobaczylibyśmy w powiększeniu także inne szczegóły lub zdjęcia ukazujące wypukłość rzeźby. Na ogół jednak tom daje dobre pojęcie o naturze dzieła i o geniuszu jego autora.

Wydawcy zaopatrzyli fotografie obszernym wstępem podpisanym przez dwóch członków ósmioosobowego komitetu redakcyjnego. Jako dzieło zbiorowe, wstęp ten jest też dokumentem historycznym, zwiastującym warunków, w jakich polscy historycy sztuki pracowali w 1951. Niepomni przestrogi Jakuba Burckhardta, że związki sztuki z ogólną kulturą należy traktować luźno, bo sztuka ma własne życie i własną historię, autorzy wstępu usiłują ustawić ołtarz stwoszowy w szablonowej perspektywie walki klas, przedstawiając je jako „postępowe” dzieło „mieszczańskiego realizmu” i ważny etap na drodze do „przewyciężenia idealizmu”. Stawiają więc sobie zadanie niewdzięczne, z którego nikt nie potrafi wyjść z honorem, i wywody ich pozostają jałowe, obce komentowanemu dziełu i pozbawione zdolności przekonywania. Taka widocznie była w 1951 cena, za którą wolno było wydobyć z ukrycia Wita Stwosza i przedstawić go szerszej publiczności.

Autorzy tego osobliwego wstępu są jednak historykami sztuki znającymi wszystkie arkana swego rzemiosła. Wśród dialektyczno-materialistycznych dłużyzn znajdujemy w ich wstępie parę doskonałych uwag, umieszczających Stwosza także

w historii sztuki. Zwracają więc uwagę na pewną luźność kompozycji ołtarza, określając jego styl jako rodzaj „średniowiecznego baroku”. W tym nieco impresjonistycznym terminie, rzuconym jak gdyby przypadkiem, jest przenikliwość obserwacji, świadcząca że w innych warunkach autorzy, zamiast „postępowych” dywagacji, mieliby nam coś istotnego do powiedzenia. Zestawienie Stwosza z nieco starszym odeń mistrzem z Colmaru Marcinem Schongauerem jest równie interesujące. Gdy przed kilku laty oglądałem w Monachium *Ścięcie św. Jana* tego ostatniego, będące jednym z najpiękniejszych obrazów niemieckiego quattrocenta, uderzyło mnie również nieokreślone powinowactwo geniusza tych dwóch artystów.

Do stwierdzenia tych pokrewieństw i zbliżeń historycy sztuki dochodzą od czasów Wölfflina przez analizę elementów formalnych. To jednak co zbliża ołtarz Stwosza do sławnych dzieł sztuki barokowej — a być może i do pewnej kategorii dzieł wielkiej sztuki w ogóle — widoczne jest także dla niewtajemniczonych. Jest to żywiołowy charakter twórczości, czerpiącej z niezmierzonego zapasu wiedzy o sprawach ludzkich i przekraczającej wciąż ramy ogólne kompozycji, połączony z szekspirowskim poczuciem dystansu między artystą i twórcami jego wyobraźni. Artysta nie zatrzymuje swych postaci na brzegu przepaści; pozwala im dopełnić się według ich własnego przeznaczenia. Patrzący odnosi wrażenie, że żadna z licznych postaci kobiecych ołtarza nie jest portretem kobiety, z którą łączyłyby mistrza jakieś uczucia osobiste. Jego wyobraźnia jest wolna od takich powiązań: wystarczy zatrzymać się przez chwilę nad środkami, jakimi Stwosz oddał „inność” aniołów pozornie tylko naśladujących kształt ludzki.

Uważne przejrzanie tomu PIW'u zostawia po sobie wrażenie, do którego długo powraca się myślą.



Równie wielkiej ilości odkryć i niespodzianek dostarcza tom PIW'u poświęcony widokom Warszawy Bernarda Belotta zwanego Canalettem (1720-1780). Obrazy jego, wywiezione do Petersburga po powstaniu 1831, wróciły w 1922 do Warszawy i znajdowały się na Zamku, gdzie warunki i oświetlenie nie sprzyjały ich spokojnemu oglądaniu w szczegółach.

W porządku fotografii wydawcy zachowali tę samą metodę co w tomie omówionym poprzednio, idąc od całości do szczegółów. Tom ten zawiera więc 29 fotografii przedstawiających obrazy Belotta w całości i 92 — z czego 4 barwne — poświęcone szczegółom. Doskonały wstęp piora Mieczysława Wallisa, datujący z 1954 — zatem z pierwszej fazy odwilży — zawiera już tylko luźne wzmianki o początkach kapitalizmu w Polsce i poświęcony jest pobytowi Belotta w Warszawie.

Siostrzeniec sławnego malarza weneckiego Antonia Canaletta i malarz nadworny Stanisława Augusta w latach 1767-1780, Bernardo Belotto widział Warszawę w okresie rozkwitu, kiedy na jurydykach czyli terenach prywatnych otaczających pierwotne miasto powstawały nowe dzielnice pełne pałaców i zbytku. Jego *vedute* Warszawy, poświęcone w pierwszym rządzie architektury, pełne są radosnego tumultu. Ulicami jadą ozdobne karoce wiozące elegancki z wysokim uczesaniem, galopują jeźdźcy, obok handlują przekupnie, ciągną wozy z sianem. Miasto posiada jeszcze wiele drzew i parków, gdzie przechadzają się panie w różowych lub blade-zielonych sukniach, młodzi ludzie w barwnych frakach, oficerowie w mundurach i panowie szlachta w kontuszach. Warszawa jest w pełnej rozbudowie: obok pałaców i rusztowań otaczających wznoszone budynki stoją niskie drewniaki i chaty kryte słomą, z których miasto nie wyparło jeszcze ludności wiejskiej, oddającej się nadal swym sielskim zajęciom.

Wszystko to widziane jest oczami weneckimi, w pełnym słońcu rzucającym białe plamy na pionowe zarysy murów, peruki i fałdy jedwabów. Nawet ci, którym według naszej pamięci musiało być wówczas źle — chłopi i żebracy — biorą w jakiś sposób udział w tym radosnym kiernaszu. Bose dziewczyny wiejskie w chustkach na głowie mają — ówczesną modą — głęboko wycięte suknie.

Dla nas, którzy pamiętamy Warszawę jako tragiczne miasto pod szarym niebem Północy, radosna wizja Belotta jest niezwykle przeżyciem. Zrazu opieramy się jej z na pół bolesnym niedowierzaniem, wreszcie jednak poddajemy się urokowi snu o XVIII wieku. Siła perswazji Belotta jest ogromna: przyjrząwszy się jego Warszawie nie wątpimy, że wszystko w niej jest autentyczne, dokładnie takie jakie było. Wrażenie to wynika z pewnego rodzaju zachłanności weneckiego malarza, który chciał zanotować wszystko co widział, nie opuszczając żadnego szczegółu: nie tylko pałace, lecz także wszystkie rodzaje ruder, baraków, chat, straganów; nie tylko dworzan i elegantów, lecz ludzi wszystkich stanów, wszystkich zawodów aż do handlarzy sztychów, flisaków i kominiarzy włącznie.

Dzięki bogactwu i różnorodności szczegółów obrazy Belotta są niezrównanym dokumentem o życiu Warszawy w XVIII-ym wieku. Ich radosna wizja pieniącego się życia posiada jednak także sens znacznie głębszy i wciąż aktualny.

Belotto widział Warszawę w okresie jej politycznego upadku, w czasach rozbiorowych. W relacji późniejszych historyków z brodami, w czarnych surdutach, był to okres agonii dawnej Rzplitej. Beztroska, potrzeba zabawy i zbytku były tak powszechne, że nikt nie chciał widzieć nadchodzącej zagłady. Nieliczni widzący szarpali się, bezsilni. Obraz ten czerpie swą siłę perswazji tylko z wypadków, które potem nastąpiły, brak mu bowiem wewnętrznej równowagi. W książkach historyków i w pojęciach czasów w których pisali brak mianowicie odpowiedzi

na pytanie: na co właściwie przodkowie nasi zamienili swą Rzplitą i swe „sny o potęgze”? Bernardo Belotto dostarcza na to pytanie odpowiedzi. W radosnym tumultie jego Warszawy patrzący na nadchodzącą zagładę musieli być równie samotni i przykrzy dla otoczenia jak my, emigranci, na dzisiejszym Zachodzie.

Paweł HOSTOWIEC

Paderewski na L.P.

Jest faktem mało znanym, że Ignacy Paderewski pozostawił w artystycznym spadku przeszło 70 własnych nagrań gramofonowych, z których prawie wszystkie zniknęły dawno z horyzontu. Czołowa wytwórnia płyt amerykańskich RCA-Camden wypuściła niedawno nową długoobrotową płytę „LP”, zawierającą szereg przedrukowanych płyt Paderewskiego, nagranych pomiędzy latami 1912 a 1936. W tej liczbie znajdują się zarówno nagrania akustyczne jak elektryczne. Stosunkowo skromna ale pełna kontrastów selekcja na LP dość wyraźnie odzwierciadla artystyczną wieloosobowość Mistrza. („The Art of Paderewski”, RCA Camden, LP, Nr. CAL — 310).

Dla analizy płyt gramofonowych duże znaczenie mają dane dotyczące wieku artysty i jego formy pianistycznej w okresie nagrywania. 70-cio płytowa kolekcja nagrań Paderewskiego nastrocza rzadką dla takich badań sposobność, zważywszy, że niektóre utwory artysta nagrał kilkakrotnie i na przestrzeni ćwierć stulecia. Daje to nam możliwość zaobserwowania znacznych zmian interpretacyjnych w ostatniej, 25-letniej fazie rozwojowej jego sztuki. Jednakże arytmetyka lat nie zawsze miała decydujący wpływ na odtwórczą sztukę Paderewskiego, którą także kierowały nastroje. Na przykład *Mazurek D dur Op. 33* Chopina, nie wymagający wysiłku technicznego, został znakomicie nagrany gdy Paderewski miał lat 70. Inne jego płyty również wskazują na niestały związek pomiędzy datami nagrywania a gatunkiem gry.

Osądzając sztukę Paderewskiego przede wszystkim musimy pogodzić się z faktem, że nawet najlepsze jego kreacje nie były wolne od pewnych manieryzmów (opóźnianie prawej ręki, rytmiczne nierówności, itd.). Tego rodzaju dowolności w grze czarowały kiedyś audytorium, ale nie wynika stąd, że są one

jedynym wyrazem pianistycznego stylu ówczesnej epoki. Świadczą o tym osiągnięcia innych mistrzów klawiatury tej samej doby (Hofmann, Busoni, Rachmaninoff i inni), którzy odtwarzali swoją wspaniałą sztukę bez stosowania muzycznych kosmetyków. Dlatego rytmiczne ekstrawagancje Paderewskiego noszą mniej historyczny niż historyczny charakter i epoka jego bynajmniej nie ponosi za nie całkowitej odpowiedzialności.

Legendaria postać naszego wybitnego rodaka i tajemnica jego fantastycznych powodzeń, to materiał do głębszego studium psychologicznego. Tutaj zajmiemy się wyłącznie pianistyczną i artystyczną stroną sztuki Paderewskiego badanej przez pryzmat jego płyt.

Poza nielicznymi, pierwsze jego płyty nagrane przed rokiem 1915, są z punktu widzenia interpretacyjnego cenniejsze od nagrań późniejszych. Jednakże i tutaj trafiamy na drastyczne wyjątki, świadczące raz jeszcze o roli jaką musiała odgrywać w grze Paderewskiego chwilowa dyspozycja psychiczna. A teraz charakterystyka jego nowej płyty LP w porządku chronologicznym :

Przyjemne wrażenia dźwiękowe odbieramy z *Warum?* Schumann, nagrany w roku 1912. Dwa mistrzowsko wykonane utwory Couperina (nagr. 1914) potwierdzają całkowicie mit Paderewskiego. Wręcz odwrotny sąd chciałoby się wydać o interpretacji *Walca Cis moll* Chopina nagrałego zaledwie trzy lata później. Rytmiczne odchylenia są tutaj tak poważne, że gdybyśmy usiłowali odtworzyć nowy manuskrypt na podstawie płyty Paderewskiego, otrzymalibyśmy wersję mało podobną do oryginału (np. ostatnia gamka w części oznaczonej *più mosso*). Przykładem trzeźwiejszej dyscypliny muzycznej jest płyta *La Leggera* Liszta (1923), którą Paderewski zakańcza mało znaną miniaturką kadencję Leszetyckiego, raz jeszcze nagrałą tylko przez Moiseiewicza. Dalej : *Rewolucyjna Etiuda* Chopina, nagrana przez Paderewskiego w roku 1928 nie może służyć za wzór dzisiejszym wirtuozom, gdyż, poza ogólnymi niedociągnięciami, zawiera szereg fałszywych nut zagłuszonych hałaśliwym pedałem. Także do *Etiudy na Czarnych Klawiszach* przedostało się parę klawiszy białych. Dramatyczne kolumnacyjne punkty utraciły tutaj swoją moc z powodu ograniczonej swobody technicznej pianisty. Płyta ta może służyć przykładem do jakiego stopnia techniczna niedoskonałość i manieryzmy mogą sparaliżować twórczą koncepcję artysty. Interpretacyjne koncepty Paderewskiego znalazły wdzięczniejsze pole w nowocześnie potraktowanych *Minstrels* Debussy'ego (1930). Natomiast utrwalone przez Paderewskiego *Adagio z Sonata Księżycowej* Beethovena (1936) nie wytrzymuje żadnej krytyki, choć cieszyło się namiętą popularnością i mimo dużej wadliwości wykonania przetrwało dłuższy czas jako „best seller”.

W powyższej serii LP pominięto jednak kilka cenniejszych nagrań Paderewskiego. Wersja chopinowska *Mazurka A moll Op. 17* ukazałaby artystę w najpochlebniejszym świetle. Utwór

ten Paderewski nagrał dwukrotnie (w roku 1911 i 1923) z małymi różnicami interpretacyjnymi, oba razy imponująco. Do wartościowych zaliczają się również jego *wczesne* nagrania *Życzenia* Chopina w układzie Liszta, lisztowska *La Campanella* (1912), oraz *Wariacje* Hayda (1936). Nieobecność tych utworów na nowej LP firma RCA tłumaczy zaginięciem matryc. Nieco trudniej daje się wytłumaczyć okoliczność zaniedbana przez RCA zapasowego kompletu fabrycznych płyt, z których można przepisywać artystów na taśmę.

Pomimo wymienionych braków, nowa płyta z Paderewskim jest cenną pożyczką w zbiorze gramofonowych dokumentacji. O ile większość zrekonstruowanych płyt Paderewskiego stanowi opłakany widok jego pianistyki i tylko kilka z nich może świadczyć o wysokiej klasie jego gry, o tyle wspomniane poprzednio dwa utwory Couperina stanowią po prostu rewelację. Zwłaszcza jeden z nich, *Le Carillon de Cythre* zamieniony został pod palcami Paderewskiego w stylistyczną mozaikę. Nerwowy pośpiech i manierę zastąpiła techniczna precyzja i koordynacja. Czarująca ornamentacja jest wykonywana dźwiękiem o fletowej intonacji. Instrument brzmi łagodnie i pięknie. Ton Paderewskiego osiąga tutaj niezwykle czystą, krystaliczną barwę rzadko spotykaną nawet na płytach nagranych ulepszoną metodą elektryczną.

Po niespodziewanych wrażeniach (Couperin) rodzą się refleksje. Taka koncepcja *Le Carillon de Cythre* dopuszcza myśl, że Paderewski — wbrew przyjętemu mniemaniu — był najbardziej „sobą” w utworach klasycznych. Kompetentność jego w tych rejonach nie może być dziełem przypadku. Niewątpliwie bardzo się tu przyczyniło umiarkowane *rubato* jakie Paderewski wystylizował dla muzyki Renesansu. A co najważniejsze — Couperin Paderewskiego zmusza nas do zastanowienia się jak niebezpiecznie jest wyciągać ostateczne wnioski na podstawie niewyczerpującej ewidencji artysty. Jest to odpowiedni moment aby sobie uświadomić że nawet swoje najwcześniejsze i najprzedszytniejsze płyty Paderewski nagrał przekroczywszy lat 50. Inne interpretacje „młodszego Paderewskiego” mogły być (i prawdopodobnie były) równie imponujące. I możliwe, że jego kreacje które najbardziej zasługiwały na uznanie są właśnie tymi, które dla nas pozostaną na zawsze nieznane.

Niemniej, *Le Carillon de Cythre* uchyla nieco Kurtynę Przyszłości. Dlatego możemy być wdzięczni że RCA udostępniło nam ten przedziwnie sprzeczny koncert Paderewskiego na płycie. Dodajmy, że RCA doskonale się wywiązało z zadania transmutacji szumiących płyt dawnego typu na mniej szumiącą płytę typu nowego. Możemy się spodziewać, że RCA powtórzy swój eksperyment z Paderewskim i udostępni studentom, artystom i melomanom pozostałe ciekawsze kreacje Mistrza.

Jan HOLCMAN

Powyższy artykuł ukazał się w języku angielskim w piśmie „High Fidelity” w Stanach Zjednoczonych.

Conrad a...

MINIATURY PORÓWNAWCZE

Mówić o polskości dzieł Conrada jest dziś już niemal truizmem. A jednak zagadnienie, co w twórczości tego pisarza, w jej treści, nastroju i formie, jest pierwotnie polskie, a co nabyte od obcych — pozostaje wciąż jeszcze otwarte i niedostatecznie zgłębione.

Myślę że w rozjaśnieniu tej sprawy szczególnie owocna może być droga analogii. Kilka porównawczych miniatur, które poniżej daję — choć tylko rzuty reflektora po rozległym polu zagadnienia — usiłuje właśnie ukazać, jak wiele wspólnych z innymi polskimi pisarzami pierwiastków zawierała międzynarodowa sztuka Conrada.

Wybrałem tutaj trzy nazwiska: Malczewskiego, Fredry i Żeromskiego, by wysledzić u Conrada nie tyle wpływy, ile, co znacznie ważniejsze, podobieństwa, jakie wyływały z tożsamości temperamentu i tradycji.

Oczywiście i o wpływach można tu i ówdzie pomyśleć. Conrad do 17-go roku życia karmił się do zachłyśnięcia literaturą swego kraju, a i w latach dojrzałych utrzymywał z nią kontakt, jakkolwiek luźny i przerywany. Samo śledzenie wpływów nie wydaje mi się jednak ważne. Wpływy w literaturze interesują mnie bardziej jako znak duchowego pokrewieństwa, niż jako pożyczka, o którą warto by się spierać czy upominać.

...MALCZEWSKI

Nie trzeba zbytniej domyślności, by postawić tezę, że psychiczną postawę Conrada — ostatniego wielkiego romantyka europejskiej powieści, który w swoim „Lordzie Jimie” ukuł nawet termin o „romantycznym poczuciu rzeczywistości” — musiała ukształtować w wybitnym stopniu poezja naszych wielkich romantyków. Sam Conrad wymieniał Mickiewicza i Słowackiego jako poetów swojej młodości, a na temat wpływu Mickiewicza na Conrada nieraz już pisano. Wydaje mi się jednak, że może nie ma bardziej przekonującego przykładu pokrewieństwa sztuki Conrada z duchem polskiego romantyzmu nad „Marię” Malczewskiego, chociaż o ile mi wiadomo nikt z conradystów nie zwrócił dotychczas uwagi na poemat Malczewskiego.

„Maria” to jakby odpowiednik manieri Conrada w poezji. Gdyby ta smętna i złorzecząca życiu opowieść ukraińska była

pisana prozą, moglibyśmy, mimo różnicy epok, mieć chwilami wrażenie, że czytamy jakiś nieznany utwór samego Conrada.

Już sam temat: podstęp, zdrada i obraz czulego stosunku ojca do córki — są typowo conradowskie. A coś dopiero nastrój: ów niezapomniany nastrój „Marii”, rozczarowania życiem i beznadziejnej nad nim zadumy, wyrażany raz po raz w pesymistycznych refrenach, ów ucisk serca, wietrzący zarodek nieszczęścia w każdym przelotnym szczęściu! Dodajmy, że właściwości wyobraźni poetyckiej Malczewskiego, przede wszystkim zaś identyfikowania uczuć człowieka z nastrojami przyrody, przypominają ściśle sposoby artystyczne, spotykane w utworach Conrada.

Miniatury: taką sobie tym razem zakreśliłem miarę. Celem moim jest podać możliwie dużą ilość elementów na możliwie małej przestrzeni, by tą drogą natarczywiej zwrócić uwagę na ich uderzające związki. Nie mogę więc rozwódzić się szerzej, ani, co ważniejsze, cytować. Cały materiał dowodowy czytelnik znajdzie na pewno sam, jeśli weźmie do ręki „Marię”, równocześnie z jakąś powieścią Conrada.

Trudno oczywiście ocenić, w jakim stopniu idzie tu o bezpośredni wpływ „Marii” na wyobraźnię Conrada. Nie jest wcale nieprawdopodobne, że właśnie ta „ukraińska opowieść” uderzyła za młodu ze szczególną siłą wyobraźnię pisarza, zrodzonego również na stepach „bujnej Ukrainy” i niezwykle czulego na jej urok (jak świadczy choćby jego niedokończona powieść „Siostry”); poza tym nieszczęścia młodości: zesłanie i choroba ojca, śmierć matki na wygnaniu — mogły specjalnie uczulić duszę młodego Conrada na pesymistyczny ton poematu Malczewskiego. Jeżeli by jednak przyjąć nawet, że Conrad nie znał „Marii” lub zupełnie o niej zapomniał — jakkolwiek nie wydaje się to prawdopodobne — identyczność nastroju, postawy życiowej, środków artystycznych, są tak uderzające, że wskazują wyraźnie na identyczność rodowodu psychicznego, na to, że Conrad wywodził już z ukraińskich kresów część swego nieuleczalnego smutku życia.

...FREDRO

Jeżeli obok Malczewskiego wybrałem Fredrę jako inny przykład polskich koligacji artystycznych Conrada, to dlatego przede wszystkim, że Fredro jest od autora „Marii” tak odmienny — rzekłbym, przeciwny biegun sarmackiego ducha. Jakże polski bowiem musiał być Conrad w całej swej duchowej rozpiętości, jeśli odbijają się w nim równocześnie oba te bieguny.

Zastosujmy podobną metodę jak przy poemacie Malczewskiego — czytając na przemian pamiętniki Fredry „Trzy po trzy” i Conrada „Ze wspomnień”. Zależność ich narzuci się od razu — rozumie się nie zależność tych obu dzieł od siebie (co można wykluczyć) lecz od wspólnego pnia. I znowu podobnie

jak w wypadku „Marii” cechuje wspominkowe utwory Conrada i Fredry zadziwiająco zbliżona postawa psychiczna, chociaż jak zaznaczyłem wyżej, w niczym nie przypominająca „Marii”. U obu pisarzy spotykamy to samo charakterystyczne połączenie ironizującego i równocześnie uczuciowego stosunku do świata, jak i do własnych przeżyć. U obu otamowanie i niemal wstydlivość sentymentu, który tylko niekiedy wyładowuje się w niespodziewanych wybuchach. U obu podobne urzeczzenie epoką napoleońską. Najbardziej jednak uderza podobieństwo formalne. Toż wszystkie elementy artystycznej manieri Conrada: jego swoiste igranie z czasem, kołowanie w krąg obranych wątków, niespieszną swobodę opowiadania, całą sobiepańską dowolność i bezceremonialność narracji — można znaleźć również w pamiętnikach Fredry.

Prof. Borowy próbował wywieźć ów specyficzny ton gawędy fredrowskiej z „Sentymentalnej podróży” angielskiego Sterne’a, a były również próby wykazania wpływu Sterne’a na maniérę Conrada. Po co jednak szukać daleko, gdy ma się blisko? Przecież ten zdumiewająco podobny fredrowsko-conradowski zespół to są typowe cechy polskiej gawędy szlacheckiej, którą tak specyficznie ukształtowały nasza gadatliwość, skłonność do samochwalby, indywidualizm oraz niesforna, nie licząca się z porządkiem czasu ani treści, fantazja. Kto by miał wątpliwości co do powyższego rodowodu, niech dorzuci jeszcze do porównawczej lektury „Pamiętki Soplicy” Rzewuskiego.

Rzecz to pewna: bez polskiego temperamentu, bez długiej tradycji gawędzenia po szlacheckich dworach — nie byłoby Rzewuskiego, nie byłoby pamiętników Fredry, a może nie byłoby również swoistej manieri Conrada.

...ŻEROMSKI

Conrad w swoich prywatnych wypowiedziach nie okazywał zbyt wielkiego zachwytu dla dzieł Żeromskiego. Pisze on tak w liście do swojego przyjaciela Garnetta: „Właśnie przeczytałem powieść Żeromskiego „Dzieje grzechu”. Cała rzecz jest nieprzyjemna a często niezrozumiała psychologicznie. Często bywa bez potrzeby okrutna. Drugie jego dzieło to wielka machina historyczna „Popioły”. Obie rzeczy mają oczywiście w sobie pewną wielkość — wielkość dzikiego krajobrazu — i obie zbyt mało liczą na tolerancję i wytrzymałość czytelnika”. Nawzajem i Żeromski, mimo tego że wprowadził Conrada do polskiej literatury i pisał mu bardzo pochlebne przedmowy, nie gustował ponoć w utworach swego wielkiego rodaka. A jednak właśnie analogie między twórczością tych dwu synów jednego narodu i tej samej epoki (dzieliło ich zaledwie siedem lat wieku) są może najciekawszym i najbardziej pobudzającym myśl zjawiskiem, na jakie natykamy się w poszukiwaniu polskich powinowactw Conrada.

W polskiej naturze nie ma wrodzonej skłonności do pesy-

mistycznego widzenia życia i nie jest to ton spotykany często u naszych pisarzy. Ale bywa, że u niektórych jednostek i w niektórych okresach dziejowych cała radość polska przerzuca się w rozczarowanie, w nieuleczalny smutek. Widzieliśmy to już u Malczewskiego. Conrad i Żeromski to dalsze przykłady.

Łączą tych obu dwie przede wszystkim rzeczy: podobny typ uczuciowości, nad miarę wrażliwej i reagującej głęboko na uciśki życia i to, że obaj byli dziećmi pokolenia, wzrastającego w tragicznym cieniu klęski 1863 roku. Pokolenie poprzednie, które przeżyło powstanie osobiście, zareagowało pozytywistycznym otrzeźwieniem. Inaczej pogrobowcy: ci stali się dziedzicami jego romantycznego szaleństwa i straceńczego uporu.

Może całą postawę psychiczną obu pisarzy dałoby się w zarodku wywieść z tamtego ciemnego okresu: ich smutek życiowy i przekonanie o triumfie zła na tym świecie, ich bohaterski pesymizm, nakazujący walkę o dobro bez żadnej nadziei zwycięstwa; wreszcie, tak znamienne dla obu przeczulenie sumień, nieustanny zatarg wewnętrzny między niezłomną wiernością straconej sprawie a wołaniem młodego życia, które w cieniu grobów wydawało się tym bardziej kuszące. U Conrada rozdarcie to zostało jeszcze pogłębione — aż do granic obsesji — poczuciem własnej winy, opuszczenia kraju, niemal zdrady.

Toteż bohaterowie zarówno Conrada jak Żeromskiego niemal zawsze są zawieszani pomiędzy jakimś szczęściem i jakimś obowiązkiem — u pierwszego jakże często zdradzonym, u drugiego bezlitośnie zwycięskim.

I może dlatego, że trzeba jej się wyrzec, uroda życia ma dla obu pisarzy taki urzekający blask. Literatura świata posiada niewiele pochwał jej równie doskonałych, jak „Młodość” Conrada i opis pogodnej Nawłoci w „Przedwiośni”.

Ale człowiek, któremu zły los i surowość własnego sumienia nie pozwalają być szczęśliwym, nie znosi zbyt długo widoku szczęścia. Conrad zarzucał Żeromskiemu niepotrzebne okrucieństwo, niepomny jak bezlitosna była jego własna wizja życia. Każe on przecież z równą pasją jak Żeromski, płacić swoim bohaterom za każde szczęście utratą lub śmiercią. Jakież beznadziejne, okrutne i... bliźniaczo podobne, są zakończenia większości utworów obydwóch pisarzy, gdzie człowiek zazwyczaj albo ginie bez sensu, albo zostaje na progu dalszego życia bez szczęścia, bez nadziei i tylko z ciężarem obowiązku, który trzeba pełnić do końca.

Analogie, aż do zadziwiająco drobnych, można by snuć jeszcze długo. A więc: brak zaufania do człowieka, do jego moralnej wytrzymałości i ucieczka w romantyczne marzenia o niezłomnych rycerzach ideału — Nienaskich czy Lingardach; żywiołowa nienawiść do Rosji a zarazem urzeczenie jej zagadką; czułość na ludzką krzywdę (u Conrada krzywdę uciśnionych ras, u Żeromskiego klas społecznych); fanatyczny kult patriotyzmu (u Conrada patrz „Książę Roman”).

To były wątki. A forma, Zdawałoby się, że między opowaniem Conrada a liryczną rozlewnością Żeromskiego nie ma pomostu. Wystarczy jednak poczytać na przemian kilka ustępów z dzieł obu pisarzy, by stwierdzić jak zadziwiająco podobnie brzmi ich fraza w swej muzykalności, rytmie i szlachetnym patosie — prawdziwie jak gdyby słuchało się jednakowej melodii w różnych nagraniach. Jeśli dodać do tego ogromną rolę przyrody w utworach obu pisarzy, otrzymamy tyle zbliżeń artystycznego wyrazu, że można go wywieść chyba tylko z zasadniczego podobieństwa temperamentów.

Wszystko to są grube skróty, ale skrót ujawnia często lepiej prawdę, aniżeli subtelne analizy. Trzeba właśnie z lotu ptaka spojrzeć na tych dwóch wychowanków jednej epoki, ażeby zatracić się dla oka różnice, nieraz bardzo jaskrawe, a wystąpiły rysy wspólne. Oczywiście, gdybyśmy mogli jeszcze odjąć Conradowi dyscyplinę myśli i formy — rezultat szkoły Zachodu — wspólność rysów wystąpiłaby znacznie wyraźniej.

Mimowoli narzuca się pytanie: na kogo wyrósłby Conrad, gdyby nie był opuścił kraju, jeśliby nie miał za sobą doświadczeń życia na szerokim świecie i dorobku duchowego wielu narodów? Może mielibyśmy po prostu innego Żeromskiego.

Zapewne — Conrad przerastał Żeromskiego głębią i szerokością umysłu. Lecz kto zdoła orzec, w jakim stopniu jego umysł rozrósł się właśnie na skutek wyjścia z polskiego zaścianka? I tak samo musiało być z całą treścią psychiczną. Długie życie poza krajem przetwarzało w inny kształt to, co można by nazwać Żeromskim w Conradzie — życie na morzu i na lądzie, obce ludy, rozliczne cywilizacje. Wszystko to jednak było może tylko tym ostatnim dotknięciem dłuta, które czyni z posągu utalentowanego rzeźbiarza dzieło geniuszu.

Conrad swym „Sześciu opowiadaniom” dobrał motto: „Les trois petits figurés font, font, font, ses trois petits pas et puis s'en vont”. Przypomniało mi się ono mimowoli teraz, gdy żegnam się z tymi miniaturkami. Tak właśnie, na krótką chwilę i tylko w najogólniejszym zarysie, ukazali się na tych kartach: Malczewski, Fredro, Żeromski.

A jednak nawet to miniaturowe i tak bardzo pobieżne przyrządzenie twórczości Conrada do polskich wzorów ujawnia chyba dość wyraźnie, jak wiele zasadniczych elementów ducha i sztuki conradowskiej tkwiło korzeniami w polskim podłożu. Jeżeli by stosunek ten wyrazić obrazem, można by powiedzieć, że udział polskiego metalu w conradowskim stopie był niezwykle wysoki, był na pewno przeważający. Polska dała światu w osobie Conrada nie tylko międzynarodowego pisarza — dała swoją własną duszę.

Przeciw świerszczom...

Przedemną pióro, blok, książka Ewy Wodzikiej o powstaniu i... recenzja do napisania. Trochę dalej oparte o pień sosny siekiera i piła. Nie można dłużej zwlekać — zamykam oczy i z determinacją brnę w ruiny powstańczej Warszawy, a tam bomby i granatniki, a łączniczka Ewa idzie i idzie z meldunkiem a domy płoną i kikuty pomników wołają o pomstę... br, br, br... szybko zawracam. Potem już wszystko układa się samo: odkładam pióro, biorę siekierę i w las przed siebie idę rąbać drzewo na opał. Z tą recenzją poczekam, może na deszcz? Życ poza czasem jest łatwiej w dzień bezbarwny, deszczowy.



Kłopoty recenzyjne zaczęły się od listu Henerta. Pisz:

„Moja droga, w załączeniu książka Wodzikiej. Napisz jak najszybciej omówienie, byłaś z nią i wiesz najlepiej jak i co.

Twoja „Ostatnia defilada” martwa i nieprzekonywująca, ale poszła, bo temat zawsze aktualny” (był to opis wymarszu powstańców do niewoli). „Szkoda, że o TAMTYCH sprawach nie potrafisz już pisać jak o tych Twoich świerkach, z pasją i ogniem. To co piszesz w liście o rawdawskiej okolicy — bardzo ciekawe, ale temat nikły nie wykraczający poza ramy prywatne podwórka wrażeń. Tracisz poczucie ważności. A nie zrób, przypadkiem, z tej kanadyjskiej sielanki artykułu, gdyż uprzedzam lojalnie — nie wydrukuję. Wiesz jak dbam o linię pisma...” itd. W P.S. dorzucił: „Tylko z tą recenzją nie nawal, jak z wigilią”.

Chodziło wtedy o opowiadanie wigilijne z roku 1944 z obozu niemieckiego dla kobiet-powstańców, zamówione przez Henerta przed świętami 1954 roku. Miałam nawet dobre chęci ale świąteczność była w powietrzu i ciągle jej przybywało i śnieg padał i skrzył inaczej, bez powiązań z tamtym śniegiem, oberlandzkim. Śnieg padał i padał... wspomnień było coraz mniej a śniegu coraz więcej. Odpisałam że przepraszam, ale z zamówienia wywiązać się nie mogę bo „sam rozumiesz — zima tego roku wyjątkowo mroźna i śnieżna”. To wyglądało na żart, Henert się obraził.



Kłuję nabrzmiałą skórę świerka i balsamiczna ciecz tryska na palce, ścieka strugami po napiętej korze drzewa. W gałęziach jazgoczą chipmunk'i: pac, pac lecą na mech szyszki. Wielkie,

zielone. Las się śmieje, las żyje. Gwiżdżą wyniosłe cykady, grają świerszcze. Pod krokwiemi domu, w krzakach, na drzewach, w pożółklej trawie, w rozłożystych paprociach, w malwach i astrach, gdzie staniesz, gdzie pójdziesz — świerszcze.

Ah, te świerszcze ze wspomnień i z naszej polskiej rzeczywistości, świerszcze z pól pachnących miętą, z jabłonowych sadów, spod słomianej strzechy — jakżeż to romantyczne. I zaraz łączy i wierzba rosochata i pióropusz granatnika nad nią i wojna, wojna...

Terkot cykad wchłania wczorajsze echa i głosi świerszczom na przekór, że dzień dzisiejszy nie jest dniem wczorajszym, ani żadnym innym w czasie i przestrzeni, że „Jutro” jest bliższe niż „Wczoraj”, że za prawo do dnia dzisiejszego umrze cykada jak Polak za Ojczyznę.

Gdzieś w południe — drzewo było zwiezione, a jakże — zasiadłem z książką w hamaku. Słońce spływało po świerkach niżej i niżej. Czytałam. „Zjadłbym placka z kawą, już czwarta” — zawołał Olek. Właśnie kończyłam Jasieńczyka „Słowo o bitwie”. Odkładając książkę z uczuciem, jakby to powiedzieć, oszłomienia... odruchowo sięgnęłam po notes, w którym od lat spisuję lekturę. Ot, taki śmieszny pensjonarski zwyczaj, u Matki Salezji nieboszczki podpatrzony. W rubryce „Literatura emigracji” są następujące pozycje: „Ślad bosej nogi”, „Sprawa Józefa Mosta”, „W imieniu Rzeczypospolitej”, „W imieniu Kremła”, „Ofiara”, „Droga do Nikad”, „Karierowicz”, „Czasy wojny”, „O żołnierzu ciulaczu”, „Listy gen. Sikorskiego”. Czytam a tytuły układają się kompozycyjnie w jakąś całość o niepokojącej treści: wojna, o wojnie, przed wojną, na wojnie, po wojnie, o wojno, wojenko cóżes ty za pani?

Zamyśliłam się głęboko. Po czym do męża:

— Olek, czy oni aby nie przesadzają żdziebko z tą wojną? — zagaiłam intelektualnie. Na co Olek:

— Poczytaj sobie Simenona i rzuć w kąten ojczyzniany wałek. Chorzy ludzie, ot, co jest. Daj lepiej kawę.

Rozmowa się urwała. Cóż, Olek lubi proste sformułowania. Muszę to obgadać z Jabłonowskim. Ale mu powiem, ale mu powiem... Niech wie... Zacznę tak sobie: „Czy zna pan, panie Janie, ten trójwiersz Bogdana Czaykowskiego:

*Polacy? to ludzi grupa
co wiecznie niesie trumnę
zamiast pochować trupa.*



— Dlaczego piszę o Tamtym? Widzi pani... Trudno zrezygnować z bogactwa tematów naszej wojennej przeszłości na korzyść dzisiejszej szarzyzny. Dysproporcja jest wielka, zbyt wielka pokusa. Dla pani czasy wojny są koszmarem, o którym należy zapomnieć. Dla nas, piszących, usunięciem za-

słony znad tajemnicy bytu, rewelacją natury ludzkiej. Bez zakłamań, upiększeń, bez mrówczych problemów i chomikowych ambicji człowiek ukazuje się nagi wobec...

— ...epoki, panie Janie, zgadłam co? Wobec bywszej epoki? — chichotałam, gasząc ze złością papierosa o pień sosny. Zapachniało żywicą. Rozmowy z Janem-Stanisławem Jabłonowskim — z sąsiedzkich pogwarków a to korniki, a to, panie, susza — z reguły przechodzą w zapalczywe dyskusje, kończą się na kłótniach, które są i formą i treścią naszej przyjaźni.

— Rozumiem — Jabłonowski cedzi słowa zwolna, po swojemu wlokąc długie zdania — wyciąga mnie pani za uszy z tamtych spraw, minionych. Tak, tak, przedstawcie starego Jabłonowskiego w czasie. Niech zaakceptuje wasz rytm groszorobów i ten obcy kraj bezgłowych tułubów za swój uzna. Niech będzie waszym bardem i dziejopisem spraw nieważnych.

Spraw nieważnych?... Henert napisał: „temat nikły”. A cóż jest ważne? Cienie?

Kościół, magistrat, kino i dwie knajpy — co pozwala żyć jednym, górskie siklawy, rzeczki porośnięte wikliną, świerki na stokach i sosny na piaskach — co uszczęśliwia innych. Ściągają do Rawdawy Polacy, osiadają, budują. Na 13-ej avenue osiadł „we brzoźowym gaju” Jabłonowski z rodziną, na 14-ej pobudowali się Zwolińscy i Łekowie, Barczowie, Kilińscy i my na 16-ej, nad Czarnym Okiem zawiesił swój dom Chłapowski. I tak dalej, i tak dalej. Tworzy się zwolna i zabudowuje społeczność zamaszysta, dynamiczna, różnoraka, o ludziach jakby żywcem zbiegłych z kartek nienapisanej powieści.

Ale ten świat, w którym Jabłonowski żyje od lat dziesięciu jest nieważny, bo jest... Pomówimy o nim za lat pięćdziesiąt w czasie przeszłym dokonanym, gdzie będzie wspomnieniem. Po czym bez związku:

— Czy nie zechciałby pan omówić książki Wodzickiej o powstaniu? To nowość księgarska.

— Przecież nie byłem w powstaniu.

— Cóż z tego, wywoływać widma — to przecież pańska specjalność, panie Janie. A mnie ta robota recenzyjna idzie jak z kamienia. Niech pan napisze, proszę, a ja... a ja... — coraz bardziej rozgrzewałam się w ataku — a ja napiszę o tej szarzyźnie, w której pan tkwi po uszy, żeby pan wiedział. O domku budowanym własnymi rękami, o brzozach przed gankiem, o uczennicach rawdawskiego college'u gdzie pan wyklada od lat ośmiu, o wnuczce i jej angielskiej polszczyźnie, o tym jak się pyta czy Piłsudski był „king” czy „martyr”, o tym jak tępiąc korniki na kanadyjskich sosnach pisze pan powieść — z pierwszej wojny światowej. Że pan cykad nie słyszy a płacze pod świerszcze, o panu Jabłonowskim Pisarzu-Który-Nie-Nadaża, żeby pan wiedział, napiszę wszystko.

Minął tydzień.

Pan Jabłonowski podlewa kwiaty. Woda z hydrantu cieknie wolnym, leniwym strumieniem.

— Nie ma ciśnienia — zagał pojednawczo. — Jeżeli upały przetrwają jeszcze tydzień... Et, nie ma to jednak jak konewka i własna studnia.

— Cóż, za chomikowe 600 dolarów może pan mieć i z żurawiem.

Słomkowy kapelusz szybko zawirował w moją stronę :

— Co się znowu stało? Za pozwoleniem, zła pani jak osa.

— Zła? Można to i tak ująć. Chcę z panem pomówić o tym... no... — słowo wyprysło siarczyście.

— O kim, proszę?

— Przecież mówię, o Stenerze. Poznał go pan wczoraj. Ten wysoki, ze szramą na twarzy, wie pan? Świetnie, ale usiądźmy, bo to dłuższa historia. I niech pan słucha? Więc Stener był u nas dwa dni. Oczywiście zachwyty nad Rawdawą i ludźmi. Niedzielę spędzamy nad wodospadami, gadamy to owo, dyskutujemy. Wieczorem mówi do mnie: „Jestem pod wrażeniem, chyba coś napiszę”. „Ucieszyłam się i pytam: „Jak to ujmiesz, reportażowo?” Stener jest korespondentem pism angielskich, to tegie pióro. A on na to: „Nie, wiesz, tu chodzi o pewne asocjacje. Famiętasz ruiny na rogu Mokotowskiej i Placu Zbawiciela i ten granatnik? O mały włos a byłaby z nas sałata. Gdy dziś stałaś na skale, to huk wodospadów i kamienie spadające z urwiska nasunęły mi pomysł opowiadania”.

Machnęłam ręką: „Daj ci Boże zdrowie. A poślij Henertowi”.

— Pan rozumie — nacieram z kolei na Jabłonowskiego — obsunięcie się kamieni w potok w roku 1956 ma dla Polaków tylko jeden kierunek skojarzeń myślowych: bomby, granatniki, „krowy”, bitwa taka lub owaka, lot na Berlin, ogień zaporowy pod Gazalą, Monte Cassino, powstanie warszawskie, styczniowe, listopadowe i z powrotem do bojów legionowych. A wie pan co będzie w powiastce Stenera? Baj, baj o tym jak łączniczka, śmiertelnie trafiona odłamkiem granatnika, zsuwa się z rumowiska. Co jest — nota bene — nieprawdą, gdyż ów granatnik grzmotnął w wyłom domu, z rumowiska zsunął się plecak a ja żyję. Mniejsza z tym. Chodzi o sam fakt, że polskiemu pisarzowi łatwiej jest uzyskać prawdę artystyczną tworząc w dekoracji tragiczno-historycznej niż na tle współczesnych mu realiów. Proszę, co pan myśli o tej anomalii?

— Niiiic — powiedział przeciągle.

— Ta dekoracja, całe to wasze pisarstwo ma coś z Matejki i Grottgiera. Obrazowość i gadulstwo. Szukanie efektów i sytuacji, które by *mówiły*. Działanie na wyobraźnię, na tanie sentymenty. Dlaczego przy tych dyspozycjach narodowych nie mamy po prostu dobrej literatury kryminalnej, a tylko tromtadracje ojczyzniano-dydaktyczne? Żeby pan wiedział: Jasieńczyk jest ofiarą polszczyzny. Urodzony we Francji — byłby Simenonem,

będąc Polakiem — pisze „Słowo o bitwie”. Ot, do czego doprowadzacie. A Stener? Obsesja, przed którą nie ma ucieczki.

Ponieważ już jesteśmy przy literaturze... Może pan mi wytłumaczy dlaczego sam fakt wzięcia do ręki książki polskiej, emigracyjnej więc najbliższej, automatycznie wyłącza z epoki, przynosi w nieaktualność, w zamierzchłość?

Kobiety dyskutują według utartych wzorów. Wszystko cacy, cacy, niby bardzo intelektualne osoby, ale przy pierwszej okazji przechodzą do spraw i żalów osobistych. Bo pył i omszałość, które wraz z polskim słowem wchłaniam od lat dziesięciu, to nie jest taki sobie temat do eseju, a sprawa prywatna, intymna, która tak dokuczyła, że tylko brać kij i walić.

— Pan nie odpowiada? A może ja spróbuje własnymi słowami to wytłumaczyć? Po prostu, coś trzeszczy w waszym mechanizmie twórczości, żeby pan wiedział. Mówi pan, że jak ulegalka, wizja musi „się uleżeć”, odczekać, obrosnąć w perspektywę, sfermentować itd. A jaki z tego skutek? Że w roku 1956, zamiast problemów chwili, rozważam te sprzed lat dwudziestu, że mi pan X przekazuje *dziś* filozofię życia na rok Pański 1944, ale jak myśleć, co robić, jak reagować w roku 1956 — o tym ani słowa. O problematyce współczesnej pomówimy za lat kilkadziesiąt, gdy... sfermentuje. Piszecie artykuły, rozprawki — bardzo pięknie, ale Polacy w świecie i kraju czekają na artystyczną wizję epoki, na powieść z nerwem współczesności. Na powieść, właśnie na powieść. Egzystencjonalizm rozprzestrzeniły nie sartrowskie rozprawki, a teatr i powieść; procesy moskiewskie świat widzi poprzez „Darkness at noon” Koestlera; na stosunek Ameryki do Chin wpłynął sentymentalizm Pearl Buck. Powieści, proszę pana, to są wszystko powieści.

Jabłonowski siedzi bez ruchu, wciśnięty w fotel. Nieodstępny kapelusz zsunął się na ziemię. Komar przeszedł przez policzki i nos, przysiadł na czaszce.

— Co tu dużo gadać. Może i wy nie wiele wiecie? Może po prostu nic nie macie do powiedzenia? Żadnej nowej treści do przekazania? Stąd te bajki o latach niegdysiejszych, o dobrych wojakach, o powstańcach i pannie Meli z pańskiego „Romansu pradziadka”. Śmiech i płacz. Co chcecie osiągnąć karmiąc nas ideałami z epoki minionej? No niech pan powie, co? Czy zamknąć w uświęconej formułce muzealnego Polaka? Ależ Polak nie jest eksponatem, żeby pan wiedział, że nie jest. Jest zjawiskiem w ruchu, podlegającym ewolucji i szukającym dla swego życia nowego wyrazu. Coraz mniej spotyka się monolitów typu wiarusów Księcia Józefa, którymi uparcie zaludniacie waszą literaturę. Jedni zmienili się w formie, inni w treści, jedni przez akumulację nowych wartości, inni przez eliminację dawnych. I — sądząc po literaturze polskiej na emigracji — jedyni Polacy którzy przemianom nie ulegli — to pisarze...

Jabłonowski wciąż milczy. Wiem, przyjdzie jutro z baterią

argumentów, niby to po taczki. I znów będziemy się kłócić.

— Jesteście jak zwariowany motyl, który by mówił o sobie „ja kokon” — urwałam.

Wtedy podniósł głowę:

— Po co to się tak zaraz złościć? — westchnął. — Był zmęczony.



Gdy wychodziłam powiedział wolniutko, po swojemu:

— Co ja to chciałam powiedzieć?... Aha, jak tam posuwa się pani praca o Jabłonowskim-Który-Nie-Nadąży, co?

— Nieżle, żeby pan wiedział. Zbieram materiały. Ale dla czego pan pyta?

Poprawił kapelusz.

— Ot, tak po sąsiedzku... Myślałam sobie, że mógłbym być pani w czymś pomocnym...

Klara SZPAKOWSKA

NAGRODA MŁODYCH

IM. STANISŁAWA STRONSKIEGO



ZOFIA ROMANOWICZ
BAŚKA i BARBARA



Cena egzemplarza frs 500, sh. 10/., dol. 1,50.

Zamówienia prosimy kierować do:

"LIBELLA" - Składnica Książek Polskich

12, rue Saint-Louis-en-l'Ile, Paris 4. (France)

Warunki sprzedaży:

We Francji książkę wysyłamy po wpłacie sumy frs 500 — na nasze konto pocztowe CC Paris 5651-50, lub za zaliczeniem pocztowym — płatne przy odbiorze.

Do Belgii, Włoch, Holandii, Niemiec, Szwecji, Szwajcarii, Luksemburga oraz Austrii, książkę wysyłamy za zaliczeniem pocztowym — płatne przy odbiorze, lub po otrzymaniu należności.

Do innych państw jak USA, Kanada, Brazylia itd., książkę wysyłamy DOPIERO po otrzymaniu należności, którą bez trudu można nam przesłać za pośrednictwem poczty — „international money order” — na nasze konto pocztowe CCP Paris 9709-46 lub czekiem bankowym wystawionym na „Libella”.

NAGRODA DLA KRYTYKA LITERATURY EMIGRACYJNEJ

Zarząd Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie ustanowił, jak w latach poprzednich, nagrodę w wysokości £30.— za działalność krytyczną poświęconą literaturze emigracyjnej w czasie od jesieni 1956 do jesieni 1957 roku. Nagroda zostanie przyznana wraz z innymi nagrodami Związku przed najbliższym dorocznym walnym jego zebraniem w drugiej połowie 1957 roku.

KSIĄŻKA dla WSZYSTKICH

WYDAWNICTWO GRYF PUBLICATIONS W LONDYNIE

169 Battersea Church Rd. London SW.11.



Przedstawicielstwa: W W. Brytanii: B. Świderski, Księgarnia Kombatancka (18 Queens Gate Terrace, London SW 7); we Francji: „Libella” (12, Rue (St. Louis en l’Île, Paris 4); w Stanach Zjednoczonych: Polish American Book Co (1136 Milwaukee Avenue, Chicago 22); w Australii i N. Zelandii: Vistula (Pty) Ltd., (Daking House, Rawson Place, Sydney.

W dniu 15 sierpnia ukążą się w sprzedaży dwie następne książki
SERII PIERWSZEJ KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH

TOM 3, J. URSYN, *Torricola*, powieść sensacyjna (wydana poprzednio po francusku). E

TOM 4, C.D. DEWHURST, *Kontakt bezpośredni*, w przekładzie J.P. Herwartha, z przedmową gen. W. Andersa.

Każda z książek liczy 200-250 stron druku i posiada mocną i ładną oprawę płócienną w artystycznej obwolutie wg. projektu znanego grafika Władysława Szomańskiego. Cena w okresie pierwszych trzech miesięcy od chwili wyjścia z druku każdej książki: w Wielkiej Brytanii: 8 sh. 6 d.; we Francji: fr. fr. 450; w Stanach Zjednoczonych: dol. 1.50, względnie równowartość w innych walutach.

Po trzech miesiącach cena książki zostaje podwyższona i wynosić będzie: 12 sh., fr. fr. 600, dol. 2.00, wzgl. równowartość w inn. wal.

Następne dwa tomy ukążą się w dniu 15 listopada. — Będą to: H. Naglerowej, *ZAWALIDROGA* (powieść obyczajowa) i Sergiusza Piaseckiego *ZAPISKI OFICERA ARMII CZERWONEJ* (szkice satyryczne ozdobione karykaturami). — *Seria rozpoczęła się w dniu 15 maja 1956.* Jej dwa pierwsze tomy są do nabycia po pełnej cenie, to jest sh. 12, fr. fr. 600, dol. 2.00.

Klips

ROZDZIAŁ Z POWIEŚCI (1)

Na Nosie mylnie skalkulowano zamiary Zuckera, ponieważ Zucker nie wypuścił się na koniki. Nie. Miał on na myśli ślub. Ślub leżał w zakresie akcji, ale nie był raptem. Żenił się przyjaciel Rey, który zaprosił Zuckera na uroczystość. Sam ślub odbył się cichcem w kościółku Ojców Palotynów, poślubne miało miejsce w królewskiej rezydencji. Przyjaciel Rey sprzągnął się z Łotyszką, która nie była żaden wyciruch. Nie. Ta Łotyszka, *ciudadana* tutejsza, w zeszłorocznym konkursie piękności wyszła jako Miss Republika i poleciała do Long Bicz, niestety nie zdobyła tytułu Miss Wszechświata, choć Rey i tam ją śrubował, jak tylko mógł. Szelma ładna była, oczy rwała. Na imię miała Ana. Rey, król morskich i powietrznych stref celnych, poszedł na nią *va banque* i dzięki swoim chodom wydarł ją komikowi z filmów meksykańskich i ożenił się z nią. Zucker, obiecawszy na ślubie być, był.

Zucker sporo zawdzięczał Reyowi, a Rey Zuckerowi, ale nie warto wspominać, bo przepadło. Obecnie sam fakt zaprosin miał wagę 18-tu kilatów, jako że przyjaciel Rey był Rotszyld, a Zucker Łazarz; przyjacielowi Reyowi płynęło, Zuckerowi schło; przyjaciel Rey był geniusz, a Zucker idiota. Oczywiście. Bo gdyby sześć lat temu Rey nie orznął Zuckera, tylko Zucker Reya, prawdopodobnie Król by dzisiaj siedział na Nosie, a Zucker by się żenił w horyzontalnym departamencie. Ale co było a nie jest, nie pisze się w rejestr. Tym bardziej kiedy się patrzy na :

... na ludzi skotłowanych jakichś dwustu. Na tłok w królewskiej rezydencji i na wszystkiego bardzo mnóstwo. Na hra-

biów w białych kitlach, którzy w rżniętych szklankach roznoszą trunki. (*Won z takim, co nie zna ceny tego, co chla!*). Wałeczki, kuleczki, krataczki, słoności i eleganckie mikroskopijności europejscy hrabiowie roznosili na papierowych serwetkach także. (*Won z takim, co nie zna ceny tego, co żre!*) Kto nie pił? Wszyscy pili. Kto nie żarł? Wszyscy żarli. Pił i jadł senior minister Obrony Narodowej, orleń urody, i jego małżonka Nenufar, o której negatywnie nigdy się nie zająknęła stołeczna prasa; siorbał i żuł senior staruszek, były Prezydent, wielce wpływowy, o sercu gołębim, ale oklapły, który tyle tylko od życia pragnął, by mu prężne istotki stopy rozgrzewały piersiami; pił, jadł i gadał surowy szef Inwestygacji o angielskim nazwisku Roberts; podobnież czynił adwokat Puig z Koordynacji i Prawodawstwa (którego to Puiga donia Maruja obwijała, jak chciała, dookoła palca); deputowanych z różnych partii było pięciu, z komunistycznym posłem Vásquezem włącznie. Piło i jadło tałałajstwo, jak to kierowcy reyowych kamionów, despaczanty z Cla, pajsany z baru, pociotki z głębokiej prowincji, ci ostatni o rdzawych szyjach, na których kołnierzyki fałdowały się w tubki, a ich kobietom z reguły sterczały biodra i zadki. Wśród gości dwustu panowała demokracja, każdy klepał po plecach kogo chciał, choć beztronnie mówiąc, mało co komu przychodziło ze wzajemnego klepania. Lecz:

Dla smętnych oczu Zuckera centrum stanowił nie Król, nie cudna panna młoda, nie hrabiowie, nie Szeff, nie były Prezydent, nie Nenufar i nie demokracja, tylko puci syn, komisarz Ramón Carballo i jego siostra Melba Carballo de Metz, senatorka. Bo:

Swój własny rodzony z brylantami i rubinami klips, zapłacony w Edynburgu funtów szkockich 150 i przepadły na Cle — Zucker rozpoznał na dzyndzlach siostry puciego syna, Melby senatorki.

Migał ten klips, gdy senatorka puszyła się, a że senatorka puszyła się i puszyła, migał i migał, jak ironia.

Zucker rozjątrzył się, jak za czasów Hitlera. Dopchał się do rodzeństwa i zagadnął, jak im się życie podoba?

Puci Syn spytał, jak się ma pies?

Zucker Synowi rzekł do ucha, iż jest *negocio* do zrobienia, czyli interes.

Zucker był drobny, chłujny, w szklach i tak żwawy, że na przykład Mundo Jajewski do dziś dnia nie wierzył, aby nawet przed wojną był on w stanie zaplombować ząb; z Synem łączyły go więzy, robili ręką w rękę, ale to było dawno, zanim towar wsiąkł na rogatce; po wpadunku ów Syn wsadził go na sześć miesięcy i znęcał się nad nim, ćwicząc boks, a także ubierając go w kaftan i sadzając na siodle (2). Ale co było a nie jest, nie

(2) Z konnej jazdy Zucker kpł uważając Carballa za nieuka, który do piętna nie dorósł gestapowcom, tudzież inwestygatorom ruskim, polskim i argentyńskim.

pisze się w rejestr. Po nieprzyjemnościach robili dalej interesy, raczej drobne, bo co mogą być za interesy, kiedy *zła passa*? Na weselu mieli ochotę kopać się w międzyudzia, nie czynili jednak tego, bo nie miało sensu. Nowy interes polegał na tym, że Zucker przewąchał u Futbolisty, jakoby w najbliższych dniach miał iść transport od granicy do stolicy na ciężarówce, złożony z konserw, z napojów wysokokowych i z przemysłowych diamentów, pokupnych na rynku. Promotorem transportu był ponoć Jacobo, dawny wspólnik Zuckera, łobuz nie wspólnik, który obecnie kombinował z Reyem. Nazwisk i terminów Zucker do ucha nie ujawnił, dopóki Syn nie zaakceptował 50 na 50. Po akceptacji, przywołano europejskiego hrabiego z tacką, no i potoczyła się głośna rozmowa, w której też wzięła udział Siostra.

Zucker rzekł, iż najcenniejszym skarbem jest przyjaźń, przyjaźni nie bij nawet kwiatem.

Syn klepnął Zuckera i rzekł, iż jego przyjaźń jest na serio.

Zucker rzekł, że wobec tego apeluje do przyjaciela, aby ze względu na przyjaźń, przepuścił przez palce załogę ciężarówki, w skład której wejdą Serb Perkowic i Polak Hahewski, też przyjaciele, i też wypompowani przez wojnę.

Na wzmiankę o wojnie, Siostra podjęła problem monstrów. Ofiary monstrów, rzekła ona, gdzie jak gdzie, ale w Republice znajdują serce; Republika zaś, mówiła ona, jest jak Szwajcaria, jako że wolność jest wolność, serce jest serce i dusza jest dusza. Rzekła ona (pijąc do Zuckera), że w okresie likwidacji warszawskiego ghetta łkała jak dziecineczka i, czy, pytała ona, istnieją w przyrodzie szanse na kulturalny postęp ludzkości? — Trudno jej było przerwać, nawet bratu, który kilkakroć chciał, ale nie mógł. *Karacho!*

Przyjaciół Zucker szans w przyrodzie nie widział, ale w ghecie *ausgerechnet* postradał żonkę-konwalijkę, synka lat dziesięć, i metr 20, sfiksowane matczyisko, oraz dziadka z rodu bełskiego, których puff! spalono. Ale co było a nie jest, nie pisze się w rejestr. Tę najmądrzejszą mądrość przetłumaczył rodzeństwu na hiszpański, obserwując, że klips wciąż migał i migał, jak ironia.

Puci syn^k spytał, jak się ma przyjaciel Hahewski i czy na Nosie nie wiadomo czegoś o kogucie?

Na wzmiankę o żywych stworach, Siostra podjęła problem suczki. Slicznej suczki, mądrej suczki, o której cuda słyszała od brata, takiej, takiej! suczki, co to jakoby kąsa policjantów, o ile prawda? — Cze, jak ma na imię suczka, mój braciszku?

— Borakakà.

— Borowiczka — poprawił Zucker i dodał, że pochodzi od grzyba.

— *No me diga.*

— *Si.* Za żelazną kurtyną jest grzyb, niejaki borowik. Rydze w Republice są, ale borowików nie ma. *Nie.* Lat temu kilka żelaznej kurtyny przyplłynął do Rio okręt, na którym kapitan

z marynarzami był na ty i każdy robił co chciał, na tym demokratycznym okręcie polska suka się oszczeniła i miała autentyczne polskie szczenięta. Jeden polski szczeniak przypadł Zuckerowi do serca, dał za niego emaliowany obrazek Matki Boskiej z Fatimy, bo w tym czasie handlował dewocjonaliami dzięki Kurii. Szczeniak okazał się suczką, jednocześnie w prasie brazylijskiej pojawiły się fotografie bomby atomowej w formie grzyba. Od grzyba do borowika, od suczki do Borowiczki. Klaro, czy nie klaro?

Klaro, że klaro. Wesele szło swoim trybem. Panna młoda, cudna Ana, siadała gościom na kolanach, tu przysiadła i tam przysiadła, chociaż żony warczały. Rozwrzeszczała się, szczęściem nie po tutejszemu lecz po niemiecku, że Rey jest mul i że ona takiego męża w klozet wepchnie, deską przycisnie, ja, ja, ja! Śmiał się senior staruszek, śmiał się srogi Szef Inwestycji i deputowany komunistyczny Vazquez, oraz Zucker, ci mianowicie, którzy rozumieli po niemiecku. Rey nie rozumiał, chodził za oblubienicą z kryształem w ręku i, gdziekolwiek przysiadła, dawał jej pić. Za małżeństwem chodził hrabia z tacką, tak we trójkę przerzucali się z miejsca na miejsce, z tłoku w tłok.

W wilgotności weselnej nocy wydzielały się francuskie perfumy, czosnek, oraz pokryjomu wypijana grapita.

Były Prezydent zabawiał proletariat legendą, w jaki sposób on, będąc synem praczki, dostąpił zaszczytu piastowania najwyższego urzędu; słuchacze wiedzieli, że łże, ale się nie spierali, bo nie warto.

Tenże senior staruszek rozczapierzył łapki, jako że cudna Ana jemu z kolei siadła na kolanach. Poklepał ją, lecz nie przesadził, dzięki czemu Rey jej i jemu dał pić z jednej szklanki.

— Za naszą przyjaźń!

— Za naszą wolność i waszą! — poprawiła Melba Carballo de Metz, pijąc ze swojej szklanki.

— Oddaj klips! — rzekł Zucker po polsku.

Siostra zrozumiała klips, ale nie zrozumiała oddaj.

Brat, który w danym momencie przyjaźnił się z adwokatem Puigiem, odwrócił się trzy czwarte i rzekł, iż być może przyjaciel Zucker chce sobie odświeżyć lekcje konnej jazdy. Konie czekają.

Zucker poklepał przyjaciela, ale się spłoszył (3) i odczepił się od rodzeństwa. Po odczepieniu się, rąbnął w ścianę.

Na deseni ściany Zucker ujrzał rzecz, która wyglądała na niemożliwość. Na pluskwę. Pluskwy Zucker znał, ale ujrzana na ścianie pluskwa miała zabarwienie niebieskie. Jak świat światem, nikt nigdy w Europie nie widział pluskwy niebieskiej. Nie. Po medytacji Zucker doszedł do konkluzji, że stracił pojęcie co się na świecie dzieje. Ciekawe, nie?

Patrzcie państwo!: Romualdo Varela, fotograf kompatriotów, robił zdjęcia. Widocznie dał on chwilowo spokój skarbowi

(3) Kto by się nie spłoszył.

na dnie morza i wkręcił się na wesele za pośrednictwem Jacoba. Buchał flaszem, strzelał Leiką spod oka i w ten sposób chwycił na błonę, co ciekawsze. Gdzie panna młoda przysiadła, tam on pstrykał. Szantażysta.

Varela szantażystą był albo nie był, nie w tym rzecz, fakt faktem, że nie miał szczęścia. Zona jego, Francuzka, przed dwoma laty zmarła śmiercią tragiczną i jeden z miejscowych dzienników sformułował aluzję, godzącą wprost w męża. Biedak z aluzji miał prawo bimbać, ale bywało mu przykro i dziś jeszcze, gdy postyszał Marsylianekę, bladł. Nikt go wyraźnie nie ścigał, on zaś lał policji prosto w paszczę, żeby cała Republika widziała, że nikogo nie dusi, tylko pstryka. Surowego szefa Roberta trzykroć pstryknął. Tak!

Zucker, odczepiwszy się od pluskwy, wsunął w kieszeń tyżkę. To wolno. Nam, którzy nic nie wsuwamy, nie wypada łupieżcy wytykać palcem, bo najprawdopodobniej też byśmy łupili, gdyby nam zapewniono bezkarność i admirację. Łupiono drobiazdżki, jako pamiątki i do zastawienia w lombardzie. Intencja była czysta, bo Król na własnym weselu w żadnym wypadku nie zrobiłby denuncji. Biorąc tyżkę, Zucker widział, jak deputowany Vazquez manipulował popielniczką. Puci syn nic nie brał, ale w kieszeniach robił się grubszy i grubszy. Specjalista!

Nenufar, żona ministra, zaczęła Varełę. Ta pani, mimo epizodu na plaży, w kronice socjalnej zajmowała wysokie miejsce i nawet dziwne, że się zjawiła u Króla, bo na przykład deputowani przyszli bez żon. Zaczepiony Varela odłożył Leicę, wyjął pudełko zapalek i siadł przy stoliku. Na marmurowym blacie ułożył z zapalek liczbę 35. Klaro, czy nie klaro?

Komu jasne, komu nie. Dojrzał czas, gdy każdy chciał wiedzieć po co przyszedł. Byle komu nie wystarczy pić i jeść, jeśli byle kto ma pretensje do życia a nie jest specjalnie młody. W tym klimacie, ocieranie się o bogactwo powoduje dreszcze i byle kto, raz, dwa, chciałby innych prześcignąć i wyleźć na szczyty. Byle kto miał coś do ofiarowania, albo do polecenia, czy to w związku z rządem, czy z municipiem, czy z klubem, czy z pokrewieństwem, czy z clem, czy z płcią, czy też w związku z nienaturalnym sposobem życia. Po północy byle kto nastawiał się na sprzedawanie, albo na pośredniczenie, byle kto chciał zarobić i podnieść standard życia. A! Gdybyśmy tam byli, prawdopodobnie teżbyśmy tak robili, bo klimat wpływa. Nikt nie powie, że nie.

Dentysta Zucker dopchał się do fotografa Vareli i rzekł mu po przyjaźni, iż 35 za gram jest zdradą, mniejszym zdradą jest 20.

Varela spojrział, Zucker odstał, nie mając dziś szczęścia do przyjaciół, najwidoczniej.

Po transakcji z Nenufar, Varela zlikwidował zapalki i nawrócił do rzemiosła. Robiąc fotki, nagabywał przyjaźnie adwokata Puiga, od którego wiele zależało, jeśli chodzi o skarby na dnie morza. Marihuana i kokaina, laboratorium i szantaż, nie

zaspakajały varelowych ambicji i starał się Pana Boga chwycić za nogi, najwidoczniej.

Złe by było, gdyby Boga nie było. Bóg był. Cudna Ana wierciła się przy Robertsie, więc Rey odezwał się do Zuckera, błędząc z kryształem: — Ołà, Ignazio, jak chodzi?

Zucker nie stracił głowy i rzekł, iż jest *negocio* do zrobienia, czyli interes.

Król rzekł, iż na własnym weselu nie ma głowy do interesów.

Zucker rzekł, iż głowa nie potrzebna, tylko kapitał.

Król spytał ile?

— Tysiącza.

— Fu!

— Dlaczego fu?

Przepadło. Król dojrzał wolny przestrzał, popchał się z kryształem do żony. Ni fu, ni fa!

Ale Bóg był. Varela, po konferencji z adwokatem Puigiem, nastąpił na pucią siostrę i nawet nie powiedział przepraszam. Arogancja ta mogła się odbić. Zucker podskoczył z odsieczą i naburmuszoną siostrę starał się udobruchać:

— Grzyby — mówił jej — w Europie stanowią hobby, ja pod jesień co niedziela wypuszczałem się z miasteczka do lasu, złożonego z drzew kolczastych i liściastych z mchem, mój synek był taki mądry, że on każdego grzyba znał na wylot, zdrowego odróżniał od trującego, czerwonego od białego, od drzewnego też.

Siostra udobruchała się, ale znudziła się. Rzekła, iż tęsknota za ojczyzną jest dźwignią ludzkości, przykładem jest Einstein, prócz tego serce jest sercem i dusza jest duszą. *Si.*

— Coś nie dobrze, panie Bobrze!

— *Ke?*

— Po polsku znaczy, że jest problem. Pieniądze do życia są niezbędne.

— Klaro, że niezbędne.

— Klips też.

Puci syn spadł z nieba:

— *Ke?*

— Co było a nie jest nie pisze się w rejestr, co było a nie jest nie pisze się w rejestr... *Negocio* stoi?

— Nie ma problemu, stoi. A gażo?

Gażo po tutejszemu kogut. Gażo — Carbażo, Varela — cholera! Zucker rzekł, iż będzie gażo. Uwikłał się w koguta, jak Jajewski. Dobrze mu tak! Po co poszedł na odsiecz, jak Sobieski?!

Śladami Tito

Książka Czesława Bobrowskiego *La Yougoslavie socialiste* (*), choć pisana na emigracji, jest niewątpliwie ważnym elementem w tak zwanej ogólnonarodowej dyskusji i istnieją dowody, że pod tym kątem została w Polsce oceniona. Bobrowski był w latach 1946-1948 prezesem Centralnego Urzędu Planowania i decydującym współtwórcą planu trzyletniego. Mamy więc do czynienia ze studium człowieka bardzo kompetentnego, o spojrzeniu wszechstronnym, dostrzegającym bez trudu odwrotną stronę medalu. I jeśli stawiamy książkę Bobrowskiego w jednym rzędzie z najnowszymi wypowiedziami krajowymi na tematy gospodarcze, to nie tylko ze względu na liczne podobieństwa sytuacji wyjściowej Polski i Jugosławii, lecz również z uwagi na perspektywę ideologiczną z jakiej autor ocenia opisywane zjawiska. Jest nią przyjęta urzędowo zarówno w Jugosławii jak i w Polsce doktryna marksistowska.

Choć polski czytelnik „*La Yougoslavie socialiste*” na każdym kroku natyka analogie z Polską, jednocześnie widzi jednak i różnice, i to nie tylko w dziedzinie politycznej, będącej punktem wyjścia odmiennych metod ekonomicznych w obu krajach. Autor zwraca uwagę na różną od polskiej strukturę gospodarczą i socjologiczną Jugosławii, którą to strukturę analizuje przejrzyście w pierwszym rozdziale swojej pracy.

Centralnym problemem gospodarki jugosłowiańskiej było — i jest jeszcze — rozładowanie bezrobocia na wsi. Ponieważ tak zwany zapas ziemi w postaci większych gospodarstw, nadających się do podziału między niedostatecznie zatrudnione rodziny chłopskie, był w Jugosławii jeszcze mniejszy niż w Polsce — to znaczy znikomy — rozwiązanie przynieść mogło tylko stworzenie dodatkowych warsztatów pracy przez szybkie uprzemysłowienie kraju. Zadanie to było tym bardziej palące, że użytki rolne stanowią za-

(*) C. Bobrowski, *La Yougoslavie socialiste*. Librairie Armand Collin, Paris, 1956. („Cahiers de la Fondation Nationale des Sciences Politiques”, N. 77).

ledwie 28 % powierzchni Jugosławii która ponadto, przy znacznym przyroście naturalnym ludności, nie dysponowała — jak Polska — ogromnym rezerwuarem ziem poniemieckich.

W latach międzywojennych, niski poziom materialny ludności stwarzał tak wielkie potrzeby konsumpcyjne, że mowy być nie mogło o przyroście rodzimego kapitału (= oszczędności) w ilości wystarczającej na poważne inwestycje przemysłowe. Z drugiej strony, mimo znacznego dochodu przynoszonego (jak zwykle w krajach ubogich) przez odpowiednio zainwestowany kapitał, zagraniczni jego dysponenti obawiali się inwestowania w nowo powstałym państwie, o niepewnej strukturze wewnętrznej. W tych warunkach rozbudowa przemysłu kosztem trzymanej w ryzach konsumpcji (oszczędność przymusowa) była dla Jugosławii koniecznością zwłaszcza, że ze względów politycznych kraje tej części Europy zmuszone zostały wyrzec się zaoferowanej im po wojnie pomocy amerykańskiej w postaci Planu Marshall'a.

Bez względu na procent dochodu narodowego odbieranego spożyciu z przeznaczeniem na inwestycje, tempo jego wzrostu jest probierzem słuszności danej polityki ekonomicznej. Dalszym elementem w ocenie tej polityki, jest stopień dopasowania produkcji do potrzeb rynku (w przeciwnym razie mamy do czynienia z kryzysem). Pozostawiając na boku ważną kwestię współzależności między systemem ekonomicznym a politycznym (wielu socjologów uważa gospodarkę wolnorynkową i prywatną własność środków produkcji za materialny warunek zorganizowanej w ustroju demokratycznym wolności) należy stwierdzić, że gospodarka planowa, w formie nadanej jej przez Sowiety, bynajmniej nie daje gwarancji szybkiego postępu gospodarczego. Wystarczy w tym celu porównać rozwój krajów wykazujących w punkcie wyjściowym podobną strukturę jak Syberia i Kanada, lub obserwować rezultaty osiągnięte w bardziej uprzemysłowionych, lecz zniszczonych wojną i zalanych falą uchodźców Niemczech Zachodnich z osiągniętymi w nietkniętej przez działanie wojenne Czechosłowacji.

Komuniści dawno już zawiesili na kolku piękną zasadę „każdy według swych możliwości, każdemu według jego potrzeb”, przyjmując, na wzór kapitalizmu, że dochód jednostki powinien być proporcjonalny do wkładu dokonywanego przez nią do gospodarki narodowej. Na tym założeniu oparli komuniści swój system „bodźców ekonomicznych”: dużej rozpiętości między zarobkami poszczególnych kategorii pracowników, premii za przekraczanie „norm” itp. W obliczu niedostatecznej skuteczności tych „bodźców”, jak i kosztów ich finansowania, system został uzupełniony zorganizowanym przymusem, realizowanym między innymi przy pomocy tak zwanych związków zawodowych. Wreszcie masowe skazywanie na pracę przymusową wprowadziło strach jako narzędzie nacisku i dostarczyło państwu bardzo tanią siłę roboczą w dowolnej ilości.

Okazało się jednak, że ta kombinacja „bodźców” i przymusu nie przyniosła oczekiwanych rezultatów w dziedzinie wzrostu wydajności pracy. Co więcej, stosunek robotnika do własności państwowej, która teoretycznie jest własnością społeczną, okazał się wręcz wrogi.

Rzekome usprawiedliwienie stosowanych przez komunistów metod zawarte było w twierdzeniu, że gospodarka planowa i dyrygowana na najwyższym szczeblu państwowym zapewnia najbardziej racjonalny podział dochodu narodowego, a zwłaszcza jego części przeznaczanej na inwestycje. Otóż Bobrowski stwierdza dobitnie, że to co nazywa „planowaniem administracyj-

nym" zapewnia co najwyżej wykonanie planu w zakresie inwestycji którym przyznano pierwszeństwo za wszelką cenę (są to w praktyce pewne obiekty przemysłu ciężkiego).

Dowolne ustalanie cen, bez względu na rynkową wartość towarów i kosztu ich produkcji, pozbawia ośrodki planujący podstawowych elementów kalkulacji. W rezultacie pojęcie rentowności przedsiębiorstw staje się w dużej mierze fikcją, z oczywistym uszczerbkiem dla majątku narodowego. Ponadto, nawet gdyby plany wykonywane były w całości, proporcja produkcji poszczególnych towarów nie może być dopasowana do potrzeb konsumentów, którzy pozbawieni zostali możliwości wywierania wpływu na podaż przy pomocy cen jakie gotowi są płacić za towary.

System planowania przyjęty zaraz po wojnie w Jugosławii był podobnie jak w innych „demokracjach ludowych” wzorowany na sowieckim „planowaniu administracyjnym”. Krokiem wstępnym było upaństwowienie banków, środków transportowych, przemysłu i handlu, przy jednoczesnym organizowaniu rzemiosła w przymusowe „kooperatywy”. Reformy te szły znacznie dalej niż w początkowej fazie innych „demokracji ludowych”. Podobnie jak w Polsce, znaczna część kapitału przemysłowego była w Jugosławii pochodzenia zagranicznego. Bobrowski zaznacza, że w odróżnieniu od Jugosławii, Polska przyjęła postawę „bardziej realistyczną” przyznając w zasadzie wyzutom z mienia cudzoziemcom prawo do odszkodowania „w nadziei ograniczenia go do minimum”. Zasada odszkodowania przedstawiona jest przez Bobrowskiego nie jako kwestia sprawiedliwości, lecz chwilowej wygody — co z kolei prowadzi autora do paradoksalnej pochwały rządów faworyzujących cudzoziemców w odróżnieniu od własnych obywateli...

Bobrowski kreśli wnikliwą i krytyczną charakterystykę „planowania administracyjnego”, podkreślając nieodłączne odeń elementy przymusu i dowolność (nieracjonalności) pobieranych decyzji. (Cytowane przez Gomułkę na VIII Plenum przykłady, przychodzą w tym miejscu na myśl polskiemu czytelnikowi książki). Planiści jugosłowiańscy wyróżniali się przy tym zdumiewającą fantazyjnością stawianych swym planom celów. Usiłowania ich realizacji dały w wyniku — obok kilku cennych osiągnięć — powstanie daleko idących dysproporcji gospodarczych i nieuniknioną inflację.

Bardzo ciekawa analiza okoliczności „wyklęcia” Jugosławii przez Kominform, ukazuje ten odruch niezadowolenia Kremla jako pociągnięcie mało przemyślane. Tito unikał potem przez czas dłuższy wszelkich pociągnięć mogących utrudnić ponowną normalizację stosunków z Sowietami, a nawet zarządził przymusową i masową kolektywizację rolnictwa, by wykazać swoją wierność zasadom ortodoksyjnego „socjalizmu”. To nierozważne posunięcie przyczyniło się znacznie do położenia gospodarstwa narodowego na obie łopatki, potęgując katastrofalne skutki ucięcia lwiej części obrotów handlu zagranicznego z nieodzownymi dostawami dla budującego się przemysłu włócznie. Napięta sytuacja polityczna wymagała na domiar złego ogromnych wydatków na wojsko. Nie jest więc przesadą twierdzenie, że subsydia amerykańskie uratowały Jugosławię przed zupełną ruiną.

Wykluczenie Jugosławii z Kominformu stało się jednak przede wszystkim punktem wyjściowym nowego eksperymentu, który niewątpliwie odegra znaczną rolę w kształtowaniu metod polityki gospodarczej różnych krajów. Ważnym przy tym atutem w rękach Tita była możliwość oparcia się o silny nurt patriotyczny, który dzięki walce z Niemcami wyniósł go na wyżyny

władzy, a teraz po uniezależnieniu się od Moskwy pozwolił żądać nowych ofiar w celu zapewniania niezależności kraju.

Autor zwraca uwagę na proces ideologiczny, zapoczątkowany wśród komunistów jugosłowiańskich z chwilą oderwania się od Moskwy. Dla ludzi tych pomieszczenie pewnych koncepcji ekonomicznych w ramach „marksizmu-leninizmu” było rzeczą zasadniczą. Zwrócili oni przede wszystkim uwagę na teorię „obumierania państwa”, która w perspektywie stalinowskiej stała się celem ukrytym we mgle nieosiągalnej przyszłości. Nie wchodząc na drogę nierealnej spekulacji na temat przyszłego zniknięcia państwa jako „rządu nad ludźmi” z zachowaniem jego funkcji „rządu nad rzeczami”, stwierdźmy po prostu, że komuniści jugosłowiańscy postanowili ukrócić w pewnej mierze wszechwładzę państwa-kapitalisty, przekazując w zasadzie zarząd przedsiębiorstw w ręce robotników. Drugim elementem nowego systemu było przywrócenie roli wolnokonkurencyjnego rynku jako regulatora cen. Trzecim — zapewnienie robotnikom udziału w zyskach zatrudniającego ich przedsiębiorstwa. Wreszcie centralne planowanie gospodarcze zostało zachowane z tym jednak, że państwowa administracja gospodarcza działać może tylko przy pomocy metod pośrednich.

Odrzuciwszy w ten sposób cały balast biurokratycznych nakazów i zakazów, kontroli i przymusu, teoretycy nowego kierunku proklamowali wolność partii komunistycznych obierania rozmaitych metod działania, podkreślając jednocześnie identyczność ostatecznego celu, wskazanego przez Marxa.

W imię „przejściowej” konieczności dostosowania się do „chwilowych” warunków zaniechali Jugosłowianie ponadto dalszej kolektywizacji rolnictwa, co — wobec ustania terroru — pociągnęło za sobą spontaniczną likwidację kołchozów. Jest to z komunistycznego punktu widzenia sprawa niestychanie ważna. Nie darmo rezolucja anty-jugosłowiańska Kominformu z czerwca 1948 roku cytowała znane twierdzenie Lenina, że „drobne gospodarstwo indywidualne rodzi kapitalizm i burżuazję stale, codziennie, co chwilę, żywiłowo i w skali masowej”.

Centralnym punktem systemu jugosłowiańskiego jest nawrót do klasycznego mechanizmu wolnego rynku. Chodzi po prostu o ponowne odkrycie bardzo starej prawdy, że przedsiębiorstwo które nie jest dochodowe prowadzi nie tylko (w wypadku prywatnej własności środków produkcji) do ruiny kapitalisty, ale jest jednocześnie (bez względu na to w czyich rękach się znajduje) przyczyną ubożenia społeczeństwa. Łatwo jest zacytować wiele wyjątków od tej reguły, niemniej pozostanie ona zawsze podstawą każdej zdrowej polityki ekonomicznej. Otóż konsumenci są z natury rzeczy najbardziej powołani do „kierowania produkcją” (na tym bowiem polega gospodarka wolnorynkowa) zmuszając producentów (pod groźbą bankructwa) do wyrabiania tych towarów i w takich ilościach w jakich — po cenach pokrywających kosztą produkcji w najszerszym tego słowa znaczeniu — gotowi są je nabyć. Dopasowanie produkcji do potrzeb rynku (to znaczy ludności) staje się w tych warunkach automatycznie celem planifikacji poszczególnych przedsiębiorstw, eliminując marnotrawstwo majątku narodowego, będące zasadniczą bolączką ekonomii dyrygowanych przez administracje państwowe.

Zdaniem Bobrowskiego upaństwowienie środków produkcji jest najpewniejszą rękomią poprawnego funkcjonowania gospodarki wolnorynkowej.

Twierdzenie to, choć w praktyce mało przekonywujące, zasługuje jednak na podkreślenie.

Ponieważ warunkiem zwiększenia dochodu narodowego jest wzrost wydajności pracy, komuniści jugosłowiańscy zastosowali i w tej dziedzinie ciekawe rozwiązanie. Jest nim udział robotników w dochodzie przedsiębiorstwa. System ten ma tę dobrą stronę, że zawiera element „nagrody” (zwiększenie dochodu robotnika) i „kary” (zmniejszenie tego dochodu), co stwarza więź realnej odpowiedzialności pracowników za przedsiębiorstwo i jego pracę. W dotychczasowych systemach zyskującym lub tracącym był albo kapitalista, albo państwo.

Wreszcie obsadzanie stanowisk dyrektorów w drodze rozpisywania publicznych konkursów uwolniło gospodarkę od ciężkiej hipoteki polegającej na konieczności umieszczania na kierowniczych stanowiskach bonzów partyjnych. Ustanowienie zaś organów wybieranych przez załogę, a będących niejako odpowiednikiem zgromadzenia akcjonariuszy i rady zarządzającej, dało zatrudnionym maksimum zadowolenia.

Jak w tych warunkach odbywa się planowanie? W jaki zwłaszcza sposób zapewnia się dynamikę życia gospodarczego i dokonuje potrzebnych, a zwłaszcza (na krótką metę) nierentownych, inwestycji?

Państwo, względnie organy samorządowe, mają do swojej dyspozycji przede wszystkim aparat podatkowy, w formie m. in. podatku obrotowego, znaczny udział w dochodach przedsiębiorstw państwowych itp. Przy pomocy tych „pomp” duża część dochodu narodowego zostaje odebrana konsumpcji i kierowana ku inwestycjom. W kraju tak biednym jak Jugosławia, forsowanie inwestycji wymaga od ludności bardzo ciężkich ofiar. Ale przynajmniej istnieją w omawianym systemie pewne gwarancje, że rezultatem tych ofiar nie będzie marnotrawstwo, że inwestycje będą racjonalne. Tę gwarancję daje pożyczanie przedsiębiorstwom funduszy inwestycyjnych na procent — zgodnie z wypróbowaną metodą krajów kapitalistycznych. Gwarancją natomiast, że nie nastąpi koncentracja kapitału (i dobrobytu) w uprzywilejowanych przez naturę rejonach, z uszczerbkiem dla ludności innych obszarów, jest udział ciał samorządowych w rozprowadzaniu kredytów. Jest to problem specjalnie ważny w kraju zamieszkałym przez kilka narodowości i obejmującym wielkie obszary zupełnie dotychczas upośledzone.

Na najważniejsze pytanie: Jak funkcjonuje system jugosłowiański, jakie dał wyniki, odpowiedź nie jest łatwa. Katastrofa wojenna, konfiskaty dokonane przez komunistów, bałagan „administracyjnego planowania”, dostosowanie gospodarki najpierw do handlu ze wschodem, potem z zachodem, katastrofalne nieurodzaże, dwukrotna zmiana systemu ekonomicznego — wszystko to tłumaczy wystarczająco opłakaną sytuację gospodarczą tego kraju. Za wcześnie jest jeszcze by móc definitywnie ocenić rezultaty stosowania nowych metod, choć odnosi się wrażenie, że w porównaniu z poprzednio stosowanymi stanowią one bardzo znaczny postęp. Książka Bobrowskiego pisana była za wcześnie, choć już teraz mógłby być więcej miejsca poświęcić na analizę danych cyfrowych.

Zbyt ogólnie potraktował autor ponadto metody używane w praktyce. Struktura prawna systemu mało nam bowiem mówi o jego funkcjonowaniu. Znamienne jest stwierdzenie Bobrowskiego, że obecna konfiguracja polityczna Jugosławii, czyli po prostu dyktatura, wydaje się nieodzownym warunkiem działania całego mechanizmu. Potwierdza to poniekąd liczne poszlaki

wskazujące, że rola „aktywistów” partyjnych jest niejednokrotnie bardziej decydująca niżby to wynikało z teoretycznie demokratycznej struktury zarządów przedsiębiorstw i organów samorządowych. Niski poziom intelektualny ludności Jugosławii jest z pewnością dodatkową „pokusą” dla elementów przyzwyczajonych do komenderowania...

Wydaje się, że Bobrowski mówiąc o potrzebie politycznej jednolitości czynników decydujących w państwie ma przede wszystkim na myśli kwestię planowania w skali ogólnokrajowej. Zachodzi pytanie czy szybkie tempo uprzemysłowienia krajów zacofanych jest do pogodzenia ze swobodnie funkcjonującą demokracją w której z natury rzeczy stronnictwa licytują się wzajemnie w żądaniach podniesienia stopy życiowej ludności, kosztem między innymi inwestycji. Rozstrzygnięcie tego dylematu wymaga uprzedniego przyjęcia pewnej hierarchii wartości. Ale nawet w systemie dyktatury nacisk na stopę życiową ludności ma zawsze pewną granicę. Granica ta została w Jugosławii przekroczona; w rzeczywistości bowiem udział robotników w zyskach przedsiębiorstw jest tak niski, że i ten „bodziec” nie działa prawidłowo. Dowodem sygnalizowana przez Bobrowskiego niepokojąca stagnacja wydajności pracy.

Pozostawiając przyszłości ostateczną ocenę jugosłowiańskiego eksperymentu który, jak każdy inny, jest formą przejściową, już dzisiaj możemy stwierdzić z całą pewnością, że posiada on wiele cech dodatnich w porównaniu z systemem sowieckim, naśladowanym do niedawna niewolniczo w Polsce. Od szeregu miesięcy prasa krajowa ogłasza krytyczne analizy dotychczasowej polityki ekonomicznej, proponując reformy inspirowane wyraźnie przez przykład jugosłowiański. Nawet nawrót do gospodarki wolnorynkowej znalazł już swoich protagonistów (Jan Muiżel w Nr. 16 „Życia Gospodarczego”). Oficjalny program ogłoszony przez VIII Plenum daleki jest jednak jeszcze od przyjęcia tak radykalnych postulatów.

K.M. KRĘPSKI

Biedny kamerjunkier

Aleksander Puszkina jest dzisiaj w Polsce postacią mało znaną, właśnie dlatego, że propaganda umieściła go w muzeum figur woskowych, w dziale „przyjaźni polsko-rosyjskiej”. Tragedia poety — która jest równocześnie tragedią Rosjanina i nie tylko w XIX-tym wieku — została poddana starannym przeróbkom, tak, żeby w ogóle jej nie było. Nic dziwnego. Tam, gdzie nie wolno widzieć kontekstu historycznego, jeżeli nie odpowiada on schematom, następuje pomniejszenie wymiaru ludzi i zjawisk. Ale niejedni z nas myślał o Puszkynie w ostatnich czasach, czytając wypowiedzi pisarzy sowieckich, przychodzących w pomoc rosyjskiej racji stanu i pochwalających zgnicenie Węgier. Mają

oni mniej talentu niż Puszkina jednakże dylemat ich jest podobny : ojczyzna contra ludzkość. Nie mogą wyłamać się spod prawidłowości, silniejszych niż hasła i programy.

Polski puszkiniolog Nr 1, Wacław Lednicki, jest profesorem Uniwersytetu Berkeley w Kalifornii. Nie ulega chyba dla nikogo wątpliwości, że jest to uczony wielkiej miary. Skończmy jednak z trzymaniem badaczy w zarezerwowanych dla nich safe'ach, jeżeli piszą ciekawiej niż powieściopisarze. Ostatnia praca Lednickiego o „Jeźdźcu Miedzianym” (*) stanowi pasjonującą lekturę, bo taka jest właściwość rzetelnie przedstawionych faktów, że budzą w nas mnóstwo refleksji o dniu dzisiejszym. Zamykając tę książkę, dochodzimy do następujących wniosków :

Słusznie ośmieszona dziś jest skłonność do rozpatrywania wszystkiego pod kątem „Słoń a Polska”. Słusznie, bo kraj jest nieduży, mało wsławiony w dziejach cywilizacji i planeta nie wiele by pewnie straciła gdyby wcale nie istniał. Zajmując tak pokorne stanowisko, należy zrobić jeden wyjątek : dla Rosji Polska ma wagę olbrzymią i to nie tylko w sferze strategii ale, co ważniejsza, w sferze kulturalnej. Oznacza ona spotkanie się z czymś zasadniczo *innym* (z Europą), jest obsesją, problemem, wyrzutem sumienia, tym większym, że niewyznanym i zakłamanym. Najwybitniejszy poeta rosyjski nosił w sobie tę obsesję.

Prawidłowość w dwuznaczności : najpierw liberalne marzenia o braterstwie ludów, spacer i rozmowy z Mickiewiczem. Potem, „kiedy przychodzi co do czego” i wybucha powstanie 1830 roku — obrażona дума, atak nacjonalistycznego szалу. Prawdopodobnie wtedy dopiero stosunki pomiędzy dwoma krajami wejdą w nową fazę, kiedy w szkołach rosyjskich podda się uczciwej analizie wiersze Puszkina : „Do oszczerców Rosji”, „Rocznica Borodina”, „On żył pośród nas”. Czemuż rzucacie na nas klątwy — woła Puszkina do krajów zachodnich — co pobudza was do jałowej wściekłości ? Czy upokorzona pycha Polski ? To przecie tylko spór krewnych pomiędzy sobą, „kwestia o której wy na pewno nie będziecie decydować” (stosując identyczną zasadę, uznano teraz interwencję na Węgrzech za sprawę wewnętrzną : rozszerzyło się grono „krewnych”). „Czy wszystkie słowiańskie rzeki spotkają się w rosyjskim morzu, czy też wyschnie ono — oto co nas obchodzi”. I ta znana pogroźka : ośmielcie się tylko na nas uderzyć, na rosyjskich równinach jest dość miejsca na wasze groby. „Suworow patrzy na zdobycie Warszawy. Jego cień drży na widok świetności i chwały jakiej dał początek”. Czy Rosja jest chorym, osłabionym kolosem ? — zapytuje ironicznie Puszkina, odpowiadając na manifest Francusko-Polskiego Komitetu w Paryżu. „Mówcie : czy Warszawa ma nam dyktować swoje dumne prawa ? Dokąd mamy wycofać linię naszych fortów ? Za Bug, nad Worskłą czy do Limanu ?

(*) Wacław Lednicki, „Pushkin's Bronze Horseman, the Story of a Masterpiece”, University of California Press, Berkeley and Los Angeles, 1955.

Komu przypadnie Wołyń? Komu dziedzictwo Bohdana? Uznając prawo do rebelii, czy oddzieli się od nas Litwa? Czy stary Kijów, pradziad rosyjskich miast, powierzy burzliwej Warszawie świetności swoich grobowców?" Nie. Rosja jest silna. „Los Polski został rozstrzygnięty". „Zwycięstwo, godzino słodka dla serca!"

Zwycięstwo. Ale ten, który „zaprawił swoje wiersze jadem ku uciesze wrzaskliwej gawiedzi", Mickiewicz, torturował Puszkina z odległości. Ostatnie lata życia poety — okres, kiedy powstał „Jeździec Miedziany" są tematem pracy Lednickiego. Nie będziemy się tutaj zapuszczać w drobiazgowo badane hipotezy i w poprawki jakie Lednicki wprowadza do swoich własnych, przedstawionych już gdzie indziej, hipotez. Ograniczmy się w recenzji do spraw interesujących szersze koła czytelników. Do napisania „Jeźdźca Miedzianego" przyczyniły się mieszane uczucia, jakie wzbudził w Puszkynie „Ustęp" z III-ej części „Dziadów". Przyczyniła się też pewna podróż z Petersburga na wieś i widok letniej burzy, bo połączył się w umyśle pisarza z opisami wielkiej powodzi petersburskiej (tej samej którą wierszem przedstawił Mickiewicz). Przyczyniła się nade wszystko sytuacja osobista Puszkina: nadworny poeta młotał się w złoczonej pułapce i uciec z niej miał tylko przez śmierć w pojedynku, niezbyt różną od samobójstwa. Wielbicielem i, być może, amantem, jego ukochanej żony był nikt inny jak sam cesarz Mikołaj I. Hipotezy zaczynają się, kiedy historycy literatury szukają odpowiedzi na pytanie, co właściwie znaczy poemat. Gdyż są w nim dwa nurty: z jednej strony hymn na cześć potęgi caratu, na cześć symbolu tej potęgi (pomnik Piotra Wielkiego), z drugiej współczucie dla człowieka miażdżonego przez wszechmoc państwa, „biednego Eugeniusza", i wrogość wobec cara. Puszkina musiał używać szyfru, bo był otoczony wrogami i jego utwory były cenzurowane przez jego głównego wroga, to jest Mikołaja I. Jednakże w poemacie występuje rozdwojenie i próba innego opisu Petersburga niż u Mickiewicza odsłania zasadniczą ambiwalencję: litość dla ofiar przemocy niedostrzegalnie przechodzi w pokłon przed władzą absolutną, kult władzy absolutnej niedostrzegalnie przechodzi w litość dla jej ofiar. Kto zna Rosjan, wie, że tego węzła do dzisiaj nie potrafili w sobie rozplątać.

Nie streszczam wywodów Lednickiego, notuję swoje uwagi na marginesie. Bardzo ciekawe jest to, co mówi o przyczynach osobistej niechęci do Piotra Wielkiego u Puszkina. Niechęć ta wynikała z wielkiego przywiązania do tradycji własnej rodziny. Puszkiniowie należeli do tej starej szlachty, której upadek był skutkiem reform Piotra: ostatecznie Rewolucja 1917 roku nie po raz pierwszy w Rosji wprowadzała nową hierarchię przywilejów. Rody bojarские mogły pocieszać się przeszłością, ale pierwsze miejsce uzyskiwali już parweniuse, zadowolający z stanowiska i tytuły wyłącznie woli monarchy. Wszyscy podróżnicy po Rosji XVIII-XIX wieku zwracają uwagę na niepewność wszelkiej pozycji społecznej w tym kraju. Właściwie ustrój tamtejszy miał

niewiele wspólnego na przykład z francuskim Ancien Régime'm, gdzie obowiązywał szacunek dla „błękitnej krwi”. Z nizin wchodziło się na szczyty, ze szczytów spadało się w dół i decydowała o tym wyłącznie łaska cara. I Puszkina nienawidził dworskiej kamarylli, rekrutującej się z takich „ludzi nowych”, wobec których on, potomek starego rodu, był w sytuacji ledwie tolerowanego gryziółka.

Praca prof. Lednickiego jest dziesięć razy bardziej ludzka i przyjazna dla rosyjskiego poety niż polukrowane rozprawy jakie powstawały w Polsce. Gdyż fakty przywracają właściwy wymiar nieszczęściu. Cokolwiek się powie o cierpieniach i szaleństwach Mickiewicza-emigranta, Puszkina, choć mieszkał w swoim kraju, był bardziej nieszczęśliwy: szedł wąską ścieżką między upodleniem i samozagładą, tak jak później Majakowski. Żeby zmierzyć jego nieszczęście, trzeba pamiętać, że poeta nie może być tylko cynikiem i musi wierzyć w to, co pisze.

Innych może dotknęła sroższa niebios kara —
Może kto z was urzędem, orderem szanibony,
Duszę wolną na wieki sprzedał w łaskę cara,
I dziś na progach jego wybija pokłony.

Może płatnym językiem triumf jego sławi
I cieszy się ze swoich przyjaciół męczeństwa.

Ale czy Mickiewicz był *sprawiedliwy* kiedy tak zwracał się do swego dawnego przyjaciela (nie ma znaczenia czy jego miał na myśli, jeżeli Puszkina wziął to do siebie)? Oskarżyciel nigdy nie wnika w splecione motywy, w ten gąszcz życia, gdzie tworzą się decyzje.

Czy antypolskie wiersze Puszkina, podłe jak wszelka literatura sprzymierzająca się z silnymi przeciwko słabym, były pisane „płatnym językiem”? Wolno przypuścić, że nie. Wolno przypuścić, że oburzenie na „ujadaczy z parlamentów”, na ten Zachód, mieszkający się do nie jego spraw, na buntowniczych Polaków, było szczere. „Narodnyj poet” ulegał zbiorowej atmosferze, czuł głęboko wielko-rosyjską wolę mocy. Czy to znaczy, że kłamał, tęskniąc do czasów, kiedy narody świata łączyła się w jedną rodzinę? Też nie. Szofer berlińskiej taksówki, udzielając jednemu z dziennikarzy swego komentarza o wypadkach na Węgrzech, tak krótko ujął skomplikowaną prawdę: „Ruski to dobry chłop. On ze wszystkimi chce żyć w przyjaźni. Wyjmuje rewolwer, mówi: „kochaj mnie, bo jak nie, to ciebie zabiję”. Być może w antypolskich i antyzachodnich wierszach Puszkina — podobnie jak w „Scytach” Aleksandra Błoka — jest po prostu bolesne zdumienie, że można Rosjan nie podziwiać i nie kochać. Kryje się w tym brak perspektywy, własny naród nie ukazuje się jako jeden z wielu. Są w tym cechy infantylnego podziwu nad sobą. W innych językach poezja tak *plemienna* zdarza się bardzo rzadko. Żeby ją odnaleźć, trzeba byłoby cofnąć się wiele

wieków wstecz. W porównaniu z nią ody Kiplinga są szczytem dystansu wobec Imperium Brytyjskiego.

I kiedy Mickiewicz z zagranicy rzucał oskarżenia, co *mógł* Puszkina, kamerjunkier noszący piekło w sercu? Nawet jego listy do żony były otwierane. Że tego systemu i tej niewoli bronił przeciwko „wiatrowi z Zachodu” było szczególnym paradoksem losu. Ale i w chwilach buntu nie mógł sobie pozwolić na jasną świadomość. Mógł sobie najwyżej pozwolić na ten obraz z „Jeźdźca Miedzianego”: posąg cara Piotra goni pustymi ulicami Petersburga za biednym Eugeniuszem i echo niesie stuk kopyt po bruku. Posąg, przed którym niegdyś, „pod jednym płaszczem, wzięwszy się za ręce”, stali dwaj przyjaciele.

Zdaniem prof. Lednickiego dwuznaczny „Jeździec Miedziany” jest w literaturze rosyjskiej przełomem, jeżeli chodzi o stosunek do miasta Piotra Wielkiego. Dotychczas było bezkrytyczne uwielbienie, teraz zacznie się negacja. Następnym etapem będzie Petersburg Gogola.

W ciągu XIX-go wieku Rosja choruje na obsesję polskiej „zarazy”. Sprawa Puszkina jest tu tylko wycinkiem całości. Rząd carski lubił przypisywać wszelkie bunt i zamieszki działaniu obcych agentów. Tak więc Custine odnotowuje w roku 1839 że rewoltę chłopską nad Wołgą nazywano „robotą polskich socjalistycznych emisariuszy” — pomysł, trzeba przyznać, świadczący o fantazji urzędników. Wpływu takich samych emisariuszy dopatrywano się w buncie ukraińskich chłopów w 1855 roku — jak podaje Apollon Korzeniowski. Zapewne dałoby się zebrać wiele podobnych przykładów.

Praca prof. Lednickiego jest pozbawiona politycznych akcentów, ale czytelnikowi wolno snuć analogie. Godna jest polecenia wszystkim cudzoziemcom, którzy chcieliby coś zrozumieć z tła historycznego stosunków polsko-rosyjskich. Zawiera też teksty w angielskim przekładzie: „Jeźdźca Miedzianego” i „polską trylogię” Puszkina, cały „Ustęp” Mickiewicza, oraz wiersz Walerego Briusowa „Wariacje na temat Jeźdźca Miedzianego”. Wiersz ten, nieznan na ogół Polakom, ujmuje w skrócie cały problem. Są tu i dwaj młodzieńcy pod pomnikiem, jest tu i odjazd Mickiewicza i powstanie 1830 roku tłumione przez carskie wojska „pod straszliwy wtór” wierszy Puszkina. „Szum sławy” czy mógł zagłuszyć głosy mordowanych bojowników o wolność i skargi przyjaciół-dekabrystów zesłanych na Sybir? Puszkina u Briusowa raz jeszcze staje przed pomnikiem Piotra, słyszy w sobie pogroźkę: „Strzeż się mnie, Czarodzieju-architekcie!” — i za to *bluźnierstwo* jest ukarany: wydaje mu się, że goni go Miedziany Jeździec. Trudno oprzeć się podejrzeniu, że Puszkina w swoim proteście przypomina kogoś, kto zgłasza się na policję, prosząc żeby go aresztować, bo ma antypaństwowe myśli: protest i lęk przed narodowym tabu występują z równą siłą.

Dzieła czy obraz architektury

Książka bogato ilustrowana, wydana bardzo starannie, daje zasadniczy przegląd najcenniejszych pomników naszej architektury. Autor przedstawia rozwój architektury polskiej w okresie od X wieku do połowy XIX wieku. Pięć części książki odpowiada podziałowi materiału według przynależności stylowej — Romanizm, Gotyk, Renesans, Barok i Klasycyzm. Poszczególne części rozbite są na działy rozróżniające architekturę sakralną i świecką. Zakres terytorialny obejmuje granice państwa przedwojennego, uwzględniając architekturę gotycką Gdańska i całego Śląska. Wstęp wprowadza czytelnika w chronologię historii politycznej kraju.

W ramach tych podziałów autor kolejno, budowla za budowlą, zwięźle i krótko, zapoznaje czytelnika z genezą dzieła, osobą fundatora i twórcy; charakteryzując dzieło, stara się zaznaczyć cechy, związki i odrębności stylowe. Charakterystykę dzieła autor uzupełnia zdjęciem, planem, często przekrojem i rysunkiem rekonstrukcyjnym.

Dzieła okresu Stanisławowskiego, wyraźnie osobiście angażują autora — rozszerza tutaj tło historyczno-kulturalne — daje szersze opisy i uwzględnia wyposażenie budynków. Autor zastrzega się na początku „iż stan badań nad polską architekturą oraz dostępne mu materiały nie pozwoliły pokusić się o syntezę”.

Pracę nad książką rozpoczął autor już w roku 1944, przygotowując wykłady w Polskiej Szkole Architektury w Liverpoolu. Jak wynika z analizy tekstu, oraz materiału zdjęciowego i rysunkowego, autor zasadniczo rozporządzał materiałami przedwojennymi oraz, dorywczo, niepełnym materiałem publikacji powojennych.

I tutaj należy wyrazić żal, że tak poważnie pojęta praca nie została skonsultowana — chociażby na drodze przyjacielskich osobistych kontaktów z bliskim mu zespołem (jak autor sam wspomina) — Zakładu Architektury, czy Zakładów Uniwersyteckich lub Instytutu Sztuki, oraz uzupełniona nadesłanymi materiałami i zdjęciami.

Na wstępie należy jasno stwierdzić, iż mimo oczywistych braków powstałej w tak trudnych warunkach pracy, mimo wątpliwości co do charakterystyki szeregu obiektów, słuszności ich wyboru czy też metody ich klasyfi-

Zbigniew Dmochowski, *Dzieła architektury w Polsce*. Wstęp L.B. Budden. The Polish Research Centre, Ltd., London 1956; 432 str. z ilustracjami w tekście. Skład główny: Alma Book Co. Ltd., 9 Lenthal Place, Gloucester Road, Londyn.

kacji — „Dzieła Architektury Polskiej” to cenna, pożyteczna praca o znaczeniu istotnym nie tylko dla czytelnika angielskiego, ale i to przede wszystkim dla czytelnika polskiego w kraju i zagranicą. Uzupełniając się z krajowym wydawnictwem ilustracyjnym „Album Architektury Polskiej”, obie prace dają już zasadniczą ilustrację, bogaty przegląd dzieł naszej architektury. Należy oczekiwać źródłowej recenzji w kraju, oraz dążyć do szerokiego rozpowszechnienia tej książki w kraju i zagranicą.

W Polsce prace nad podręcznikiem historii sztuki będą zakończone dopiero w końcu 1957 roku.

Długoletnie dyskusje i zjazdy nad podręcznikiem często wchodziły na mielizny jałowych sporów o postulowane założenia i dogmatyczne pojęcia — z drugiej jednak strony atakując dotychczasowe metody i schematy metodologiczne dyskusje te siłą rzeczy musiały pogłębić generalny pogląd na rozwój naszej architektury, rozszerzyć tło na którym architektura wzrastała, ostrzelać wątpliwe przyczynkarstwo i ujawnić nowe powiązania.

Zasadniczy dorobek polskiej historii sztuki po wojnie to przede wszystkim fakt wielkiego pomnożenia materiału. Tak na przykład zakończono już pełną inwentaryzację województw Krakowskiego, Łódzkiego i Kieleckiego. Odkryto i odsłonięto w badaniach archeologicznych szereg dzieł z epok przedromańskiej, romańskiej, gotyckiej i renesansowej. Podaję tutaj przykładowo za prof. Z. Kempnińskim, najważniejsze, najświeższe odkrycia: przedromańska wielka katedra oraz baptisterium w Poznaniu z X wieku, przedromańska katedra i fragment palladium w Gieczu (przełom X i XI wieku), przedromański kościół Św. Salwatora na Zwierzyńcu w Krakowie (X wiek). Prawdopodobnie przedromański kościół w Tumie pod Łęczycą; romańska katedra w Poznaniu (XI wiek); romańska bazylika kolumnowa w Trzemesznie (I poł. XII wieku); romańska krypta katedry we Wrocławiu (XII wiek).

Odsłonięto również romańskie wnętrza kolegiaty w Kruszwicy z zachowaną polichromią niefiguralną.

Świetny portal (północny) z tympanonem w Strzelnie (XII wiek), uzupełniający obraz wystroju rzeźbiarskiego — ze znanymi autorowi „Dzieł Architektury w Polsce” rzeźbionymi kolumnami. Jedną z największych rewelacji architektonicznych jest zakończone odsłonięcie gotyckiej katedry w Poznaniu (XIV i XVI wiek). W toku są prace odsłaniające wnętrza gotyckie głównej nawy i prezbiterium katedry w Gnieźnie (XIV wiek).

W ruinach zamku renesansowego w Rodlinie (Wielkopolska) stwierdzono fragmenty kompozycji fasady, bliskie fasadzie ratusza poznańskiego. Należy przypuszczać, że budowniczym tego zamku był G. Bapt. Quadro (1560-1570).

Również i w dziedzinie archiwalnych odkryć — nowe naświetlenie otrzymuje szereg dzieł małopolskich — ujawniono materiały dotyczące muratorów małopolskich, nowe przyczynki dotyczące Wita Stwosza. Rozszerza się zakres materiałów dotyczących związków naszej architektury z architekturą burgundzką (tympanon w Strzelnie) z płn. Francją i kręgiem Mozańskim. Pojawily się poważne syntetyczne opracowania Drzwi Gnieźnieńskich, rzeźby nagrobkowej, itd.

Zjazdy i Wystawy poświęcone Odrodzeniu i Oświeceniu uwypukliły pewne dzieła, stworzyły mocną podstawę dla syntetycznych opracowań tych okresów architektury. Wspomniane prace inwentaryzacyjne określiły i za-

ostrzyły niewątpliwie kryteria metod opisu obiektów. Wartościowanie dzieła, wybór dzieł — metoda klasyfikacji była i jest już sprawą roli, odpowiedzialności i horyzontów autora.

Czytając „Dzieła Architektury w Polsce” na marginesie podanych wyżej uwag, nasuwają się jeszcze proste, a może zasadnicze pytania.

Jak mówić i co należy pokazać, aby dać nie tylko pełny, źródłowy, ale sugestywny i „prawdziwy” obraz naszej architektury? Czytelnik tej pracy w większości przebywa dziś z dala od kraju — pamięta już tylko fragmenty architektury, ale na pewno usiłuje zachować atmosferę własnego wspomnienia, osobisty obraz swego pejzażu i architektury.

Staje tutaj przed nami — poza oczywistym znaczeniem źródłowych opracowań — sprawa oddziaływania historyka, rola jego w żywych problemach współczesnej, nowej architektury. Innymi słowy chodzi o nowy stosunek do dzieła zabytkowego.

Architektura Francji — to oczywiście i Autun i Albi, Laon, Chartres i Beauvais — na pewno zamki nad Loarą — dzieła architektury Inwalidów czy Versailles. Ale na obraz architektury Francji składa się i kościółek owerniański, zabudowania wioski burgundzkiej i plac Furstenberg przy atelier Delacroix.

Włochy to nie tylko termy, kopuły i pałace Rzymu i Florencji — to i kamieniarka Abruzzów, rozproszone wioski sienieńskie — trwałe dowody prawdy obrazów Trecento.

W naszych wielkich dziełach, pomnikowych fundacjach klasztorów, kolegiat i zamków, z bogactwa importowanych założeń, mozolnie odkrywamy nasze odrębności, własne widzenie formy. W wyborze ciągów stylowych tej monumentalnej architektury zawsze braknie miejsca dla małej, bezimiennej architektury, tworzonej od początku przez naszego muratora, murarza i cieślę. Krzywizny murów kryjących klasztor Subocza, ariańskie budownictwo kielecczyny czy dwór Tetmajerów w Łopusznej.

To architektura dotykalna, prosta, o bogactwie nieoczekiwanych kontrastów form — o ludzkiej skali proporcji. Architektura ta jest szczególnie bliska naszemu widzeniu — wyrosła z terenu, z codziennej potrzeby, z specyficznego nam traktowania materiału. Wydaje się, że dopiero z przecięcia linii wielkich pomników stylowych naszej architektury z linią dzieł codziennej potrzeby — możemy odnaleźć prawdziwą wartość miejsce, czas i pełny obraz naszej architektury. Nie prawdą jest miłość do całego dorobku kultury. Każde pokolenie odkrywa w przeszłości własną genealogię dzisiejszych swych poczynań, szukając sprawdzianów, potwierdzeń swych potrzeb i umiłowañ. Znamy dobrze historie tych powrotów, zanurzania się pokoleń w wybranych dziełach przeszłości.

Te dzieła ustawione dotąd sztywno w hierarchicznej linii rozwoju stylu nagle w oczach pokolenia wyodrębniają się, rosną, zmieniają swoje proporcje, burząc ład dotychczasowego łańcucha stylów. Rosną te dzieła w danej chwili, bo są na drodze potrzeb czasu.

S. Giedion w „Time, Space and Architecture” w odległych dziełach Borrominiego, nawet w architekturze końca XIX wieku znajduje genealogię, potwierdzenie spraw, które stanowią dziś sedno zagadnień nowej architektury.

P. Francastel w „Art et Société” znajduje narodziny naszych rewolucyjnych pojęć o przestrzeni w dziełach włoskiego Prymitywu, a na przykła-

dach i z architektury szuka rozwiązania narastających antynomii „Art et Technique”.

Podstawą tych dzieł odważnych — jest świetne zaplecze, pełna wnikliwa znajomość materiału — celem ich jest rozprawa z eklektyzmem stosunku do dzieł dorobku artystycznego, a przede wszystkim mądra pomoc i analiza udzielona twórcom, szukającemu formy dla nowej współczesnej myśli. Takich prac w kraju jeszcze nie ma.

Bohdan URBANOWICZ.

Petrarka — patron emigrantów

Jeżeli ktoś z mistrzów literatury światowej może być patronem wygnańców i emigrantów, to — po autorze „Boskiej Komedii” — chyba Giovanni Petrarca, emigrant dziedziczny, bo syn florentyńskiego banity urodzony sam na emigracji. Jaka jest druga oczywista europejskich banitów? Podobnie jak dziś tak i w XIV wieku jest nią Francja.

Petrarka ma 8 lat, gdy rodzice jego przenoszą się do Awinionu, chodzi do szkoły w uroczym prowansalskim miasteczku Carpentras, a na uniwersytet w Montpellier. Odwiedza Paryż, jest nim oczarowany i ma ochotę tam zostać :

„Paryż był wielkim miastem w okoku potężnych murów, poza które coraz szerzej rozlewał się swoimi przedmieściami, wśród ogrodów, winnic i pól. Sekwaną szły niezliczone statki... Już od stu lat nazywano Paryż *locum deliciarum* — miejscem rozkoszy. Dziesiątki kościołów, nad którymi górowała Notre Dame i strzała Sainte Chapelle, głosiły chwałę sztuki francuskiej. O dobrym winie mówiło się, że ma kolor witraży Sainte Chapelle. *Laetitia populi*, co można oddać dzisiejszym słowem *douceur de vivre*, nęciła cudzoziemców. Najwięcej ich skupiało się koło Uniwersytetu, który liczył już 15.000 studentów ze wszystkich krajów Europy — tłum barwny, gwarny, burzliwy. Tak samo wśród magistrów spotykało się przedstawicieli wszystkich narodów. Petrarka znalazł tam wielu przyjaciół”.

Ten opis Paryża daje dobry przykład stylu Parandowskiego, którego książka znajduje się na pograniczu esseyu i wie romancée.

Ale na tym nie kończą się kontakty Petrarki z Francją. Jeden z największych poetów włoskich spędził przeważną część

życia we Francji, w ustronnej dolinie Vaucluse w pobliżu Awinionu, gdzie miał swoją samotnię. Dzięki Petrarce imię tej doliny nosi dziś jeden z najbardziej czarujących departamentów Francji.

Petrarka — zauważa Parandowski — był pierwszym turystą Europy, dotąd istnieli tylko pielgrzymi.

„Nikt dotąd tak nie podróżował, niczyje oko tak czule nie spoczywało na pięknym krajobrazie ani nie zachodziło łąz wśród pamiątek historycznych. Niczyje pióro nie biegło za przelotnym wrażeniem, nie unosiło się zachwytem wśród skał, gór i lasów”.

Był on także pierwszym alpinistą: w roku 1336 dokonał wraz z bratem wspinaczki na położony niedaleko Awinionu Mont Ventoux, który wznosi się na okazałą wysokość 1.912 metrów nad poziom morza i jest niejako wysuniętą ku prowansalskiej równinie forpocztą Alp. Turystyka nie była wówczas zbyt popularna, a alpinizm był zgola szaleństwem. Opisuując swój wyczyn Petrarka wspomina:

„Wśród załomów góry spotkaliśmy podeszłego wieku pasterza, który usiłował wielu słowami odwieść nas od dalszej drogi, mówiąc, że 50 lat temu wdarł się na najwyższy szczyt, lecz nic stamtąd nie przyniósł prócz żalu i mitręgi... i nigdy przedtem ani potem nie słyszano, żeby się ktoś na podobną rzecz odważył”.

Petrarka może być szczególnie patronem tych pisarzy czy uczonych, którzy jak Mickiewicz lub Einstein, na wygnaniu tworzyli i wytaczali nowe szlaki. Najpiękniejsze stronicie książki Parandowskiego poświęcone są Petrarce ojcowi humanizmu. Tak więc gdy poeta odnajduje postrzępiony kodeks Kwintyliana:

„Z uniesieniem i czułością czytał te karty... Teraz już nie miał wątpliwości, że wybrał właściwą drogę. Wyruszył w życie postanawiając przedłużyć, ożywić nowymi siłami tradycję literatury łacińskiej i oto zdobywał nowy dowód, że był do tego naprawdę powołany”.

Któż mógł lepiej zrozumieć poetę niż Jan Parandowski, ostatni z polskich humanistów, tłumacz Cezara i Homera? Nic dziwnego, że piękne strony poświęcone są łacinie:

„Sam dźwięk słów łacińskich, ich formy gramatyczne, układ zdania szerzyły w nim serdeczną radość, która niosła wysoką falą zachwyty kadencja pięknej prozy lub melodie wierszy płynących srebrzystym strumieniem”.

Pisanie po łacinie wydaje się dziś absurdem, ale Parandowski słusznie przypomina, że dzięki temu istniała wówczas jedna cywilizacja europejska i trudno było przewidzieć, że wkrótce, każdy język, „choćby mówiła nim garstka ludzi w dalekim zakątku”, będzie chciał mieć własną literaturę, niezrozumiałą dla najbliższych sąsiadów.

Parandowski, dziedzic humanizmu, jest więc uniwersalistą. Jego kult dla humanizmu nie pozwala mu zauważyć, że śmiertel-

ny cios łacinie zadali właśnie humaniści: w średniowieczu była ona językiem żywym, podążała za biegiem czasu wzbogacając się dopływem z języków ludowych. Odkąd humaniści zadekretowali, że nie wolno używać żadnego słowa, którego nie ma u Cyserona, łacina stała się językiem martwym. Wprawdzie niewiele osób czyta dziś średniowiecznych autorów łacińskich, kronikarzy czy też filozofów, ale na pewno jeszcze mniej czyta dziś łacińskich pisarzy-humanistów.

Pisarzowi Parandowskiemu bliską jest też miłość, którą poeta włoski żywił do książek. W jednym z listów tak pisał Petrarca :

„Chcesz znać moją chorobę ? Oto książę jestem niesyty... książki przenikają nas do głębi, mówią z nami, radzą i łączą się z nami żywą i serdeczną zażyłością...”.

Ale bibliotekę swoją dobierał starannie, ograniczał się do arcydzieł, gardził tymi co zbierali setki tomów nigdy ich nie czytając. I Parandowski dodaje: „Bez tysięcy książek, bez stałego dopływu czasopism i gazet można zbudować w sobie najwyższą kulturę swojego wieku”.

Oprócz literatury był Petrarca prekursorem i w dziedzinie archeologii. „Z wejściem Petrarki do Rzymu wchodzi nowa epoka w odczuwaniu jego ruin i upadku — pisze Parandowski. — Jest to pierwsze oko nowożytne zachodzące łąą wśród zgasłych imion i strzaskanych kolumn, pierwsze nowożytne serce wzruszone niemym świadectwem kamieni”.

Ówczesny Rzym nagrodił zresztą 37-letniego poetę najwyższą nagrodą : wawrzynem. Po raz pierwszy od 1300 lat zjawił się na Kapitolu poeta laureatus. Z uroczystościami i owacjami, które miały wówczas miejsce w Rzymie, nie może się mierzyć nawet nasz najwyższy dziś wawrzyn literacki, nagroda Nobla. Jeżeli, to chyba Tour de France albo konwencja republikańska.

Miał niespełna pięćdziesiątkę, gdy i rodzinna Florencja weszła go do powrotu. Ojcowską banicję cofnięto, a ponadto zdobyto się na gest : ofiarowano poecie „praojcowskie niwy”, niegdyś zabrane ojcu a teraz wykupione z rąk prywatnych. (Ten gest podkreśla różnicę między nami a epoką Petrarki. Dziś ofiaruje się raczej niwy cudze, najchętniej skonfiskowane poprzedniemu faworytowi. Różnica mniej więcej taka jak między odzyskaniem majątku a majątkiem na „Ziemiach odzyskanych”. W ten sposób nasza epoka, ponad mrokami Średniowiecza, wyciąga dłoń do glorii imperialnego Rzymu). Z tym poselstwem pojechał do Petrarki sam Boccaccio, inny mistrz humanizmu i bliski przyjaciel. W odpowiedzi Petrarka wyraził wdzięczność, radość i dumę, ale do ojczyzny nie wrócił. „Nie ufał swojemu miastu” — pisze Parandowski. — „Z latami pragnął coraz bardziej bezpieczeństwa i ciszy. A tego nie spodziewał się znaleźć we Florencji”. W rezultacie poeta wrócił do pustelni w Vaucluse a Florencja cofnęła wkrótce swoją darowiznę.

Resztę życia spędził głównie we Włoszech otoczony chwałą i uznaniem i umarł na wygnaniu wprawdzie, ale bądź co bądź we własnym kraju, przywilej którego nie ma dzisiejszy emigrant, chyba że jest Niemcem, a i ten wyłącznie dzięki pewnemu wodzowi narodu, który zbyt konsekwentnie chciał wprowadzić w życie zasadę: „Ein Volk, ein Reich”. Czy rozmaici patrioci walczący przed 100-150 laty o zjednoczenie Polski, Włoch itd., mogli przewidzieć, że będziemy im zazdrościć okresu, w którym zasada ta jeszcze nie obowiązywała i w którym można było uciec zagranicę a jednak być dalej w swoim kraju? Z tego wynikałoby, że nie rozbiory i podziały są największym złem, ale czasem właśnie zjednoczenie.

AV.

Aktualna książka o O. Lamennais

Tragiczną postać księdza odstępcy, który urzekł tytułu pisarzy i historyków na przestrzeni stu lat od jego śmierci nawiązuje książka Mourre'a (1) w sposób swoisty. Zaktualizowany problem Lamennais wiąże się w tym świetle z problemem księży francuskich Misji Robotniczych, z ruchem katolików progresywnych na Zachodzie, grupą E. Mounier, dziś grupą „Esprit” w Paryżu.

Materiał dotyczący Lamennais obejmuje setki tomów studiów i esejów, nikt ze współczesnych mu pisarzy, filozofów, krytyków nie przeszedł koło niego obojętnie, każdy miał o nim coś do powiedzenia, a wśród nich byli Chateaubriand, de Maistre, V. Hugo, Balzac, Sainte-Beuve, Lamartine, G. Sand, jak również Mickiewicz.

Lamennais zostawił szereg uczniów, którzy zawdzięczali mu swoją formację religijno-filozoficzną, którzy wzięli coś z jego ognia co go wiódł niestrudzenie drogami poszukiwań i doprowadził do zupełnego zwątpienia. W liczbie tych przyjaciół i uczniów byli reformatorzy zakonów jak O. Lacordaire, dominikanin, O. Guéranger, benedyktyn, O. Eugeniusz Boré, lazarysta, Gerbet, pisarz filozoficzny, późniejszy biskup Perpignan i inni, historycy ekonomiści, pedagodzy. Był też Karol de Montalembert, przyjaciel Mickiewicza, tłumacz *Ksiąg Pielgrzymstwa*, parlamenta-

(1) Michel Mourre, *Lamennais, ou l'hérésie des temps modernes*. Amiot-Dumont, Paris 1955, str. 373 i 3 nłb.

rzysta, obrońca swobód francuskiego katolicyzmu. Jakże silnie zaważyły osobowość i niezwykle dary umysłowości i serca Lamennais na losach Kościoła katolickiego we Francji, osobowość człowieka, który nie tylko wystąpił z Kościoła, ale odciął się też od chrześcijaństwa, zastrzegając sobie przed śmiercią, aby nawet krzyż nie wyróżniał miejsca gdzie, wedle jego ostatniej woli, miano złożyć jego zwłoki, w pospólnym dole nędzarzy.

Michel Mourre zadał sobie trud zapoznania się z ogromem tego materiału, z kiedyś głośnymi, dziś zapomnianymi pracami filozoficznymi Lamennais z tysiącami listów w których zwierzał się od wczesnej młodości przyjaciółom, opiekunom i uczniom, z przeżyć swoich i doświadczeń, zamierzeń, nadziei i wątpliwości. Autor pokazuje nam człowieka na tle epoki i współczesnych prądów myśli, od filozofii XVIII-wiecznej, którą Lamennais nasiąkł w młodości, aż do doktryn socjalistycznych i komunistycznych 48-go roku. Sprzeczne i niezwykle przeżycia Mourre'a, jego rozległe lektury, chaotyczne studia zbliżyły go do problemu Felicjcyta Lamennais i postać nieszczęśliwego księdza musiała pociągnąć tego wykołowanego nawróceńca.

Podobnie jak Lamennais, Mourre był wychowany w bezwyznaniowości i późno ochrzczony. Pierwszym okresem publicznej działalności księdza Lamennais była obrona tronu i papieństwa, legalnego, namaszczonego króla Francji, pod zwierzchnictwem Namiestnika Chrystusowego. Mourre wszedł do Kościoła katolickiego poprzez monarchistyczne idee Maurrasa, poprzez wizję Wieków Średnich; próbował polityki, dziennikarstwa, służby wojskowej, nie znajdując nigdzie prawdy i celu, któremu warto by było poświęcić życie. Nawet nowicjat w zakonie dominikanów, gdzie spodziewał się znaleźć port spokojny, nie wyzwolił go z rozterki sumienia. W sytości i bezpieczeństwie stanu zakonnego, miałaby apostołować głodnych i bezdomnych? Z nowicjatu w Saint-Maximin, z ogoloną po tonsurze głową, powrócił Mourre raz jeszcze do Paryża, do swoich całonocnych, anarchicznych dysput i studenckiego głodu. Okres poszukiwań rzeczy ostatecznych zakończył zuchwałą manifestacją w katedrze Notre-Dame, kiedy to w habicie dominikanina, wstąpił w czasie sumy dnia Wielkanocnego na ambonę, aby zebranym w kościele tłumom oznajmić, że Bóg umarł (2). Prasa przyjęła tę manifestację jako wybryk surrealisty, ale sprawa była głębsza.

Mourre'owi zawdzięczamy więc to nowe i pod niektórymi względami rewelacyjne studium o dramacie księdza Lamennais, to spojrzenie człowieka współczesnego na odwieczny spór Kościoła, stróża tradycji i dogmatu z reformatorami wszelkich pokrojów.

Raz jeszcze widzimy smutne dzieciństwo, samotną i gorzką młodość niezwykle chłopca na tle ówczesnej historii oraz stan

(2) Przejmująca spowiedź swoich 22 lat życia, spowiedź młodego Francuza w połowie XX wieku wydał Mourre w rok po głośnym skandalu w Notre-Dame, pt. *Malgré le Blasphème*, Julliard 1951.

emigracji wewnętrznej głębokiej prowincji bretońskiej za Rewolucji i cesarstwa. Wielka historia szła mimo młodego Lamennais, był odcięty od rzeczywistości własnego narodu, dobrowolnie odcięty. Nawrócony mając lat dwadzieścia, wyświęcony na księdza, pomimo woli, mając lat trzydzieści cztery, postanawia stłumiwszy wszystkie wątpliwości poddać się dyscyplinie kościelnej.

„Jestem i mogę być na przyszłość, tylko nadzwyczajnie nieszczęśliwy — pisał do starszego brata, też księdza, który go do kapłaństwa skłonił. — Pragnę jedynie zapomnienia pod każdym względem, i oby Bóg dopuścił bym sam mógł o sobie zapomnieć... jedyne co mi zostaje to urządzić się jako tako i zasnąć u stóp tego słupa do którego przytwierdzono łańcuch”.

Ale spać Lamennais nie umiał, zbyt dużo miał darów umysłu i serca, za wiele energii, ambicji i dumy nagromadzonych od lat i niewyzyskanych; przyjął swój los, podjął służbę wiary i Kościoła. Stąd powstało jego głośnie 4-tomowe dzieło apologetyczne *Essai sur l'Indifférence en Matière de Religion*, wiek męski był dla niego krótkotrwałym wiekiem sławy.

„Nie wiedzą co to jest książka? — No, to się dowiedzą!” — pisał do Sainte-Beuve'a. Porównywano go do Bossueta, do Pascala; Chateaubriand zabiegał o jego przyjaźń i współpracę w rojalistycznym piśmie *Drapeau Blanc* („Urodziliśmy się na tej samej skale...”), Joseph de Maistre, na kilka dni przed śmiercią, przeczuwając niebezpieczeństwo uprzedzał nazbyt śmiałego księdza: „Allons doucement, Monsieur l'Abbé — pisał — j'ai peur... Nie tak prędko... lękam się, to wszystko co mogę powiedzieć...”

W 1830 Mickiewicz w Rzymie zaczytywał się w *Essai sur l'Indifférence* a w kilka miesięcy później poznał samego autora w Paryżu.

Rewolucja lipcowa odmieniła doktrynę księdza Lamennais: już nie królowi i papieżowi miał służyć, ale ludom pod władzą papieską. Hasłem jego dziennika *L'Avenir*, który zaczął wychodzić zaraz po przewrocie lipcowym, było *Bóg i Wolność*. Legitymiści i gallikanie wystąpili do otwartej walki z pismem i jego redaktorem. Rzym potępił tezy wolnościowe *Avenir* a także głoszone w piśmie samostanowienie narodów i rozdział Kościoła od Państwa jako „błuzniercze i zgubne propozycje”. W dwa lata później, po wydaniu *Paroles d'un Croyant*, drobnej broszury napisanej pod wyraźnym wpływem *Ksiąg Pielgrzymstwa*, broszury o niebywałym rozgłosie i niespotykanych dotychczas nakładach, Lamennais wystąpił z Kościoła. Najwyższy urząd apostolski, który służył przez lat blisko dwadzieścia stał mu się nienawistny a katolicyzm martwą i nieprzydatną już dla ludzkości formą, przewyciężonym etapem „religii odwiecznej”. Człowiek cierpiący, ludy wyzwalające się spod władzy tyranów miały zbawić świat, one miały być Mesjaszem nowych czasów.

Zrzuciwszy suknię duchowną odzyskał Lamennais niezależność myśli i działania. „Wzywają mnie odtąd — pisał do przy-

jaciela — zadania prostsze i bezpośrednie... Idźmy na całego w politykę, wyzwalamy chatę ubogiego a Bóg sam zajmie się wyzwoleniem swoich świątyń”.

W tym odcięciu spraw doczesnych od spraw Bożych, w tym odrzuceniu świata mistyki religijnej, odrzuceniu tego wszystkiego co wybiegało poza problemy polityczne, upatruje Mourre węża dramatu Lamennais.

„Pomylenie walki politycznej z walką religijną było istotą jego błędu. Lamennais zapoczątkował to, co będzie, być może, nazwane herezją czasów nowożytnych: wykład doczesny nauki ewangelicznej, zastąpienie rewolucją społeczną mistycznej rewolucji krzyża” (str. 173).

Wyzwolenie chaty ubogiego i świątyni Boga może być dla chrześcijanina tylko jedną służbą, inaczej nie jest już chrześcijaninem.

„Bo o jakie chodzi zbawienie?” — pisze dalej Mourre. — „Ostateczne nadzieje Kościoła są wyrzucone poza historię, nadzieje Lamennais były zawarte w planie ziemskim, w czasie ludzkim... Pomiędzy chrześcijaństwem a religiami świeckimi naszych czasów (demokracją, komunizmem) leżą obszary świata nadprzyrodzonego” (str. 231-233).

Niebezpieczeństwo wyboru pomiędzy chatą ubogiego a służbą Bożą stanęło również przed księżmi Misji Robotniczych we Francji. Niektórzy z nich, przestawszy odprawiać mszę i głosić słowo Boże, wybrali zdecydowanie walkę klasową, akcję polityczną, zmianę ustroju — jako cele pierwsze. Wedle ich własnych wypowiedzi, pełni złudzeń co do sprawiedliwości świata komunistycznego, widzieli wojnę, głód, wyzysk i rozpacz tylko w świecie kapitalistycznym. Wychodzili z założenia, że bez jakiegoś minimum materialnych warunków, żadne życie duchowe nie jest możliwe, że człowiek głodny nie może wierzyć w dobroć Bożą (3).

„Tak rozumując” — słusznie zauważa Raymon Aron — „nie należało nieść dobrej nowiny niewolnikom, zanim walki klasowe nie zniosły niewolnictwa” (4).

Tych doznań mistycznych, tych nadziei na „świętych obcowanie”, dogmatu, który Lamennais co dnia przez lata w *Credo* wyznawał, znajdujemy u niego w miarę lat coraz mniej, stąd nieustanne dążenie tego samotnego i zawsze uczuciowo nienasyconego człowieka do znalezienia wyjścia w ludzkim porozumieniu, w „społecznym obcowaniu”, stąd jego coraz wyłączniejsze ambicje polityczne.

„Idźmy na całego w politykę... Bóg sam zajmie się wyzwoleniem swoich świątyń”.

(3) *Les Prêtres Ouvriers*. Documents. Les Editions de Minuit, Paris 1954.

(4) *Koniec Wieku Ideologii*. Biblioteka „Kultury”. Tom XIV, Paryż 1956, str. 276.

Po zejściu się Mickiewicza z Towiańskim przepowiadano mu, że pójdzie drogami Lamennais, poeta odciął się wtedy kategorycznie od dawnego przyjaciela: „Różnego zawsze byliśmy ducha — pisał do gen. Skrzyneckiego w 1842 roku — Lamene fundował wszystko na rozprawianiu, polemice, zabiegach etc., był to suchy racjonalny teolog. Wiarę cudami i krwią i Zmartwychwstaniem Zbawiciela ugruntowaną chciał on dziennikami broszurami i zakładaniem towarzystw politycznych dobudowywać...” Sąd to był celny, mimo że jednostronny. Mourre ze swej strony stosuje do Lamennais słowa Napoleona: „Nie widzę w religii tajemnicy Wcielenia, ale tajemnicę porządku społecznego”. (*Je ne vois pas dans la religion le mystère de l'Incarnation, mais le mystère de l'ordre social*).

Znaczenie Lamennais, wpływ i promieniowanie jego myśli trwało tak długo póki był członkiem Kościoła i księdzem, wtedy garnęli się do niego nawet bezwyznaniowcy w nadziei, że im wskaże drogę do społeczności wiernych. Jako ksiądz-odstępca stał się jednym z wielu ówczesnych reformatorów społecznych i doktrynerów rewolucyjnych, których pełno było w Paryżu. Głos jego zaginął w gwarze tamtych głosów, ale pozostała mu niezaprzeczona siła, dar proroczy, rzadka przenikliwość spojrzenia w przyszłość. W dziedzinie religijno-społecznej był jednym z wielkich wizjonerów XIX wieku, podobnie jak Marks w dziedzinie społeczno-politycznej. Ogłoszenie nieomyślności papieża, upadek jego doczesnej władzy, rozdział Kościoła od Państwa, pogodzenie Kościoła z demokracją — Lamennais przewidział to wszystko, przewidział też konieczność nieuniknionych reform w Kościele, a sam stał się zapowiedzią wielkiej pokusy współczesnych katolików, pokusy przedstawienia hierarchii wartości w imię współdziałania z komunizmem: przedtem rewolucja, potem Bóg.

Maria CZAPSKA

Nowości poetyckie

Zbiór wierszy Adama Czerniawskiego, *Połowanie na jednorożca* (1), wydany z wielkim smakiem przez Oficynę Poetów i Malarzy, przypomina dwie sprawy warsztatu poety. Mam na myśli wykorzystywanie kultury i jej

(1) *Oficyna Poetów i Malarzy*, Londyn 1956

skrótów jako materiału lirycznego i trudny problem wyznaczenia granicy w słowie pisanym, przebiegającej pomiędzy poezją i prozą.

Większość wierszy nasuwa myśl o nie kończących się neo-klasycznych dekoracjach, ukazywanych nam przez dyrektora teatru. W obfitości „klawiszy, szeptów, altan, fletów złotopiewnych, żagli, płyt marmuru i złotowijnych włosów” przepadają i idą na marne intencje autora, aby jednym słowem, czy zwrotem, celowo anachronicznym, wywołać zderzenie dwu światów. Niestety, słowa, którym Czerniawski powierza obnażanie bladego świata gipsowej Arkadii są równie blade.

Tomik zawiera jednak kilka wierszy zbudowanych nie na kulturze i lekturze, lecz na emocji, jak np. *dulce et decorum*, gdzie sarkazm poety odziany najpierw (i celowo) w mdłe boguojczyźnianości wybucha na koniec bolesną pointą.

DULCE ET DECORUM

O mamó i orkiestra i generalowie
wodzowie inkrustowani złotem medali
w imieniu poległych hold przyjmowali
i ksiądz święcił groby i O mamó jak
on cudnie mówił o makach czerwonych
przesyconych krwią polską wylaną pod
Narwikiem i na San Domingo i wiesz
co? ja się rozplakałem i Basia też.

potem zagrali marsza — tyle ślicznych
mundurów mam O — i wiatr sztandarami
zatargał, zadzwoniły złote krzyże,
lud schylił głowy jak złoty lan zboża
i zanucił: O boże, coś kraj nasz przez
wieki zaślepiął, zlituj się nad nami. (str. 33)

Daleko od mitologicznych inkrustacji odbiegły również takie wiersze, jak *Obchód* i *Dom*. Liryka tych wierszy jest przekonująca i świadczy o tym, iż Czerniawski rozumie potrzebę odinniania codziennej wizji rzeczy — a nie tylko wplatania „uroczych” słów. Tutaj jednak zagraża poecie prozaizm, wkradający się pod pretekstem obiektywizacji lirycznego doznania.

... „To wszystko szarada wspomnień,
wrażeń, przeczytanych wierszy,
zastyszanych rozmów
i widzianych filmów...” (*Dom*, str. 37)

Poetę zastąpił na chwilę... krytyk, czy nawet socjolog. Najszcześliwiej udało się autorowi zrównoważyć dane językowe i piękną atmosferę gorzkiej młodości w *Wakacjach nad morzem*.

Należy się spodziewać iż dalsze wiersze sprecyzują linię poszukiwań Czerniawskiego, nie mówiąc już o tym, że praca nad wierszem pozwoli mu w przyszłości uniknąć błędów językowych.



O ile utwory pierwszego spośród omawianych autorów pisane były piórem ścisłym, o tyle, czytając tom Jerzego Niemojowskiego, *Żrenice* (2), mamy wrażenie iż wiersze swe napisał „zbyt głośno” i co gorzej, słowami pochodzącymi z rozmaitych rejestrów, zarówno emocjonalnych jak i językowych.

- ... *tylko kto z was określi/ wyporność błędu* (str. 23)
 ... *Białowłosa, czyli wolno nam*
dyskontować czas o lata skonań? (str. 26)
 ... *Bez twoich słów nic implikuje nic, wszystko implikuje nic...* (str. 49)
 ... *Kto Senatam Populumque uczył, jak napuszczać krewią*
śnieg niepokalany —
w jakim kontekście, i w jakim sensie? ... (str. 55)

Słowa te, podkreślone przeze mnie, są nieodzowne pod piórem technika czy buchaltera i tam jest ich miejsce. W wierszu są prozaizmami. Czasem zresztą autor zgęszcza je, jak np. w pierwszej strofie tomu :

*„W czasie zanikłej rzeźby, wklęsłego myślenia,
 które wytwór przez dłonie, co wszczęły go, kładzie,
 nie szukaj w ciałach żądań tego przewężenia,
 po którym ręce dotarć zślizgną się w rozkładzie...”*

i wtenczas otrzymujemy zbitkę słów, wprawdzie polskich (z wyjątkiem „zślizgną”) ale jakby wyspanych z zepsutej maszyny cybernetycznej.

A przecież poezja to mowa, poezja polska to polszczyzna. Aby móc pisać wiersze po polsku trzeba wpieryw poznać ten język. To minimum, o które aż wstyd upominać się recenzentowi. A tymczasem Niemojowski pisze :

- *wiersz czai (?) od lśniących posadzek...* (str. 23)
 ... *a potem chodzili, godzili za dnami...* (str. 25)
 ... *urzędniku magistracki, który (sic) wydał przepustkę...* (str. 46)
 ... *kto czarny włos dotykał z innym skowytem...* (str. 51)

Bywa jednak, że poeci, pomimo prozaizmów i chropowatości języka piszą dobre wiersze. Zdarza się to wówczas, kiedy wizja ich, kiedy świat doznań (skąd wypływa wiersz) jest światem oryginalnym, autentycznym. Tom Jerzego Niemojowskiego nie przekazuje nam tych wartości. Jest ciżbą strof, czy nawet linijek nie powiązanych lirycznie. O nieautentyczności wierszy zawartych w tomie świadczy również zbyt widoczna obecność wpływów obcych. I tak *Ballada o złym pragnieniu* jest napisana „pod” Leśmiana (... „Przyjdź tu do mnie, włosami na kolana się zarzuć/ niech cię kocham jak dziecko, niech cię kocham jak starzec... Czy masz włosy jak żywe w obnażonym bezwładzie/ i czy umiesz pokąsać, czy potrafisz mnie zabić?...). Podobnie druga część *Besa me, mucho* napisana jest ze znajomością wiersza Miłosza *Biedny Chrześcijanin patrzy na getto*. („suche” wyliczanie rzeczy). W *Białym poemacie* Niemojowski używa słów piosenki legiono-

wej, „Wróć, ucałuj”, powierzając im funkcje zaśpiewu — tak samo jak to uczynił Miłosz, z tymi samymi słowami, w swej *Kolysance* („Ocalenie”, str. 35).

Dwa, trzy piękne obrazy jak np. „Białowłosa: siny kolor lnu/ nie złoto, nie modna platyna”, lub, kiedy pisze o zmarłej: ... „Kto wywabi ołów spod oczu, grynszpan spod kolan, spaloną miedź ze stóp/ i odda pierścionom kierunek?...” nie uratują tej książki. Może następny tom, piąty z kolei, zawierać będzie więcej poezji?



Nowy tomik Czesława Bednarczyka, *Obręcze* (3), wydany luksusowo i zdobny w piękne linoryty (Kruk i lis!) Tadeusza Piotrowskiego, przynosi dwanaście prostych i łatwych wierszy.

... Rymy od wróbbli,
od wiatru rytm biorę,
mieszam je z mową codzienną
i zawijam w brzożową kórę... (Sekret, str. 10).

Takie jest credo, taki jest — jak sam wyznaje — sekret twórczości autora *Obręczy*. Połowa wierszy tworzy właściwie jeden utwór, mówiący o drobnej, skromnej radości pisania.

„Gospodaruję na kółku zwrotekach,
uprawiam rytmy i rymy,
a że piaszczyste wiersze, więc mało
zbieram poezji na zimę... (Zagroda, str. 17).

Rzeczą recenzenta nie jest budzenie ambicji, musi jednak zauważyć, iż tego rodzaju minimalizm twórczy nie licuje z powołaniem poety, lub jeśli kto woli z zawodem pisarza. *Fragment ulicy w słońcu* i *Wiosna w mieście* są nieśmiałyimi próbami wyłączenia z wiersza obecności autora (w pierwszej osobie). *Słownik* odbija od reszty wierszy swą „łobuzerską” dykcją à la Gałczyński. Wiersze proste, aż za bardzo „nieuczone”.



Romantyka (4) Jerzego de Nisau jest zbiorkiem-pamiętnikiem, w którym obok wiersza imieninowego natrafiamy na wiersze patriotyczne, religijne i historiozoficzne. Jest też opis „sławnej szarzy kozaków sybirskiej Brygady Kozielowa pod Strzegowem”, kończący się rozważaniem na temat Sommosierry, Napoliona i Polski. Jeszcze jeden dokument do teczki z napisem „Leki ludzi zagubionych”.

M. PANKOWSKI

Książki ukraińskie

Poeta, nowelista i uczony (antropolog) Rostysław Jendyk stanowi niewątpliwie jedną z barwniejszych postaci ukraińskiego Parnasu. Bujny, koczacki temperament pchał go już nieraz w rozmaite skrajności — ślady tego pozostały w różnych pismach poświęconych różnym sprawom, wśród których jednak sprawa ukraińska jest zawsze na pierwszym miejscu. Ostatnio, obok poezji którą uprawia nadal, Jendyk wydał studium o D. Doncowie, i ideologię ukraińskiego nacjonalizmu, oraz tomik, który najlepiej chyba określić mianem prozy poetyckiej pt. *Słowo do braci*. Choć Jendyk może i nie czytał nigdy *Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego*, to jego *Słowo* robi na czytelniku polskim wrażenie dziwnie bliskie. Oto kilka cytat, które podkreślają zbieżności:

„Dopóki byliśmy w Ukrainie, wszystko wydawało się nam cudowne. Ale teraz, na obczyźnie, słabsi i mniej świadomi spośród nas ślepo podziwiają obce nowości i gardzą swoim, niby sroki przyczepiające sobie pawie pióra... ..nie przysłuchujmy się cudzym mądrościom, bo ich nauka, to przede wszystkim dobrze ugruntowane sobkostwo, następnie będą to łudziciele naszych dusz, złodzieje naszego ducha, abyśmy dobrowolnie włożyli szyję w jarzmo, ciągnęli je i nie buntowali się... O, wiem, że nasze zwyczaje i obyczaje wydają się obcym barbarzyńskie. Miejmy odwagę zostać barbarzyńcami! ...Nauczmy się jednego: chcąc wyzwolić Ukrainę? Wyzwól dla niej siebie od siebie samego!”

Ta opozycja wobec krajów Zachodu, w których znaleźli się emigranci, mniej podbudowana ideologicznie niż u Mickiewicza, tłumaczy się zapewne analogicznymi warunkami emigracji. Podobne też nawoływanie do zgody wśród emigrantów:

„Wszyscyśmy synowie jednej Matki-Ukrainy, wszyscyśmy bracia i siostry, więc skąd wzięły się między nami głosy: to Galicjanin, a to wschodniak? Niech takie rozróżnienia staną się dla nas śmiertelną obrazą, a kto używa takich słów — grabarzem narodu albo co najmniej podejrzanym. To wrogowie wymyślili ten podział na naszą zgubę... Wszyscyśmy jednej natury i jednego ducha, różnią nas tylko cechy lokalne — różnaitość zwyczajów, przyzwyczajień, wymowy, gwary i stroju... Czy strzelcy (w 1915 roku) nie wieńczyli się kaliną nad Dnieprem i czy Kozacy nie stali pod Lwowem? ... O biada, trzykroć biada, że tak nikczemniejemy teraz! Jakież dzieci narodzą się z nas?”

Odmienne od Mickiewicza echa wywołane są zapewne zmienioną atmosferą międzynarodową, która widać nie sprzyja ideałom braterstwa ludów :

„Sąsiedzi-cudzoziemcy — to nasi dziedziczni wrogowie i pobądźmy się naszej uczuciowości wobec nich, nie szukajmy wśród nich cnót, nie oślepiamy się hasłami o braterstwie !... Bądźmy dumni widząc ich. Ale niech to będzie nie duma wyzwolenicza wobec pana, ale duma władcy, który nienawidzi wroga, z którym się nigdy nie pogodzi... Tylko przez nienawiść do wrogów pozostaniemy narodem pośród narodów ziemi.”

Jednakże nieco dalej, Jendyk wysuwa jako misję Ukrainy połączenie narodów południowo-wschodniej Europy, Kaukazu i Bliskiego Wschodu w duchu chrześcijańskiej syntezy między Grecją a Zachodem :

„Pierwiastki naszego ducha są te same, które zostały wydzwinięte w zachodniej Europie przez rozmaite ruchy wyzwolenia duchowego, które nam są tak drogie i które tak okrutnie niszczyło moskiewskie prawosławie : swoboda jednostki, tolerancja, sprawiedliwość społeczna, itd.”

Jendyk podkreśla więc zachodniość Ukrainy i jej misję łączenia Wschodu z Zachodem. Tej misji, której początek widzi w łączności tradycyjnej kościoła na Ukrainie z Rzymem i z Bizancjum zarazem, nadaje on nazwę „mitu św. Andrzeja” apostoła, który według legendy ochrzcił Ukrainę. W ciągu stuleci tego mitu nie udało się zisić

„przez polską ślepotę i moskiewską nietolerancję... Polacy, związawszy ideę religijną ze swoją państwowością — jeszcze dalej — z polityczną ekspansją, niweczyli ją i ciągle jeszcze i dziś niweczą, zaprzeczając odrębność obrzędu, odrzucając tolerancję i swobodę polityczną i tworząc takich moralnych pokurczów, którzy sprzedawali wielkoobszarnikom dusze za kańczug, za szmat ziemi albo nawet za dzienną miarkę mleka dla dzieci”.

„Tak Polska stanęła w historii poprzez stulecia nie jako twierdza czy raczej latarnia morska kultury zachodniej i katolicyzmu, ale jako symbol zbrodni, grabieży i gwałtu, a przez to przyniosła chrześcijaństwu nieobliczalne szkody, gdyż jej granice były równoznaczne z hańbą katolicyzmu”.

Nie jest to bardzo dla nas pochlebne, można się tylko pocieszyć, że o Rosji wyraża się ukraiński autor o wiele gorzej. W każdym razie, warunkiem owego mitu św. Andrzeja, jest łączność z Zachodem :

„Mit św. Andrzeja ! Dla niego potrzeba nie tylko narodowych szat i narodowego ducha, ale i takiej wszystko obejmującej organizacji, wśród jakiej wszystkie narody znajdowałyby oparcie, pomoc i pociechę. Żaden kościół narodowy już z samej swojej natury nie może być taki. Kościół musi być uniwersalny, aby nie zamienić się w lokalno-parafialny... Innymi słowy, mit św. Andrzeja znajdzie swe osiągnięcie dopiero wtedy, gdy odrębność Ukraińców ... znajdzie współdzwicznosc w wyższej jedności z Zachodem i z jego głównym pojęciem : Ordo !”.

Jak ta współdzwicznosc da się urzeczywistnić przy jednoczesnej nienawiści do zachodnich gospodarzy emigracji i do sąsiadów, nie wiadomo.

Ale żaden mesjanizm niekonsekwencjami się nie przejmował, zresztą można wątpić czy ta próba mesjanizmu będzie miała taki oddźwięk jak próba mickiewiczowska z jej nienajkorzystniejszymi ostatecznie skutkami: czasy są inne. Jendyk przy całym swym rozmachu nie jest Mickiewiczem, pomijając już to, że na Księgi Narodu książeczka jest za długa: 191 stron.



Literatura każdego narodu posiada jakiś „genre” w którym celuje: jest truizmem, że Francuzi nie mają Szekspira a Anglicy Racine’a. Jednym z rodzajów literackich w którym celują Francuzi jest też nowela, za jej typ można by przyjąć nowele Maupassanta. Czy nowela istnieje w literaturze polskiej? Rzecz co najmniej wątpliwa. Miałem okazję asystować przed kilku laty przy próbach zrobienia wyboru noweli polskiej w języku niemieckim i przekonałem się, że nie jest to łatwe: brak nowel. Wniosek z tej próby był, że można wydać zbiór polskich opowiadań, ale nie polskich nowel.

Toteż z ciekawością brałem do ręki zbiór zatytułowany „Zbirka ukraińskich nowel”, próbując przyłożyć do nich kryteria Maupassanta i porównując je z nowelami polskimi. Prawda, że wybór (dokonany przez nienazwane osoby) był o tyle łatwiejszy, że ograniczono się do noweli współczesnej. Mimo to większość utworów w zbiorze waha się między nowelą a opowiadaniem, autor wstępu, prof. Hlobenko, zatytułował zresztą przezornie swe studium: „Opowiadania w prozie ukraińskiej 20-go stulecia”. Nowela nie jest opowiadaniem, jest obrazkiem, wycinkiem życia, urwanym nie raz w momencie najbardziej dramatycznym, jak na przykład w historii naszyjnika opowiedzianej przez Maupassanta (pewien autor amerykański dorobił do niej zakończenie, dowodząc tym, że nie wie co to jest nowela).

Spróbowałem pod powyższym kątem widzenia sklasyfikować przeszło trzydzieści utworów zawartych w zbioru. Rezultaty były dla mnie samego nieoczekiwane: na pierwszym miejscu nowela naprawdę znakomita pióra J. Janowskiego, autora sowieckiego i zmarłego niedawno w Sowietach, nowela nie mająca zresztą wiele wspólnego z życiem sowieckim. Co dziwniejsze na drugim miejscu znalazł się Bohdan Łepki. Nowele Łepkiego czytałem kiedyś jako uczeń liceum w Warszawie, wydały mi się wówczas raczej pretensjonalne, być może również, że i ich tematyka, wojna i spustoszenia wojenne, była dla mnie wtedy odległa. W każdym razie nowelka „Dzwony”, obejmująca niecałe 6 stron, zasługuje na wyróżnienie szczególnie za efektowne zakończenie (pod wpływem przekleństwa księdza, żołnierze zdejmujący dzwon z dzwonnicy puszczaają sznury i dzwon spada zabijając podoficera-świętokradzcę, który kazał go zdejmować).

Z innych nowel warto podkreślić słuszenie cenioną „Święty Mikołaj w areszcie” Czeremszyny, opowiedzianą na pięciu stronicach historię zabrania świętego obrazu przez egzekutora, z nieoczekiwanym finałem: „Mamusi, gdzie święty Mikołaj?” — „Święty Mikołaj w areszcie”.

Tragiczne lata terroru sowieckiego odzwierciedlają się w większości utworów. Najlepiej pod względem nowelistycznym przedstawia się z nich „Sztandar Finlandii” Leonida Połtawy (5 stron), rzadki przykład udanej noweli patriotycznej: rzecz dzieje się podczas wojny z Finlandią, tankista-Ukrainiec ujrawszy zabita dziewczynę, fińską-snaiperkę, zaczyna się zastanawiać po raz pierwszy: a jaki to jest nasz ukraiński sztandar?

Inne utwory z kategorii patriotycznych to opowiadania raczej niż nowele, można z nich wyróżnić „Mały” J. Łypy oraz „Kubańska kozaczka” F. Dudki, ale tego rodzaju opowiadania znamy doskonale chociażby z Mała-

czewskiego. Równie swojska będzie dla czytelnika polskiego opowieść „Jabika”, przedstawiająca po sienkiewiczowsku przygody miłosne kozaka.

Nie nowelą ale długim opowiadaniem, zresztą i ciekawym i udanym, jest „Zwierzę” Slisarenka, z okresu głodu na Ukrainie. Z tego samego okresu pochodzi też znakomita w swym opisowym obiektywizmie nowela A. Lubczyński „Kostriha”.

Nie zasługiwały na włączenie do zbioru utwory Mosendza i Halana, ten ostatni zmarnował dobry temat: cichy buchalter okazuje się przywódcą antysowieckich partyzantów.



Vira Vovk jest poetką pochodzącą z Galicji a zamieszkałą w Rio de Janeiro. Ostatnio ukazał się nowy tomik jej poezji „Zorja providna”, zawierający szereg delikatnych, kobiecą ręką rysowanych wierszy-obrazków. Uderza w nich przede wszystkim tęsknota za ojczyzną, cecha którą polska poezja emigracyjna powoli traci, ale która charakteryzowała poezję emigrantów w latach 1939-1945. Należy tu, być może, przypomnieć, że emigracja zaczęła się dla Ukraińców „dopiero” w 1945.

Ta sama autorka wydała książeczkę prozy poetyckiej *Legendy*, zawierającą szereg opowiadań o motywach religijnych umieszczonych w epoce współczesnej. Tak więc w „Legendzie Bożego Narodzenia” stary dziad Józef uciekając ze spalonej wioski z dziewczyną Marią znajduje w górskiej kolibie dzieciątko. Na to przychodzą trzej pasterze i składają dzieciątku hołd i dziad już sam nie wie, czy nie jest Józefem z Ewangelii a dziewczyna Marią.

W innej legendzie dumowaty Chrystofor-Krzysztof napotyka kapliczkę z Dzieciątkiem i bawi się z Nim, robi mu postoly z orzecha, aby nie zmarł, rzeźbi mu toporek itd. Za to w zimie, gdy Chrystofor zachorował, Jezus przyjeżdża po niego saniami i zabiera ze sobą. Ale te suche streszczenia nie mogą oddać delikatnego uroku legend, mógłby to uczynić jedynie poetycki przekład i taki przekład na język polski byłby ze wszech miar pożądanym.

(AV)

Przegląd czasopism ukraińskich

Omawiając w nowojorskim miesięczniku „Novi Dni” książkę P. Maljara „Chlib” Jurij Klynovj zastanawia się nad „przekleństwem małej formy” która ciąży nad ukraińską literaturą i nad ukraińskim życiem w ogóle. Małą formą, zdaniem Klynovego, są na przykład nowele, bajki itp.; również powieści ukraińskie pisane są w formie noweli, jak na przykład utwory Kociubynskiego „Fata Morgana” i „Cienie zapomnianych przodków” a także,

ostatnio, powieść Maljara. Wprawdzie Ukraińcy stworzyli „jedną z najpiękniejszych literatur małej formy w świecie”, wprawdzie bajki i pieśni ludowe ukraińskie są unikatem w światowej literaturze, ale na skutek braku wielkiej formy, jak powieść i dramat, literatura ukraińska nie dostała się na rynek światowy, co zresztą — dodaje autor — nie jest żadną tragedią.



Znany czytelnikom „Kultury” Iwan Łysiak-Rudnyckiýj ogłosił w *Literaturnej Hazecie* artykuł poświęcony wydawnictwom Instytutu dla badania kultury ZSSR w Monachium. Autor zastanawia się dlaczego wszystkie podstawowe wydania tego instytutu drukowane są po rosyjsku, nawet jeśli poświęcone są problemom ukraińskim. Tylko drugorzędne prace poświęcone Ukrainie drukują się po ukraińsku. Czyżby język rosyjski był dla ukraińskich współpracowników Instytutu językiem międzynarodowym?, zapytuje Łysiak-Rudnyckiýj. Taki fakt zrozumiały jest w Sowietach, gdzie już dawno minęły czasy, kiedy to Akademia gruzińska w Tyflisie korespondowała z akademią w Kazaniu po francusku...

Tym samym problemem zajmuje się W.P. Stachiw w monachijskim dwutygodniku *Suczasa Ukraina*, omawiając książkę dyrektora Instytutu Jakowlewa, poświęconą obozom sowieckim. Pomijając już to, że Jakowlew ukraińską literaturę przedmiotu cytuje jako literaturę rosyjską (!), przemilcza on również całkowicie kwestię narodową w obozach, mimo iż powszechnie wiadomo, że Rosjanie stanowią zaledwie 8 procent więźniów, podczas gdy przedstawiciele narodów bałtyckich i kaukaskich stanowią razem 30 procent, a Ukraińcy 45 procent. Skład narodowy obozów jest najlepszym dowodem, że kwestie narodowe w Sowietach istnieją, wbrew twierdzeniom rosyjskich „niedielimców”.



W sowieckim piśmie *Woprosy Istorii* ukazał się artykuł poświęcony sowieckiej historii Ukrainy. Artykuł ten jest w pewnym sensie sensacją, jako że potępia „nihilizm polegający na ignorowaniu najlepszych narodowych tradycji” narodów ZSSR, potępia ukraińskich historyków sowieckich za to, że „autorzy makiety drugiego tomu ‘Historii Ukraińskiej’ tak skrócili materiał z historii samej Ukrainy, że konkretna odrębność rozwoju narodu ukraińskiego znikła niemal zupełnie”. Wieloletnie przeróbki tego tomu nie zawsze podwyższały jego jakość i ograniczały się głównie do tego, by uniknąć kwestii spornych i zapobiec tym wszelkiej możliwej krytyce.

Również sensacyjne jest stwierdzenie, że sowieccy historycy Ukrainy nie powinni ignorować prac swoich „burżuazyjnych” poprzedników. „Jest niedopuszczalne, że w niemal wszystkich monografiach które wyszły w Ukrainie w ostatnich latach, czytelnik nie znajduje analizy dotychczasowej literatury problemu”.

Równie niespodziewane jest żądanie pisma, by historykom umożliwić dostęp do archiwów: „zasoby archiwów sowieckich i partyjnych są mało znane i wykorzystywane jak najgorzej. Wyjaśnić to należy częściowo tym, że obowiązujące przepisy utrudniają pracownikom dostęp do archiwów”.

Niemniej ciekawy, niezależnie od motywacji, jest następujący punkt: „Historycy sowieccy marnie znają literaturę z historii Ukrainy, która jest publikowana zagranicą”... „w krajach kapitalistycznych wydaje się książki reakcyjnych historyków angielskich i amerykańskich oraz ukraińskich burżuazyjnych nacjonalistów, w których oświała się deformująco historię narodu ukraińskiego w duchu antyradzieckim. Ważne jest dawać systematycznie odprawę burżuazyjnym falsyfikatorom Ukrainy”. Nie jest to wiele, ale nawet przyznanie, że zagranicą ktoś się Ukrainą interesuje, coś znaczy.

Ze artykuł powyższy jest inspirowany z góry, świadczy najlepiej taki fragment: „część kierowników instytucji naukowych ogarnia popłoch, gdy chodzi o publikację produkcji naukowej...” Trzeba „likwidować elementy strachu” i wykazać „prawdziwie naukową śmiałość”...



Ekspedycja archeologiczna instytutu nauk społecznych lwowskiego wydziału Akademii Nauk Ukrainy przeprowadziła trzymiesięczne prace wykopaliskowe na Wysokim Zamku we Lwowie. Odkryto obiekty użytku domowego, dowodzące istnienia już w XI wieku osiedli na terenie dzisiejszego Lwowa.



Polesie ma być przekształcone na okręg rolniczo-przemysłowy. Główną bazą energetyczną ma być torf, którego zapasy oblicza się na miliard ton, jak również węgiel dostarczany z zagłębia lwowsko-wołyńskiego. Obok jednej lub dwu wielkich elektrowni poruszanych węglem wołyńskim, ma być zbudowana cała seria miejscowych elektrowni poruszanych torfem. Planuje się osuszenie 4.300.000 hektarów błot, z czego jedna piąta przypada na terytorium sowieckiej Ukrainy, a reszta na sowiecką Białoruś.



Jak podaje „Ukrainske Slovo” z Paryża, na posiedzeniu najwyższego sovietu ukraińskiej SSR poświęconego budżetowi na rok 1956 przemawiał delegat deputowany okręgu Drohobycz, Babijczuk. Z jego przemówienia wynika, że brak jest wody do picia nie tylko w stepowych okręgach Ukrainy, ale i w podgórskim Drohobyczu i Borysławiu.

„Na zakończenie tow. Babijczuk zwrócił się do rządu z prośbą przyspieszenia rozwiązania zagadnienia zaopatrzenia w wodę Borysławia, Drohobycza, Truskawca i Stebnika. Prosi o wyznaczenie funduszy na budowę szpitala okręgowego i zakończenie budowania Gmachu Kultury w m. Drohobyczu. Ministerstwo ochrony zdrowia powinno poważnie poświęcić uwagę uzdrowiskom Truskawiec i Morszyn, które znajdują się w stanie krańcowego zaniedbania”.

Gazety ukraińskie sygnalizują intrygujący wzrost działalności Ukraińców znajdujących się poza granicami Sowietów, w Polsce i Czechosłowacji, być może w związku z panującą tam odwilżą.

Socjalistyczna amerykańska „Narodna Wolja” przypomina przy tej okazji, że komuniści ludzili, że uda im się to, co nie udało się Stanisławowi Grabskiemu, który odgrażał się, że w ciągu dwudziestu lat spolszczy wszystkich Ukraińców mieszkających w państwie polskim. Toteż te grupy Ukraińców, głównie Łemków, które znalazły się w Polsce po 1945 roku (głównie wysiedlone na Śląsk i do Prus Wschodnich) nie miały żadnych możliwości swobodnego rozwoju.

Niedawno jednak prosowiecka gazeta nowojorska „Karpatska Rus” podała wiadomość o zjeździe ukraińskim we Wrocławiu, na którym było jakoby aż 200 delegatów. Założono nawet „Ukraińskie Towarzystwo” i zwrócono się do władz o pozwolenie na organizowanie własnych chórów, kółek dramatycznych i komitetów. Istnieje też plan wydawania w Polsce gazety w języku ukraińskim. „Narodna Wolja” sądzi, że chodzi tu o zwykłą oficjalną imprezę komunistów, być może ma jednak rację monachijska „Suczasa Ukraina”, która omawiając te wydarzenia przypuszcza, że możemy mieć do czynienia ze zjawiskiem spontanicznym, zapewne w związku z odwilżą, a tylko skanalizowanym mniej czy więcej przez władze komunistyczne. Pismo wyraża nadzieję, że te swobody udzielone Ukraińcom mogą przyczynić się w pewnej mierze do poprawy stosunków polsko-ukraińskich.

V.

Kronika białoruska

Wśród wydawnictw Instytutu badania ZSSR należy zasygnalizować *Belorussian Review*, nr 1 i 2, wydawaną drukiem po angielsku, w przyzwoitej formie graficznej. Ostatni numer przynosi obok czysto ekonomicznych prac, jak hodowla lnu na Białorusi lub żniwa w ZSSR, także artykuły mniej technicznego charakteru jak na przykład L. Varonicza „Historia Białorusi w pracach historyków sowieckich”. Mniej więcej te same artykuły ukazują się w *Belaruskim Zborniku* Nr 3, wydawanym po białorusku, ale nie drukiem tylko na powielaczu i przedstawiającym się graficznie raczej ubogo.

Wśród ciekawszych prac umieszczonych w ostatnim numerze *Zbornika* można wyróżnić studium Lwa Haroszki poświęcone sowieckiej polityce religijnej począwszy od roku 1942. Autor, opierając się niemal wyłącznie na źródłach sowieckich, kreśli rozwój sytuacji począwszy od „edyktu” tolerancji z 1943, kiedy to związek wojujących bezbożników został rozwiązany, jak pisze, „z takim impetem, że jego przewodca, Jarosławski, zmarł nagle”.

Zdaniem Haroszki porozumienie między Stalinem a patriarchą Sergiuszem, którego prawomocność podaje zresztą w wątpliwość, odbyło się wyłączenie kosztem Kościoła. Ilustruje to fakt, że na przykład biskup Dechtiarow jest długoletnim pracownikiem Kominformu, aresztowany w Egipcie w latach 1948-1949, wypuszczony na staranie ambasady sowieckiej, wysłany do Czechosłowacji i tam wyświęcony na biskupa Prjaszowskiego (dawna diecezja greko-katolicka) w roku 1950. Podobnie w roku 1951 wysłano jako „kierownika Kościoła prawosławnego w Polsce arcybiskupa Makarego, który wsławił się likwidacją ukraińskiego Kościoła greko-katolickiego. W roku 1938 było na wolności w Sowietach wszystkiego czterech biskupów prawosławnych, dziś jest ich 65. Skąd się wzięli? W najlepszym razie, sądzi autor, udało się wydostać z więzień około 22, dziesięciu wróciło z zagranicy. Jak się wydaje, pewna ilość wyzwolonych zdążyła już umrzeć.

Z drugiej strony jednak istnieją biskupi przedrewolucyjni. Obecny patriarcha Aleksey pochodzi z arystokratycznej rodziny moskiewskiej, ukończył akademię duchowną i został wyświęcony na biskupa w 1913. Z nowo-wyświęconych po 1942 biskupów 22 ukończyło seminarium duchowne przed 1917, pięciu ma wyższe wykształcenie świeckie ale żadnego duchownego (sic!), 24 ma średnie wykształcenie duchowne, trzech ma średnie wykształcenie świeckie i żadnego duchownego, a wreszcie czternastu „nie posiada żadnego specjalnego wykształcenia, Dwudziestu dwu biskupów posiada różne sowieckie odznaczenia lub medale.

Można się zresztą poważnie zastanawiać nad wartością wykształcenia duchownego w nowych sowieckich seminariach (których jest osiem plus dwie akademie). Wiadomo, że w seminariach nie wykładają filozofii, ale za to wykładają konstytucję ZSSR, nie mówiąc już o tym, że „w dzień sowieckiej armii i marynarki wojennej etc. odbywają się odpowiednie pogadanki”... Księża prawosławnych jest wszystkiego 25.000, a ilość seminariów jest tak mała, że trzeba wyświęcać na księży ludzi bez żadnego wykształcenia duchownego, diaków, diakonów lub zwykłych pobożnych wiernych. Zresztą jest to dawna tradycja prawosławna. Ale umożliwia to oczywiście NKWD wprowadzenie swoich agentów w szeregi księży, dodaje autor (Choć równie dobrze dałoby się to zapewne uczynić poprzez seminarium).

Prawosławna cerkiew w Sowietach jest ściśle rosyjska, nawet w tak zwanych autonomicznych czy związkowych republikach jak Ukraina czy Białoruś. Wyjątek stanowią tylko tereny dawnych parafii greko-katolickich w Galicji. W roku 1944 sześciu biskupów prawosławnych, ukraińskich, nie chcąc opuścić swych diecezji, nie uciekło razem z Niemcami ale podporządkowało się patriarche moskiewskiemu. Z nich tylko jeden otrzymał diecezję, wszystkich innych aresztowano, mimo że było to w okresie największego braku biskupów. Trzeba przyznać, że aresztowano również w latach 1948-1951 szereg biskupów, którzy powrócili z zagranicy. O tych aresztowaniach oczywiście nigdy nie wspominał oficjalny „Zurnal Moskowskiego Patriarchata”.

Intrygujące są natomiast świadectwa oficjalnych sowieckich organów o wzroście wpływów religii wśród ludności, jak na przykład atak „Literaturnej Gazety” na jakiegoś absolwenta Uniwersytetu w Leningradzie i współpracownika muzeum Ermitażu, który zdał egzamin z marksizmu-leninizmu, ale był jednocześnie diakonem w katedrze. Albo też wybitny biolog i współpracownik Instytutu Ginekologii w Leningradzie, członek partii od 1942,

który odmówił wygłoszenia odczytu antyreligijnego oświadczając że jest wierzący. W okolicach Homla, podczas świąt kościelnych, ludzie nie pracują w polu, a dwie trzecie dzieci nie chodzi do szkoły. W powiecie Dawidgródek komsomolcy chodzą do kościoła i biorą śluby kościelne, gdzie indziej inżynierowie fabryczni chrzczą dzieci, zdarza się to nawet członkom partii. Na Białorusi „w szeregu miejscowości — według ślicznej formuły sowieckiej — przeżytki religijne ożywiły się nawet”, co przewodcy komsomolu przypisują w głównej mierze „propagandzie starych babek”...

◆

Ten sam numer przynosi również nieco powierzchowny artykuł M. Kulikowicza o współczesnej sztuce białoruskiej w Sowieckiej Białorusi, poświęcony zresztą głównie teatrowi. Konkluzja dotycząca teatru nie jest nieoczekiwana: jeśli chodzi o program, teatr ten mógłby się znajdować w jakimkolwiek mieście ZSSR, nic go nie odróżnia od teatru rosyjskiego. Natomiast, jeśli chodzi o malarstwo, to krytyka sowiecka stwierdza, że pejzaż przeważa nad innymi rodzajami i dodaje z żalem, że „omszałe chatki, stodoły itp. jeszcze ciągle przyciągają uwagę artystów”.

Również teatrowi białoruskiemu poświęcona jest książka Włodzimierza Seduro „The Byelorussian Theater and Drama”, wydana przez Reasearch Programme on the USSR, New York 1955, pierwsza tego rodzaju książka w języku zachodnio-europejskim. A. Karpowicz podkreśla, że choć wpływ Stanisławskiego zaważył bezsprzecznie na teatrze białoruskim, to jednak monografia Sedury dostarcza dosyć dowodów na znaczenie stylu narodowego w twórczej pracy teatru białoruskiego.

◆

Wśród wydawnictw w języku białoruskim Instytutu badania ZSSR w Monachium wyróżnia się książka M. Wołaczicza o białoruskim tkactwie ludowym „Belaruskaje narodnaje tkactwa i jaho zniszczenie balszavikami”, wydana niestety na powielaczu, ale za to zaopatrzona w 14 dość starannie reprodukowanych tablic. Obok starannych rozdziałów poświęconych technice tkackiej, barwom charakteryzującym sztukę białoruską (czerwona, czarna i biała), motywom (wyłącznie motywy geometryczne, zwłaszcza koło, symbol słońca), strojom ludowym itd., książka zawiera też studium zniszczenia tkactwa ludowego na skutek kolektywizacji.

Wbrew twierdzeniom propagandowym, tkactwo ludowe znikło dziś zupełnie na Białorusi, motywy ludowe spotkać można jedynie... na scenie lub w książkach. Ciekawą ilustracją tego jest album wydany w celach propagandowych (1.000 egzemplarzy jedynie) przez sowiecką akademię białoruską a zawierający fotografie 143 tkanin ludowych. Wprawdzie w przedmowie do albumu twierdzi się, że „dopiero epoka socjalizmu otworzyła bezbrzeżne horyzonty dla rozwoju tkaniny ludowej”, ale na 143 tkaniny zaledwie siedem pochodzi z roku 1938 (w tym portrety Lenina i Stalina), a reszta powstała przed rewolucją albo też po rewolucji.

◆

Na zakończenie jeszcze jedno wydanie tegoż Instytutu, poświęcone Białorusi, ale w języku rosyjskim, czemu zawdzięcza zapewne piękną szatę graficzną, przyzwoity format i, *last not least*, druk (a nie powielacz): N. Nedasek, *Bolszewizm w rewolucyjnym dźwignieniu Białorusii*. Jest to pracowite studium poświęcone rozwojowi partii socjalistycznych w końcu XIX wieku i aż po 1917 rok, na terenach białoruskich, a głównie w Wilnie i Mińsku. Autor podkreśla, że tradycyjne związki Białorusi z Polską sprawiły, że była ona bardziej podatna na wpływ idei socjalistycznych i demokratycznych niż Rosja. Nedasek sądzi, że na skutek większego ucisku któremu podlegali białoruscy katolicy, byli oni bardziej skłonni do przyjmowania idei rewolucyjnych niż inni. To samo tyczy się Żydów, prześladowanych przez carat ze względów religijnych. Tak więc w ruchu rewolucyjnym na Białorusi różniła on „linię polską” (*Proletariat*, później *Socjal-Demokracja Królestwa Polskiego i Litwy*) oraz żydowską (*Bund*). Rozwój partii polskich był od nacjonalizmu ku internacjonalizmowi, rozwój Bundu odwrotny: ku uznaniu autonomii narodowych. W każdym zaś razie bolszewicy byli już wówczas zwolennikami rusyfikacji, toteż popularność ich na Białorusi była znikoma, przeważała tendencja mieniszewicka.

(av)

Nadesłane nowości wydawnicze

WYDAWNICTWA EMIGRACYJNE:

BEDNARCZYK (Czesław). *Obręcze. Poezje. Linoryty Tadeusza Piotrowskiego*. Str. 24 (Wydawnictwo artystyczne Oficyny Poetów i Malarzy, Londyn, 1956).

BARKA (Wassyl). *Trojanden-Roman*. 1949/50. Eine ukrainische Liebesdichtung ins Deutsche uebertragen von Elisabeth Kottmeier. Str. 100. (Wyd. „Nagori”, Mannheim, 1956).

Adam Mickiewicz in *World Literature*. A Symposium Edited by Waclaw Lednicki. Str. 626 z indeksem i fotografiami poza tekstem. (Wyd. University of California Press, Berkeley and Los Angeles, 1956. Cena dol. 7,50).

LANGROD (Georges). *L'oeuvre juridique et philosophique de Léon Petrazycki* (Essai d'introduction analytique). Extrait de la Revue de l'Institut de Sociologie Solvay à Bruxelles. Pp. 46. (Les Editions de la Librairie Encyclopedique S.P.R.L., Bruxelles, 1957).

DE NISAU (Jerzy). *Romantyka. Poezje*. Str. 16 (Paryż, 1956).

BOJKO (Jurij prof. dr.). *Die Russischen Historischen Wurzeln des Bolschewismus*. Str. 16. (1955).

HRYSKO (Vasyl). *Experience with Russia*. Str. 179 (Wyd. Ukrainian Congress Committee of America, Inc., New York, 1956).

WYDAWNICTWA KRAJOWE

(Rok wydania : 1956)

WYDAWNICTWO „ISKRY” — Warszawa :

- MEISSNER (Janusz). *Źródło Genowefy*. Str. 219.
- MORCINEK (Gustaw). *Pokład Joanny*. Str. 463.
- RODZIEWICZÓWNA (Maria). *Lato leśnych ludzi*. Str. 181. (zł. 6,45).
- BURDEWICZ (Olgierd). *Sensacje na codzień*. Str. 226 (zł. 6,40).
- HUGO (Wiktor). *Nędznicy*, tom I. str. 413 i tom II str. 524. Przekład „Biblioteki Arcydzieł Literatury” z 1931 r. wyd. skrócone (zł. 12).
- HEN (Józef). *Cud z chlebem*. Str. 238 (zł. 7,85).
- LOVELL (Jerzy). *Są takie dzielnice*. Str. 247 (zł. 6,70).
- MEISSNER (Janusz). *L. — jak Lucy*; wyd. II. Str. 175 (zł. 7).
- WALDORFF (Jerzy). *Sekrety Polihymnii*. Str. 323 (zł. 20).
- CONAN DOYLE (Artur). *Studium w szkarłacie*, przeł. Tadeusz Evert. Str. 146 (zł. 5).
- KNOTHE (Jan). *A tu jest Warszawa*. Str. 338 (zł. 20).
- CZARNY (Jan). *Spojrzenia*. Str. 77 (zł. 2).
- INFELD (Leopold). *Moje wspomnienia o Einsteinie*. Str. 149. (zł. 6).
- OSTROWSKA (Róża). *Premiera*. Str. 254 (zł. 7,60).
- MAKUSZYŃSKI (Kornel). *Awanturna o Basię*. Str. 270 (zł. 9,50).
- HUNT (John). *Zdobycie Mount Everest*. Przeł. Jan Szczepański. Str. 363 (zł. 17).
- CZUŁA (Jan). *Z pamiętnika pioniera*. Str. 308 (zł. 6,30).
- KONWICKI (Tadeusz). *Z oblężonego miasta*. Str. 244 (7,50).
- GOŁEBIEWSKI (W.) i STROYNOWSKI (J.). *Królowie ringu i bieżni*. Str. 290 (zł. 20).
- DUMAS (Aleksander). *Hrabia Monte Christo*. Przeł. Julian Rogoziński. T. I.: str. 580; T. II.: str. 494 (T. I/II zł. 69).
- ŻAGIELSKI (Stanisław). *Wyspa codziennej przygody*. Str. 140 (zł. 7).
- TWAIN (Mark). *Królewicz i żebrak*. Przeł. Tadeusz Jan Dehnei. Str. 269. (zł. 8).
- KOSIDOWSKI (Zenon). *Gdy słońce było bogiem*. Str. 364 (17,50).
- KWIATKOWSKI (Tadeusz). *Bohater do wynajęcia*. Str. 300. (zł. 11,50).
- TAZIEFF (Haroun). *W jaskiniach Pierre Saint-Martin*. Przeł. Rafał Unrug. Str. 160 (zł. 9,50).
- ŻYWULSKA (Krystyna). *Tak zwane życie*. Str. 184 (zł. 6).
- POTOCKI (Jarosław). *Na szlakach i bezdrożach Alaski*. Str. 266, 1 mapa (zł. 12,50).
- GOJAWICZYŃSKA (Pola). *Krta*. Str. 253 (zł. 8).

WYDAWNICTWO ŚLĄSK — Katowice :

- Kalendarz Śląski na rok 1957*. Str. 288 (zł. 10).
- Dziewięć wieków Bytomia*. Szkice z dziejów miasta i ziemi bytomskiej. Pod redakcją Fr. Ryski. Str. 564 (zł. 27,90).
- Opera Śląska 1945-1955*. Praca zbiorowa. Str. 126 plus 55 str. ilustracji (zł. 16).
- KRAHELSKA (Halina). *Zdrada Heńka Kubisza*. Str. 375. (zł. 14,80).

CZYTELNIK — Warszawa :

- BONFANTI (Silvia Magi). *Nadzieja*. Przeł. R. Brandwajn i Z. Matuszewicz. Str. 334 (zł. 10,50).
- GOŁĘBIEWSKI (Eugeniusz). *Przygody królewskiego piechura*. Opowieść historyczna. Str. 215 (6,50).
- ASKENAZY (Ludwik). *Aniołek czyli samokrytyka*. Tłum. z czeskiego St. Dębski. Str. 144 (zł. 5).
- BONIECKA (Maria). *Opowieść o Justynie*. Cz. II: Domy przy szosie i cz. III: Na jarmarku odpustowym. Str. 404 (zł. 12,80).
- BOUSSINOT (Roger). *Lotnisko*. Tłum. H. Szumańska-Grossowa. Str. 404 (zł. 12,80).
- CHRISTIE (Agata). *Zatrute pióro*. Tłum. I. Kulczycka. Str. 208 (zł. 11,50).
- CHAMIEC (Jadwiga). *O Ludwiku Waryńskim opowieść*. Str. 263 (zł. 7,70).
- GÓRNICKI (Wiesław). *Trzy skandale*. Str. 213 (zł. 8,20).
- KLARNER (Janusz). *Nanda Devi*. Str. 241. (zł. 14,50).
- HEYM (Stefan). *Goldsborough*. Tłum. Roman Kutylowski. Str. 524 (zł. 21).
- DOŁĘGA - MOSTOWICZ (Tadeusz). *Pamiętnik pani Hanki*. Str. 395 (cena zł. 16,50).
- DAUDET (Alfons). *Listy z mojego młyna*. Przeł. Roman Kołoniecki. Str. 197 (zł. 4).
- KOWALEWSKI (Stanisław). *Opowiadania niemożliwe*. Str. 453 (zł. 14,40).
- MALTZ (Albert). *Dzień za krótko*. Tłum. A. Kaska. Str. 466 (zł. 14,70).
- LAGERLÖF (Selma). *Gösta Berling*. Przeł. Mirandola. Str. 427 (zł. 13,50).
- NAŁKOWSKA (Zofia). *Pisma wybrane*. Wyboru dokonał W. Mach. T. I.: str. 700, t. II.: str. 776 (Cena T. I/II zł. 63).
- ŚCIBOR-RYLSKI (Aleksander). *Styczeń*. Str. 159 (zł. 10,50).
- TOLSTOJ (Aleksy). *Emigranci*. Tłum. Ż. i S. Głowiakowie. Str. 367 (zł. 12).
- POE (Edgar Allan). *Opowiadania*. T. I. Str. 472. Tłum. z ang. St. Wyrzykowski, T. II. Str. 321. Tłum. W. Furmańczyk i inni. (Cena T. I/II zł. 40).
- ZEROMSKI (Stefan). *Dzieła*. Pod red. St. Pigonia. T. IV. Dramaty: *Ponad śnieg bielszym się stanie. Uciekła mi przepióreczka...* Str. 249 (zł. 9,50).
- ZEROMSKI (Stefan). *Dzieła*. Pod red. St. Pigonia. T. II. Dramaty: *Sułkowski. Turoń*. Str. 341 (zł. 11).
- ZEROMSKI (Stefan). *Dzieła*. Pod red. St. Pigonia. T. IV. Nowele i opowiadania: *Sen o szpadzie. Pomysłki i inne*. Str. 286 (zł. 6,80).
- MICKIEWICZ (Adam). *Konrad Wallenrod*. Str. 102 (zł. 1,70).
- ORZESZKOWA (Eliza). *Cham*. Str. 248 (zł. 3,00).
- ZWEIG (Arnold). *Intronizacja*. Tłum. W. Kragen. Str. 430 (zł. 22,50).
- UNIŁOWSKI (Zbigniew). *Wspólny pokój*. Str. 295 (zł. 8,80).
- STEINBECK (John). *Perla*. Tłum. J. Kydryński. Str. 105 (zł. 5,00).
- MELCER (Wanda). *Ulica Panieńska*. Str. 195 (zł. 8,00).
- ZAWIEYSKI (Jerzy). *Gdzie jesteś przyjacielu?* Str. 227 (zł. 7,50).
- ŻYTOMIRSKI (Eugeniusz). *Liryki*. Str. 99 (zł. 6,00).

WYDAWNICTWO „SPORT I TURYSTYKA” — Warszawa :

- PARYSKI (Witold H.). *Tatry włoskie*. Przewodnik taternicki. Cz. VIII. Str. 208 (zł. 14,50).
- NYKA (Józef). *Dolina Rybiego Potoku* (Morskiego Oka). Str. 204 plus mapa (zł. 14,85).
- BADKOWSKI (Lech). *Słoweńcy*. Str. 124. (zł. 6,75).
- Opole. Album pod redakcją A. Sylwestra. Autor tekstu : W. Szewczyk. Układ graficzny: Gwidon Miklaszewski. Str. 130 (zł. 40).
- Zieleń Warszawy*. Album. Fotografie, układ i opr. graficzne — Henryk Lisowski. Str. 240.

WYDAWNICTWA KOMUNIKACYJNE — Warszawa :

- JAWORSKI (Czesław). *Teoria trakcji elektrycznej*. Str. 304 (zł. 34,10).
- FLESZAR (Stefan). *Parowóz*. Wyd. II. Str. 336 (zł. 20,20).
- Vademecum nawigatora lotniczego*. Praca zbiorowa. Str. 400 (zł. 42,40).
- OSMYCKI (Alfred). *Mechanizacja robót telekomunikacyjnych*. Str. 224 (zł. 18,60).
- OLECHNOWICZ (E.). *Zasady ruchu samochodów i motocykli na drogach publicznych*. Str. 187 (zł. 6).
- SOLANOWSKI (J.) i LINDER (F.). *Budowa mostów*. Podręcznik dla IV kl. technikum komunikacyjnego. Str. 215 (zł. 13,50).
- SAWIELIEW (A.G.). *Poradnik maszynisty okrętowego*. Tłum. K. Cudny i M. Harańko. Str. 644 (zł. 42,50).

NASZA KSIĘGARNIA — Warszawa :

- JANUSZEWSKA (Anna). *Pyza na polskich dróżkach*. Cz. I. str. 261 (zł. 18,30); Cz. II. str. 299 (zł. 18).
- GÓRSKA (Halina). *Chłopcy z ulic miasta*. Str. 83 (zł. 5,60).
- CENTKIEWICZOWIE (A. i Cz.). *Na białym szlaku*. Str. 266 (zł. 10,80).
- KONOPNICKA (Maria). *Szkolne przygody Pimpusia Sadelko*. II. J. Czerwinski. Str. 31.
- KÓRCZAK (Janusz). *Król Maciuś Pierwszy*. II. J. Srokowski. Str. 218.
- OPPMAN (Artur). *Stoliczku nakryj się* (zł. 3,50).
- KONOPNICKA (Maria). *Franek* (zł. 3,50).
- GRUSZCZYŃSKI (Krzysztof). *Stare miasto* (zł. 7).
- SAMOTYNOWA (M.). *Patrzmy na obrazy*. Str. 60 plus 28 reprodukcji (zł. 8,80).
- PORAZIŃSKA (Janina). *Kichus Majstra Lepigliny*. Str. 125 (zł. 10,30).
- PUCHAŁSKI (Włodzimierz). *W krainie łabędzia*. Str. 130 (zł. 30).
- SAYSSE-TOBICZYK (Kazimierz). *Pod wierchami Tatry*. Str. 208. (zł. 45).
- LIGOCKI (Edward). *Gwiazdy nad Warmią*. Str. 183 (zł. 8,20).
- PARANDOWSKI (Jan). *Opowiadania*. Antyk i renesans. Str. 201. (zł. 6).
- FENIKOWSKI (F.). *Okręt w herbie*. Legendy gdańskie. Str. 192. (zł. 5).
- UMIŃSKI (Władysław). *Na drugą planetę*. Str. 194 (zł. 7,80).

RÓŻNE

- LEGA (Władysław). *Spółeczeństwo i Państwo Gdańsko-Pomorskie w XII i XIII wieku*. Str. 309 (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań, zł. 39).
- Studia z historii nowożytnej i najnowszej*. W 50-lecie pracy naukowej Natalii Gąsiorowskiej. Str. 472 (Instytut Historii PAN, Warszawa, 1956).
- MARK (B.). *L'Extermination et la résistance des Juifs en Pologne dans les années 1939-1944*. Str. 24. (Wyd. L'Institut de l'Histoire Juive, Varsovie 1955, cena zł. 2).
- BEYLIN (Karolina). *Tajemnice Warszawy z lat 1822-1830*. Str. 387 (Wyd. PIW, Warszawa, 1956, zł. 16,30).
- ZAWIEYSKI (Jerzy). *Pokój głębi*. Str. 349. (Wyd. Pallotinum, Poznań, 1956, zł. 32).
- WASSERMAN (Jakub). *Niewolnicy życia*. Przeł. Leopold Staff. Str. 303 (Wydawnictwo „Śląsk”, Stalinogród 1956, zł. 12).
- Informator księgowy*. Podręczna encyklopedia rachunkowości. Str. 732. (Polskie Wydawn. Gospodarcze, W-wa, 1956, zł. 63,50)

WYDAWNICTWO „PAX” — Warszawa :

- Św. FRANCISZEK SALEZY. *Wybór pism*. Str. 399 (30 zł.).
- DOBRACZYŃSKI (Jan). *Dwudziesta brygada*. Str. 336 (zł. 25).
- MALEWSKA (Hanna). *Żelazna Korona*. Wydanie II. Tom I. Imperator. Str. 284. Tom II. Wiek Kłeski. Str. 305 (cena za całość zł. 30).
- DOBRACZYŃSKI (Jan). *Najeźdźcy*. Wydanie II poprawione. Str. 758 (zł. 60).
- MAURIAC (François). *Faryzeuszka*. Przeł. Julia Ryłska. Str. 261 (zł. 25).
- Adzanta. Nowele indyjskie*. Str. 412 (zł. 25).
- ŁASZOWSKI (Alfred). *W przeddzień wyznania*. Str. 475. (zł. 30).
- Mszal niedzielnny i świąteczny*. Opracował ks. Jan Wierusz-Kowalski. Wyd. II. Str. 878.
- BIESZCZADOWSKI (Mikołaj). *Inna muzyka*. Str. 124. (Wyd. PAX, Warszawa 1956, cena złotych 8).
- SZCZAWIŃSKI (Józef). *Pogoda*. Str. 60. (Wyd. PAX, Warszawa 1956, cena zł. 5).
- GROCHOWIAK (Stanisław). *Balada rycerska*. Str. 80. (Wyd. PAX 1956, cena zł. 5).
- STADNICKI (Jerzy). *Kurz na miłości*. Str. 279 (zł. 15).
- PIOTROWSKI (Andrzej). *Oczy śniegu*. Str. 83. (Wyd. PAX, Warszawa 1956, cena zł. 5).
- KWIATKOWSKI (Wincenty, ks. dr). *Apologetyka totalna*. Tom II. Cz. II. Str. 314. (Wyd. PAX, Warszawa 1956, cena zł. 40).
- UNDSET (Sigrid). *Legenda o królu Arturze*. Str. 343. (Wyd. PAX, Warszawa 1956, cena zł. 25).
- MALEWSKA (Hanna). *Przemija postać świata*. Wydanie trzecie. Tom I.: *Pokój*. Str. 476. Tom II.: *Wojna*. Str. 456. (Wyd. PAX, Warszawa, 1956. Cena całości 55 złotych).
- RICCIOTTI (Giuseppe). *Życie Jezusa Chrystusa*. Str. 708. (Wyd. REMBEK (Stanisław). *Ballada o wzgardliwym wisielcu i dwie gawędy o powstaniu styczniowym*. Str. 391. (Wyd. PAX, Warszawa, 1956, cena zł. 20).
- PAX, Warszawa 1955, cena zł. 145).
- ZUKROWSKI (Wojciech). *Ręka ojca*. Wyd. II. Str. 236 (zł. 15).
- UNDSET (Sigrid). *Gymnadenia*. Tłum. M. Morstin-Górska. Str. 405 (zł. 35).

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWA
SZKOLNICTWA ZAWODOWEGO — Warszawa :

- CIEPLAK (Leopold). *Podstawowe zasady pisowni polskiej z ćwiczeniami*. Podręcznik dla kursów pisanania na maszynie. Str. 192.
- MICHAŁSKI (Feliks). *Aparaty i łącznice telefoniczne*. Str. 367 (zł. 12,60).
- JURKOWSKI (E.) i ZAKRZEWSKI (J.). *Stolarstwo meblowe*. Str. 452 (zł. 19).
- BASTGEN (Zofia). *Język angielski dla kl. I. techników ekonomicznych*. Str. 203 (zł. 7,50).
- BASTGEN (Zofia). *Język angielski dla kl. II techników ekonomicznych*. Str. 255 (zł. 9,60).
- JAKUBOWSKI (J.Z.) i PAWLKOWSKA (Jadwiga). *Literatura Polska na przełomie XIX i XX wieku dla kl. III techników*. Str. 160 (zł. 5,80).
- GLOTZ (Zofia mgr. inż.). *Produkcja materiału roślinnego dla terenów zielonych*. Str. 306 (zł. 13,10).
- MAKSYMOWICZ (Alfred). *Rysunek zawodowy dla metalowców*. Str. 168. (zł. 8,20).
- MOROZ (Ansgary mgr. inż.). *Słusarsstwo*. Str. 271 (zł. 12,10).
- NIECIEJOWSKI (Eugeniusz). *Elektrotechnika*. Cz. I. Str. 228. (zł. 9,10).

MATUSZEWSKI (R.). *Literatura Polska w latach 1918-1955, dla Kl. III. Techników*. Str. 267 (zł. 10,10).

Materiały do nauczania pedagogiki dla techników przemysłowo-pedagogicznych. Zebrał i opracował Tadeusz Nowacki. Str. 219. (Wyd. Państwowe Wydawnictwa Szkolnictwa Zawodowego, Warszawa 1956, cena zł. 12.25).

Geografia gospodarcza świata dla Kl. I. Techników Ekonomicznych. Str. 397 (zł. 15,30).

DYJA (Edward). *Ślusarz wagonowy*. Str. 409 (zł. 21,30).

PRZEGALIŃSKI (Aleksander). *Wiadomości z rolnictwa dla szkół mechanizatorów Rolnictwa*. Str. 179. (Wyd. Państwowe Wydawnictwa Szkolnictwa Zawodowego, Warszawa 1956, cena zł. 6.60).

POLSKIE WYDAWNICTWA GOSPODARCZE — Warszawa

KUCHARSKI (Mieczysław). *Kredyt krótkoterminowy i planowanie kredytowe*. Str. 345 (zł. 25.50).

NIEGOWSKI (Jan). *O proporcjach gospodarki narodowej*. Str. 89. (zł. 4.00).

KUROWSKI (Leon), SOCHACKA (Hanna), SZAWŁOWSKI (Ryszard). *Kontrola finansowa*. Str. 314 (zł. 25,20).

SECOMSKI (Kazimierz). *Wstęp do teorii rozmieszczenia sił wytwórczych*. Str. 133 (zł. 24.50).

ZAHN (B.), DWORCZYK (M.). *Robotniczo - inżynierskie brygady racjonalizatorskie*. Str. 126 (zł. 9.00).

CZERNIEWICZ (Tadeusz), CHOLIŃSKI (Olgiert). *Gospodarka zapasami w przemyśle*. Str. 194. (zł. 13.50).

AUGUSTOWSKI (Zbigniew). *Koszty obrotu detalicznego*. Str. 82 (zł. 5.50).

Zarys metodologii planowania w Polsce Ludowej. Praca zbiorowa. Str. 392 (zł. 35.00).

Zagadnienia ekonomicznej efektywności inwestycji. Praca zbiorowa. Str. 350 (zł. 23.70).

Z zagadnień cen środków produkcji. Praca zbiorowa. Str. 303 (zł. 23.00).

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWA TECHNICZNE — Warszawa

LUBA (Jerzy). *Technologia środków farmaceutycznych*. Str. 348 (zł. 17.80).

BUNKIN (W.I.). *Eksploatacja turbin parowych*. Tłum. K. Smolaga. Str. 338 (zł. 26.30).

SMOLIŃSKI (Adam). *Zasady wzmacniania*. Tom II. *Pasmowe wzmacniacze napięciowe*. Str. 322 (zł. 33.00).

Analiza produktów nieorganicznych. Związki azotu, pigmenty, sole. Praca zbiorowa. Tom IV wyd. Kontrola analityczna w przemyśle chemicznym. Str. 478. (zł. 50.00).

Technologia związków azotowych. Praca zbiorowa. Tom II. Str. 992 (zł. 87).

RADLIŃSKI (Antoni). *Transport i magazynowanie nawozów sztucznych*. Str. 92. (zł. 5.00).

SYPNIEWSKI (Roman). *Kowal maszynowy*. Str. 102 (zł. 4.10).

SMOLUCHOWSKI (Wilhelm). *Jednolita seria silników trójfazowych*. Str. 63 (zł. 4.70).

DOBROWOLSKI (Zygmunt). *Budowa klasyfikacji*. Str. 202 (zł. 15.70).

TATOCZENKO (L.K.), MIEDWIEDIEW (S.W.). *Wykrywanie wad przedmiotów metalowych promieniami gamma*. Tłum. B. Osuchowski. Str. 151 (zł. 11.30).

KRZYWICKI (Mieczysław). *Maszyny elektryczne*. Str. 458. (zł. 22.50).

WEBER (Jerzy). *Fosforowanie stali*. Str. 164 (zł. 12.50).

KAWĘCKI (Władysław). *Frezowanie gwintów krótkich*. Str. 170 (zł. 12.70).

- PIOTROWSKI (Piotr), CZETWERTYŃSKI (Witold). *Geometria wykresna dla robotników*. Str. 125 (zł. 6,70).
- SZALNIEW (W.G.). *Bezpieczeństwo pracy w kuzniach, prasowniach i tłoczniach*. Tłum. Wł. Kawęcki. Str. 98 (zł. 5,30).
- OŚPIOWSKI (N.F.). *Kotły wysokopiętne*. Tłum. E. Proppe i H. Weberman. Str. 515 (zł. 33,20).
- KATARZYŃSKI (S.), KOCANDA (St.), ZAKRZEWSKI (M.). *Badanie własności mechanicznych metali*. Str. 452 (zł. 43).
- KNIAGININ (Gabriel). *Odlewnictwo staliwa. Staliwo węglowe*. Str. 282 (zł. 40).
- JAŚLAN (Stanisław). *Obróbka cieplna z ćwiczeniami*. Str. 113 (zł. 5).
- ŁAZARKIEWICZ (Szczeban). *Pompy, sprężarki, wentylatory*. Str. 273. (zł. 10,70).
- DOBRZAŃSKI (Tadeusz). *Przyrządy i uchwyty obróbkowe. Poradnik konstruktora*. Str. 413 (zł. 48,50).
- PIASECKI (Jan). *Obciążalność robocza przewodów elektroenergetycznych*. Str. 55 (zł. 24,60).
- JEMIELEWSKI (Jan). *Piece do topienia metali nieżelaznych*. Str. 295 (zł. 25).
- BAŁCZEWSKI (A.), GROSSMAN (A.). *Kontrola jakości materiałów i procesów technologicznych w koksowni*. Str. 182 (zł. 8,80).
- SCHILDKNECHT (C.E.). *Polimery winylowe*. Tłum. St. Chudzyński i inni. Str. 722 (zł. 71).
- OSTROWSKI (Z.) i inni. *Kotły parowe*. T. I. Str. 401 (zł. 22,50).
- BOHDANOWICZ (Józef). *Podstawowe wiadomości o maszynach licząco-analitycznych*. Str. 189. (zł. 10,20).
- Urządzenia elektryczne w zarysie* (Praca zbiorowa). Wyd. II. przerobione. Str. 516. (zł. 30).
- KOLANOWSKI (E.). *Bezpieczna obsługa radiowych urządzeń nadawczych*. Str. 173 (zł. 6,60).
- AUGUSTYŃIAK (A.). *Wyrzucacz do lnu LT5*. Str. 188 (zł. 15).
- KASSENBERG (K.) i RUCIŃSKI (J.). *Elementy łączeniowe, sygnalizacyjne i zabezpieczające*. T. III. Str. 604 (zł. 55,40).
- SZYMAŃSKI (Henryk). *Jednostki miar*. Str. 676 (zł. 64,50).
- DRAGAN (Czesław), SKUPIŃSKI (Stefan). *Technologia ogólna*. Cz. I. Str. 420 (zł. 17,80).
- ADAMSKI (Czesław) i inni. *Sytematyka wad odlewów metali nieżelaznych*. Z atlasem. Str. 123 (zł. 15,50).
- KONTOROWICZ (M.I.). *Rachunek operatorowy i stany nieustalone w obwodach elektrycznych*. Tł. J. Osowski. Str. 218 (zł. 17,50).
- KOŚCIOŁEK (Zbigniew), NATANSON (Wiktor). *Przyrządy i uchwyty do obróbki z krawaniem*. Cz. I. Wyd. II. przerobione i uzupełn. Str. 234 (zł. 10,40).
- SZLEMIŃSKI (Bogusław). *Projektowanie typowej aparatury do procesów chemicznych*. Str. 206 (zł. 23,70).
- KISIELEW (W.S.), ABASZKINA (A.F.). *Produkcja lakierów, pokostów i farb*. Tłum. Sabina Aleksandrowicz. Str. 174 (zł. 7,60).
- ISTVANFFY (E.). *Materiały magnetyczne i ich zastosowanie*. Tłum. F. Foniok i R. Zieliński. Str. 219 (zł. 20,50).
- JUFF (Edward). *Technologia spawania i zgrzewania elektrycznego*. Str. 289 (zł. 17,10).
- LANGFORD (Kenneth). *Analiza kąpieli galwanicznych*. Tłum. Tadeusz Biestek. Str. 392 (zł. 34,30).
- JUFF (Edward). *Praca spawacza lutowego*. Str. 59 (zł. 2,60).
- SIANOS (Juliusz). *Cięcie tlenem*. Str. 82 (zł. 3,50).
- Ochrona pracowników przed promieniowaniem jonizującym*. Tłum. A. Mazurkiewicz. Str. 141 (zł. 11).
- MROZOWSKI (Bolesław). *Jak korzystać z norm*. Str. 80 (zł. 5).
- NEYMAN (Aleksander). *Bezpieczna obsługa urządzeń elektrycznych na wsi*. Str. 88 (zł. 6,20).
- SZMIDT (Konrad), ŻAK (Tadeusz). *Konserwacja i regeneracja ważniejszych kąpieli galwanicznych*. Str. 77 (zł. 5,70).

Listy do Redakcji

Drodzy Czytelnicy z Warszawy!

List Wasz z 4 listopada br. oraz zdjęcia fotograficzne miejsc, o których wspominam w moich książkach, otrzymałem i stosownie do Waszego życzenia kwituję to na łamach „Kultury”. Nie jesteście sobie w stanie tego wyobrazić, jak wielką zrobiliście mi przyjemność tym wzruszającym darem. Właściwie słowo przyjemność brzmi zbyt zdawkowo i nie może odzwierciedlić tego, co czułem gdy odczytywałem Wasze miłe słowa i przeglądałem wraz z Zosią (która serdecznie dziękuje za pamięć) wzruszające i patetyczne zdjęcia miejsc, z którymi jesteśmy nierozdzielnie związani. Wasz dar pozostanie z nami jako najmiłsza pamiątka i dla mnie może najlepsza nagroda za napisanie „W Imieniu Rzeczypospolitej” i „W Imieniu Kremla”. Wiedziałem już od dość dawna, że obie książki kursują w Kraju, podawane z rąk do rąk, ale co innego wiedzieć, a co innego mieć tego dowód czarno na białem w postaci Waszego drogiego dla mnie listu. Stąd radość ogromna.

W związku z tym, co na temat obu książek piszecie, z pewnością zainteresuje Was wiadomość, że książka „W Imieniu Rzeczypospolitej” wyszła w listopadzie br. w Anglii w języku angielskim, pt. „Fighting Warsaw” („Walcząca Warszawa”) i pierwsze recenzje wykazują, że doznała tam dobrego przyjęcia. Jeśli chodzi o Stany Zjednoczone, to „Walcząca Warszawa” wyjdzie tutaj w połowie stycznia przyszłego roku.

Jeszcze raz dziękuję za wspaniały prezent i ślę dla Was i dla kochanej Warszawy najserdeczniejsze pozdrowienia od siebie i od Zosi.

Stefan KORBOŃSKI

2801 Quebec St. N. W. Apt. 622,
Washington 8, D.C., USA.



Londyn, 18 listopada 1956.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W liście p. Tadeusza Felsztyna opublikowanym w Nr 11/109 „Kultury” znajduję między innymi takie zdanie: „W artykule „Gospodarka Narodowa” pisząc o akcji przeciwko Związkowi Nauczycielstwa Polskiego zapomniał widocznie Janusz Negryński, że zasadniczym powodem tej akcji była działalność prezesa tego Związku, osławionej dziś Wandy Wasilewskiej, i jej niedwuznaczna propaganda komunistyczna na łamach wydawanego przez ten Związek czasopisma dla młodzieży szkolnej...” Ze zdziwieniem dowiedziałem się, że osławiona Wanda Wasilewska była prezesem Związku Nauczycielstwa Polskiego. Jako były członek zarządu głównego tego Związku stwierdzam z całą stanowczością, że Wanda Wasilewska nigdy nie była prezesem tego Związku, ani nawet jego członkiem, tylko redaktorem jednego z pism wydawanego przez Związek Nauczycielstwa Polskiego. O istotnych powodach akcji rządu przeciw Związkowi pisałem w liście do „Kultury” w 1951 roku. Jeśli p. T. Felsztyn ciekaw, niech sobie ten list prze-

czyta. W związku z powyższym zacytuje inne zdanie tegoż p. Tadeusza Felsztyna z jego listu w „Kulturze”: „Trudno więc chyba o więcej bałamuctw w tak krótkim ustępie”.

Odnośnie pozostałej części listu p. T. Felsztyna w sprawie sprzedaży armat przeciwlotniczych, pozostaje mi przytoczyć inne zdanie p. T. Felsztyna z tegoż jego listu: „Jeśli więc wszystkie informacje autora są równie ściśle jak ta (w tym wypadku wiadomość o „prezisie Związku Wandzie Wasilewskiej” — przyp. mój), wartość informacyjna jego artykułu (w tym wypadku listu p. Felsztyna — przyp. mój) jest zaiste niewielka”.

W związku z tą ścisłością informacji p. T. Felsztyna nie będę się fatygował czytaniem jego artykułu w Bellonie i poczekam na innego bardziej wiarogodnego informatora w tej sprawie.

Racz Pan, Panie Redaktorze, przyjąć wyrazy wysokiego poważania i szacunku.

J. HOFFMAN

Bazylea, 6 grudnia 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

Konspirujących studentów pokazał nam Achminow („Die Totengraeber des Kommunismus”), sympatycznych opozycyjnych oficerów Kalinow („Es sprechen die Sowjetgenerale”), a przeciwgruzińskie nastroje kuzyn Stalina, Budu Swanidze, w swoich wspomnieniach o dyktatorze. Ten kuzyn Stalina, mając lat 65 zakochał się w jakiejś wiedence i dostał specjalne pozwolenie osiedlić się na Zachodzie. Wspólną cechą wspomnianych publikacji, do których dochodzi szereg niewybrednych szmir w ilustrowanych tygodnikach Europy i magazynach Ameryki, jest wspólna korekta, może nawet jeden i ten sam autor. W żargonie żałożelnokurtynnym nazywa się to „pisanie na socjalne zamówienie”.

Pan Zbigniew K. Brzeziński, wyposażony w amerykański paszport i stos magazynów nie pisze oczywiście na socjalne zamówienie, nie, on tylko opisuje podróżny film, nakręcony dla niego Inturistem. Możliwe, że czytelnik nawet nie zwróciłby uwagi, na te konspiracyjne spotkania ze studentami i zadowoliliby się uśmiechem niedowierzania nad podróżnikiem frywolnie obserwującym otoczenie w luksusowych jadalniach, w pierwszej klasie specjalnego pociągu czy w kabinie samolotu. Jednak każdego uważnego czytelnika musi frapować wprost zabójcza identyczność tych obserwacji z obrazem Rosji, stworzonym dla Departamentu Stanu przez ruchliwych „Russia first” lobby, monachijski Instytut dla badań ZSSR i przez zbiegłych wyższych oficerów sowieckiego wywiadu. Kwintesencją tego obrazu jest podziw dla Ameryki w „opozycyjnych kołach intelektualistów sowieckich”. Do kompletu brakowało jeszcze tylko uśmiechów politowania na wzmiankę o Chruszczowie, którego Amerykanie z wiadomych powodów nie bardzo lubią, a który to obraz raczył nam uzupełnić pan Zbigniew K. Brzeziński. Szkoda tylko, że nie było czasu na uwzględnienie twierdzeń sowieckich jeńców w Budapeszcie. Pytani przez dziennikarzy, dlaczego strzelali w bezbronny tłum węgierskich kobiet i dzieci odpowiadali, że byli przekonani że walczą z Amerykanami w Niemczech.

Nie chcę być niesprawiedliwy i dlatego stwierdzam lojalnie, że odbyła się też jedna niezorganizowana rozmowa i to bez najmniejszych konspiracyjnych przygotowań. Mam na myśli odpowiedź jakiegoś przechodnia w Charkowie, który zapytany o jakąś ulicę odpowiedział: „ja nie tutejszy”. Juz

na marginesie wspomnę, że wzmianka o Wyborgu i o radiowym bębnieniu „przemówienia o ukraińskim poecie, którego rocznicę właśnie się obchodzi” nie jest ani intelektualna ani frywolna, jest ona cyniczna.

Proszę przyjąć wyrazy poważania.

Józef BERAN

Bruksela, 29 listopada 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

P. Teodoras Daukantas z Buenos Aires w liście swoim do „Kultury” (Nr 7/105-8/106, lipiec-sierpień 1956) w dyskusji na temat stosunków polsko-litewskich pisał:

„W języku litewskim jest świetne słowo ‘talka’. Tak określa się wzajemną pomoc sąsiadów w potrzebie”.

W języku polskim na Wileńszczyźnie jest również świetne słowo na określenie wzajemnej pomocy sąsiadów — „tłoka”.

„Tłoka” — to nie tylko pojęcie ekonomiczne (wzajemna pomoc sąsiadów w potrzebie), lecz również więź moralna i duchowa łącząca sąsiadów dla wspólnych celów. Tworzyła ona bazę konstruktywną do stosunków społecznych między sąsiadami. „Tłoka” tworzyła przyjazną atmosferę do wzajemnej pomocy i potrzeby człowieka dla człowieka.

Nad etymologią wyrazów „talka” czy „tłoka” nie będę tutaj się zastanawiał. Pragnę tylko zaznaczyć, że wyraz „talka” istnieje w języku tureckim.

„Talka” — znaczy po turecku „na rozmowę, na pogawędkę, na plotkę”. Wyrazem rdennym, zasadniczym jest wyraz „talk” (rozmowa, gawęda, plotka), zaś -a jest suffixem przyimkowym (na, do, ku).

Czy i jak wyraz „talka” dostał się do litewskiego z języka tureckiego lub odwrotnie — kwestia do ewentualnego zbadania. Można jednak przypuszczać, że niepoślednią rolę odegrali Tatarzy i Karaimi osiedleni przez Witolda na Wileńszczyźnie (Troki, Soroktatar itp.). A wyprawy na Turków? Stąd korespondencja dyplomatyczna (jarłyki). Nawiasem wspomnę, że jarłyki chanów krymskich do książąt litewskich i królów polskich posługują się często słowem „talka”.

Może ewentualne badania ustalą, że „talka” czy „tłoka” nie jest koncepcją ani litewską ani polską lecz obcą — turecką. W sporze zaś polsko-litewskim wyrówna to strony.

Twierdzenie że w języku litewskim jest świetne słowo „talka”, a w języku polskim „tłoka”, zastąpimy stwierdzeniem że my, Litwini i Polacy, przyjęliśmy świetną koncepcję wzajemnej sąsiedzkiej pomocy, którą po litewsku nazywamy „talka”, a po polsku „tłoka”.

Słowa te mają głęboką treść twórczą. Nie są one statyczne. Mają one dużo dynamiki życiowej, a przede wszystkim serca ludzkiego.

Dzisiaj, kiedy przedmiot naszego „sporu” znajduje się poza możliwościami oddziaływania bezpośredniego tak przez jedną jak i drugą stronę — *zróbmy „tłokę” („talka”)*. Nie zapomnijmy w niej o Białorusinach i Ukraińcach i o innych najbliższych naszych sąsiadach.

Niech naszą dewizą będzie przysłowie tureckie: „Adam adama lazerdim”, to znaczy „człowiek człowiekowi jest potrzebny”. Trochę inne jak „Homo hominus lupus est”.

Zechce Pan przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku.

Stanisław MERŁO

Caracas, 14. 11. 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule p. S. Westfala „Zmiany w polszczyźnie krajowej” (Kultura Nr. 10/108) powtarza się kilkakrotnie słowo *slang*. W polskim słownictwie przedwojennym i powojennym na określenie slang'u mamy: gwara, narzecze, żargon a nawet szwargot.

Wszystkie te słowa mają wydźwięk, są zrozumiałe i nie widzę żadnej potrzeby używania i zastępowania ich jakimś tam slang'iem.

Słowo wieżowiec nie jest synonimem „drapacza nieba” lecz drapacza chmur tak samo jak w języku niemieckim.

Wieżowce angielskie, francuskie i hiszpańskie „drapią niebo” — w przenośni — podobnie jak Wolkenkratzer chmury, natomiast nasz drapacz już chmur nie drapie. Jest wieżowcem. Słusznie i bardzo ładnie.

Łączę wyrazy należytego poważania.

R. WALEWICZ



Melbourne, 15 listopada 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

Uprzejmie proszę o łaskawe umieszczenie w najbliższym numerze „Kultury” mego sprostowania w związku z artykułem p. Józefa A. Zielińskiego „Gen. Przewłocki w Motoli”.

1) W odtworzonych Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie nigdy i nigdzie nie istniał 10 pułk ułanów litewskich;

2) Nie mógł dowódca 10 pułku ułanów litewskich meldować się u generała w spinaczach i pasie (z bardzo ładnie wyczyszczoną sprzączką) gdyż był w niewoli niemieckiej, obóz Murnau. Tam zmarł i tam pochowany.

W wspomnieniach swoich o gen. Przewłockim p. J.A. Zieliński wyrządził krzywdę śp. ppłk. Kazimierzowi Buslerowi (adiutant Marszałka Piłsudskiego) jak też i zdziśiatkowanym „Dziesiątkom” w kampanii wrześniowej.

Zasługi dowódcy, jak również 10 p. uł. litewskich nie potrzebują kupieckiej reklamy.

Panu Józefowi A. Zielińskiemu coś „sień” pomyliło.

Łączę wyrazy poważania.

Zdzisław BUDYN,
rotmistrz 10 p. uł. lit.



W moich ostatnich „Scieżkach” wkradła się przykra pomyłka.

Piszę o Piłsudskim że: „szukał porozumienia z Rosją „trzecią”, ze znienawidzonym przez reakcję Sawienkowem, albo z Ukraińcem-socjalistą Petlurą próbował budować niepodległą Ukrainę”.

Przez dodanie „że” (w grudniowym numerze „Kultury”) zdanie brzmi najbałamutniej jakoby Piłsudski budował z Sawienkowem niepodległą Ukrainę.

Józef CZAPSKI

Indeks autorów i tematów rocznika «Kultury» za rok 1956

Spis autorów

A. N., ANDES Abraham, ANONIM (XX wiek), AV. — BALLAGAS Emilian, (beh), BERLIŃCZYK, B. H., BIELATOWICZ Jan, BNIŃSKI Wacław, BOBKOWSKI Andrzej, BOCHENSKI I.M., O. P., BOHUSZ-SZYSZKO Marian, BONDY François, BORWICZ Michał, BRAWER A.J., BRODZIŃSKI Bohdan, BRONCEL Zdzisław, BRZEZIŃSKI Tadeusz, BRZEZIŃSKI Zbigniew K., BRZEKOWSKI Jan. — CHYLINSKI Marian T., CIOŁKOSZ Adam, CZAPLIŃSKI Stefan, CZAPSKA Maria, CZAPSKI Emeryk, CZAPSKI Józef, CZĄKOWSKI Bogdan, CZECHANOWSKI St., CZERNIAWSKI Adam. — DAUKANTAS Teodoras, DIETRICH Ewa. — FEJTŐ François, FELSZTYN Tadeusz, FUKSA Waleria. — GHELDERODE Michel de, GNIATCZYŃSKI Wojciech, GOMBROWICZ Witold, GRABOWSKI Zbigniew, GREENE Graham, GUITTON Jean, GUSTAITIS Algiras. — HEIMAN-JARECKI Aleksander, HERBERT Auberon, HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw, HERSCH Jeanne, HERTZ Aleksander, HEYDENKORN B., HINTERHOFF Eugeniusz, HOCHBERG-MARIAŃSKA Miriam, HOLCMAN Jan, HORSKI J., HORZELSKI Jerzy, HOSTOWIEC Paweł, HRABYK Klaudiusz, HRYNIEWSKI Jerzy. — IHNATOWICZ Janusz A., IRANEK-OSMECKI Kazimierz, IWANIUK Wacław, IWANOWSKI Jerzy. — (j), JANTA Aleksander, JASIEŃCZYK Janusz, JASIŃSKI Zbigniew, J. Cz., JELEŃSKI K.A., JORDAN Zbigniew, JOŹWIAK St., JULMIER., JURKSZUS-TOMASZEWSKA Jadwiga. — KATELBACH Tadeusz, KĘDZIOR A.K., KLONOWICZ Jan, KORBUT A., KORWIN-ŁOPUSZAŃSKI J., KOŚCIAŁKOWSKI Stanisław, KOWALEWSKI Janusz, KOWALIK Jan, KOZŁOWSKI Adam, KROK-PASZKOWSKI Jan, KRUSZELNICKI Ludwik, KRYTYK, KUNCEWICZOWA Maria, KWIATKOWSKI Władysław. — LEITGEBER Witold, LEPECKI Mieczysław B., LONDYŃCZYK, LUTYK Bolesław. — ŁAWRYNOWICZ Zygmunt, ŁOBODOWSKI Józef, ŁUKACZYŃSKI Zbigniew. — M., MACKIEWICZ Józef, MALCZEWSKI Rafał, MAŁECKI Zbigniew, MANTEUFFEL

Andrzej, MARCZEWSKI Jan, MAREK Zdzisław, MASZCZYK J., MACZYŃSKI Stefan C., MERŁO Stanisław, MICHAŁOWSKI Zygmunt, MIEDZIŃSKA Janina, MIEDZIŃSKI Bogusław, MIEROSZEWSKI Juliusz, MIŁOŚZ Czesław, MÓROZ A., M. P. — N., NAGÓRSKI Zygmunt, jr., NEGRYŃSKI Janusz, NOWAKOWSKI Tadeusz. — ORZESZKOWSKA Maria. — PANKOWSKI Marian, PAWLIKOWSKI J., PAWLIKOWSKI Michał K., P.H., PIETR-KIEWICZ Jerzy, POMIAN Bolesław, PONIATOWSKI Józef, PONIATOWSKI Juliusz. — RADZYMIŃSKA Józefa, RAYSKI Edward, RAYSKI Ludomir, ROJEK M.E., ROMANOWICZOWA Zofia, RUDNYCKI-ŁYSIAK Iwan, RUDNYCKI Jarosław. — SAMBOR Michał, SAPIEHA Lew, SAWCZYŃSKI Adam, SCHOENFELD Henryk, SITO Jerzy S., SŁAWOJSKŁADKOWSKI F., SOKOŁNICKI Michał, SOLSKI Wacław, SPERBER Manès, STANKIEWICZ Jan, STRASZEWICZ Czesław, STRZAŁKOWSKI Wiesław, SUAS-NAVAR Constantino, SZABŁOWSKI Stanisław, SZATKOWSKA Zofia, SZPAKOWSKA Klara, SZYSZMAN Szymon. — SŁEPY WRON-ROMAŃSKI Zbigniew, SMIEJA Florian, ŚWIECZEWSKI Karol. — TABORSKI Bolesław, TARNAWSKI Wit, TERLECKI Tymon, TOMASZEWSKI T., TOROSIEWICZ Jan, TUMASZ W. — UZIEMBŁO Adam. — V., VALLE Juvencio, VINCENZ Andrzej, VINCENZ Stanisław. — WALEWICZ Roman, WANKOWICZ Melchior, WEIL Simone, WEINTRAUB Wiktor, WEISSBERG-CYBULSKI Alexander, WESTFAL Stanisław, WIATR Józef, WIENIEWSKI Ignacy, WINCZAKIEWICZ Jan, WITTLIN Józef. — ZAJĄCZKOWSKI Tadeusz, ZAMORSKI Kazimierz, ZAWADOWSKI Zygmunt, ZBYSZEWSKI W.A., ZIELICKI Józef A., Z. Ł., ZMB. — ŻAGIELL E., ŻYWINA Józef. —

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

- BERLIŃCZYK: *List z Berlina* (12/110).
 — *List z Berlina*: „Polski tydzień w polityce niemieckiej” (11/109).
 BONDY François: *Rozmowy z węgierskimi pisarzami* (12/110), przeł. K.A. Jeleński.
 BRONCEL Zdzisław: *Marginesy emigracji* (4/102).
 — *Perspektywy dialogu* (11/109).
 — *Polska „rewolucja październikowa”* (12/110).
 BRZEZIŃSKI Tadeusz: *O reorganizację polskiej akcji zagranicą* (1/99).
 — *Polonia zagraniczna* (3/101).
 — *Zarys organizacyjny polskiej akcji zagranicą* (5/103).
 BRZEZIŃSKI Zbigniew K.: *Sowiety: Wrzesień 1956* (12/110).
 CZAPSKI Józef: *Katyń i odwilż* (4/102).
 FEJTÓ François: *„Niezależna republika” węgierskich pisarzy*

- (11/109), przeł. K.A. Jeleński.
 — *Od prowokacji do rewolucji* (12/110), przeł. K.A. Jeleński.
 HERTZ Aleksander: *Dwie emigracje* (5/103).
 — *In God we trust* (10/108).
 — *Robotnik amerykański* (2/100).
 HOSTOWIEC Paweł: *Notatnik nieśpiesznego przechodnia* (11/109).
 HRABYK Klaudiusz: *Kraj i emigracja* (5/103).
 IWANOWSKI Jerzy: *Dialog polsko-litewski* (1/99).
 JELEŃSKI K.A.: *Od endeków do stalinistów* (9/107).
 — *Po „trzęsieniu ziemi”* (5/103).
 — (tłumacz) ob. Bondy (12/110) i Fejtő (11/109, 12/110).
 JUL. MIER.: *Sprawa Pampuch-Brońskiej* (7/105-8/106).
 KATELBACH Tadeusz: *Dialog polsko-litewski* (1/99).
 KLONOWICZ Jan: *Ostatnie ostrzeżenie* (4/102).
 LONDYŃCZYK: *Kronika angielska* (2/100, 4/102, 5/103, 6/104, 7/105-8/106, 9/107, 10/108, 11/109, 12/110).
 M.: *Siła przyzwyczajenia* (12/110).
 MACKIEWICZ Józef: *Kompleks niemiecki* (1/99).
 MIEROSZEWSKI Juliusz: *Dialog* (9/107).
 — *Druga rewolucja przemysłowa* (5/103).
 — *Karty na stół* (1/99).
 — *Kronika angielska* (3/101).
 — *Kwestia rosyjska* (11/109).
 — *Lekcja węgierska* (12/110).
 — *Materiały do refleksji* (3/101, 4/102, 6/104, 7/105-8/106).
 — *„Modus vivendi”* (2/100).
 — *„Wyzwolenie-Zjednoczenie”, którego nikt nie chce* (10/108).
 MIŁOŚZ Czesław (tłumacz) ob. Weil (2/100).
 PONIATOWSKI Juliusz: *Milowe słupy* (7/105-8/106).
Rejestracja rodzin ofiar katyńskich (10/108).
Rezolucja Skarbu Narodowego w Montrealu (4/102).
 RUDNYCKI-ŁYSIAK Iwan: *Nowy Perejaśław* (6/104, 7/105-8/106).
 UZIEMBŁO Adam: *Jak niegdyś...* (9/107).
 WEIL Simone: *Czy istnieje doktryna marksistowska?* (2/100)), przeł. Czesław Miłosz.
 WEISSBERG-CYBULSKI Alexander: *Po XX Zjeździe Partii* (4/102), przeł. Z. H.
 Z. H. (tłumacz), ob. WEISSBERG-CYBULSKI.

Artykuły i essaye z dziedziny literatury, sztuki i inne

- BORWICZ Michał: *Polski poprzednik Malraux* (6/104, 7/105-8/106).
 BRONCEL Zdzisław: *Usta oniemiłe* (5/103).
 CZAPSKI Józef: *„Aura lepsza”* (7/105-8/106).
 GOMBROWICZ Witold: *Fragmenty z dziennika* (3/101, 4/102, 6/104, 9/107).

- HOLCMAN Jan: *Złoty jubileusz J. Hofmanna* (10/108).
 HOSTOWIEC Paweł: *Notatnik nieśpiesznego przechodnia* (2/100).
 MIŁOSZ Czesław: *Apollo Nałęcz Korzeniowski* (2/100).
 — *Dar nieprzyzwyczajenia* (10/108).
 — *Poezja amerykańska* (7/105-8/106).
 — *Próba porozumienia* (11/109).
 PANKOWSKI Marian: *Michel de Ghelderode* (11/109).
 SCHOENFELD Henryk: *Scjentyfika i polityka* (4/102).
 ŚWIECZEWSKI Karol: *Rozmowa z Gombrowiczem* (1/99).

Powieść, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

- BOBKOWSKI Andrzej: *Punkt równowagi* (9/107).
 — *Siódma* (2/100).
 — *Spotkanie* (3/101).
 BRZĘKOWSKI Jan: *Wyprawa do miasteczka* (7/105-8/106).
 GHELDERODE Michel de: *Hop Signor!* (11/109), przeł. Marian Pankowski.
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Książę niezłomny* (7/105-8/106).
 MALCZEWSKI Rafał: *Wspomnienie o Ojcu* (2/100, 3/101).
 PANKOWSKI Marian (tłumacz) ob. Ghelderode.
 ROMANOWICZOWA Zofia: *Baśka i Barbara* (1/99).
 ZBYSZEWSKI W.A.: *Stroński* (4/102).

Utwory poetyckie

- ANONIM (XX wiek): *Ostatni wiersz* (5/103).
 BALLAGAS Emilian: *Rumba* (3/101), przeł. Józefa Radzy-
 mińska.
 CZAYKOWSKI Bogdan: *Bunt wierszem* (3/101).
 — *Kiedy pada śnieg...* (3/101).
 — *Kluczyki* (3/101).
 CZERNIAWSKI Adam: *Wakacje nad morzem* (3/101).
 DIETRICH Ewa: *Przypowieść o archaniołach* (3/101).
 IHNATOWICZ Janusz A.: *Miedzy Abitibi a Hudson Bay* (12/110).
 — *Złoty kubek* (3/101).
 ŁAWRYNOWICZ Zygmunt: *Smutek wiedzy* (3/101).
 — *Ucz się u wiśni...* (12/110).
 MANTEUFFEL Andrzej: *Green lantern* (3/101).
 MAREK Zdzisław: *Mielizny* (5/103).
 — *Z poematu „Dno”* (5/103).
 MIŁOSZ Czesław: *Antygona* (12/110).
 — *Traktat poetycki. Cz. I.* (6/104).
 ORZESZKOWSKA Maria: *Studnia* (12/110).
 — *Św. Tomasz Niewierny* (12/110).

- PANKOWSKI Marian: *Hiszpania* (5/103).
 RADZYMIŃSKA Józefa (przekłady): ob. Ballagas, Suasnavar i Valle (3/101).
 SITO Jerzy S.: *Człowiek o siedmiu twarzach* (7/105-8/106).
 — *Deszcz na ulicy Ormeley* (7/105-8/106).
 — *Madrygał dla zakochanych* (3/101).
 — *Siedem mieczy bolesnych* (7/105-8/106).
 — *Wariacja pierwsza* (3/101).
 SUASNAVAR Constantino: *Sprzedawczyni ryb* (3/101), przeł. Józefa Radzymińska.
 SMIEJA Florian: „*O piątej po południu*” (3/101).
 TABORSKI Bolesław: *The dark tower* (12/110).
 VALLE Juvencio: *Widok w górze* (3/101), przeł. Józefa Radzy-
 mińska.
 WIENIEWSKI Ignacy: „*Iliady*” *Księga Pierwsza* (1/99).
 Z. Ł.: *Na Nowy Rok 1955* (3/101).
 ŻYWINA Józef: *Na śmierć Lechonia* (9/107).

Najnowsza historia Polski

- A. N.: *Quaroni o Hołównie* (4/102).
 (Beh): *Nieznana inicjatywa Piłsudskiego* (5/103).
 CIOŁKOSZ Adam: *Tomasz Arciszewski* (1/99).
 GRABOWSKI Zbigniew: *Tematy napoczęte* (9/107, 10/108).
 HINTERHOFF Eugeniusz: *Armia Rokossowskiego* (7/105-8/106).
 KATELBACH Tadeusz: *Co poprzedziło polskie ultimatum do Litwy* (4/102).
 LEPECKI Mieczysław B.: *O Janie Hemplu, mistrzu Bolesława Bieruta* (11/109).
 MERŁO Stanisław: *Studia akademickie w Oflagu* (7/105-8/106).
 MIEDZIŃSKI Bogusław: *Fantastyczne „tło”* (12/110).
 NEGRYŃSKI Janusz: „*Gospodarka Narodowa*” (9/107).
 RAYSKI Ludomir: *O lotnictwie polskim we Wrześniu* (1/99).
 SAWCZYŃSKI Adam: *Jeszcze o lotnictwie we Wrześniu* (5/103).
 SŁAWOJ SKŁADKOWSKI: *Prezydent Mościcki* (10/108).
 UZIEMBŁO Adam: *Pierwszy portret Ziuka* (3/101).
 WIATR Józef: *List do Redakcji* (12/110).
 ZIELICKI Józef A.: *Gen. Przewłocki w Motoli* (10/108).

Sprawy krajowe

- A. N.: *Dwie koncepcje szczerości* (4/102).
 — *Emigracja à la Mike Spillane* (10/108).
 — *Z prasy krajowej* (1/99).
 BOBKOWSKI Andrzej: *Po trzęsieniu spodniami* (6/104).
 BRODZIŃSKI Bohdan: *Paczki* (5/103).

- BRZEKOWSKI Jan: *Droga poetycka Brunona Jasieńskiego* (4/102).
 CZAPSKI Józef: „*Jest granica*” (12/110).
 CZAYKOWSKI Bogdan: *Wywiad z Graham Greene’em* (4/102).
 HERBERT Auberon: *Numer imprezy 1950* (2/100).
 HEYMAN-JARECKI Aleksander: *Odpowiedź panom pianistom* (4/102).
 HORZELSKI Jerzy: *Sposobności i okazje* (3/101).
 HOSTOWIEC Jerzy: *Dziennik podróży po moim pokoju w czasie odprężenia* (1/99).
 JASIŃSKI Zbigniew: *Pomnik na rozstajach* (7/105-8/106).
 JORDAN Zbigniew: *Genealogia i perspektywy odwilży* (6/104).
 MARCZEWSKI Jan: *Gospodarka polska w godzinie wyboru* (12/110).
 MIEDZIŃSKA Janina: *Kurtyna została podniesiona* (10/108).
 MIŁOSZ Czesław: *Literatura pracy* (3/101).
Młodzi plastycy w kraju (4/102).
 N.: *Dwa końce kija* (2/100).
 P. H.: *Z kraju milczenia* (2/100).
 REDAKCJA: *Jedźmy nikt nie woła...* (2/100).
 WEINTRAUB Wiktor: *O zaprzepaszczeniu dorobek kulturalny* (11/109).
 WESTFAL Stanisław: *Zmiany w polszczyźnie krajowej* (10/108, 11/109).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- A. N.: *Kolumbowie i inkwizycja* (7/105-8/106).
 (AV): *Lwów oczami Ukraińców* (9/107).
 AV: *Slavistica* (6/104).
 BIELATOWICZ Jan: „*Baśka i Barbara*” (10/108).
 BRODZIŃSKI Bohdan: *Wydawnictwa emigracyjne o Polsce* (6/104).
 CZAPSKA Maria (tłumacz) ob. Guitton.
 CZAPSKI Emeryk: *Kulisy wojny* (5/103).
 CZAPSKI Józef: *Listy ambasadora Kota* (1/99).
 — *Pel-Mel* (10/108).
 — *Pluszowy album* (7/105-8/106).
 CZECHANOWSKI St.: *Trzecia Rzesza i Żydzi* (5/103).
 CZERNIAWSKI Adam: „*Ostatnie utwory*” *Pawlikowskiej* (9/107).
 FUKSA Waleria: *Bakcyl górski* (12/110).
 GUITTON Jean: „*L’huile de la lampe*” (2/100), przeł. Maria Czapska.
 HERSCH Jeanne: *Rewolucja i fetysze* (4/102), przeł. Z. H.
 HORZELSKI Jerzy: *Dziwny hołd* (3/101).
 — *Naukowe cwaniactwo* (2/100).
 (i): *Dumaine: Plotki i polonica* (2/100).
 J. Cz.: *Słowa poranne* (6/104).

- JELEŃSKI K.A.: *Alchemia karpacka* (1/99).
 — *Marzenie generała* (7/105-8/106).
 — „*Tristes tropiques*” (2/100).
 JORDAN Zbigniew: „*Moralność mieszczańska*” (12/110).
 — *O prawach historii* (4/102).
 KOWALIK Jan: *Polonia zagraniczna* (6/104).
 — *Szwedzkie polonica bibliograficzne* (3/101).
Krajowe nowości wydawnicze (2/100, 3/101, 4/102, 5/103, 6/104).
 LEITGEBER Witold: *Daleka droga* (6/104).
 ŁOBODOWSKI Józef: *Białe plamy na mapie* (2/100).
 MIŁOSZ Czesław: *Polska 1950 roku* (1/99).
 — (tłumacz) ob. Weil.
 M. P.: *Leki ludzi zagubionych* (7/105-8/106).
Nadestane nowości wydawnicze (1/99, 3/101, 7/105-8/106, 10/108, 11/109, 12/110).
 PANKOWSKI Marian: *Basic Polish* (3/101).
 — *Dwie książki, dwie epoki* (5/103).
 — *Krajowe nowości poetyckie* (12/110).
 — *Rzeczywistość widzialna* (9/107).
 — *Sповідь dziecięcia Polski Ludowej* (3/101).
 PIETRKIEWICZ Jerzy: *Mróz siarczysty* (7/105-8/106).
 SAMBOR Michał: *Pierwsza książka Kowalewskiego* (1/99).
 SOKOLNICKI Michał: *Na progu wojny* (11/109).
 — *Z problematów polsko-niemieckich* (6/104).
 TARNAWSKI Wit: *Dwie książki Józefa Mackiewicza* (4/102).
 TOROSIEWICZ Jan: „*Loot and Loyalty*” (3/101).
 VINCENZ Andrzej: *Między Wschodem a Zachodem* (7/105-8/106).
 WEIL Simone: *O książce Lenina „Materializm i empiriokrytycyzm”*, przeł. Czesław Miłosz (1/99).
 Z. H. (tłumacz) ob. Hersch.
 ZMB: *Wśród czasopism amerykańskich* (7/105-8/106, 9/107).
 — *Wydawnictwa amerykańskie* (9/107).

Kronika kulturalna

- ANDES Abraham: *Kronika żydowska* (7/105-8/106).
 ANKIETA „KULTURY”: *Literatura emigracyjna a kraj*. Wy-
 powiedzi: BOBKOWSKI Andrzej, CZAPSKA Maria,
 GOMBROWICZ Witold, GRABOWSKI Zbigniew, HER-
 LING-GRUDZIŃSKI Gustaw, HERTZ Aleksander, HOS-
 TOWIEC Paweł, IWANIUK Wacław, JANTA Aleksander,
 JASIEŃCZYK Janusz, JELEŃSKI K.A., JORDAN Zbi-
 gniew, JURKSZUS-TOMASZEWSKA Jadwiga, KOWA-
 LIK Jan, KUNCEWICZOWA Maria, MIŁOSZ Czesław,
 NOWAKOWSKI Tadeusz, ORZESZKOWSKA Maria,
 PANKOWSKI Marian, RADZYMIŃSKA Józefa, SAPIE-
 HA Lew, SCHOENFELD Henryk, SITO Jerzy S., SOL-

- SKI Wacław, STRASZEWICZ Czesław, STRZAŁKOWSKI Wiesław, SZATKOWSKA Zofia, SZPAKOWSKA Klara, TABORSKI Bolesław, TARNAWSKI Wit, UZIEMBŁO Adam, WEINTRAUB Wiktor, WINCZAKIEWICZ Jan, WITTLIN Józef, ZAJĄCZKOWSKI Tadeusz, ZAMORSKI Kazimierz, ŻYWINA Józef (12/110).
- B. H.: *Dom Wydawniczy im. Czechowa* (7/105-8/106).
- BIELATOWICZ Jan: *Jan Olechowski* (9/107).
- BOHUSZ-SZYSZKO Marian: *Zalew manieryzmu* (12/110).
- BRODZINSKI Bohdan: *Jedna czy dwie literatury polskie* (1/99).
- BRONCEL Zdzisław: *Kongres PEN-Clubu i jego polskie echa* (9/107).
- CZAPSKI Józef: *August Zamoyski* (2/100).
- *Stanisław Grabowski* (5/103).
- CZERNIAWSKI Adam: *Mickiewicz w młodych oczach* (3/101).
- HEYDENKORN B.: *Slawistyka w Harvardzie* (2/100).
- HORZELSKI Jerzy: *Wśród wyznaczników epoki* (7/105-8/106).
- HOSTOWIEC Paweł: *Spotkanie historyków w Tybindze* (12/110).
- J. Cz.: *Od Stanisława Grabowskiego* (7/105-8/106).
- JORDAN Zbigniew: *Jan Łukasiewicz* (5/103).
- KOŚCIAŁKOWSKI Stanisław: *Historia Reformacji* (3/101).
- KOZŁOWSKI Adam: *Bałak klasyczny* (6/104).
- KRYTYK: *Emigracyjny teatr* (3/101).
- LONDYŃCZYK: *Kronika angielska* (1/99).
- MIŁOSZ Czesław: *Atom* (10/108).
- *Polemiki* (7/105-8/106).
- „*Sprzeczności w życiu i dziele Mickiewicza*” (1/99), przeł. autor.
- (tłumacz) ob. Miłosz: „*Sprzeczności w życiu i dziele Mickiewicza*”.
- Nagrody „Kultury”* (4/102).
- PANKOWSKI Marian: *Festiwal poetycki* (10/108).
- (tłumacz) ob. Sperber.
- SITO Jerzy: S.: *Polska sztuka ludowa* (6/104).
- SPERBER Manès: *Dwunastego sierpnia 1952* (5/103), przeł. Marian Pankowski.
- SZYSZMAN Szymon: *Dalsze losy rękopisów znad Morza Martwego* (6/104).
- TABORSKI Bolesław: *Perspektywy czy ich brak* (11/109).
- VINCENZ Andrzej: *O tabu językowym* (7/105-8/106).
- VINCENZ Stanisław: *Liebman Hersch* (10/108).

Sprawy i troski

- CZAPLIŃSKI Stefan: *O Radę Gospodarczą Emigracji* (1/99).
- NAGÓRSKI Zygmunt, jr.: *Most* (7/105-8/106).
- PANKOWSKI Marian: „*Chuligani*” (6/104).

ROMANOWICZOWA Zofia: *Witamina „P”* (6/104).
 ŻAGIELL E.: *Kronika australijska* (10/108).

Tłumaczenia

Z języka francuskiego

- BONDY François: *Rozmowy z węgierskimi pisarzami* (12/110),
 przeł. K.A. Jeleński.
 FEJTŐ François: „*Niezależna republika*” węgierskich pisarzy
 (11/109), przeł. K.A. Jeleński.
 — *Od prowokacji do rewolucji* (12/110), przeł. K.A. Jeleński.
 GHELDERODE Michel de: *Hop Signor!* (11/109), przeł. Ma-
 rian Pankowski.
 GUITTON Jean: „*L’huile de la lampe*” (2/100), przeł. Maria
 Czapska.
 HERSCH Jeanne: *Rewolucja i fetysze* (4/102), przeł. Z. H.
 MIŁOSZ Czesław: „*Sprzeczności w życiu i dziele Mickiewicza*”
 (1/99), przeł. Czesław Miłosz.
 SPERBER Manès: *Dwunastego sierpnia 1952* (5/103), przeł.
 Marian Pankowski.
 WEIL Simone: *Czy istnieje doktryna marksistowska?* (2/100),
 przeł. Czesław Miłosz.
 — *O książce Lenina „Materializm i empiriokrytycyzm* (1/99),
 przeł. Czesław Miłosz.

Z języka hiszpańskiego

- BALLAGAS Emilian: *Rumba* (3/101), przeł. Józefa Radzy-
 mińska.
 SUASNAVAR Constantino: *Sprzedawczyńi ryb* (3/101), przeł.
 Józefa Radzymińska.
 VALLE Juvencio: *Widok w górze* (3/101), przeł. Józefa Radzy-
 mińska.

Z języka niemieckiego

- WEISSBERG-CYBULSKI Alexander: *Po XX Zjeździe Partii*
 (4/102), przeł. Z. H.

Bibliografie

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1955
 (1/99).

Listy do Redakcji

- BNIŃSKI Wacław (3/101). I.M. BOCHENSKI, O.P. (9/107).
 BRAWER A.J. (11/109). CHYLIŃSKI Marian T. (2/100).

CZAPSKI Emeryk (3/101). CZERNIAWSKI Adam (6/104). DAUKANTAS Teodoras (7/105-8/106). FELSZTYN Tadeusz (2/100, 6/104, 11/109). GNIATCZYŃSKI Wojciech (7/105-8/106). GRABOWSKI Zbigniew (6/104, 9/107). GREENE Graham (6/104). GUSTAITIS Algirdas (7/105-8/106). HOCHBERG-MARIANNA Miriam (9/107). HORSKI J. (4/102). HORZELSKI Jerzy (11/109). HRABYK Klaudiusz (11/109). HRYNIEWSKI Jerzy (3/101). IRANEK-OSMECKI Kazimierz (6/104). JÓŹWIAK Stanisław (12/110). KĘDZIOR A.K. (3/101). KLONOWICZ Jan (6/104). KORBUT A. (3/101). KORWIN-ŁOPUSZAŃSKI J. (4/102). KOWALEWSKI Janusz (1/99, 9/107). KROK-PASZKOWSKI Jan (7/105-8/106). KRUSZELNICKI Ludwik (9/107). KWIATKOWSKI Władysław (3/101). LUTYK Bolesław (3/101). ŁUKACZYŃSKI Z. (1/99). MAŁCZEWSKI Rafał (7/105-8/106). MAREK Zdzisław (9/107). MASZCZYK J. (2/100). MĄCZYŃSKI Stefan C. (4/102). MICHAŁOWSKI Zygmunt (2/100). MIŁOSZ Czesław (2/100). MOROZ A. (4/102). PANKOWSKI Marian (6/104, 11/109). PAWLIKOWSKI J. (5/103). PAWLIKOWSKI Michał K. (1/99). PONIATOWSKI Józef (12/110). RAYSKI Edward (2/100). ROJEK M.E. (9/107). RUDNYČKYJ Jarosław (11/109). SŁAWOJ SKŁADKOWSKI (12/110). SOKOLNICKI Michał (4/102). STANKIEWICZ Jan (5/103). SZABŁOWSKI Stanisław (7/105-8/106). ŚLEPOWRON-ROMAŃSKI Zbigniew (3/101). TERLECKI Tymon (11/109). TOMASZEWSKI T. (9/107). TUMASZ W. (9/107). UZIEMBŁO Adam (4/102). VINCENZ Andrzej (11/109). WALEWICZ Roman (12/110). WAŃKOWICZ Melchior (4/102). WESTFAL Stanisław (11/109). ZAWADOWSKI Zygmunt (5/103). ZBYSZEWSKI W.A. (6/104).

Różne

CZAPSKI Józef: *Wyjaśnienie i sprostowanie* (1/99).
Dalsze wpłaty na dom „Kultury” (1/99, 2/100, 3/101, 4/102, 5/103, 6/104, 7/105-8/106, 9/107, 10/108, 11/109, 12/110).
Komunikaty administracji „Kultury” (7/105-8/106).
„Kultura” dla płytyków (2/100).
 MAŁECKI Zbigniew: *Przypisy do „Refleksji amerykańskich”* (5/103).
Nagroda Literacka Koła Księży Kapelanów PSZ w St. Zjedn. (4/102).
Nagroda Literacka „Kultury” na rok 1955 (3/101).
Na nagrobek dla Jana Olechowskiego (10/108, 11/109, 12/110).
Oświadczenie Redakcji (12/110).
 POMIAN Bolesław: *„O pracy” — z doświadczenia* (5/103).
Poszukiwanie (7/105-8/106).
Reprodukcja rzeźby Augusta Zamoyskiego (wkładka) (2/100).
Sprostowanie (9/107).

Wydawnictwa książkowe

Biblioteka „Kultury”

- Tom XIII : Stefan Korboński, *W imieniu Kremla* (stron 382).
 Tom XIV : Raymond Aron, *Koniec wieku ideologii* (str. 328).
 Tom XV : Graham Greene: *Moc i chwała*. Przekład Bole-
 sława Taborskiego (stron 247).

O kulcie jednostki i jego następstwach. Referat i Sekretarza KC
 KPZR, tow. N.S. Chruszczowa na XX Zjeździe Partii.
 Pełny tekst w przekładzie polskim (stron 56). (*Dokumenty*.
 Zeszyt I.).

Dokumenty. Zeszyt II. Przemówienie i Sekretarza KC PZPR
 Władysława Gomułki na VIII Plenum 21. X. 1956. Komen-
 tarz J. Mieroszewskiego. (Stron 36, dodatek do Nru 11/109
 „Kultury”).

PREUVES

revue mensuelle

publie, sous la direction de F. Bondy
 dans son numéro de JANVIER 1957

Raymond ARON : Budapest et Suez; Gérald MESSADIE :
 Portrait de l'intellectuel égyptien; Salomon WOLF : La fra-
 gile prospérité de l'Europe Occidentale; Norbert MUHLEN :
 Eisenhower, ou les dangers du raisonnable.

Jorge Luis Borges et les trois labyrinthes

Présentation de Roger CAILLOIS

Textes de J.L. BORGES

PREUVES : 23, rue de la Pépinière, Paris-8^e

Le numéro de 104 p. ill. : 180 frs - C.C.P. : 178-00 Paris

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec

UKAZUJE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO.

W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia :

MANNHEIM-SCHENAU, Gendarmerie Kaserne

BIBLIOTEKA "KULTURY"

Witold GOMBROWICZ :

TRANS-ATLANTYK I ŚLUB

Cena 600 frs (12 sh., \$ 2.00)

George ORWELL :

R O K 1 9 8 4

Cena 500 frs. (10 sh., \$ 1,75)

Czesław MIŁOSZ :

ZNIEWOLONY UMYŚL

Cena 500 frs. (10 sh., \$ 1,75)

James BURNHAM :

BIERNY OPÓR CZY WYZWOLENIE ?

Cena 600 frs. (12 sh., \$ 2.00)

Czesław MIŁOSZ :

ŚWIATŁO DZIENNE (Poezje)

Cena 350 frs. (7 sh., \$ 1,00)

Czesław STRASZEWICZ :

TURYŚCI Z BOCIANICH GNIAZD

Cena 650 frs. (13 sh., \$ 2,00)

Stefan KORBOŃSKI :

W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ...

(wyczerpane)

Cena 1.250 frs. (25 sh., \$ 3,50)

Józef ŁOBODOWSKI :

ZŁOTA HRAMOTA (Poezje)

Cena 700 frs. (14 sh., \$ 2,00)

Czesław MIŁOSZ :

ZDOBYCIE WŁADZY

Cena 650 frs (13 sh., \$ 2.00)

Czesław MIŁOSZ :

DOLINA ISSY

Cena 700 frs (14 sh., \$ 2.00)

Marian PANKOWSKI :

SMAGŁA SWOBODA

Cena 350 frs (7 sh., \$ 1.00)

Teodor PARNICKI :

KONIEC „ZGODY NARODÓW”

Cena 1.500 (30 sh., \$ 4.50)

Stefan KORBOŃSKI :

W IMIENIU KREMLA

(Cena 1.000 frs. (20 sh., \$ 3,00)

Raymond ARON :

KONIEC WIEKU IDEOLOGII

(Cena 750 frs. (15 sh., \$ 2,25)

Graham GREENE

MOC I CHWAŁA

(Cena 650 frs. (13 sh., 2 dol.)

Nowości

BIBLIOTEKA "KULTURY"

Tom XVI:

Leo LIPSKI

DZIEŃ I NOC

Opowiadania.

Nagroda Literacka „Kultury” za rok 1955

Cena : 350 fr. (7 sh., 1,00 dol.)

Tom XVII:

Andrzej CHCIUK

SMUTNY UŚMIECH

Opowiadania.

Nagroda Literacka „Kultury” za rok 1955

Cena 350 fr. (7 sh., 1,00 dol.)

Tom XVIII:

SMUTNY UŚMIECH

POLITYKA I RZECZYWISTOŚĆ

Książka Jeanne Hersch posiada tę wyjątkową zaletę, że stawia jasno szereg głównych problemów politycznych i społecznych naszych czasów sięgając do ich źródła, to jest do postawy filozoficznej ludzi i ich uczuć.

Ten essay stara się wyjaśnić współczesną rzeczywistość polityczną i jest wkładem do podstawowego w chwili obecnej zagadnienia : to jest do koniecznej przebudowy doktryny socjalistycznej.

Cena 700 fr. (14 sh., 2,00 dol.)

Tom XIX:

Czesław MIŁOSZ

TRAKTAT POETYCKI

Cena 350 fr. (7 sh., 1,00 dol.)

Tom XX:

Józef MACKIEWICZ

KONTRA

Koniec jeźdźców stepowych. Dzieje naddońskiej rodziny na tle ostatniej kontrewolucji, zgniecionej przez Hitlera, zdradzonej przez mocarstwa zachodnie. Autor odsłania mało znane kulisy drugiej wojny światowej na Wschodzie : Don-Kubań-Nowogródek-Mława-Bałkany-Dolomity. Od decyzji w głównej kwaterze Hitlera w roku 1943, do tragedii nad Drawą w roku 1945...

Cena 700 fr. (14 sh., 2,00 dol.)

Zapowiedzi wydawnicze

TOM XXI **Biblioteki "Kultury"**

WITOLD GOMBROWICZ

DZIENNIK

1953-1956



TOM XXII **Biblioteki "Kultury"**

JAN KOWALIK

KULTURA

*Bibliograficzna analiza treści
stu numerów „Kultury”*

1947-1956

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI,
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

*Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 strony 10.000 frs.
(w tekście + 50%; okładka + 100%).*

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 1^{er} Trimestre 1957.

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, „Libreria Polaca”, Serrano 2076, Buenos Aires	17 peso	102 peso	204 peso
AUSTRALIA: „Vistula” (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta poczt. 7315-20.	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curiti- tiba, Paraná; Hanna Lekszycka, r. Guirã 139, vila Pompela, Sao Paulo	40 cruz.	200 cruz	380 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tangany- ka, Uganda), Roman Królikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
FRANCJA: „Libella”, 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4*)	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
HOLANDIA: T. Szpilczyński, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam—, Tel.: 716080. Nr konta pocztowego: 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA: K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; St. L. Lemanski, 472 Aikins St., Win- nipeg/Man.; H. B. Radomski, 107, Rose Park Driv- e, Toronto/Ont. Tel. HY-0829; St. Zybała, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; „Związkowiec”, 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: „Ostatnie Wiadomości”, Gendarmerie Kaserne, Mannheim-Schoenau; St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/I.	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA: Br. Łubiński, Moss, Kongesgt. 2. SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thal- berg, Genève. Tel.: 32-32-92. Nr konta p.: I.14431 SZWECJA: Red. Norbert Zaba, Kallskärsgat- an 3/IV, Stockholm	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
U.S.A.: Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bieńkowski, „Gryf Publ.”, 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; L. Duda- rew Ossetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; S. Dziarczykowski, 3216 W.— 15 St., Los Angeles 19, California; M. K. Dzieła- nowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1471 Lakeland Ave., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Ro- binwood Ave, Toledo 2, Ohio; A. Pleszczyński, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; K. Troja- nowski, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y. The Polish Book Import- ing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y. V.B. Kwast, 183, Chancellor Ave., Newark 8, N.J. W. BRYTANIA: „Gryf” Publication Ltd., 169- 171. Battersea Church Road, London. S.W.11. WŁOCHY: Ewa WIERUSZ-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632.	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25,00 fr. s.
		18 kor.	33 kor.
	75 cent.	4 dol.	6 dol.
	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 30 frs. Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

P R Z Y P O M I N A M Y

O ODNOWIENIU

PRENUMERATY

NA ROK 1957

I O NASZYCH

W Y D A W N I C T W A C H

Z SERII

BIBLIOTEKA „KULTURY”

PEŁNY WYKAZ KSIĄŻEK WYDANYCH W
LATACH UBIĘGLYCH ORAZ NOWOŚCI WRAZ
Z CENAMI — NA OSTATNICH STRONACH
BIEŻĄCEGO NUMERU.